

PIEKIŁA



JACEK



Świat
inkwizytorów

Płomień
TOM IV
i krzyż



fabryka słów
WYDAWNICTWO



JACEK PIEKARA

Autor niemal 40 książek, w tym cyklu inkwizytor-
skiego, bestsellerowej historyczno-fantastycznej sagi
publikowanej od 2003 roku (cykl doczekał się już
17 tomów!). Jako literat zadebiutował opowiadaniem
„Wszystkie twarze szatana” w 1984 roku, potem przez
wiele lat pracował jako dziennikarz i redaktor praso-
wy oraz radiowy, specjalizujący się w tematyce pop-
kultury (szczególnie gier komputerowych). Poza pracą
dziennikarską i literacką zajmował się również reżyse-
rią dubbingów oraz tłumaczeniami.

W tej chwili toczą się zaawansowane prace nad
wysokobudżetową grą „Ja, inkwizytor” (na wszyst-
kie platformy sprzętowe), opartą na twórczości autora
i powstającą we współpracy z nim.

Jest szczęśliwy, że praca pozwoliła mu wyprowa-
dzić się z Warszawy, dzięki czemu mieszka w domu
u samego podnóża gór, z partnerką, synkiem, psem,
kotem oraz niepoliczalną ilością rybek. Jako odwiecz-
ny „homo politicus” interesuje się wydarzeniami na
świecie i w Polsce. Czynn timer komentuje, niezależ-
nością oraz ostrością spojrzenia doprowadzając wie-
lu obserwatorów do białej gorączki. W nazywaniu
rzeczy po imieniu i w bezkompromisowości wobec
moralnej atrofii świata zawsze kieruje się zdaniem
Thomasa Manna: „Tolerancja jest przestępstwem, jeśli
dotyczy zła”.

Spis treści

Karta tytułowa

Cykle inkwizytorskie

Wiedzmy

Esencja ducha i życia

Klasztor

Czarny Wiatr

Przypisy

Karta redakcyjna

Okładka

JACEK
PIEKARA
Świat
inkwizytorów
Płomień
TOM IV
i krzyż

Ilustracje
Paweł Zaręba

fabryka słów[®]

Lublin – Warszawa

Cykl Świat inkwizytorów

1. Płomień i krzyż – tom 1
2. Płomień i krzyż – tom 2
3. Płomień i krzyż – tom 3
4. Płomień i krzyż – tom 4

Cykl Ja, inkwizytor

1. Ja, inkwizytor. Wieże do nieba
2. Ja, inkwizytor. Dotyk zła
3. Ja, inkwizytor. Bicz Boży
4. Ja, inkwizytor. Głód i pragnienie
5. Ja, inkwizytor. Dziennik czasu zarazy
6. Ja, inkwizytor. Kościany Galeon
7. Ja, inkwizytor. Sługa Boży
8. Ja, inkwizytor. Młot na czarownice
9. Ja, inkwizytor. Miecz Aniołów
10. Ja, inkwizytor. Łowcy dusz

Cykl Ja, inkwizytor. Ruska trylogia

1. Ja, inkwizytor. Przeklęte krainy
2. Ja, inkwizytor. Przeklęte kobiety
3. Ja, inkwizytor. Przeklęte przeznaczenie



Wiedzmy



Inkwizytor Arnold Löwefell stał na kamiennym balkonie, opierając się o balustradę. Spoglądał, jak mgła ściele się nad zakolem Renu, jak unosi się strzępami wokół pni i gałęzi ogromnych jodeł, które celują szczytami pod samo szarogranatowe, burzowe niebo.

– Kiedy Decymus Kasjusz przybył w te strony, świat wyglądał całkiem podobnie, jak wygląda dzisiaj – usłyszał tubalny głos za plecami.

Od dawna wiedział, iż z tyłu, kilka kroków za nim, stoi Marius van Bohenwald. Jednak przez cały ten czas nie dawał poznać niczego po sobie, czekając, aż Marius sam się odezwie.

– Również tak sędzę. Że niewiele się zmieniło – rzekł teraz. – Tylko naszego klasztoru jeszcze nie było.

– Ano nie było.

Marius stanął obok niego i położył ogromne, napuchnięte dłonie na balustradzie. Löwefell poczuł, jakby nieskalana czystość kamienia, wypolerowanego upływem czasu oraz deszczami, została zbrukana tym dotykiem. Te tłuste, białe, porośnięte rzadkimi, rudawymi włosami dłonie raziły w tym miejscu swoją

niewłaściwością. Tak jakby wielowiekowa powaga oraz majestat miejsca zostały zakłócone przez samą obecność rąk Mariusa. A van Bohenwald dodatkowo zabębnił palcami po kamieniu. Miał tak krótko obcięte paznokcie, że zdawały się wtopione w ciało. Löwefell był pewien, że Marius robi to, co robi, z całkowitą, wyrozumianą premedytacją, wiedząc, że przeszkodził towarzyszowi w kontemplacji, i wiedząc również, że wtargnął brutalnie w jego świat niczym ryk asinusa[1], którego celem jest zniweczenie chóralnego wysiłku rozspiewanych i rozmodlonych mnichów.

– Znowu mgła i deszcz – westchnął van Bohenwald, spoglądając w niebo. – Szkoda, że naszego klasztoru nie zbudowano w południowej Italii albo na Sycylii. Wtedy zamiast wpatrywać się w siwą mgłę i szarą puszcę, moglibyśmy podziwiać lazur Morza Tyrreńskiego. I fale marszczące wody Zatoki Mesyńskiej. – Löwefell kątem oka dostrzegł, że jego towarzysz, unosząc głowę, przymyka powieki w teatralnym zachwycie.

– A zamiast pieczonej rzepy moglibyśmy delektować się pomarańczami – dodał poważnym tonem Löwefell.

Marius westchnął głęboko.

– Albo na Costa de la Luz – dorzucił zaraz rozpromieniony. – Wtedy jedlibyśmy krewetki i popijali wino z winogron dojrzewających na rozświetlonych wzgórzach Andaluzji. I jeździlibyśmy konno wśród suchych wzgórz pokrytych cedrowymi lasami.

Löwefell uśmiechnął się lekko, gdyż słowa „suche wzgórza” tutaj i teraz, w tej mgle, wilgoci oraz oparach unoszących się znad rzeki, zabrzmiały niczym wymyślone w innym, kompletnie obcym świecie.

– A twoja Persja? Czy bardzo bywała zamglona? – zapytał van Bohenwald tym razem już z powagą w głosie.

Löwefell nie zareagował w żaden sposób na słowa „twoja Persja”, chociaż jak zawsze spytał sam siebie, w jakim celu van Bohenwald próbuje go prowokować, skoro Löwefell nigdy nie dał poznać, iż podobne prowokacje w jakikolwiek sposób go dotyczą. Zresztą rzeczywiście to było prawdą: wcale go nie dotykały. Oczywiście

w pewnym sensie był Persem, czarnoksiężnikiem Narsesem, magiem ognia i śmiertelnym wrogiem chrześcijan. Ale było to tak dawno temu, że nie „jakby w innym życiu”, jak zwykle się potocznie mówi, lecz dokładnie „w innym życiu”. Bez konieczności dodawania słowa „jakby”. Nawet fizycznie w żaden sposób nie przypominał przecież Narsesa, gdyż zniszczone wiekiem i magią ciało perskiego czarnoksiężnika dawno rozpadło się w proch i pył. A teraz Löwefell był prawowiernym chrześcijaninem, oddanym obrońcą Chrystusa i wpływowym członkiem Wewnętrznego Kręgu Świętego Oficjum. Zapewne ja i Marius należymy do grona najpotężniejszych ludzi w znanym nam świecie, pomyślał. I zabawne jest, że dla mnie z całą pewnością ten fakt nie ma najmniejszego znaczenia. A raczej ma znaczenie o tyle, o ile mogę dzięki swej wiedzy i swej mocy służyć Jezusowi oraz Jego najświętszej Sprawie.

– Z tego, co pamiętam, w wysokich górach mgły zdarzały się całkiem często – odparł na głos. – Na morzu dużo rzadziej.

– Wykorzystywaliście jakoś tę mgłę?

– Wykorzystywaliśmy? – Löwefell nie dał po sobie poznać zdziwienia, lecz pytanie van Bohenwalda zaskoczyło go. – Do magii? Nie, oczywiście, że nie.

– Oczywiście?

– Persowie są rozmiłowani w żywiole ognia, nie w żywiole wody – odparł, zdając sobie doskonale sprawę z tego, że Bohenwald wie o tym tak samo dobrze.

– Wiele wieźm używa mgły do swoich czarów – stwierdził van Bohenwald.

– Wiem – skinął głową Löwefell. – Czytałem o tym.

Zauważył oczywiście, iż inkwizytor wypowiedział słowo „używa”, a nie „używało”, ale na razie nie zamierzał pytać dlaczego.

– Kiedy słyzałeś ostatni raz o sabacie? – zapytał van Bohenwald. – O takim prawdziwym, najprawdziwszym sabacie, złożonym z mistrzyni i jej uczennic, postępujących według starodawnych reguł?

– W Persji nie było sabatów. Nigdy – odparł Löwefell, dobrze wiedząc, iż Marius wcale nie o to pyta.

– Zbyt dużo rozmyślasz o Persji, mój drogi przyjacielu – stwierdził van Bohenwald z wyraźną naganą w głosie. – Oczywiście w moim pytaniu chodziło o Cesarstwo.

– Sabat w Cesarstwie? – powtórzył Löwefell. – No cóż, chyba Herman Balbulus opisał ostatni sabat. Ile to było lat temu? Dwieście? Nie mylę się?

Van Bohenwald pokiwał potakująco głową, po czym niezgodnie z tym ruchem rzekł:

– Mylisz się. To było w Szkocji, dwieście siedemdziesiąt lat temu.

– Tak przemija zło świata – stwierdził sentencjonalnie Löwefell, parafrazując słowa łacińskiego powiedzenia[2].

– Zło jest niczym chwast ukryty pod ziemią – westchnął szczerze van Bohenwald. – A czy zdziwiłbyś się, wiedząc, że przez kilkaset ostatnich lat działał niewykryty przez nas sabat? – zapytał. – A szczerze mówiąc, Bóg jeden tylko raczy wiedzieć, ile innych sabatów mogło z niego wypączkować i w jakich miejscach one wyrosły..

– Dietrich Knabe wrócił z Rusi – odgadł Löwefell i odwrócił się w stronę towarzysza. – Czy wszystko zakończyło się dobrze?

Van Bohenwald wykrzywił usta.

– Pytając: „Czy zakończyło się dobrze?“, masz na myśli, czy twój protegowany inkwizytor wrócił cało oraz bezpiecznie?

– Mordimer Madderdin nie jest „moim protegowanym inkwizytorem“, jak raczyłeś to ująć, niemniej rzeczywiście jego los leży mi na sercu – odparł spokojnie Löwefell. – I chyba powyższe stwierdzenie dotyczy każdego z nas, czyż nie?

Van Bohenwald nie tylko machnął dłonią, ale i prychnął z rozdrażnieniem.

– Niestety – przyznał. – Niestety, niestety – powtórzył niechętnie. – Godne pożałowania zrządzenie losu, że musimy poświęcać nasz cenny czas temu nic nieznaczącemu młodemu człowiekowi.

– I cóż z tym nic nieznaczącym młodemu człowiekiem? Żyje?

– Oczywiście, że żyje, gdyż wcale nie życzyliśmy sobie, by umarł – odparł van Bohenwald z urazą i zaraz potem lekceważąco wzruszył ramionami. – Przynajmniej na razie tego sobie nie życzymy, chociaż mamy na uwadze, że sprawy w tej mierze mogą się w każdej chwili zmienić – dodał. – Ale czy zdziwisz się, że nie tylko jego powrót wywołał nasze zainteresowanie, lecz zdarzyło się coś więcej, coś, co przykuło naszą uwagę?

– A cóż takiego się wydarzyło?

Van Bohenwald uczynił taki gest, jakby chciał poklepać Löwefella po ramieniu, ale w efekcie zaledwie musnął powietrze tuż nad jego płaszczem.

– Chodź za mną – nakazał. – Dowiesz się wszystkiego.

Löwefell z niechęcią opuszczał kamienny taras i z równą niechęcią rozstawał się z roztaczającym się z niego widokiem, ale oczywiście Mariusowi, po pierwsze, nie można było odmówić, a po drugie, naprawdę był ciekaw, jakie wieści przywiózł ze sobą Dietrich Knabe, inkwizytor wysłany z misją ratunkową na Ruś. Misja ta, z uwagi na wrogi stosunek ruskich władców nie tylko do Inkwizytorium, ale do wszystkiego, co pochodziło ze świata położonego poza granicami Rusi, okazała się nie tylko niezwykle skomplikowana do przygotowania, lecz równie trudna i wyczerpująca do przeprowadzenia. Całe szczęście, że wszystko zakończyło się pomyślnie. A raczej lepiej zastrzec, że chyba pomyślnie, gdyż Löwefell obawiał się, iż ruskie sprawy wcale nie zostały zakończone. I miał tylko nadzieję, że ich kończenie w żaden sposób nie będzie dotyczyło jego samego. Nie dlatego, by wzdragał się przed najtrudniejszymi nawet zadaniami, lecz dlatego, że został obarczony już wystarczającą liczbą obowiązków. Z których wypełniania sam zresztą nie był do końca zadowolony. No ale w tym momencie wszelkie inne sprawy musiały poczekać, skoro Marius życzył sobie, by wspólnie wysłuchali raportu Knabego. Na razie i tak najważniejsze było, iż Mordimer Madderdin powrócił z dzikiego, barbarzyńskiego kraju w dobrym zdrowiu, a przynajmniej jeśli nie w dobrym zdrowiu, to chociaż cały i żywy. Wszyscy bowiem

wiedzieli, łącznie z Löwefellem, że śmierć tego nic nieznaczącego młodego inkwizytora, jak nazwał go van Bohenvald, mogłaby mieć, a najprawdopodobniej miałyby dramatyczne i nieprzewidywalne konsekwencje. Tak to już jest, że nawet mały kamyk może poruszyć lawinę na gołoborzu, która to lawina zmiecie i ludzi, i domy położone niżej. Mordimera Madderdina można było wyobrazić sobie jako taki kamyk, świat jako osadę położoną pod gołoborzem, a Wewnętrzny Krąg jako rękę starającą się utrzymać ów kamyk w bezruchu. Jak na razie, lepiej lub gorzej, lecz ów zamysł unieruchomienia całkiem się udawał. Löwefell wiedział jednak, że nie należy się łudzić, iż ta wygodna sytuacja będzie trwała zawsze. Zwłaszcza że Mordimer Madderdin nie należał ani do ludzi rozważnych, ani do lubiących prowadzić nudne, spokojne życie. W związku z czym zagrożenie, że wyslizgnie się z trzymających go palców, musiało być stale brane pod uwagę.



Komnata, do której weszli, miała ściany z szarych, prostokątnych kamiennych płyt i ogromne okna sięgające od niskich, szerokich parapetów aż do łukowatego sklepienia. Pomieszczenie było duże, ale surowe, a wrażenie tej surowości pogłębiał długi stół o masywnych nogach i kamiennym blacie. Löwefellowi przemknęło przez myśl, iż w jakiś sposób mebel ten przypomina ofiarny ołtarz. Przy stole siedziała jasnowłosa, smukła Katrina, która powitała Löwefella ujmującym, nieśmiałym uśmiechem i jednocześnie całkowicie zignorowała van Bohenvalda. Oprócz niej w komnacie znajdował się smagły, chudy inkwizytor o wygolonej tonsurze, lisiej twarzy i martwych oczach, którego Löwefell nigdy wcześniej nie widział, oraz dobrze znany mu już rosły Magnus Thorwaldson z włosami sięgającymi za ramiona i brodą zaplecioną w warkocze (co było niegdyś modne wśród normańskich wojowników, ale Löwefellowi wydawało się, iż dzisiaj w Norwegii patrzono by raczej

ze zdziwieniem na kogoś podobnie się noszącego). Obaj inkwizytorzy stali przy szerokim parapecie, tuż przy oknie, i konwersowali szeptem. Słyszając wchodzących, umilkli i odwrócili się w ich stronę. Ale zdecydowanie najbardziej intrygującą postacią w komnacie, postacią, na której Löwefell natychmiast skupił uwagę, była siwowłosa kobieta o gładkiej, nieruchomej twarzy. Była ubrana w prostą, szarą suknię zapiętą pod szyję. Nie miała żadnych ozdób ani na dłoniach, ani na ciele, tylko miedziane spinki przytrzymały przy głowie gładko ulizane włosy. Löwefell nigdy jej nie poznał i nigdy z nią nie rozmawiał. Wiedział jednak, że nazywa się Deirdre Llatrisant. Była wiedźmą. Gwoli ścisłości: niegdyś była wiedźmą. Teraz, jak wszyscy tu obecni, służyła jedynie świętej wierze i niezmiernie chwale władztwa Jezusa Chrystusa. Nie zwróciła na nich uwagi, kiedy otwierali drzwi i wchodzili, cały czas wpatrywała się przed siebie nieruchomym wzrokiem, tak jakby na kamiennej ścianie dostrzegała obraz, którego nikt poza nią nie widział, i nie chciała uronić ani jednej chwili, odrywając od niego wzrok.

– Drogi Arnoldzie, nie miałeś okazji do tej pory poznać naszego nieocenionego towarzysza – Marius zwrócił się do Löwefella, wskazując mężczyznę stojącego przy oknie. – Pozwól więc, że ci go przedstawię. Oto Theodoros Angelidis...

A więc Bizantyjczyk, pomyślał Löwefell. Kolejne szkiełko w wielobarwnej mozaice Inkwizytorium. Co zresztą nie miało zazwyczaj żadnego znaczenia, chociaż oczywiście zrozumiałe było, że na przykład Magnus Thorwaldson świetnie orientował się w polityce oraz obyczajach Normanów, a także dokładnie znał intrygi knute na skandynawskich dworach. Można więc przypuszczać, iż z kolei Angelidis wiedział, co piszczy w bizantyjskiej trawie. Czy raczej, znając obyczaje panujące w Bizancjum, lepiej byłoby powiedzieć, że Angelidis wiedział, co i w jaki sposób gotuje się w nieustająco wrzącym i plugawie zatrutym bizantyjskim kotle. Kiedy byłem jeszcze Narsesem, musiałem doskonale znać bizantyjskie intrygi, pomyślał Löwefell,

zapewne miałem w Bizancjum, na dworze cesarza, siatkę szpiegów, kto wie na jak wysokich stanowiskach. Szkoda, że nie tylko nie pamiętam nic z tamtego czasu, ale nie dostrzegam nawet najślabszego cienia wspomnień.

Mężczyzna o lisiej twarzy skinął Löwefellowi głową, a potem obaj – i on, i Magnus, podszli do stołu i usiedli na krzesłach, jeden obok drugiego. Van Bohenwald zasiadł w samym środku, na fotelu z obitym czerwonym atłasem, nadnaturalnie szerokim siedziszczem. Westchnął z lubością i umościł się swym potężnym cielskim niczym kura na wygodnej grzędzie. Löwefell zajął jedno z dwóch wolnych krzeseł na lewym końcu stołu, tak by usiąść obok Katriny. Kobieta ujęła jego dłoń w swoje dłonie. Poczul kojący chłód jej palców i przypomniał sobie, jak podróżował z nią do przerażających koszmarów nie-świata. Kto by pomyślał, spoglądając na tę łagodną twarz i na wiotką postać, że w tym delikatnym ciele kryje się duch przewyższający wszystko, co było mi dane widzieć, przemknęło Löwefellowi przez myśl. A przynajmniej wszystko, co teraz i dzisiaj pamiętam, dodał.

– Czekamy jeszcze na Barnabę – wyjaśniła Katrina cicho.

Van Bohenwald zwrócił głowę w ich stronę ruchem zdumiewająco szybkim, jak na jego posturę. Ten ruch był niczym obrót polującej sowy, która usłyszała szamocącego się w trawie królika.

– Ano właśnie – potwierdził tubalnym głosem. – Nasz kochany Biber jak zwykle się spóźnia. Najwyraźniej uważa się za lepszego od nas wszystkich. Od nas, którzy hołdujemy zasadom najuprzejmiejszej grzeczności.

Wzrok Deirdre ożywił się na moment i oderwała nieruchome do tej pory spojrzenie od muru.

– Co za brednie – stwierdziła lodowatym tonem.

Oczywiście, że były to brednie, gdyż Barnaba Biber z całą pewnością nie był człowiekiem, który próbowałby celowo okazywać lekceważenie towarzyszom wspólnej sprawy. Najprawdopodobniej zasiedział się i zaczytał w bibliotece lub stracił rachubę czasu,

pograżony w mądrej rozmowie z jednym z mnichów. Biber taki już po prostu był, że pasja uczonego i badacza przesłaniała mu czasami cały świat i wszelkie problemy dnia codziennego schodziły na dalszy plan, kiedy mógł zagłębić się w rozumnej konwersacji lub kiedy pograżył się w szczególnie interesującej lekturze. Löwefell wiedział jednak, że Biber nie zawsze prowadził tak spokojne, klasztorne życie. Kiedyś był to inkwizytor chętnie uczestniczący w różnorodnych niebezpiecznych przedsięwzięciach. Zresztą, żeby daleko nie szukać, przecież razem wzięli udział w wyprawie aż za Kamienie[3], w czasie której zmierzyli się nie tylko z nieufnością ruskich władców, ale przede wszystkim z pradawną, złowrogą magią. Zmierzyli się i zwyciężyli. Tak więc chociaż Biber niechętnie rozstawał się teraz z klasztorem, to kiedy trzeba było, okazywał się przydatnym towarzyszem walki oraz podróży.

– Och, jak miło, że go bronisz! – zakrzyknął serdecznie van Bohenwald i teatralnie zaklaskał, a w zasadzie tylko po trzykroć zetknął ze sobą opuszki palców przypominających nabrzmiące, otłuszczone serdelki. – To takie słodkie, zwłaszcza kiedy przypomnimy sobie, że właśnie Barnaba spalił cały twój sabat! Jakżeż te czarownice pięknie wtedy krzyczały! A jak potem pięknie również skwierczały. – Marius zmrużył oczy. – Pamiętasz, Deirdre? Byłaś tam z nami... Tak dokładnie, obok nas. A tak najdokładniej mówiąc, to klęczałaś na smyczy obok nogi Bibera.

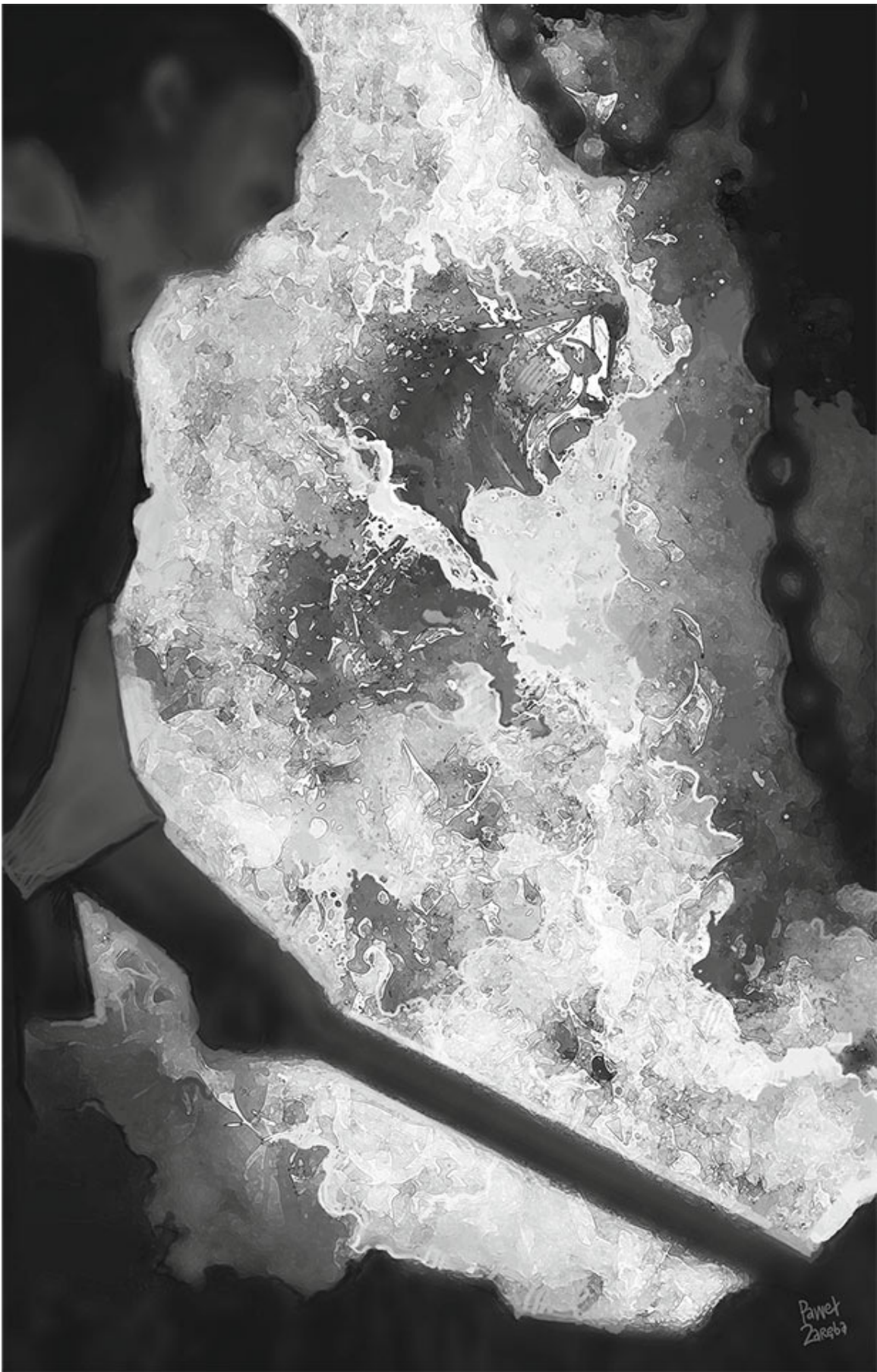
– Wszystko jest dobre, co służy Chrystusowi – oznajmiła zimnym i uroczystym tonem nieporuszona Llatrisant.

– O, z całą pewnością! Hosanna, hosanna! – entuzjastycznie zgodził się Marius. – Chociaż jeśli dobrze pamiętam, to tamtego dnia miałaś zupełnie inne zdanie na ten temat. – Pokręcił głową w udawanym zadziwieniu. – A powiedzcie mi przecież, przyjaciele... – Oderwał wzrok od Deirdre i omiótł nim siedzących przy stole towarzyszy. – Czyż może być bardziej radujący serca chrześcijan widok niż płonące o poranku czarownice? Płonące na oczach weselącego się tłumu i jedna przez drugą wykrzykujące, jak bardzo kochają Jezusa i jak bardzo żałują tego, co uczyniły dobrym

chrześcijanom całego świata. I błagające nie nawet o łaskę, bo o łasce mowy być przecież nigdy nie mogło, nigdy mowy nie będzie, lecz o serdeczne westchnienie do Pana w intencji ich zagubionych dusz.

– To zawsze jest budujący widok dla inkwizytora – przyznał Magnus. – Pamiętam, jak kiedyś w Norwegii...

– Twoja córka tam również spłonęła, na tym stosie. – Marius nie tylko nie pozwolił Thorwaldsonowi dokończyć zdania, ale nawet zdawał się nie zwracać w ogóle uwagi na to, że Norweg zaczął mówić.



Deirdre nie odezwała się. Jej twarz nawet nie drgnęła.

– Piękna była ta twoja córa, oj, piękna – ze sztuczną emfazą zachwyił się gruby inkwizytor i zatarł ręce. – A lepiej powiedzieć, że była piękna, dopóki jej nie ogolono, nie wyłamano stawów na wyciągarce, nie wyrwano piersi kleszczami, nie spalono twarzy piętnem... – Zaśmiał się szczerze i z głębi serca. – Wtedy już nie była taka piękna, prawda?

– Piękno jest cudem duszy, nie ciała – odrzekła Llatrisant jeszcze zimniejszym tonem niż poprzednio. – Moja córka umierała pogodzona z Bogiem i dziękując Mu za najszczęśliwszy dzień swojego życia, ten dzień, w którym aresztowali ją inkwizytorzy. W zamian za nic nieznaczące triumfy i przyjemności doczesne otrzymała nadzieję na życie wieczne i nieustające wesele przy niebiańskim stole Pana. Codziennie dziękuję Bogu, że tak właśnie się stało...

Van Bohenwald gorliwie pokiwał głową, a jego trzy podbródki gwałtownie zafalowały przy tym ruchu niczym podgardle pędzącej po wertepach maciory.

– Bardzo słusznie – stwierdził. – Bardzo słusznie – powtórzył z przekonaniem. – A jeszcze słuszniej, kiedy zważymy, że to ty sama wydałaś je wszystkie w nasze ręce, łącznie z własną córką.

Löwefell nie znał tej historii, ale też nie wydawała mu się ona w jakikolwiek sposób istotna. Przeszłość ich wszystkich tutaj obecnych i innych żyjących w klasztorze Amszilas lub działających na rzecz Świętego Officjum była zaledwie właśnie przeszłością: wyblakłym malunkiem na starym płótnie. Teraz Jezus Chrystus tworzył dla nich wszystkich nowy obraz i ten obraz żył feerią barw tak intensywnej, jak intensywna może być odwzajemniona miłość do Boga. Oczywiście przeszłość często przydawała się dziełom teraźniejszości lub przyszłości, lecz nie powinna zostawiać żadnych emocji, żadnych uczuć. Miała być jedynie jak niegdyś przeczytana księga, jak dzieło kronikarza czy pamiętnikarza.

– Nie istnieje większy dowód miłości, niż wydać własne dziecko, krew z własnej krwi i ciało z własnego ciała, w ręce inkwizytorów,

by w ten sposób ocalić jego nieśmiertelną duszę – odparła Deirdre, nadal tym samym pozbawionym uczuć głosem.

Dlaczego Marius robi to, co robi? – zapytał sam siebie Löwefell. Jaki widzi cel w przypominaniu przeszłości niegdysiejszej potężnej więdźmy, która od lat przecież nie raz i nie dwa udowadniała nie tylko swą wielką przydatność, lecz również szczere oddanie Jezusowi i jego wyznawcom? A może działanie van Bohenwalda nie ma żadnego celu, a celem jest jedynie, byśmy się zastanawiali, po co robi to, co robi, i snuli związane z jego postępowaniem przypuszczenia?

– Oczywiście, oczywiście – zgodził się z nią van Bohenwald. – Ale nie przyszłiśmy tu, by wspominać chwalebnią przeszłość naszej drogocennej towarzyszki – rzekł pełnym głosem. – Choć niewątpliwie przeszłość ta zasługuje na ciepłe wspomnienia – dodał zaraz potem z szerokim uśmiechem.

Rozejrzał się, jakby czekał, aż ktoś mu przytaknie, ale nikt się nie odezwał, tak jakby van Bohenwald przemawiał nie do nich, lecz do wyimaginowanej, nieobecnej publiczności.

– Zaprosiłem was, drodzy przyjaciele – ciągnął niezrażony milczeniem Marius – żebyśmy wspólnie wysłuchali Dietricha Knabego, który właśnie przybył z Rusi, spod samych Kamieni. Niektórzy z nas wiedzą, a inni zaraz się dowiedzą, co tam ujrzał, czego się dowiedział oraz z czym do nas powrócił z tej dzikiej i barbarzyńskiej krainy. – Marius uśmiechnął się bardzo szeroko. – Założyłbym się, że będziecie zdziwieni – dodał dobrodusznym tonem.

Kiedy tylko skończył mówić, drzwi otworzyły się i do komnaty wszedł Barnaba Biber, który od kiedy przed ponad rokiem wrócili z Rusi, nie strzygł włosów ani nie golił brody. W związku tym wyglądał niczym dobroduszny, siwowłosy patriarcha. Wrażenie to pogłębiał szary habit, jaki nosił. „Nie żebym czuł powołanie do zostania mnichem” – śmiał się, kiedy Löwefell spytał go niedawno, czemu tak się odziewa. „Ale po prostu, drogi Arnoldzie, zupełnie nie chce mi się rano ubierać. Czynność nakładania na siebie

różnorakich kawałków materiału, wybierania ich, by pasowały, dbania potem o ich czystość, dbania również o guziczki, klamerki i haftki – wszystko to wydaje mi się tak nierozumne, bezsensowne oraz zabierające czas, że czuję prawdziwą ulgę, mogąc łatwo, szybko i bez trudu zarzucić na gołe ciało wełniany lub lniany habit”.

– Wybaczcie, wybaczcie! – zawołał Biber od progu z prawdziwą skruchą w głosie. – Mam nadzieję, że nie czekacie zbyt długo.

– Bronilem cię ile sił – zapewnił serdecznym tonem Marius – mówiąc, żeś zajęty pilnymi sprawami w służbie Officjum, lecz sam wiesz, jak ciężko przekonać do swoich racji ludzi rozzłoszczonych czekaniem.

Löwefell był pewien, że Biber pomimo dobrodusznego wyglądu i roztargnienia, które coraz częściej pojawiało się w jego życiu, doskonale wiedział, co sądzić o zapewnieniach van Bohenwalda. Ale siwowłosa inkwizytor uśmiechnął się szeroko spod gęstej brody i rzekł:

– Prawdziwy z ciebie przyjaciel, Mariusie.

I teraz nic już nie stało na przeszkodzie, by zaproszono tego, na którego relację wszyscy czekali.

Dietrich Knabe przybył ubrany jak zwykle na czarno i ze swoją okrągłą, pocziwą twarzą, policzkami wydętymi tak, że zdawać by się mogło, iż ukrywa w nich małe jabłuszka, oraz wąskim sznureczkiem wąsów pod perkatym nosem wyglądał na pocziwego mieszczanina. Ot, takiego, który skończył właśnie obiad i, zadowolony z leniwego dnia, zamierza wyjść na spacer ulicami rodzinnego miasta. A iść będzie statecznie, z żoną pod rękę i uprzejmie kłaniając się mijającym ich sąsiadom. Takie właśnie wrażenie sprawiał Dietrich Knabe. I nic w tym wrażeniu nie było prawdziwe.

– Mistrzu Knabe! – rozpromienił się van Bohenwald. – Jakże miło, że nas odwiedziłeś. Rozgość się, proszę, i opowiadaj, z jaką to opowieścią przybywasz, by zaciekać nasze uszy.

Löwefellowi, jak i z całą pewnością żadnemu z obecnych w komnacie, nie umknął fakt, że dla Knabego nie przygotowano

krzesła. Miał zdawać swój raport na stojąco. Ale Löwefell był jednocześnie pewien, że Knabemu jest wszystko jedno. Oczywiście wiedział, że to celowa złośliwość, lecz nie robiło to na nim żadnego wrażenia.

– Dziękuję, Mariusie – rzekł Knabe miękkim, uprzejmym tonem. – Spieszę powiadomić tych z was, którzy nie wiedzą, że zostałem wysłany na Ruś, by zabrać stamtąd inkwizytora Mordimera Madderdina, którego niefortunne koleje losów zmusiły do pozostawiania przez ponad rok w owej dzikiej krainie.

– Tak właśnie się stało – pokiwał głową van Bohenwald, nadając głosowi posępny ton – w wyniku rażącego lekceważenia obowiązków przez członków wyprawy towarzyszących temu młodzieńcowi. Nigdy.. – podniósł dłoń z wyciągniętym palcem wskazującym – powtarzam: nigdy nie powinniście zostawiać tego człowieka samego w obcym kraju. I wasze szczęście, że inkwizytor przechowujący tak cenny dla nas artefakt przeżył podobną przygodę. I że wasza lekkomyślność mu nie zaszkodziła.

Sprawa pozostawienia Mordimera Madderdina na Rusi została już dawno temu omówiona oraz wyjaśniona, a Marius doskonale wiedział, że towarzysze młodego inkwizytora nie mieli innego wyjścia, jak oddać go na usługi ruskiej księżnej Ludmiły. Odmowa spełnienia życzenia władczyni z Peczory i lenniczki księstwa Nowogrodu mogła inkwizytorów kosztować powodzenie całej misji, więc podjęli trudną i ryzykowną, lecz jedynie rozsądną decyzję. Ani Löwefell, ani Biber, którzy byli członkami tej wyprawy za dalekie Kamienie, góry oddzielające Ruś od dalekiej Azji, nie odezwali się teraz ani słowem. Oczywiście wszyscy w komnacie wiedzieli, że van Bohenwalda nie obchodziło życie Mordimera Madderdina (tak jak nie obchodziło ono żadnego z obecnych), lecz istotna była jedynie tajemnica, której ów stał się powiernikiem. To w końcu w ciele tego młodego inkwizytora zakłęto, czarami perskiej wiedźmy, księgę Szachor Sefer – najbardziej tajemniczy przedmiot, z jakim Inkwizytorium miało kiedykolwiek do czynienia. Wiele snuto podejrzeń, przypuszczeń i hipotez na temat tego, czym jest Szachor

Sefer, a niemal powszechna zgoda tych, których dopuszczono do tajemnicy, opierała się na jednym: o księgę i tego, który jest jej nieświadomym powiernikiem czy nosicielem, trzeba dbać. Tak długo, póki tych dwóch obiektów nie da się bezpiecznie odseparować jeden od drugiego. A jeśli Mordimer Madderdin ulegnie przy tym destrukcji, zniknie, zamieni się w warzywo, kamień, śliniącego się idiotę lub wydarzy mu się inna podobnie nieprzyjemna niespodzianka, nikt się tym nie przejmie, gdyż wszyscy uznają to za doprawdy niską cenę. Löwefell zastanawiał się czasami, jaki byłby stosunek do tak postawionej sprawy Pięknej Katarzyny, matki Madderdina. Nie wiedział, co myślała ta niegdysiejsza czarownica służąca obecnie Inkwizytorium. W końcu to jej własny syn, będąc jeszcze dzieckiem, wydał ją w ręce inkwizytorów. Czy czuła z tego powodu żal? Rozgoryczenie? Nienawiść? A może wręcz przeciwnie: wdzięczność, iż dzięki temu działaniu jej życie zmieniło się na lepsze? Bo oto z czarownicy, każdego dnia drżącej, by jej sztuczki się nie wydały, oto z kurtyzany sprzedającej swe niekłamane wdzięki bogatym mieszczanom i szlachcie zamieniła się w towarzyszkę inkwizytorów. Miała wolność, moc oraz Anioła, który jej strzegł i się nią opiekował. Zaoferowano jej również krew Aniołów, by mogła zachować zdrowie, młodość oraz urodę. A może po prostu Piękna Katarzyna wymazała syna ze swego życia i z pamięci, nie miała do niego uczuć ani cieplejszych, ani chłodniejszych niż do jakiegokolwiek człowieka na ziemi? Löwefell cały czas nie mógł rozgryźć, dlaczego tę czarownicę, to prawda, że bardzo zdolną, dysponującą wielkim naturalnym talentem, otoczono aż taką opieką i pozwalano jej na aż tak wiele. Jakie były plany Świętego Oficjum względem niej? A ona sama? Czy również zadawała sobie pytanie, w jakim celu Inkwizytorium aż tak ją hołubi, czy też pozostawała w słodkiej, samochwalczej pewności siebie?

– A więc tylko pełne wstydu milczenie jest waszą jedyną odpowiedzią – skwitował van Bohenwald, przerywając rozmyślenia

Löwefella. Odzywał się ze smutkiem i przyganą w głosie. – Niech i tak będzie, skoro tak ma być. Mów dalej, Dietrichu.

Knabe podziękował oszczędnym skinieniem głowy.

– Jestem więcej niż zadowolony – kontynuował – mogąc wam również donieść, że dzięki boskiej łasce nie tylko natrafiłem na ślad Hildegardy Reizend, ale przywiozłem naszą księżniczkę z powrotem na łono Świętego Officjum, chociaż nie obyło się to bez pewnych trudności.

O tym Löwefell nie wiedział, lecz to akurat była wiadomość bardzo pomyślna. Chociaż podstawowe pytanie brzmiało: czy Hildegarda Reizend, znana również jako Nontle, afrykańska księżniczka z królestwa położonego na krańcach Sahary, czy ta właśnie utalentowana badaczka, podróżniczka i autorka książek, czy zdradziła Inkwizytorium?

– Czy zdradziła nas? – zapytał żywo Barnaba Biber, jakby odgadując myśli Löwefella.

On sam był chyba najbardziej poruszony samowolą Nontle, gdyż ani tej samowoli nie zapobiegł, ani nawet nie przewidział. Löwefell sądził, że wyrzucił sobie, iż całe inkwizytorskie doświadczenie w służbie Wewnętrznego Kręgu nie podpowiedziało mu, że Mauretanka uknuła intrygę mającą pozwolić jej na realizację zamiarów niebędących częścią planów Świętego Officjum.

– Zależy, jak postanowimy definiować pojęcie zdrady – odparł Knabe zdecydowanie, lecz uprzejmie. – Czy Nontle sprzeciwiła się woli Inkwizytorium? Tak. Czy jej pasja badacza i poszukiwacza anomalii kazała jej nie posłuchać wyraźnych poleceń Officjum? Również tak. Czy jej działania mogły spowodować straty, a nawet ściągnąć niebezpieczeństwo na nasze głowy? Z całą pewnością tak. Ale czy czyniła to powodowana świadomą wolą zaszkodzenia sprawie Jezusa? Oczywiście, że nie.

Przez chwilę panowała cisza, zapewne obecni przetrawiali słowa Knabego i zastanawiali się, jakie konsekwencje one spowodują, jeśli obrazują rzeczywisty stan rzeczy. Hildegarda Reizend była zbyt

znana i zbyt zasłużona, by przejść do porządku dziennego nad jej intrygami, zwłaszcza iż dotyczyły spraw fundamentalnych.

– Zdecydowała się przedłożyć własną pasję i własną żądzę nad bezpieczeństwo, a także samowolnie podjęła decyzje, których podejmować nie powinna – stwierdził twardo van Bohenwald.

– Również odniosłem takie właśnie wrażenie – zgodził się Knabe.

– Tym jednak zajmiemy się później. – Marius machnął lekceważąco ręką.

I Löwefell w tym momencie zrozumiał, że afrykańskiej księżniczce wybryki nie ujdą płazem. No cóż, miał tylko nadzieję, że Nontle zostanie wysłuchana, gdyż on sam był zainteresowany uczestnictwem w tym wysłuchaniu.

– Oczywiście – odparł Knabe. – Z Mordimerem Madderdinem postąpiłem tak, jak mi przykazano, i wedle moich ocen znajduje się on w całkiem dobrym stanie zarówno zdrowia, jak i rozumu. Wierzy, że przez rok bardzo ciężko chorował i opiekowano się nim w naszej koblenckiej infirmerii. W tej chwili oddelegowano go do Weilburga, gdzie ma pracować jako szeregowy inkwizytor[4].

– Weilburg – uśmiechnął się van Bohenwald. – Małe, bogate, spokojne miasteczko. Dobrze, niech tam siedzi na razie, póki nie postanowimy, co zrobić z nim dalej. Niech na razie cieszy się spokojem i winem z nadreńskich winnic.

– Nasze sprawy w żaden sposób nie zostały zagrożone i nie wydaje się, by z winy tego, co się wydarzyło z Madderdinem, mogły zostać zagrożone – dokończył Knabe.

– Wszyscy otrzymacie szczegółowy raport – znowu wtrącił van Bohenwald – w którym opisane zostały interesujące nas kwestie. Na razie jednak życzylbym sobie, byśmy z uwagą wysłuchali słów naszego towarzysza, gdyż nad pisemne, nawet najdokładniejsze raporty zawsze przedkładamy... – Zatrzymał się na chwilę i ściągnął usta. – Czy może raczej lepiej powiedzieć... – zamyślił się teatralnie przez moment – ubogacamy zapisy osobistym świadectwem. Proszę, Dietrichu. – Wykonał zapraszający gest ręką.

– Tak jak powiedziałem: powiernik Szachor Sefer został z Rusi szczęśliwie dostarczony do Amszilas, teraz przebywa w Weilburgu, a jego dalszy los znajduje się oczywiście w waszych rękach.

Löwefell zwrócił uwagę na to, że Knabe użył grzecznego sformułowania „powiernik”. Tymczasem tak naprawdę Mordimer Madderdin był zaledwie nosicielem tej magicznej, potężnej księgi, którą zaklęto w nim niemożliwym na razie do odwrócenia sposobem. Nosicielem, który ani o swym przekleństwie nie wiedział, ani o nim nie decydował, ani w żaden sposób nie mógł się go pozbyć, czy też w żaden sposób zmienić. Był niczym zamknięty na cztery spusty kufer, do którego wrzucono królewską koronę. Z tym że, jak twierdzili niektórzy, Szachor Sefer była warta nie tylko wszystkich koron tego świata, lecz wręcz wszystkich jego królestw. Inna rzecz, iż byli również tacy, którzy sądzili, że ta księga tworzy zaledwie fałszywy trop, by odwrócić uwagę badaczy od naprawdę istotnych tajemnic. Czyli wszystko trwało w takim układzie, w jakim pozostawało wiele spraw Świętego Officjum: otoczona sekretami zagadka tkwiła pośrodku tajemnicy, zamknięta w hermetycznym pudełku pełnym fałszywych zamków.

– Wśród członków Wewnętrznego Kręgu istnieją rozbieżne opinie dotyczące jego przyszłości – przerwał van Bohenwald. – Ja sam i osobiście uważam, że należałoby zaryzykować. Mamy wśród nas na tyle zdolnych towarzyszy, by odzyskać Szachor Sefer. Niezależnie od tego, czy poświęcilibyśmy, czy też nie człowieka, który ją nosi.

– Nie zgadzam się na podjęcie żadnego ryzyka mogącego skutkować utratą lub uszkodzeniem księgi – zaprotestował natychmiast Angelidis.

Ciekawe, czy ten Bizantyjczyk mnie zna, zapytał Löwefell sam siebie w myślach. A raczej czy znał perskiego maga Narsesa, którym nigdyś byłem. Czy uczestniczył w intrydze? Czy był w jakiś sposób zaangażowany w ucieczkę Narsesa z Persji, a potem w jego badanie? A może znali się jeszcze wcześniej? Bizancjum i Persja walczyły ze sobą od wieków. Zbrojnie – na polach wojen, ale również toczyły bitwy i potyczki w pałacowych intrygach, w handlowej

i gospodarczej rywalizacji. Przecież kilkanaście lat temu gigantyczna ilość sfałszowanych bizantów, wpuszczona przez Persów na rynek Bizancjum, nieomal doprowadziła imperium leżące nad Bosforem do gospodarczej katastrofy.

– A ja nie zgadzam się z koncepcją uczynienia z żywej, myślącej i oddanej sprawie Jezusa istoty ludzkiej śliniącego się idioty – oznajmiła Katrina z taką mocą i zjadliwością, że Löwefell aż się zdumiał, choć niczym nie dał tego zdumienia po sobie poznać.

– No właśnie – rzekł z pretensją w głosie Marius. – Takie właśnie podejście mam na myśli, mówiąc o rozbieżnych opiniach. Zmieniamy życie ludzi, czasami ich zabijamy, jeśli tylko jest to dla nas wygodne lub użyteczne. A często są oni gorliwymi wyznawcami Chrystusa, co nie przeszkadza nam składać ich na ołtarzu większego dobra. Skąd więc ten nagły sentyment?

Katrina wzruszyła ramionami.

– Nie chce mi się nawet powtarzać argumentów, które już ci wcześniej przedstawiłam – powiedziała oschle. – Nie zgadzam się na proponowane przez ciebie rozwiązanie względem tego inkwizytora i nie zgodzę się na nie pod żadnym pretekstem ani warunkiem. – Utkwiła lodowate spojrzenie w rozmówcy. – I naprawdę nie życzę sobie dowiedzieć się pewnego dnia, że poza moimi plecami przeprowadzono jakiekolwiek działania dotyczące tego człowieka.

– Nie zamierzam uczynić nic poza twoimi plecami – odparł Marius urażonym tonem, a Löwefell pomyślał, że nie dałby nawet miedziaka za szczerą tych obietnic.

– I serdecznie bym radziła, aby sprawy takimi właśnie pozostały – skwitowała Katrina uprzejmie.

Pomimo łagodności jej tonu Löwefell niemal fizycznie poczuł, jak powietrze wokół zgęstniało. Gdzieś kątem oka wydawało mu się, że przez chwilę dostrzega nie tę smukłą kobietę o delikatnej twarzy, ale kogoś wymykającego się nie tylko zwykłej percepcji, lecz nawet nadzwyczajnemu rozumieniu. Tak jakby niewinny, śnieżnobiały obłoczek na rozświetlonym letnim niebie zamienił się (a trwała ta zamiana chwilę krótszą niż mrugnięcie oka) w ciężką, gradową

chmurę, czarną i napęczniałą od piorunów. Ale za chwilę Katrina spojrzała w jego stronę, uśmiechnęła się ujmującym uśmiechem i wrażenie tej wręcz przerażającej obcości ustąpiło. Löwefell wiedział jednak doskonale, że to, co przez chwilę zobaczył, było właśnie prawdziwą Katriną. Tym była tak naprawdę.

Cóż, przy tak zdecydowanym podejściu Katriny do kwestii przyszłych losów Madderdina próba przeciwstawienia się jej byłaby jawnym wywołaniem wojny. A Katrina nie była może tak potężna jak kiedyś, ale nadal bardzo, bardzo potężna. Stała nie tylko tak wysoko, że Löwefell nie mógł nawet marzyć, by do niej dosięgnąć, lecz tak wysoko, że nawet nie potrafił dostrzec, gdzie właściwie to miejsce się znajduje. Co prawda, jak dowiedział się niedawno, została okrutnie ukarana przez Święte Oficjum za klęskę, którą uznano za jej winę, lecz czym innym było oficjalne działanie instytucji, a czym innym jawna złośliwość van Bohenwalda. Zresztą sam fakt, że Katrina pomimo poniesionej kary nadal uczestniczyła w najtajniejszych i najważniejszych operacjach Inkwizytorium, jasno wskazywał, iż bardzo się z nią liczone. A poza tym jej zdolności... Cóż, można tylko powiedzieć, że wykraczały znacznie poza rozumienie Löwefella.

– Dobrze już, zostawmy to – machnął ręką van Bohenwald, potem jednak zwrócił się jeszcze w stronę Katriny. – Wierz mi, że nikt nie pragnie cię rozgniewać. I to nie ze strachu przed twoim niezadowoleniem, lecz z szacunku dla twoich przemyśleń oraz decyzji.

Van Bohenwald nie odzywał się chwilę, jakby czekając na to, że Katrina mu odpowie, lecz ona milczała, więc przeniósł wzrok na Knabego.

– Wybacz, że ci przerwaliśmy. Proszę, mów dalej.

– Na Rusi naszego młodego inkwizytora spotkały niezwykle zajmujące perypetie – zgodnie z prośbą kontynuował Knabe. – Co więcej, ośmielałam się sądzić, że zainteresują one również członków Wewnętrzznego Kręgu. Na początek wyjawię wam, że na tej odległej Rusi, mówię „odległej”, gdyż Księstwo Peczorskie nawet dla samych

Rusinów leży na końcu świata i wielu z nich zapewne nawet nie wie, że ono istnieje, a więc na tej odległej Rusi działał sabat. Tak, tak. – Spojrzał w stronę poruszonej jego słowami Deirdre. – Prawdziwy sabat, złożony z uczonej mistrzyni oraz jej podopiecznych.

– Czyż nie chodzi w tym wypadku o jakieś prostackie naśladownictwo? O to, że miejscowe wiemy, czy to dzięki tradycji przekazanej, czy zapisanej, postanowiły w jakiś pokraczny i zdegenerowany sposób odtworzyć sabat ze strzępów wiedzy, która do nich dotarła? – zmarszczył brwi Biber.

Knabe uśmiechnął się grzecznie.

– Oczywiście i mnie ta właśnie myśl narzuciła się jako pierwsza – stwierdził uprzejmie. – Potem jednak musiałem przyznać, że się myliłem. Miałem do czynienia z prawdziwym wielopokoleniowym sabatem, a mistrzynię tego sabatu widziałem na własne oczy, gdyż po śmierci przechowywano je w czymś w rodzaju mauzoleum.

– Mgła – szepnęła Llatrisant.

– Tak jest, czcigodna – skłonił głowę Knabe. – Sprawy znalazłem właśnie dokładnie takimi, jak mówisz. Wszystkie postaci zatopiono w magicznej mgle, gdzie spoczywać będą przez wieki. Chyba że dotrzemy tam i je zniszczymy. – Uśmiechnął się.

– Dlaczego ty nie zniszczyłeś tego, jak określasz, mauzoleum? – zapytał Thorwaldson. – Czyż nie jest ono obmierzłą pozostałością czarnej magii, która nie powinna przetrwać w chrześcijańskim świecie?

– To nie byłaby słuszna decyzja – odparł Knabe. – Zresztą nikt nie upoważnił mnie do podobnego postępowania, więc nie miałem nawet powodu, by się zastanawiać nad słusnością czy niesłusnością takiego uczynku.

– Ale sabat chyba zlikwidowałeś? – zgryźliwie zapytał Norweg. – Czy również w tej mierze nie wydano ci zaleceń?

– Sabat oczywiście zlikwidowałem – odrzekł Knabe, nie okazując w najmniejszy sposób, iż słowa Norwega mogły go dotknąć. – Chociaż przyznam również, że w znaczącej mierze same członkinie sabatu mi w tym pomogły. Przede wszystkim jeszcze przed moim

przybyciem zabito mistrzynię, co zapewne nieco ułatwiło mi zadanie.

– O, zapewne nieco – ironicznie skwitowała Llatrisant. – A któraż to uczyniła z tej szóstki? Jedna pachnąca jak tatarak, jedna gorzka jak piołun, jedna podstępna jak szalej, jedna sprytna jak powój, jedna silna jak sosna i jedna piękna jak lilia – wyrecytowała.

– Jak podejrzewam, czynu dokonała ta, którą nazywasz szalejem...

– Czyli jak zwykle – westchnęła Llatrisant.

– ...z nieocenioną pomocą naszego młodego inkwizytora – dokończył Knabe.

– Mistrzynie musiała być jednak niezbyt potężna, skoro w jej własnym domu poradzili sobie z nią jej uczennica i zwykły inkwizytor – zmarszczył brwi Biber.

Knabe pokręcił głową.

– Ośmielę się nie zgodzić z twoją supozycją – rzekł. – Szczegóły odnajdziecie w raporcie, lecz...

– Tak, tak, w tej chwili nie jest to istotne dla sprawy – przerwał van Bohenwald z irytacją w głosie. – Wierzcie mi, że starucha była potężna – dodał mocnym głosem. – Nie na tyle oczywiście, by mogła sprawić kłopoty któremukolwiek z nas, ale... – umilkł na chwilę i skrzywił usta – ale do tej kwestii jeszcze wrócimy później – zakończył.

– Z całego sabatu umknęła mi tylko jedna wiedźma – wyjaśnił Knabe. – To Ugryjka[5], pochodząca z ludu, który zamieszkuje ziemie za Kamieniami. Jak podejrzewam, wróci do swoich dzikusów, bo na Rusi nie ma już czego szukać. Zrobiłem tam wszystko, co należało zrobić: dom spaliłem, wiedźmy zabiłem, studnie zatrujęm.

– Bardzo dobrze. – Van Bohenwald zatarł ręce z mlaszczącym, mokrym chrzęstem.

– Jednak mnie interesuje sprawa mauzoleum – znowu odezwał się Thorwaldson. – Czy nie powinno zostać zniszczone?

– Dość o mauzoleum – burknął Marius. – Niech sobie tam tkwią te piekielne wiedźmy. Są martwe jak zasuszone karaluchy. Nigdy nie ożyją.

Löwefell zauważył, że kącik ust Deirdre Llatrisant ledwo dostrzegalnie drgnął.

– A teraz pozwólcie, że nie dokonując zmiany scenografii, dokonam tymczasowej zmiany głównego aktora, a to tylko po to, by inscenizacja stała się dla nas wszystkich tym ciekawsza – oznajmił Marius i potrząsnął srebrnym dzwoneczkiem.

Kiedy zza drzwi wyłonił się młody mnich z opuszczoną głową i stanął na progu, Marius rzekł:

– Zaproś do nas, z łaski swojej, wielmożną panią Hildegardę Reizend.

Mnich nie dał nawet poznać po sobie, że usłyszał polecenie van Bohenwalda, a tylko cofnął się i zniknął za drzwiami. Już po chwili próg komnaty przekroczyła Hildegarda Reizend. Znana również jako Nontle. Piękna, mądra, uzdolniona. Niebezpieczna i kapryśna. Pochodziła z imperium rozciągającego się na południe od Sahary, ale od lat służyła Świętemu Officjum. Była podróżniczką i badaczką. Autorką „Traktatu o anomaliach”, monumentalnego dzieła, w którym opisywała świat od Sahary poprzez Persję i Dach Świata[6] aż po Ogon Smoka[7].

Teraz była ubrana w czarną suknię zdobioną srebrem, a smolistoczarne włosy opadały jej falami na ramiona. W uszach nosiła srebrne kolczyki, pojedyncze kosmyki spięła na szczycie głowy srebrną tiarą zdobioną błyszczącymi opalami. Kamienie przypominały studnie z nocnym niebem odbijającym się w połyskliwym lustrze wody. Na opiętym koronkową czernią dekolcie Mauretanki pysznił się naszyjnik, w którego grubych ogniach srebra zatopiono kolejne opale. Przy hebanowej czerni skóry i ogromnych, błyszczących oczach saharyjska księżniczka wyglądała zniewalająco i olśniewająco. Ale Löwefell wiedział, iż to, że stawiała się, tak właśnie wyglądając, przed mającymi ją wysłuchać inkwizytorami, nie było dobrym pomysłem. W tej surowej komnacie i przy tych ludziach, niezwracających uwagi na zewnętrzne pozory, Nontle wyglądała niczym strojny i piękny, ozdobny ptak, który tylko przypadkiem trafił do kamiennego kurnika. Było w tej kreacji

i poczucie wyższości, i pewność siebie, i chęć, by dać do zrozumienia, iż zarówno nikogo, jak i niczego się nie obawia, a także w żaden sposób nie czuje się winna. Krótko mówiąc, było to wyzwanie rzucone innym inkwizytorom. Takie zachowanie nie mogło się podobać, nie dlatego, że budziło zawiść, lecz dlatego, że świadczyło o tym, że Nontle nie tylko nie wyciągnęła wniosków ze swoich błędów, lecz zamierza w nie dalej brnąć. Zresztą szczerze mówiąc, nikt niczego innego się po niej nie spodziewał.

Księżniczka objęła siedzących w komnacie obojętnym spojrzeniem. Jej wzrok musnął również Knabego, a Löwefell wyczuł wtedy intensywną, wręcz namacalną, wibrującą w powietrzu niechęć, jakby pomiędzy Mauretanką a Dietrichem wyrosła ściana ulepiona z nieczystości emanujących odorem. Ciekaw był, czy inni obecni w pokoju odnieśli podobne wrażenie. Opowieść zapowiadała się więc jeszcze bardziej interesująco, skoro pobyt na Rusi spowodował tak silną osobistą awersję u dwojga inkwizytorów. Chociaż może lepiej powiedzieć: u jednego z inkwizytorów, gdyż Knabe był jak zwykle obojętny niczym wiekowy kamień na pastwisku. Czy deszcz, czy śnieg, czy wiatr, czy ocierające się owce – kamień zawsze pozostawał kamieniem. Niezmiennym, nienaruszonym. Punktem orientacyjnym. A kiedy przyszło co do czego, można było zarznąć na nim owcę. Lub sto owiec. Lub tysiąc ludzi. I to również samego kamienia w żaden sposób nie zmieniało ani nie dotykało.

– Czekałam pod drzwiami – odezwała się Nontle dźwięcznym i zimnym, choć melodyjnym głosem.

– Byliśmy zajęci – burknął celowo opryskliwie Marius.

– Widzę, że uprzejmość nie nakazała wam przygotować dla mnie choćby krzesła – dodała Nontle.

Löwefell doskonale wiedział, że siła tkwiąca w tym głosie spowodowałaby, iż gdyby miała teraz do czynienia ze zwykłymi ludźmi, to każdy z nich rzuciłby się, by jej usłużyć i by ją serdecznie przeprosić za niedogodności, i spytać, czy przypadkiem nie życzy sobie czegoś jeszcze. Cokolwiek by to miało być. Sama Nontle

opowiadała kiedyś z rozbawieniem, jak pewien mężczyzna odciął sobie ucho, aby ofiarować jej tę część własnego ciała. Nie dlatego, by tego wymagała, lecz dlatego, że pochwaliła kształt jego małżowiny.

„I co wydarzyło się później?” – zapytał wówczas Biber, a Löwefell pamiętał, iż był wtedy pewien, że stary inkwizytor zna zakończenie owej historii, lecz chce, by poznał je również Löwefell.

„Powiedziałam, że to obrzydliwe i odrażające” – skrzywiła się Nontle z niesmakiem. „A on tego samego dnia powiesił się z rozpacz”. Roześmiała się szczerze rozbawiona. „Nie uwierzylibyście, jaki długi i piękny miłosny list zostawił na pożegnanie” – dodała jeszcze. „Kazałam ten list opublikować w Koblencji jako osobną broszurę i wiem, że zarówno panny, jak i dojrzałe kobiety, które go czytywały, nie dość, że rzewnie płakały, to jeszcze mdlały ze wzruszenia”.

Taka właśnie była Hildegarda Reizend. Nieistotne było oczywiście, że wykorzystywała bliźnich czy doprowadzała ich do śmierci, gdyż wszyscy członkowie Inkwizytorium postępowali w ten sposób, jeśli uważali podobne postępowanie za potrzebne lub słuszne. Problem tkwił w tym, iż mauretańska księżniczka wydawała się dobrze bawić władzą, chociaż szkody, jakie czyniła, nie wynikały najczęściej z okrucieństwa czy ze złej woli, lecz po prostu z chwilowego kaprysu lub z bezmyślności. Rzecz jasna tutaj i teraz, z tymi ludźmi, z którymi miała do czynienia, sprawy nie działały w podobny sposób, toteż moc jej głosu na nikim nie wywarła wrażenia.

– Żądasz krzesła? – spytał z opryskliwością Marius. – Na twoim miejscu dziękowałbym Stwórcy, że nie przywleczono cię w kajdanach – dodał zgryźliwie.

Nontle niedbale wzruszyła ramionami.

– Proszę bardzo – odparła. – Skoro taka wola, możecie mnie zamknąć w celi, zakuć w kajdany i torturować za to, że chciałam służyć Świętemu Officjum najlepiej jak potrafiłam i...

– Chciałaś służyć sobie i tylko sobie! – przerwał jej gwałtownie Biber, wspierając pięści na blacie stołu. – Twoje sztuczki nie robią na

nas wrażenia i lepiej, żebyś o tym pamiętała. I radziłbym wykazać choć trochę pokory, kiedy Inkwizytorium decyduje o twoim losie.

– A więc to sąd? Myślałam, że zaproszono mnie na rozmowę – stwierdziła Nontle, wpatrując się wrogo w Bibera.

– Pokój, pokój pomiędzy chrześcijany! – gromko zawołał van Bohewald, unosząc obie dłonie wysoko w powietrze. – Nie sprzecajmy się o słowa, moi mili. Chcemy usłyszeć, co masz nam do powiedzenia, Hildegardo – zwrócił się do Nontle tym razem głosem ujmująco łagodnym. – Sama przecież pojmujesz, że twoje decyzje i uczynki zaniepokoiły nas, i musisz przyznać, że gdybyś była na naszym miejscu, również ciebie by one zaniepokoiły...

Nontle wstrząsnęła hardo głową.

– Jestem na swoim miejscu, na moim własnym, a nie na waszym – odparła. – W związku z tym zupełnie oraz kompletnie nie interesuje mnie, jak to jest być na waszym miejscu.

– Księżniczko – odezwał się łagodnym tonem Löwefell – na pewno wszyscy życzymy sobie, byś opowiedziała nam, jakie przyświecały ci pobudki. Ale ja również chciałbym się dowiedzieć, jakie poczyniłaś obserwacje i do jakich doszłaś wniosków, widząc to, co widziałaś na Rusi. Twoja sława i doświadczenie jako badaczki anomalii są dla nas teraz bezcenne. A jeśli chodzi o krzesło...

Löwefell wstał i bez trudu chwycił jedną ręką ciężki rzeźbiony fotel. Podeszedł do Nontle, postawił go obok niej i zaprosił gestem, by usiadła. Mauretanka spojrzała drwiącym wzrokiem na van Bohewalda.

– Widzisz, Mariusie? Czyż nie od tego właśnie należy zacząć rozmowę z damą?

Usiadła, a Löwefell odszedł i stanął, opierając się o szeroki parapet za plecami Katriny.

– Perska grzeczność – skwitował Marius, wzruszając ramionami. – Czy teraz będziesz uprzejma odpowiadać na nasze pytania?

– Jeśli zostaną w stosowny sposób zadane, to owszem, chętnie na nie odpowiem.

– Może więc nasz dzielny perski rycerz... – tłusty inkwizytor machnął dłonią w stronę Löwefella – tak czuły na kłopoty damy znajdującej się w potrzebie, zechce przedstawić te pytania. Ufam, że zostaną one zadane z odpowiednią delikatnością wymaganą przez ową damę. Czyż nie tak, Arnoldzie?

– Postaram się – odparł Löwefell.

– Czy dostanę kieliszek czerwonej alhamry, abym mogła przepłukać usta w czasie snucia opowieści? – zapytała uprzejmym tonem Nontle, wpatrując się całkiem niewinnym wzrokiem w van Bohenwalda.

Mariusz znowu uniósł srebrny dzwoneczek i potrząsnął nim. Niemal równo ze zgaśnięciem ostatniego dźwięku do komnaty wszedł ten sam młody mnich z opuszczoną głową, lecz tym razem niósł w dłoniach tacę, a na niej kryształowy, oplatany srebrem i wysmukły kielich. Znajdujący się w nim trunek opalizował głęboką, burgundzką czerwienią. Mnich postawił tacę na stole, uklonił się i wyszedł. Nontle sięgnęła po kielich.

– Świetnie znasz moje gusta, Mariusie – pochwaliła z uśmiechem.

I świetnie przewidujesz, co robi twój przeciwnik, dodał w myślach Löwefell. A to już musiało zaniepokoić naszą zuchwałą księżniczkę.

– Czy ruska gorzałka z czarnego żyta okazała się smaczna, czy nie za bardzo? – zapytał ze śmiechem Thorwaldson. – Bo mówią, że zasmakowałaś ostatnio w takim właśnie napitku... Może wolałabyś więc gorzałkę zamiast wina? I gliniany kubek zamiast kryształowego kielicha?

Löwefell oczywiście wiedział, czym jest wódka z czarnego żyta, gdyż przecież sam brał niedawno udział w wyprawie na Ruś i miał okazję widzieć bezkresne pola tej diabelskiej, trującej rośliny, z której Rusini wyrabiali nie tylko mąkę, lecz i trunek. Nie rozumiał jednak, dlaczego Nontle miałyby zasmakować w owym napitku, skoro jak pamiętał, brzydził ją sam jego zapach.

– Pozwólcie, że wyjaśnię wam żarcik naszego towarzysza – odezwał się uśmiechnięty van Bohenwald. – Oto nasz drogocenny,

a jak się okazuje, również niewątpliwie przebiegły Mordimer Madderdin uwięził Nontle w drewnianej trumnie i tam poił ją ruską gorzałką, by osłabić jej moc i nie pozwolić zebrać myśli. Czyż to nie uroczo dowcipny concept?

Hildegarda Reizend wpatrywała się w mówiącego obojętnym, nieruchomym wzrokiem, jakby w ogóle nie o niej była mowa.

– Zwyczajny inkwizytor uwięził słynną Hildegardę Reizend? – prychnął rozbawiony Angelidis. – W jakiż to sposób mogła się wydarzyć podobna rzecz?

Van Bohenwald uniósł palec wskazujący.

– Do tego zaraz dojdziemy – obiecał.

– A ja bym chciał wiedzieć, czy sposób zadziałał – dorzucił Thorwaldson.

– Zadziałał – odparła Nontle lodowatym tonem. – Bo kiedy jest się związanym, zakneblowanym, oślepionym i napojonym gorzałką, to ciężko cokolwiek uczynić. A kiedy mija oszołomienie wywołane trunkiem, to i tak pozostają ból, mdłości oraz otępienie.

Norweg pokiwał głową.

– Podoba mi się ten inkwizytor – stwierdził, a potem zerknął na Nontle. – Bez urazy – dodał.

– Nic nie szkodzi – rozgrzeszył go wyrozumiale van Bohenwald, tak jakby słowa Thorwaldsona były skierowane do niego. – Jej też się podobał. Nawet bardzo.

– Biorę sobie mężczyzn, jakich chcę, kiedy chcę, gdzie chcę i w jaki sposób chcę – odparła ostrym tonem Nontle.

– Ależ nikt ci tego, Boże broń, nie zabrania – rozłożył ramiona otyły inkwizytor. – Nie jesteśmy aż tak skrupulatni, by zżymać się i gniewać z tego powodu, że nadzwyczaj lekko podchodzisz do zasad szóstego przykazania.

Ona się boi, pomyślał Löwefell. Ta pewność siebie, ta agresja są przejawem niepewności oraz lęku, że za niesubordynację trzeba jednak będzie zapłacić. Bo Hildegarda Reizend może sobie być wielką postacią, odkrywczynią, badaczką i autorką uczonych ksiąg, może rozstawiać ludzi niczym pionki na szachownicy, ale tutaj,

w obliczu Świętego Officjum, jest niemal bezbronna. Będzie musiała się poddać karze, jeśli taka zostanie jej wyznaczona, gdyż pozbawiona opieki Inkwizytorium stanie się nikiem. Wszyscy jesteśmy tylko tym i aż tym, czym pozwala nam być Officjum, pomyślał Löwefell. I tak właśnie powinno pozostać.

– Zacznijmy od początku – rozkazał van Bohenwald. – Opuściłaś Narwę i udałaś się do Moskwy...

– Do Moskwy! – zakrzyknął Angelidis. – I cóż...

– Nie! – przerwał mu stanowczo van Bohenwald. – O Moskwie i o tym, co widziała tam Hildegarda, mówić teraz nie będziemy, gdyż to zupełnie nie należy do najbardziej interesujących nas spraw. Jeśli będziecie chcieli, możecie przeczytać o tym w raporcie. Jest zastanawiający i zajmujący, jak wszystko, co wychodzi spod pióra naszej drogiej towarzyszki. – Ton jego głosu znacznie się ocieplił.

– Zawarłam układ z carem Iwanem – wyjaśniła Nontle. – Obiecałam mu stworzenie pewnych tajemnych mikstur w zamian za prawo azylu dla mnie i dla nosiciela Szachor Sefer. Oczywiście nie muszę chyba mówić, że ani car, ani nikt inny nie ma najmniejszego pojęcia, kim jest ten inkwizytor i jaką skrywa tajemnicę. Nie ukrywam też, że obecność w Moskwie miała pomóc mi w odgadnięciu sekretów spowijających carski dwór i miałam nadzieję, że informacje, jakie uda mi się uzyskać, wzbogacą wiedzę Świętego Officjum.

Biber skrzywił się jedynie, słysząc te słowa, zresztą nie tylko dla niego zabrzmiały one przecież niczym fałszywe tłumaczenie.

– Krótko mówiąc, zamierzałaś badać Madderdina bez wiedzy oraz zgody Officjum – rzekł niezadowolony. – Sposobami, których zapewne byśmy nie aprobowali. W przymierzu z władcą, który jest wrogiem naszej wiary oraz naszej instytucji.

– To, czy naprawdę jest jej wrogiem, miałam nadzieję ustalić – odparła gładko Nontle.

– Dobrze, dobrze – wtrącił van Bohenwald. – Car Iwan to niewątpliwie intrygująca postać, a plotki, jakie dochodzą nas z jego dworu, świadczą, że Moskwa jest obrzydliwą sceną dla wyjątkowo

plugawego, demonicznego teatru oraz działają w niej ludzie czyniący rzeczy skrajnie odrażające w skrajnie odrażających celach...

– To właśnie miałam nadzieję zbadać i... – Głos Nontle ożywił się, jakby sama rozmowa o badaniu tajemnic i odszyfrowaniu sekretów wzbudzała w niej radosny dreszczyk.

– Powiedzmy, że tak – przerwał jej van Bohenwald. – Jednak bardziej interesuje nas, że oszukałaś towarzyszy i podjęłaś samowolną decyzję.

Nontle wzruszyła ramionami.

– Samodzielność jest cechą nie tylko dozwoloną, ale wręcz pożądaną – stwierdziła.

Biber chciał odpowiedzieć, ale nie zdążył, gdyż pierwszy odezwał się Marius:

– To prawda, że uważamy samodzielność za cnotę, jednak tylko jeśli pozostaje ona w granicach lojalności. Tymczasem twoja samodzielność granice owej lojalności znacząco przekroczyła.

– Ja tak nie uważam – odparła Nontle.

Van Bohenwald skinął poważnie głową.

– Zdziwiłoby mnie, gdybyś uważała – stwierdził. – No dobrze, wracajmy jednak do sprawy. Nasza księżniczka sfałszowała listy wielkiego księcia Nowogrodu, a kiedy to się wydało, została uwięziona, tak jak już wspominaliśmy, w trumnie, oraz była pojona, tak jak również wspominaliśmy, ruską gorzałką. Jestem jednak pewien, że wszyscy obecni nasi towarzysze chcieliby się dowiedzieć, jak to się stało, że sławna Hildegarda Reizend, podróżniczka i badaczka anomalii, kobieta, która zwędrowała świat od Sahary aż po Dach Świata, została złapana w pułapkę przez pozbawionego szczególnych talentów, zwykłego inkwizytora. Opowiedz nam proszę, w jaki sposób i za pomocą jakich działań zostałaś tak dotkliwie pokonana oraz upokorzona – zwrócił się do Nontle z serdecznym uśmiechem.

Mauretanka chciała sprawiać wrażenie, iż słowa Mariusa w ogóle jej nie dotyczą, jednak Löwefell zauważył, że usta miała nieco

silniej zaciśnięte niż wcześniej. A więc jednak pamięć o tej klęsce, tak niespodziewanej, gdyż doznanej z rąk zwykłego człowieka, cały czas musiała w niej siedzieć. I wciąż musiała ją boleć. I Nontle nie potrafiła opanować się na tyle, by wprawne oko nie dostrzegło jej złości oraz upokorzenia.

– Oczywiście, odpowiem chętnie na wszelkie pytania – zgodziła się. – I opowiem wam wszystko, tak jak zapamiętałam, nie zatajając również spraw, które wydają mi się co najmniej niefortunne...

– Czyli – przerwał jej van Bohenwald – inaczej mówiąc: ośmieszające opowiadającego. Tak jest. Również zależy nam, by zapoznać się z tymi właśnie detalami.

– Akceptacja porażek z przeszłości jest pierwszym krokiem, by odnosić zwycięstwa w przyszłości. – Nontle spojrzała mu prosto w oczy. – Nie zawsze i nie na całym świecie odnosiłam jedynie triumfy. Wiele razy o mało nie przypłaciłam moich badań śmiercią lub kalectwem, wiele razy mnie więziono, torturowano oraz upokarzano. Więc z przykrościami, które spotkały mnie na Rusi, jestem w stanie sobie poradzić. A zważywszy na wiedzę, którą zyskałam – teraz powiodła wolnym, hipnotyzującym wręcz spojrzeniem po wszystkich obecnych – uważam, że cena warta była towaru.

Löwefell był ciekaw, czy fraza o torturowaniu i upokarzaniu jest prawdziwa, czy też wypowiedana tylko z przesadną, patetyczną emfazą. Ale kto wie co mogło spotkać na świecie tę nieokiełznaną podróżniczkę? Owszem, była potężna i miała niezwykle moce, lecz samotną kobietę w obcym, dalekim kraju, często wśród wrogich jej ludzi mogły spotkać przygody zarówno ekscytujące, jak i przerażające.

– Chętnie się o tej wartości przekonamy – powiedział van Bohenwald. – Mów, proszę...

Nontle wiedziała od szpiegów, że inkwizytor peczorskiej księżnej (rzymski diabeł albo pies Ludmiły – tak go nazywano) żyje z młodą ruską wiedźmą, a dzięki cielesnemu obcowaniu z nią oboje mogą przeżywać mistyczne wizje pozwalające w pewnym stopniu

przewidywać zagrożenia przyszłości. Słyszała również o zbrojnej wyprawie przeciwko demonom, a jak mówiono: oboje – inkwizytor i młoda wiedźma, odegrali w tej batalii wielką rolę. Mauretanka słyszała, że czarownica jest piękna (jak zimowy poranek – tak gadano), groźna i bezwzględna. Że zabija wzrokiem każdego, kto źle spojrzy na jej inkwizytora, a inkwizytor wielbi ją jak boginię i świata poza nią nie widzi. Oczywiście Nontle była zbyt doświadczona, by bezkrytycznie ufać bajdom plebsu czy opartym na nich donosom szpiegów. Nie wątpiła, że czarownica może budzić grozę, wcale nie wątpiła również, że Madderdin mógł się przywiązać do tej dziewczyny lub okazywać przywiązanie, by silniej ją omotać, ale oczywiście opowieści o zabijaniu wzrokiem należało włożyć między bajki. Nie mówiąc o samej zdolności do podobnych czynów, to raczej trudno sobie wyobrazić, by władczyni patrzyła spokojnie, jak młoda wiedźma zabija jej poddanych dla zwykłego kaprysu. Nontle nie wątpiła jednak w silne ulokowanie czarownicy na peczorskim dworze, gdyż słyszała przecież liczne legendy o dziewczkach wołchów. O tym, jak wrywały mężczyznom oczy czy rozpruwały dłońmi ich brzuchy, kiedy tylko owi mężczyźni nie potrafili utrzymać rąk przy sobie.

Mauretanka była ciekawa spotkania z inkwizytorem i konfrontacji tych opowieści z rzeczywistością, szczerze również żałowała, że nie będzie mogła spotkać owej Nataszy, a pozna ją jedynie z relacji Madderdina. No ale taka kolejność spraw była konieczna i wymuszona, Nontle wiedziała, że musi jak najszybciej przekroczyć granice moskiewskiego księstwa, gdzie miała obietnice azylu od cara Iwana. Po tym jak sfalszowała listy wielkiego księcia Nowogrodu, każdy dzień na ziemiach należących do Nowogrodu był dla niej niebezpieczny.

– Jak zapewne wiecie, może nie wszyscy, ale na pewno niektórzy z was – powiedziała Mauretanka – Madderdin potrafił oprzeć się mojemu wpływowi...

– Urokowi, moja droga – zawołał kordialnie Marius i uniósł dłoń. – Nie bójmy się użyć tego słowa, gdyż aura piękna i wdzięku, jaką jesteś otoczona, jest znana doskonale nam wszystkim.

Nontle skinęła głową.

– Można to i tak nazwać – zgodziła się chłodnym tonem. – W każdym razie już dawno temu, w Lubece, świadkiem tego, że na Madderdina nie działa ani mój głos, ani mój czar, był obecny tu mistrz Löwefell.

– Tak było – przytaknął Löwefell.

– Zresztą jak zdołałam zauważyć, moja niemoc w tym względzie całkiem go ucieszyła – dodała Nontle.

– Mnie ucieszyła również – odezwał się Biber. – Zamieniaj sobie mężczyzn w pieski służące ci na dwóch łapkach, ale trzymaj się z dala od inkwizytorów.

Nontle wzruszyła ramionami.

– Mężczyzna to mężczyzna – mruknęła. – Wszyscy jesteście siebie warci.

– Wracajmy do rzeczy – nakazał van Bohenwald.

– Oczywiście obcowaliśmy wielokrotnie cielesnie – mówiła dalej Nontle. – Ale tak czy inaczej, nie potrafiłam złamać jego woli – przyznała szczerze. – Chociaż na pewno wzbudzałam w nim pożądanie.

– Po co to robiłaś? – spytał Angelidis.

Mauretanka pokręciła z politowaniem głową.

– A po co kobieta bierze sobie mężczyznę? Żeby go wykorzystać jako narzędzie przyjemności, przecież to oczywiste. A że Madderdin był narzędziem udania wykutym i odpowiednio rozgrzanym, to i obcowanie z nim wcale mi się nie nudziło tak bardzo, jak można by pomyśleć, zważywszy na jego młody wiek oraz brak doświadczenia.

– Zeznajesz przed Świętym Oficjum – zauważył pobłażliwym tonem van Bohenwald. – A my przecież dobrze wiemy, że nie tylko o cielesną przyjemność chodziło w tym jakże uroczym romansie.

Księżniczka wzruszyła ramionami.

– Oczywiście oprócz czerpania przyjemności z towarzystwa Mordimera miałam na oku też istotniejszy cel – przyznała. – Przypuszczałam bowiem, że jego przywiązanie fizyczne pomoże mi

przełamać ograniczające bariery. Że jednak złamię jego wolę – dodała z większą już szczerością.

– Co się nie udało – dokończył Marius. – Ale przecież to jeszcze nie wszystko.

Mauretanka tym razem skrzywiła usta.

– W czasie obcowania fizycznego można łatwo zbadać i poznać drugiego człowieka – wyjaśniła niechętnie. – Sądziłam więc, że może w ten sposób dowiem się o Szachor Sefer czegoś, czego nie dowiedzieli się inni. Bo przyznacie przecież, że to bezpieczny sposób, prawda? – Potoczyła spojrzeniem po obecnych. – Niczym nie zagroziłam naszej sprawie, przyglądając się inkwizytorowi w ten właśnie sposób, czyż nie?

– W tym wypadku nikt nie stawia ci żadnych zarzutów – zgodził się van Bohenwald. – Rzeczywiście metoda, którą zastosowałaś, mogła przynieść korzyści, zwłaszcza kiedy działania przeprowadzano tak zręcznie, jak spodziewam się, że ty je przeprowadzałaś.

Nontle uśmiechnęła się.

– Jeśli któryś z was miałby ochotę wypróbować moje sposoby, chętnie podzielę się doświadczeniem oraz spostrzeżeniami – odpowiedziała lekkim tonem.

– Jednak twoje poświęcenie finalnie nie zdało się na nic, prawda? – zapytał bez ironii van Bohenwald.

Nontle rozłożyła ręce.

– To prawda, że żadnych efektów nie zauważyłam – przyznała. – W końcu aż zaczęło mnie to złościć i dlatego pomyślałam, że spróbuję innych sposobów. A że spodziewałam się, iż Święte Oficjum może, kierując się zbytnią ostrożnością oraz kunktatorstwem, nie wydać na nie zgody, postanowiłam wszystko przeprowadzić sama.

– Udało ci się na tyle, że Madderdin wszedł w twoją pułapkę – poddał van Bohenwald.

Nontle zeszywniała, a potem wzruszyła ramionami.

– Wiem, że chcesz usłyszeć, że mnie przechytrzył. Niech więc i tak będzie, mogę przyznać, że popełniłam błąd: ludziłam się, że go usidliłam, ale tymczasem on zaplanował wszystko, by wykorzystać moją pewność siebie.

Löwefell uznał, że tym razem Nontle zmierza w dobrym kierunku. Nie pokazywała się już jako arogancka intrygantka, lecz jako osoba, która popełniła błąd, nie doceniając siły i sprytu przeciwnika. Zarówno ta zwyczajność zachowania, jak i szczerść miały zapewne zjednać jej przychyłność Inkwizytorium. Ale Löwefell nie sądził, by takie sztuczki mogły jej pomóc. Nawarzyła naprawdę gorzkiego piwa i będzie musiała je wypić. I na pewno jej się to nie spodoba.

– Zjawił się u mnie w namiocie i miał w mojej mocy pozostać już na zawsze, gdyż peczorska księżna oddała mi go, widząc listy z rozkazami od wielkiego księcia Włodzimierza. Listy, które sama sfalszowałam.

– Fałszerstwo zostało przejrzone?

– Oczywiście, że nie – odparła z urazą Nontle i pokręciła głową. – Madderdin był zaprzyjaźniony ze szpiegiem wielkiego księcia Włodzimierza, który wyjawiał mu, że otrzymał tajne polecenia na temat inkwizytora. A one wykluczały się z treścią moich listów. Tak właśnie doszli po nitce do kłębka i odkryli intrygę oraz fałszerstwo.

– To miło, że ów młody człowiek znalazł sobie na dzikiej Rusi ludzi, którzy całkiem go polubili i zdecydowali się mu pomagać i go chronić. Najpierw młoda wiedźma, teraz szpieg – zauważył z rozbawieniem Biber.

– Dziewczyna szczerze go pokochała – zgodziła się z nim Nontle. – To wyjaśni się później, w czasie mojej opowieści, gdyż wtedy, w obozie wojennym księżnej, jeszcze nie byłam tego pewna. Sądziłam raczej, że omotała go jakimiś wiedźmimi urokami. Tymczasem okazało się, że to była prawdziwa miłość. – Księżniczka uśmiechnęła się tym razem ani ironicznie, ani szyderczo, ale z pewnym rodzajem pobłażliwego ciepła.

Löwefell pomyślał, że tego właśnie również uczono inkwizytorów: umiejętności zaskarbiania sobie sympatii ludzi, jeśli tylko pojawiła

się taka potrzeba. I trzeba przyznać, że jak na obcego w obcym kraju (w dodatku kraju kompletnie dzikim i nienawidzącym prawowiernych chrześcijan), Mordimer Madderdin poradził sobie całkiem nieźle. Bo już samo przeżycie tam roku można było uznać za sukces. A zyskanie zaufania księżnej, miłości czarownicy oraz przyjaźni szpiega Nowogrodu niewątpliwie ten sukces czyniło większym.

– Czyli młody inkwizytor przychodzi do obozowiska Moskwiczian, gdzie znajduje się twoja kwatery – poddał van Bohemwald. – Cóż dzieje się dalej?

Nontle nie przygotowywała się do szczególnego ataku. Wiedziała, że od teraz będzie miała dużo czasu, a inkwizytor znalazł się w pełni w jej mocy i nigdzie nie musi się spieszyć. Owszem, jak zwykle pięknie wyglądała i pachniała kosztownymi olejkami, a liczyła się również z tym, że już niedługo oboje oddadzą się miłosnym zapasom. Na co po pierwsze, miała ochotę z powodów czerpania przyjemności z zabawy, a po drugie, widziała w tym sposób na przywiązanie i spętanie Madderdina. I żeby zatrzeć w jego umyśle pamięć o tej ruskiej wiedźmie. Bo pomimo że inkwizytor starał się lekceważyć moc ich związku, to Nontle wiedziała, że to jednak nie była tylko zabawa. Potem, długo potem pomyślała, że gdyby od początku zdawała sobie sprawę z tego, jak silne jest to uczucie, to zachowałyby dużo większą ostrożność.

Madderdin był chroniony runami wypisanymi przez młodą czarownicę, a Nontle wcześniej widziała owe magiczne symbole i już wtedy ich moc ją zaniepokoiła oraz zdziwiła. Nie było to jednak nic aż tak niezwykłego, by miała się tym nadmiernie przejmować. Owszem, nie spodziewała się utkania podobnie silnych runów przez zwykłą młodą dziewczynę wychowaną w chacie czarownicy, pasowało to raczej do kogoś niezmiernie doświadczonego w układaniu zaklęć. Niemniej choć emanowała z nich zaskakująca moc, nie sprawiały one wrażenia niebezpiecznych dla tak doświadczonej badaczki jak Nontle. Oczywiście musiałyby poświęcić trochę czasu na zneutralizowanie tej wiedźmiej magii, bo oczyszczenie człowieka z klątwy przypomina

rozkuwanie jeziora skutego lodem, jest zarówno pracochłonne, jak i wymagające uwagi oraz staranności, niemniej ten lód zdawał się co prawda solidny, lecz ani zdradliwy, ani nadzwyczajnie gruby.

Księżniczka powitała inkwizytora w swoim namiocie i z rozbawieniem zauważyła, że z całą pewnością nie jest on zadowolony z czekającej go podróży. Uznała, że warto będzie go nieco ugłaskać, a nawet pocieszyć, choćby po to, by nie przyszedł mu do głowy głupie pomysły. A poza tym zamierzała mieć obok siebie wesołego i chętnego kompana, a nie podążającego za nią z przymusu więźnia. Poza wszystkim innym była to po prostu kwestia rozsądku oraz wygody. Z jednej strony Madderdin zarzekał się, iż powrót do Cesarstwa jest jego marzeniem, z drugiej strony jednak Nontle była pewna, iż decyzja o opuszczeniu Peczory, tak nagła i tak niespodziewana, wytrąciła inkwizytora z równowagi. Ciekawe, czy bardzo będzie tęsknił za tą swoją małą czarownicą? – pomyślała złośliwie. Potem jednak wszystko zdawało się układać coraz bardziej po jej myśli i z radosnym zdumieniem spostrzegła, że jej urok wydaje się przełamywać wolę inkwizytora. A kiedy skoczył na nią, zdzierając z niej ubranie, pełen pasji, otwarty w swej namiętności niczym koncha muszli, bezbronny i będący całkowicie w mocy pożądania, wtedy Nontle również dała się ponieść owej potężnej fali.

– No i tyle pamiętam – dokończyła grobowym głosem.

Löwefell doceniał szczerść, z jaką przyznała się do błędu, lecz też trudno było nie zauważyć, iż ten błąd wynikał z nadmiernej pewności siebie. Mauretanka była tak znużona i tak dotknięta oporem inkwizytora, że kiedy owa nieczułość wydawała się niknąć, to Nontle nie przejmowała się już niczym innym.

– Mongołowie stosują taki podstęp wojenny – rzekł Angelidis. – Pozorują ucieczkę, by wróg rozochocony zwycięstwem, leżącym, zdawałoby się, w zasięgu ręki, ruszył za nimi lekkomyślnie i bez przedsięwzięcia środków ostrożności. I wpada wtedy w zasadzkę.

– Tak postępują wszelkie ludy koczownicze – zgodził się Biber. – Już wodzowie Aleksandra opisywali tę taktykę.

– Powróćmy z Macedonii, jeśli łaska – burknął van Bohenwald. – Straciłaś przytomność, czyż nie?

– Właśnie tak – przyznała Nontle. – Obudziłam się potem związana, zakneblowana, z zasłoniętymi oczami i z uzbrojonym inkwizytorem na straży. – Wzruszyła ramionami. – Wiem, że mogę stać się obiektem waszych szyderstw, ale trudno, nie zamierzam się tym przejmować. Popełniłam błąd i teraz oraz wcześniej za niego płacę. Ale wiem też – jej głos stwardniał – że summa summarum ten właśnie błąd okazał się, czy raczej mógł się okazać błogosławieństwem. Jak usłyszycie w dalszej części opowieści, gdyby nie kłopot, jaki mi się przydarzył, nigdy nie poznałabym tajemnic ważnych dla całego Świętego Officjum.

– Nikt nie zamierza z ciebie szydzić, księżniczko – powiedział łagodnie Löwefell. – Chcemy poznać bieg wydarzeń, a nie zadręczać cię nieuprzejmością.

Mauretanka skinęła głową.

– Dziękuję ci, Arnoldzie, chociaż oboje doskonale wiemy, że nie wszyscy tutaj zebrani myślą w sposób tak rozumny jak ty.

Van Bohenwald zarechotał.

– Każdy z nas powinien być poza oraz ponad osobistymi urazami – stwierdził. – Każdy z nas powinien również ufać, że poniżenie poprzedza wywyższenie.

– I o tym właśnie mówiłam! – zawołała Nontle. – Któż, jak nie Bóg, kierował moimi krokami, żebym zobaczyła to, co zobaczyłam? A czego bym nigdy nie poznała, gdyby nie błędy, jakie popełniłam, i godna pożałowania sytuacja, w jakiej się znalazłam.

– Dobrze, dobrze, o tym potem – zastrzegł van Bohenwald. – Wracajmy do obozu Moskwiczów.

– Peczerska księżna wszystkich Moskwiczów skazała na śmierć i kazała odesłać do Nowogrodu, by wielki książę zatwierdził jej wyrok – powiedziała Nontle.

– Nad wyraz rozumna decyzja – skinął głową Angelidis.

– Jeszcze słowo, jeśli pozwolisz, o tych runach czarownicy – wtrącił Biber. – Czy otoczono je zaklęciem maskującym, byś nie

poczuła prawdziwej ich mocy? – zapytał, marszcząc brwi.

Nontle potrząsnęła głową.

– Oszustwo ukryto w samych runach – odparła. – Nigdy – przyłożyła dłoń do serca, a Löwefellowi wydawało się, że mówi naprawdę szczerze – nigdy nie widziałam podobnie potężnych znaków. Gdyby nie moje doświadczenie, gdyby nie moja własna moc, to te wiedźmie zaklęcia wypaliłyby mnie do samych trzewi!

– A cóż miałybyś teraz mówić innego? – wtrącił lekceważącym tonem Thorwaldson.

Mauretanka zmierzyła go wzrokiem i wzruszyła ramionami.

– To, że nie uległam twoim wątpliwym wdziękom, nie oznacza, że masz prawo podawać w wątpliwość mój zmysł obserwacji oraz analizy.

Marius skrzywił się z niesmakiem.

– Darujcie sobie, proszę, podobnie pospolite spory. To naprawdę niegodne członków Świętego Officjum. – Obrócił spojrzenie na Nontle. – Nie podajemy w wątpliwość twojego niezwykłego doświadczenia, księżniczko, chociaż oczywiście i ja zauważam, że komuś, kto został zraniony, łatwiej twierdzić, że trafił go rycerz w płytowej zbroi, a nie chłop z zardzewiałymi widłami.

– Twierdzę z całym przekonaniem, kładąc na szalę całe moje doświadczenie – oznajmiła uroczystym tonem Nontle, mocno akcentując słowo „całe” – że były to najpotężniejsze runy, jakie kiedykolwiek widziałam. Obecny tutaj Dietrich Knabe... – Mauretanka nawet nie zerknęła w stronę inkwizytora w czerni. – Kiedy doszło między nami do sporu, unieruchomił mnie pewnym znanym mu sposobem. – Löwefell po żalu w głosie księżniczki poznał, że nie tyle była zasmucona, że została pokonana, ile że nie wiedziała, jaką dokładnie metodą. – Moc tego sposobu przy mocy runów tej dziewczyny zdawała się niczym mój paznokieć... – podniosła dłoń, by wszyscy mogli zobaczyć jej długie, wypielęgnowane paznokcie – przy pazurzastej łapie lwa – dokończyła.

Knabe jest najwyraźniej prawdziwie utalentowany, a to, że obezwładnił Nontle bez czynienia jej krzywdy, świadczy nie o jego słabości, lecz o tym większej sile i pewności siebie, pomyślał Löwefell.

– To niemożliwe, żeby dwudziestoletnia wiedźma umiała posługiwać się tak złożoną magią – stwierdził stanowczo Biber.

– Nie zgadzam się – odezwała się równie stanowczo Llatrisant. – To jest wyjątkowe. – Urwała na chwilę. – Wręcz niezwykle wyjątkowe, lecz jednak możliwe.

– Cóż, wiedźmie nie wypada nie wierzyć, kiedy opowiada o umiejętnościach innych wiedźm – złośliwie uśmiechnął się van Bohewald.

Deirdre tylko wzruszyła ramionami, słysząc te słowa. A więc i ona, podobnie jak Löwefell, była przyzwyczajona do przytyków dotyczących dawnej, niechlubnej przeszłości. I prawdopodobnie, tak jak Löwefell, niemal całkowicie je ignorowała.

– Jak się domyślacie, Madderdin wykorzystał moją utratę przytomności, by mnie unieruchomić – kontynuowała Nontle. – Początkowo sądziłam, że ograniczy się do przywiązania mnie do łóżka czy krzesła, ale zdecydował się jednak pójść dużo dalej. I zastosował metody może prymitywne, ale nie da się ukryć, że w praktyce całkiem skuteczne.

Nontle leżała w skrzyni, pozbawiona wzroku i zdolności mowy, a w dużym stopniu również pozbawiona zmysłu węchu, przynajmniej w zakresie, w jakim mógłby on być jej do czegokolwiek przydatny. To ciasne wnętrze było bowiem tak wypełnione smrodem odchodów, wymiocin, moczu oraz kwaśnego potu, że nie czuła w zasadzie nic poza mieszanką tych ohydnych odorów, które wkręcały się nie tylko w jej nozdrza, ale również w umysł. Dodatkowo przeklęty Madderdin napoił ją wczoraj gorzałką z czarnego żyta i Nontle czuła teraz nie tylko ból całego ciała, lecz ośpienie, mdłości i zawroty głowy. W takiej sytuacji trudno było pogрузić się w medytacyjnej modlitwie. Gdyby miała swobodę ruchów, gdyby miała dostęp do swoich wywarów, eliksirów i dekoktów, to odmiana tego pożałowania godnego stanu,

w jakim się znalazła, nie stanowiłaby problemu. Ale teraz leżała nieruchoma jak kłoda i związana tak, że nie mogła się ruszać, a kiedy próbowała oczyścić umysł i ciało, natychmiast organizm reagował mdłościami oraz torsjami. Może gdyby dostała więcej czasu, gdyby minęło jeszcze kilka godzin, może wtedy zdołałaby się pozbiierać. Ale przecież nawet tak doświadczona badaczka i członkini Świętego Officjum nie była w żadnym razie antycznym herosem czy półbóstwem. Jej moc polegała na wpływie na ludzi, na naginaniu ich do swojej woli, potrafiła analizować zaklęcia, badać je, znała tysiące alchemicznych receptur, umiała podróżować po demonicznym uniwersum nie-świata, wiedziała, jak wnikać w umysły ludzi pogrążonych we śnie i zmuszać ich, by czynili, co im rozkaże, zmieniać ich w powolne jej życzeniom marionetki... Jednak wszystko to nie mogło się na nic przydać w obecnej sytuacji. Nie potrafiła przecież skrzesać ognia samą myślą, by przepalić więzy, zresztą nawet gdyby umiała podobnej sztuki dokonać, to najpewniej razem ze sznurami spaliłaby zarówno drewnianą skrzynię, jak i samą siebie.

Musiała czekać. Inkwizytor prędzej czy później popełni błąd. Bał się jej i ją szanował (doskonale wiedziała, że niewygody, którym została poddana, wynikają właśnie z szacunku, chociaż ta świadomość nie przeszkadzała jej, by nienawidzić Madderdina tym mocniej), ale nie miał na tyle doświadczenia, by powstrzymać ją przez długi czas. I przede wszystkim nie wiedział, do czego jest zdolna. Prędzej czy później omotam księżną Ludmiłę, myślała Nontle, a wtedy nic już nie pomoże Madderdinowi. Oczywiście nie zamierzała go zabijać ani nadmiernie krzywdzić, gdyż jego życie było zbyt cenne, a jego śmierć niosłaby zbyt nieprzewidywalne, a co za tym idzie niebezpieczne konsekwencje. Z przyjemnością natomiast rozważała plan wykastrowania inkwizytora. Zrobię to własnymi rękami, pomyślała, i będę mu patrzeć wtedy prosto w oczy...

– Na miecz Pana, naprawdę chciałaś to zrobić? – zapytał z niesmakiem Angelidis. – A jakby umarł w czasie tak niestosownego zabiegu?

– Opowiadam wam szczerze, co wtedy myślałam, byście wiedzieli, w jakim znalazłam się stanie i jak bardzo moje myśli zostały skażone – odparła.

Löwefell wiedział, że Mauretanka jest zapalczywa, że krąży w jej żyłach krew gorąca niczym saharyjskie piaski palone południową spiekotą, lecz podobne unoszenie się gniewem i pragnienie zemsty za osobiste zniewagi jednak nie przystało członkini Świętego Officjum. Chociaż dobrze, że o tych wszystkich działaniach i uczuciach opowiadała. Zamknięcie w trumnie i napojenie na umór gorzałką z czarnego żyta, pomyślał jeszcze Löwefell, cóż za pomysłowy chłopak...

– Czy znaczenie w twojej sytuacji miał fakt, że trunek był gorzałką z czarnego żyta? Czy gdyby upić cię winem lub piwem, efekt byłby podobny? – zapytał na głos.

Nontle przeniosła na niego nieprzychylnie spojrzenie.

– Nigdy się nie upijam – stwierdziła tonem równie lodowatym, co wzrok. – A na pewno nigdy się nie upijam do nieprzytomności oraz wymiotów. Toteż musisz mi wybaczyć, że nie mogę dokonać dla ciebie podobnego porównania.

– Niemniej problem jest zajmujący – stuknął knykciami w stół van Bohenwald. – Jak wierzę, nikt z nas nigdy nie upił się gorzałką z czarnego żyta. Oczywiście stan upojenia źle wpływa na ludzki umysł oraz prowokuje nieprzyzwoite postęпки, co pokazuje nam już Pismo Święte, choćby w historii patriarchy Noego, ale może wódka z czarnego żyta, z tego diabelskiego zboża, ma działanie szczególnie dewastujące?

– Sprawdź to – obiecała Nontle, a jej oczy błysnęły.

Löwefell uśmiechnął się w myślach. Mauretanka była prawdziwie namiętą badaczką. Wystarczyło postawić przed nią nieznaną problem, zadać jej pytanie, na które do tej pory nie udzielono jeszcze odpowiedzi, a już marzyła, by poświęcić się jak najszybciej rozwiązaniu zagadki. Nawet jeśli była to zagadka nieistotna lub mało istotna.

Słyszała doskonale strażników czuwających za drzwiami. Jeden z nich spał i pochrapywał przez sen, drugi co pewien czas uderzał kamieniem o ziemię. Kiedy Nontle skupiła się na chwilę, wtedy poczuła, jak z cichutkim trzaskiem pęka osnowa świata – znak, że ginie żywe stworzenie. Co on zabija? Mrówki? Komary? Muchy? Ale to pytanie tylko przemknęło jej przez głowę, szybko przestała skupiać uwagę na strażnikach, gdyż nie oni byli ważni. Gdyby była w pełni sił, starałaby się opanować umysł jednego z wartowników, tego pogrążonego we śnie. Potrafiłaby go zmusić, by zabił przez sen swego towarzysza i by uwolnił ją samą. Ale co, jeśli ktoś inny obserwował tych strażników? Wystarczyło wtedy zbudzić śpiącego, by wyrwać go spod uroku. A inkwizytor wyraźnie zapowiedział, że ukarze ją, jeśli tylko spróbuje coś knuć. Księżniczka była pewna, że te przestrogi czy groźby nie są bez pokrycia. Słyszała w głosie Madderdina, że ma absolutne przekonanie, iż będzie musiał ją ukarać. Nie dlatego, by się mścić za nieposłuszeństwo, lecz dlatego, że tak bardzo się jej obawiał. Co mi zrobi, jeśli zobaczy, że nie posłuchałam ostrzeżeń? – zastanowiła się. Jest lojalnym inkwizytorem i wie, że służę Świętemu Officjum, więc nie uczyni nic, by na trwale pozbawić mnie moich zdolności. Nie zada mi też takiej kary, bym mogła nie przeżyć jej surowości. Nie wyłupi mi więc oczu, nie wyrwie języka, nie odetnie piersi... Oszpeci mnie? Ale przecież doskonale wie, że uroda jest moją bronią, a tej właśnie broni również używam, walcząc dla Inkwizytorium.

Na razie jednak mogła przestać się zastanawiać nad karą za nieposłuszeństwo, gdyż usłyszała, że ktoś nadchodzi z oddali. Od razu poznała ciężkie stąpnięcia inkwizytora, poza nimi słyszała również szuranie butów, to szedł ktoś stary, a jeszcze poza nimi drobne, zdecydowane kroki młodej dziewczyny. I dopiero po chwili jeszcze czwarty odgłos. Niemal niesłyszalne stąpnięcia kogoś, kto kładł stopy na ziemi tak delikatnie, jakby tańczył w powietrzu, zaledwie muskając powierzchnię podszwami. Oto poznam Nataszę, pomyślała natychmiast Nontle i zaraz potem uderzyła ją druga myśl: idą po mnie. Może to i dobrze. Następne niebezpieczeństwo i następna

szansa. Wiedziała jednak, że niewola w domostwie starej czarownicy może się okazać nie lada wyzwaniem. To nie będzie łatwa przeprawa, pomyślała. Równocześnie jednak natychmiast przeszło jej przez myśl, że wymiana wiedzy z tak wiekową, doświadczoną wiedźmą może być czymś niesłychanie pasjonującym, zbadaniem nowych lądów, nowych krain tym razem skrytych nie za górami czy oceanami, lecz na mrocznej mapie ludzkiego umysłu. Pewnie, że stara będzie chciała wiele na wymianę, ale dam jej wszystko, czego tylko zechce. Przecież na końcu i tak ją zabiję...

– Założę się, że wiedźma planowała uczynić dokładnie to samo – stwierdziła Llatrisant, a w jej głosie dało się usłyszeć coś na kształt rozbawienia.

– Jestem tego pewna – zgodziła się Nontle. – Obie chciałyśmy dokonać uczciwej wymiany, tylko że handel miała przeżyć zaledwie jedna z nas. Jej dom, jej zaklęcia, jej uczennice wokół... Wiedziałam więc, że nie będzie łatwo, ale kiedy pomyślałam, ile bezcennej wiedzy będę mogła przy okazji zyskać, to zaczynałam czuć w tym wszystkim łaskawą rękę naszego Pana. – W głosie Mauretanki znowu zabrzmiała ta pasja, ta ciekawość świata, to pożądanie wiedzy, które kazały jej wędrować po całym znanym ludzkiej cywilizacji świecie.

Nontle wiedziała, że zawdzięcza swym umiejętnościom to, że jej prawdziwa moc jest dla tych czarownic całkowicie niedostrzegalna. Zarówno wcześniej, podczas wyprawy inkwizytorów na Ruś, jak i teraz potrafiła w pełni zamaskować swe magiczne zdolności. Chodziło oczywiście o to, by nie rozpoznali ich ruscy wołchowie oraz kapłani. Nontle miała być w oczach wszystkich Hildegardą Reizend – badaczką, podróżniczką, piękną kobietą i autorką wybitnych ksiąg o świecie oraz zamieszkujących go istotach. Jej związki ze Świętym Oficjum, a nade wszystko jej niezwykle magiczne zdolności miały pozostać nierozpoznane. Tutaj na Rusi bowiem mogło to doprowadzić tylko do kłopotów. A chociaż Mauretanka była silna, bystra i umiała sobie radzić w życiu, to sam fakt, iż właśnie leżała związana w skrzyni, świadczył o tym, że nie jest wszechmocna.

– Zresztą w czasie jednej z wypraw do Ogonu Smoka było gorzej – stwierdziła. – Przywiązano mnie wtedy nagą do pala i zgwałcono tyle razy, że nawet straciłam rachubę, ilu mężczyzn miałam w sobie. – Otrząsnęła się. – Ale kiedy członkowie plemienia zasnęli pijani, wtedy odwiedziłam ich w snach. – Uśmiechnęła się z nagłym okrucieństwem.

– Opisywałaś to. Pamiętam ten fragment z oryginalnej, nieocenzurowanej wersji twojego dzieła – przypomniał sobie Biber.

– Tak jest – odparła Nontle. – Nie mogę przecież ukrywać doświadczeń, jakich doznałam, tylko dlatego, że były one nieprzyjemne.

– Cóż wydarzyło się później z tymi tubylcami? – zagadnął Angelidis.

– Wymordowali się nawzajem – odparła obojętnie. – Poza jednym. – Znowu się uśmiechnęła. – Wodza plemienia zostawiłam sobie na sam koniec. Wiecie, jak płacze mężczyzna zjadający własne ugotowane jądra i własnego upieczonego fallusa? – Roześmiała się tym razem na głos, a jej śmiech był radosny jak dźwięk kryształowych dzwoneczków.

– Proszę dalej – nakazał Marius z grymasem niezadowolenia.

Przez chwilę miała nadzieję, że dojdzie do starcia pomiędzy starą wiedźmą, ową mateczką Olgą z bagien, a inkwizytorem, którego rozzłościła nieufność wiedźmy i który pomyślał, że starucha chce go oszukać. Potem jednak Nontle pomyślała, że nie skończyłoby się to dobrze. W takim konflikcie inkwizytor pewnie by zginął, więc stałoby się to, czego wszyscy starali się uniknąć wobec nosiciela Szachor Sefer. A Nontle, tak samo jak przedtem, leżałaby związana w trumnie. Na szczęście jednak dwie młode wiedźmy załagodziły konflikt i nagle okazało się, że ta o miękkim, ciepłym głosie widzi ją. Pomimo wszystkich zasłon, pomimo barier, pomimo zabezpieczeń Natasza widziała Nontle w jej prawdziwej postaci i w jej prawdziwej sile.

– Wierzyć mi się nie chce – przerwał jej Biber. – Twoje zasłony są tak szczelne, że gdybym nie wiedział, kim jesteś, to sam miałbym

kłopot w określeniu, czy masz jakiegokolwiek zdolności wykraczające poza rozumienie zwykłych ludzi.

– Ano właśnie – pokiwał głową van Bohenwald. – I ja doceniam, jak zgrabne maski oraz kostiumy potrafi założyć nasza drogocenna towarzyszka i jak pięknie potrafi omamić ludzi. A tej małej więdźmy jednak nie omamiła...

– Na chwilę mi się to udało – sprostowała Nontle. – Lecz niedługo potem dziewczyna przebiła się przez wszystkie moje zasłony od niechcienia, tak naturalnie, jakby oglądała moje odbicie w kryształowym lustrze.

– Naturalnie? – powtórzyła Deirdre.

Mauretanka skinęła głową.

– Tak jakby ktoś jej powiedział: „O, spójrz, między tymi gałęziami schował się ptak”, a ona po prostu uważnie spojrzała w to miejsce. Nie potrzebowała żadnej nadnaturalnej pomocy, a jedynie chwili skupienia uwagi.

– Mała ruska więdźma potrzebowała chwili skupienia uwagi? – Biber powtórzył trzy ostatnie słowa z celową ironią. – Aby przebić się przez twoje zasłony? Zasłony, którymi bez trudu omamiłaś wiekowych i doświadczonych kapłanów oraz wołchów służących Iwanowi i Włodzimierzowi? Którymi oszukałaś starą czarownicę?

– Właśnie tak – potwierdziła Nontle.

Mauretanka nie zamierzała jednak w niczym ułatwiać zadania przybyłym. Rozumiała oczywiście, że Madderdin sprzedał ją więdźmie z bagien, lecz na razie wolała zachować całkowitą obojętność. A nuż jednak dojdzie między nimi do sporu, do walki? A nuż będę mogła tę wojnę wykorzystać? A nawet jeśli nie, to przynajmniej posłucham, co mówią, w jaki sposób mówią, w jaki sposób reagują. Wiedza o wrogu jest kluczem do przyszłego zwycięstwa. A tutaj każde słowo, każdy gest mogą tę moją wiedzę powiększyć.

Więdźma próbowała przemawiać do Nontle i po rusku, i po łacinie, i po grecku, a Mauretanka zauważyła, że tak jak łaciną mówi całkiem poprawnie, tak greka w jej ustach brzmiała raczej obco. Posługiwała się nie klasyczną dworską greką, lecz ludowym demotykiem, co

zresztą nie było dla Nontle szczególnym zaskoczeniem. Od kogo nauczyła się tego języka? Może od któregoś z chrześcijańskich kapłanów przybywających z Bizancjum? A może po prostu została wyuczona przez dawną mistrzynię, swoją poprzedniczkę? Niezależnie od tych rozważań Nontle cały czas trwała w zamknięciu. Do momentu, kiedy stara wiedźma przemówiła językiem demonów.

– Kto z was zna czarną mowę, kto z was potrafi posługiwać się tym plugawym, przeklętym i bluźnierczym językiem? – Księżniczka wolno przesunęła wzrokiem po obecnych. – Katrina? Z całą pewnością. Biegle. Czyż nie tak, Katrino?

Siedząca obok Löwefella kobieta uśmiechnęła się uprzejmie.

– Arnoldzie, ty? – kontynuowała Nontle. – Na pewno nie. Ale jestem pewna, że prędzej czy później Katrina cię jej nauczy, chociaż nie wiem, czy wyjdzie ci to na dobre.

Przesunęła wzrok na kolejnych siedzących przy stole.

– Magnus? – Potrząsnęła tylko głową. – Theodoros? – Przyglądała mu się chwilę oceniającym wzrokiem. – Kto wie czegoś ty się uczył w zatechłych mrokach Bizancjum? Więc zapewne tak.

– Zatechłe mroki Bizancjum? – powtórzył rozbawiony Angelidis. – Księżniczko, jako rodowity Bizantyjczyk i poddany cesarza Wschodu jestem wstrząśnięty, że można w podobny sposób myśleć i mówić o mojej błogosławionej ojczyźnie.

– Deirdre? – Nontle nie zwróciła uwagi na Bizantyjczyka i przeniosła spojrzenie na siwowłosą kobietę. – Chyba nie. Barnaba? O, na pewno tak. Bo nie wierzę, by ciekawość badacza nie zaprowadziła cię do poznania tych otchłani. Marius? Nawet nie muszę pytać. Knabe? Rzecz jasna. Pewnie aż za dobrze, prawda, Dietrichu?

Umilkła na chwilę, a kiedy nikt się nie odzywał, powiedziała:

– A więc w tej sali sześcioro z nas zna, jak sędzę, mowę piekiel. Ilu jeszcze podobnie wyedukowanych – to słowo zabrzmiało ironicznie, kiedy je wymawiała – ludzi żyje na całym świecie? Kilku? Kilkunastu?

– Właśnie ty najlepiej powinnaś wiedzieć, że świat to nie tylko Cesarstwo i Bizancjum. To Persja, to Chiny, to Indie, to pogrążone w mistycznej ciemności ludy Ogonu Smoka – rzekł Biber. – Co o nich wiemy? O Persach całkiem dużo, ale o innych już nie tak wiele. A lądy za zachodnim oceanem? Jakie tam znajdziemy sekrety? Jakimi mocami władają żyjące tam ludy? – Barnaba rozłożył ręce. – Obyśmy nie natrafili na takie, dla których będziemy niczym orzechy do zgniecenia...

Löwefell pomyślał, że to wszystko prawda. W Indiach, Chinach czy na Ogonie Smoka nie stwierdzono istnienia znaczących zagrożeń dla chrześcijańskiego świata, ale na zachodzie leżał ogromny kontynent dzielący cały świat na pół. Tego kontynentu jeszcze nie poznano, więc stanowił potencjalne zagrożenie. A wielka południowa wyspa położona gdzieś pomiędzy Afryką a Ogonem Smoka? Nikt z chrześcijan nigdy jej nie widział, ale ponoć z obliczeń kartografów wynikało, że powinna istnieć. Aniołowie również twierdzili, że istnieje, jeśli można było ufać ich postrzeganiu, gdyż równie dobrze mogła pozostawać tylko w ich szalonej imaginacji. Jednak Nontle najwyraźniej nie zawracała sobie głowy podobnymi rozważaniami, gdyż machnęła lekceważąco dłonią.

– To mnie na razie nie obchodzi – stwierdziła. – Obchodzi mnie, w jaki sposób ruska wiedźma, mieszkająca w chałupie na bagnach, poznała mowę piekieł tak dobrze, żeby płynnie w niej mówić? Was to nie ciekawi? – Przeciągnęła wzrokiem po obecnych i zatrzymała spojrzenie na Katrinie. – Katrino?

Zapytana pokręciła tylko głową.

– Szczera odpowiedź brzmi: dzisiaj jestem zaintrygowana. Dokładna odpowiedź brzmi: jutro nie będę o tym nawet pamiętać – odparła Katrina.

Löwefell oczywiście wiedział, że w tych słowach kryje się wielka przesada. Katrina z całą pewnością nie zapomniała niczego. Ale chciała w ten sposób pokazać, że w natłoku spraw, jakimi musi się zajmować, pytanie brzmiące: „w jaki sposób ruska wiedźma

nauczyła się języka demonów?” nie należy do spędzających sen z oczu.

– W jaki sposób ją zabito? – zapytała nagle Llatrisant. – Tę starą wiedźmę?

– Widzę więc, że w narracji naszej opowieści przeskoczmy w ten sposób skokiem niedozwolonym z punktu widzenia teatralnej jedności czasu i przestrzeni – rzekł van Bohenwald niezadowolonym tonem. – No ale cóż zrobić. – Westchnął. – Odpowiedz, proszę – zwrócił się do Knabego.

– Dziewczyna nazywana szalejem osłabiła ją zaklęciem, Madderdin wbił jej sztylet w serce, a potem szalej poderżnęła jej gardło, znowu wypowiadając słowa klątw – odparł natychmiast Knabe. – Inkwizytor nie wiedział, co to były za klątwy, mówił tylko, że brzmiały naprawdę silnie.

– Co zrobiono z ciałem? – dopytywała dalej Deirdre.

– Z tego, co wiem, szalej kazała wrzucić je do bagna. – Kącik ust Knabego uniósł się nieznacznie. – Wcześniej obciążono je kamieniami.

– Rozumiem, dokąd zmierza to pytanie – stwierdził van Bohenwald, przyglądając się z uwagą Llatrisant. – I przyznam, że sprawy wyglądałyby dla nas niesłychanie interesująco, gdybyśmy mieszkali na Rusi, pod Kamieniami. Ale ponieważ mieszkamy trzy tysiące mil dalej, rozdzieleni granicami państw oraz religii, w związku z tym wszystko to obchodzi nas w niewielkim stopniu. No oczywiście – Marius uniósł dłonie obronnym gestem, jakby ktoś chciał go zaatakować – prawda, iż jesteśmy kolekcjonerami wiedzy, a przynajmniej niektórzy z nas. – Zerknął na Nontle. – Więc na pewno, właśnie jako kolekcjonerzy wiedzy, chętnie tę informację umieścimy na jednej z zakurzonych półek naszej biblioteki.

– O jakiej dokładnie informacji mówimy? – zdecydował się zapytać na głos Löwefell.

– Zdaniem naszej czcigodnej towarzyszki, tak świetnie znającej obyczaje wiedźm... – Marius obrócił ciężkie spojrzenie na Llatrisant – owa ruska starucha nadal żyje. Ale tak jak mówiłem wcześniej:

interesuje nas to w stopniu podobnym jak pytanie, dlaczego mieszkańcy Księżyca wyrzeźbili w kamieniu ludzką twarz...[8]

– Jak to: żyje? – zmarszczył brwi Angelidis. – Poderżnięto jej gardło, przebito serce, wrzucono do bagna, a zadanie śmierci nadzorowała doskonale znająca ją uczennica... Więc w jaki sposób wiedźma może nadal żyć? Bulgocze sobie gdzieś tam utopiona w błocie?

Van Bohenwald westchnął ostentacyjnie głośno.

– Deirdre, bądź tak łaskawa...

Llatrisant milczała przez chwilę.

– Istnieje pewne znane czarownicom zaklęcie w mowie demonów – odezwała się wreszcie, a Löwefell zauważył, że przemawia, najłagodniej mówiąc, bez entuzjazmu. – Jego działanie polega na tym, że wiedźma zaklina znaną sobie osobę. A kiedy umrze, czy to śmiercią naturalną, czy w nieszczęśliwym wypadku, czy zostanie zamordowana, to cała esencja jej życia zostaje przeniesiona do tej właśnie zaklętej osoby...

– Jak wędrówka duszy – zauważył zamyślony Angelidis.

– Nie! – mocno zaprotestował van Bohenwald. – Nie jak wędrówka duszy, tylko jak pasożyt. Jak wkręcający się w mózg robak, w którym zawarto całą pamięć o innej osobie i który całkowicie niszczy nosiciela. Zostaje tylko skorupa ciała, wszystko inne znika...

– Wieczne życie – szepnęła Nontle.

– Za cenę, której nie warto zapłacić – stwierdziła dobitnie i z goryczą Deirdre.

– Dlaczego nie warto? – zapytał zaraz Angelidis.

– W czasie przeniesienia esencji umarłego człowieka do żywego ciała następuje degeneracja umysłu oraz ducha. Czasami silniejsza, czasami słabsza. To jest zaklęcie służące demonom, nie ludziom. Jesteśmy zbyt słabi, by korzystać z niego bezkarnie.

– Ale przecież nie każdy, kto zna czarną mowę, zna również to zaklęcie, prawda? – spytał Biber. – Ja na przykład znam język demonów, pewnie nie w takim stopniu jak Katrina, lecz jakoś sobie

radzę, a o podobnym zaklęciu nigdy nie słyszałem. Skąd więc pewność, że stara wiedźma umiała dokonać podobnej sztuki?

– Mogła po śmierci wcielić się w każdego – powiedział z namysłem Knabe. – W każdego, z kim spędziła na tyle dużo czasu, by wcześniej rzucić na niego klątwę.

– W Madderdina? – odezwał się Löwefell.

Knabe potrząsnął głową.

– Na pewno nie – rzekł. – Próba rzucenia demonicznego uroku na wyszkolonego inkwizytora byłaby niepotrzebnym utrudnianiem sobie życia. Poza tym nad inkwizytorem cały czas czuwała ta młoda wiedźma. Nie pozwoliłaby na podobny... – przez chwilę szukał słowa – zabieg.

– Chyba że sama należałaby do spisku – poddał Angelidis.

– Nie, z całą pewnością nie należała – odparła Nontle natychmiast i zdecydowanie. – Na tyle znam ludzi, by wiedzieć, że nie zrobiłaby umyślnie niczego przeciwko niemu.

– Poza tym pozwolę sobie zauważyć, że nie istnieje możliwość, bym nie odkrył podobnej zamiany – dorzucił łagodnym tonem Knabe. – Spędziłem z tym młodym człowiekiem kilkanaście tygodni w podróży i chociaż z przyczyn wszystkim doskonale znanych nie był on do końca sobą, to jednak na pewno mogę powiedzieć, że nie był kimś innym.

Van Bohewald skrzywił usta w czymś na kształt uśmiechu.

– Co to znaczy: nie do końca był sobą? – spytał Angelidis. – I jakie to są ogólnie przyczyny, których ja wcale nie znam?

– Wybacz, być może wyraziłem się nieprecyzyjnie – odparł natychmiast Knabe. – Chodzi o to, że otrzymałem polecenie, by wymazać z pamięci tego inkwizytora wszystko, co wydarzyło się na Rusi, jeśli zaistnieje konieczność takiego postępowania.

Löwefell wiedział, że Knabe dysponuje podobną zdolnością, zresztą sam również na tyle znał funkcjonowanie ludzkiego ciała i umysłu, że potrafiłby dokonać tak złożonego zabiegu. Jednak nie wiedział, że poddany mu został Madderdin. Z całą pewnością istniały ku temu poważne powody, gdyż w innym wypadku nie

ryzykowano by narażenia nosiciela Szachor Sefer na niebezpieczeństwo. Bo Knabe mógł być doświadczony niczym wojskowy chirurg, lecz czasami i najlepsi specjaliści się mylą. A w tym wypadku pomyłka mogła wszystkim wiele kosztować.

– Dlaczego tak postąpiliście? – zdumiał się Bizantyjczyk. – Przecież te ruskie wydarzenia niewątpliwie zahartowały go i podniosły jego zdolności. Tym użyteczniejszy mógł stać się tutaj. – Zawahał się na moment. – I tym bardziej mógłby zadbać o własne bezpieczeństwo w razie zajścia niespodziewanych zdarzeń, na czym przecież bardzo nam zależy – dodał.

– Polecono mi wysłuchać jego spowiedzi – wyjaśnił Dietrich. – I samodzielnie zdecydować, czy istnieje niebezpieczeństwo, że cokolwiek, czego nauczył się lub co zobaczył na Rusi, może wyrzucić na niego zły wpływ i spowodować konsekwencje w przyszłości. Uznałem, że tak właśnie się stało, więc pozbawiłem go pamięci, czego jak chciałbym zauważyć i podkreślić, dokonałem niemal bez szwanku dla jego kondycji fizycznej oraz umysłowej.

– Niemal – powtórzył Löwefell.

Knabe rozłożył ręce.

– Pewne nieistotne ślady. Niczym wysypka po oparzeniu pokrzywą.

Löwefell nie zamierzał teraz dopytywać, jakież to ślady Knabe traktuje tak niefrasobliwie, lecz obiecał sobie, że upewni się, czy aby na pewno zabieg nie pozostawił żadnych poważnych ran ani blizn. Zresztą tak naprawdę mogły to być rany czy blizny, których negatywne konsekwencje dadzą się poznać dopiero w przyszłości.

– Chciałbym się dowiedzieć, co takiego tam zobaczył – przerwał im Angelidis. – Czego tak groźnego nauczył się na Rusi, że musieliście go okaleczyć?

– Słowo „okaleczyć” uważam za zdecydowanie zbyt pochopnie użyte – odparł Knabe, tym razem znacznie twardszym tonem niż poprzednio. – Gdyż powtórzę: zachowałem pełną staranność oraz delikatność postępowania.

– Madderdin na Rusi poznał, jak to jest podróżować do nie-świata na wiedźmi sposób. Wygodnie, swobodnie i bez bólu – wyjaśnił van Bohenwald, zwracając się do Bizantyjczyka. – A każdy z was doskonale wie, jakie kuszące możliwości otwiera poznanie tego sposobu. I każdy również wie, jak wygląda ten obrzydliwy rytuał. I poza tym każdy z was wie, jak bardzo byłoby niebezpieczne, gdyby właśnie Madderdin zaczął swobodnie, kiedy chce i bez lęku oraz cierpienia, spacerować po nie-świecie, błyszcząc dla wszystkich wrogich nam kreatur niczym latarnia morska w bezgwiezdną noc.

Löwefell zauważył, że siedząca najbliżej niego Katrina kiwnęła głową. To prawda, że Mordimer Madderdin niosący w sobie Szachor Sefer i wędrujący przez nie-świat przyciągnąłby uwagę zbyt wielu istot, które mogłyby stanowić dla niego śmiertelne niebezpieczeństwo. Teraz kiedy podróżował do nie-świata jedynie w najwyższej konieczności i zagłębiał się w nim jedynie na chwilę, nie groziło mu nic poza ogromnym bólem. Właśnie ten ból zresztą powstrzymywał go od dalszej i głębszej penetracji. Oczywiście sam przebieg rytuału, polegającego na poświęceniu życia innego człowieka i skierowaniu na tego człowieka całego ogromnego cierpienia, by samemu bezpiecznie przemierzać nie-świat, cały ten przebieg nie wzbudzał entuzjazmu inkwizytorów również dlatego, że znali sposoby, które wydawały im się zarówno bardziej estetyczne, jak i bardziej etyczne. Chociaż etyką przejmowano się oczywiście jedynie wtedy, gdy nie stała ona na drodze skuteczności.

– Pomiedzy posiadaniem wiedzy a korzystaniem z niej istnieją solidne drzwi. Wystarczyło je tylko wzmocnić zakazem ze strony Inkwizytorium – stwierdził Bizantyjczyk.

Marius machnął ręką z lekceważeniem.

– Przecież to oczywiste, że nie posłuchały nas. Prędzej czy później uznały, że sytuacja wymaga, aby zakwestionować rozkaz Świętego Officjum. Rzecz jasna, uznały, że życie jakiegoś włóczęgi albo przestępcy jest na tyle nieistotne, że można poświęcić je w imię wyższej konieczności. W czym niewątpliwie miały zresztą rację. – Marius wzruszył ramionami. – A wszystko, co by uczynił,

sprzeciwiając się naszym jednoznacznym rozkazom, oczywiście uczyniłby w imię samodzielności oraz dla większego dobra. – Obrócił ciężki wzrok na Mauretankę. – Nasza towarzyszka doskonale, jak mi nie mam, zna ten szlak myślenia.

– Porównujesz mnie do prostego inkwizytora? – zapytała lodowatym tonem Nontle.

– Koń ma cztery nogi i też się potknie – burknął celowo opryskliwie van Bohenwald.

Mauretanka pokręciła głową.

– Tryskasz mądrością niczym górskie źródło krystaliczną wodą – powiedziała z celowo egzaltowanym podziwem.

Marius uśmiechnął się życzliwie.

– Bóg zapłać za dobre słowo – rzekł.

Katrina zastukała paznokciem w blat stołu.

– Nie wiem, czy wasze spory mają czemuś służyć, czy też prowadzicie je tylko po to, by język nie rozleniwił się w ustach, ale albo przejdziemy do rzeczy, albo przekomarzajcie się sami. – Zatrzymała wzrok na van Bohenwaldzie. – Doskonale wiesz, jak mało mam czasu, Mariusie, i zaczynam podejrzewać, że prośba, abym pojawiła się na tej bezowocnej naradzie, jest jednym z twoich nieznośnych kaprysów lub jedną z twoich nedorzecznych złośliwości.

Marius przez chwilę spoglądał na nią martwym wzrokiem, aż wreszcie westchnął ciężko.

– Zapewniam cię, że ani to kaprys, ani złośliwość – odparł całkiem poważnie. – Serdecznie cię proszę, abyś poświęciła nam jeszcze chwilę swojego czasu, jeśli możesz. Zwłaszcza że nie chciałbym, abyśmy podejmowali bez twojej wiedzy oraz aprobaty jakiegokolwiek decyzje. A śmiem podejrzewać, że takowe zostaną podjęte – dodał.

Katrina skinęła głową.

– Chętnie więc zostanę, skoro uprzejmie uważasz, że moja obecność przysłuży się nam wszystkim – powiedziała.

– No dobrze, wracajmy więc na Ruś – zdecydował van Bohenwald i skrzywił usta. – Przynajmniej przenosząc się do świata opowieści

naszej towarzyszki, gdyż zapewne przez jakiś czas nikomu nie zostanie zaproponowana podróż rzeczywista do tamtego kraju...

Löwefell był pewien, iż nikomu nie umknął zwrot „przez jakiś czas”.

– Zakończyliśmy na tym, że starucha została zabita – uśmiechnął się Marius szeroko. – Istnieją co prawda podejrzenia, że tak nie do końca zabita, w każdym razie wybiegliśmy wtedy w przyszłość tej opowieści. A wracając do chwili, w której wiedźma odezwała się w czarnej mowie... – Obrócił wzrok na Nontle. – Co wydarzyło się wtedy?

Nontle znała język demonów, lecz wiedziała, że każdy w Inkwizytorum, poza może jedną Katriną i poza Dietrichem Knabem, stara się trzymać jak najdalej od tej mowy. Samo słuchanie jej brzmienia, tych słów, które nie były właściwie słowami, lecz kakofonią przerażających, rozdzierających uszy odgłosów, a więc samo słuchanie tej mowy było wystarczająco odrażającym doświadczeniem, by żaden człowiek nie pragnął próbować ze swoich własnych ust wydawać podobnych dźwięków. Kiedy Nontle słyszała tę mowę, wydawało jej się, że świat wokół zmniejszył się w uścisku niczym bijące serce wyrwane z piersi i ściśnięte w silnej garści. Ten świat zdawał się, jak owo bijące serce, zamierać i zastygać, a powietrze zamieniło się w smrodliwą maź kapiącą do ust i do płuc, a człowiek, choć brzydzi się i boi, to jednocześnie wie, że jeśli nie pozwoli, by ta maź cuchnącym strumyczkiem ściekała w głąb jego płuc, to zaraz zacznie się dusić i umrze. Księżniczce wydawało się przez chwilę, jakby przed jej oczami pękła zasłona oddzielająca świat rzeczywisty od nie-świata, jakby na moment znalazła się w tym zdegenerowanym uniwersum, w którym kształty, idee, myśli oraz przedmioty są zaledwie i aż wynaturzonym odbiciem kształtów, idei, myśli oraz przedmiotów pochodzących ze świata rzeczywistego. To był zaledwie błysk, to trwało chwilę tak krótką, jakby śpiący człowiek otworzył oczy, tylko by dostrzec muchę szybko przelatującą przez wątlą aureolę blasku bijącego od gasnącej świeczki. Wrażenie tak ulotne, że nawet nie wiadomo, czy prawdziwe, czy będące zaledwie tworem

zmęczonego umysłu, omamem oczu poddanych naprzemiennej tresurze blasku i mroku. Nontle ujrzała starą wiedźmę jako plamę ciemności, jako kształt zawierający w sobie coś, co wydawało się jednocześnie tkwić w całkowitym bezruchu, lecz w tej samej chwili podlegać nieustannym przemianom, nieustającej gonitwie fantasmagorycznych kształtów. To, co Nontle widziała, czy raczej precyzyjniej mówiąc: dostrzegła przez króciutki moment, sprawiało na niej wrażenie wyjątkowo odrażające. I obce. Tak jakby cały ten kształt uchwycony i spaczony przez degenerację nie-świata był wynaturzony już wcześniej.

– Jaką istotę ci przypominała? – spytała ciekawie Katrina.

Nontle potrząsnęła głową.

– Opowiadam wam o zaledwie wrażeniu, o króciutkim błysku, o ulotnej chwili, w której w oślepiającym blasku błyskawicy dostrzeżliście coś i sami nie wiecie, co to naprawdę było, a w dodatku zdajecie sobie sprawę z wyczerpania oraz słabości własnego umysłu i nie macie pojęcia, czy ten wasz własny umysł przypadkiem nie płata wam figli, przedstawiając fałszywe, wyobrażone obrazy.

– Czyli: nikogo?

Mauretanka rozłożyła ręce.

– Nie przychodzi mi do głowy nic, z czym mogłabym porównać tę wizję – odparła. – Ale nie sądzę, byśmy musieli się tym przejmować. – Wzruszyła ramionami. – Gdyż tak jak mówiłam: byłam osłabiona, otępiała i w dodatku niespodziewanie trafiono mnie tą przeklętą mową, a cała wizja trwała zaledwie ułamek chwili.

– A ta Natasza? Jak ona wyglądała w twojej wizji? – zapytał Biber i po tonie jego głosu można było łatwo poznać, że jest prawdziwie zadowolony.

– Wyglądała dokładnie tak samo jak w rzeczywistości – odparła Nontle. – Oczywiście porównania mogłam dokonać dopiero później. Ale wtedy, leżąc w mojej trumnie i mając ten przebłysk wizji nie-świata, widziałam ją jako szczupłą, jasnowłosą dziewczynę.

I dokładnie tak samo wyglądała, kiedy zobaczyłam ją już na własne oczy, co wydarzyło się jednak nieco później.

Löwefell przypomniawszy sobie, że w splugawionym uniwersum nieświata Katrina wyglądała również tak jak w rzeczywistości. Tak jakby spalenie tak charakterystyczne dla tej domeny w ogóle się jej nie udało.

– Ta mała na pewno nie jest tym samym, co ja – szepnęła Katrina, odwracając głowę w jego stronę.

– Czytasz w moich myślach – odszepnął Löwefell.

Uśmiechnęła się.

– Po prostu znam cię, Arnoldzie – odparła. – Nie ma w tym magii, a jedynie zmysł obserwacji i połączone z nim rozumowanie.

– Co tak sobie szepczecie, gołąbeczki? – Otyły inkwizytor zwrócił w ich stronę nachmurzoną twarz. – Czy temat naszej dyskusji nie interesuje was tak bardzo, byście porzucili wysłuchiwanie opowieści Hildegardy i zajmowali się opowiadaniem sobie krotchwili lub żarcików?

Löwefell nie mógł powstrzymać się od myśli, że Marius przypomina teraz, czy też chce przypominać, surowego bakałarza strofującego niesfornych uczniów. Ale ani van Bohewald nie był bakałarzem, ani oni nie byli jego uczniami.

– Dzielimy się zaledwie spostrzeżeniem, że zachowanie w nieświecie własnej postaci lub postaci niemal identycznej jak własna to niezwykle rzadki przypadek – odparł uprzejmie Löwefell.

– Cóż za błyskotliwe odkrycie, Arnoldzie! – wykrzyknął van Bohewald. – Że też nie mieliśmy o tym do tej pory pojęcia.

Potem przyglądał się jeszcze Löwefellowi przez chwilę z niezadowoleniem, wreszcie pokręcił głową, prychnął z niesmakiem i odwrócił się znowu w stronę Mauretanki.

– A ta trzecia wiedźma? Ta, która później zabiła mistrzynię?

Nontle rozłożyła ręce.

– Nie wiem – odparła szczerze. – Musiała nie wyrzucić na mnie żadnego wrażenia, a w każdym razie nie tak silne, żebym zwróciła na nią uwagę przez tę krótką chwilę.

– Co takiego starucha powiedziała? – zapytała Katrina. – Czy to był urok? Zaklęcie? Czy zwyczajne słowa?

– Jeśli w tej diablej mowie istnieje w ogóle coś takiego jak zwyczajne słowa – zauważył z niesmakiem Biber.

– Nie mam pojęcia – przyznała Nontle. – Nigdy wcześniej nie słyszałam podobnych połączeń i zbitek dźwięków. – Rozłożyła ręce. – Ale ja nie władam płynnie czarną mową. Nigdy zresztą nie twierdziłam, że jest inaczej. Nie lubię ani jej słuchać, ani używać, wolałabym trzymać się od niej z dala. Po prostu sprawy kiedyś tak się potoczyły, że było potrzebne, bym ją poznała. – Wzruszyła ramionami, a Löwefell zauważył, że chyba nie było to przyjemne wspomnienie.

– No tak, jest to jak drapanie długimi paznokciami po suchej, brudnej i chropawej cegle, która kruszy się pod dotykiem palców i jeszcze niemilo przy tym zgrzyta – wzdrygnął się teatralnie van Bohenwald.

Nontle nawet nie spojrzała w jego stronę, a Löwefell był pewien, iż dla niej uczucie towarzyszące słuchaniu diabelskiej mowy musiało być znacznie bardziej przykre.

– Nie wiem zresztą wcale, czy starucha знаła ten język lepiej ode mnie – rzekła wreszcie. – Może po prostu znała inne części tej mowy.

– Mogło tak być – zgodził się Marius.

Nontle była wściekła na siebie, że zareagowała aż tak gwałtownie. Lecz to wszystko stało się poza nią, niezależnie od jej woli. W momencie kiedy starucha zaczęła przemawiać mową demonów, Nontle poczuła się tak, jakby cały świat wokół niej zaciskał się niczym stalowa obręcz. Fizycznie była przecież pozbawiona wzroku oraz możliwości ruchu, lecz słowa wypowiedane przez wiedźmę powodowały nieporównanie większą, bolesną wręcz niewygodę. Oczywiście gdyby Nontle była wolna, gdyby mogła mówić, to poradziłaby sobie zarówno ze staruchą, jak i z owym odrażającym uczuciem całkowitego zniewolenia. No ale sprawy miały się tak, jak się miały, więc niestety, nie była w stanie opanować ataku czegoś, co jak sama przed sobą potem przyznała, musiało być atakiem paniki.

Właśnie paniki w greckim rozumieniu tego słowa, jako bezrozumnego, wszechogarniającego i niemożliwego do pozbycia się strachu[9]. Dawno już nie doświadczyła czegoś tak prymitywnego, bo chociaż zdolność odczuwania lęku zawsze uważała za cenną cechę, cechę pozwalającą uratować zdrowie, wolność czy nawet życie, to przecież strach miał prowadzić do unikania niebezpieczeństw, a nie do nieruchomienia w paraliżu wobec zagrożenia oraz do utraty kontroli nad własnym postępowaniem.

– Naprawdę ciekawe, co ta wiedźma gadała – odezwała się Katrina.

– I ja przyznam, że słuchając tej opowieści, rozochociłem się na tyle, że szturchnąłbym staruchę to tu, to tam, by dowiedzieć się, kim jest, skąd się wzięła i co potrafi – przyznał van Bohenwald, a potem westchnął teatralnie głośno i żałośnie. – Ale nie będzie nam to dane, bo jej ciało gnije w bagnie trzy tysiące mil od granic Cesarstwa.

– Ciekawe jednak, gdzież podziewa się jej umysł – zauważył Angelidis.

– Historia Agu Batara i nasza misja za Kamienie pozwala mi wierzyć w jedno: na świecie jest jeszcze tyle tajemnic. – Biber uśmiechnął się szeroko i z prawdziwym rozmarzeniem. – A my będziemy mogli wszystkie je zgłębiać, badać i odkrywać. Czyż to nie fascynująca perspektywa? Jak dobrze, że nigdy żaden człowiek nie będzie mógł powiedzieć o sobie: odkryłem wszystko, co było do odkrycia, wiem już wszystko!

Löwefell mógł tylko przytaknąć temu twierdzeniu. Przywołana przez Bibera wyprawa za Kamienie i towarzyszące jej wydarzenia ukazały przecież Löwefellowi nowy świat, świat nieznany do tej pory nikomu spośród inkwizytorów. Czy należało więc wykluczać, że Święte Officjum będzie doświadczało podobnych niespodzianek w przyszłości? Na pewno nie! Być może inkwizytorom, którzy przyjdą po nas, nasze zmagania i problemy, nasze pytania bez odpowiedzi, nasze poszukiwania światelka prawdy w ciemnościach kłamstw i fałszerstw będą się wydawały tak nieistotne, banalne, łatwe do rozwiązania. Może ktoś za wiek, dwa lub pięć będzie

przeoglądał Szachor Sefer, wtedy już zapewne całkowicie odartą z tajemnic, i zada sobie pytanie: jak to możliwe, że ci dawni inkwizytorzy nie wpadli na tak oczywiste rozwiązanie? A może zresztą wcale to nie będą jacyś inkwizytorzy z przyszłości, lecz my sami? Może wzbogaceni wiedzą kolejnych wieków, zapytamy sami siebie: jak to możliwe, że żyliśmy w tak poruszającej ignorancji i jednocześnie nie znaleźliśmy dróg, by z tej ignorancji uciec?

– Kiedy zrozumiała, że znam czarną mowę, a po mojej reakcji zrozumieć to oczywiście musiała – kontynuowała Nontle – wtedy stało się dla niej więcej niż jasne, iż mogę stać się ciekawym obiektem badań. Tak więc handel został zaakceptowany przez obie strony.

– A za co sprzedał cię inkwizytor? Co takiego dostał w zamian? – zainteresował się Angelidis.

– Tego dowiedziałam się później – odparła Nontle. – Starucha obiecała mu zagwarantować przysięgę, że miejscowa księżna zaopiekuje się Madderdinem oraz Nataszą nawet za cenę własnego życia.

– Mówisz o wiedźmim rytuale? – wtrąciła Deirdre.

Mauretanka uśmiechnęła się zdawkowo.

– Tak, o tym samym, który zapewne nie raz widziałaś na własne oczy albo i sama odprawiałaś. Krew, cierpienie i pasja cielesnej namiętności. Zręczna wiedźma potrafi losy takich ludzi połączyć i zamknąć w nie-świecie, zagwarantować dotrzymanie przyrzeczeń, gdzie karą za ich złamanie jest śmierć. – Urwała na chwilę. – Długa i bolesna – dodała. – No i bardzo trudno podobny węzeł rozplątać. – Pokiwała głową, a Löwefell był pewien, iż mówiła z własnego doświadczenia. – Wtedy nie wiedziałam, dlaczego mnie sprzedaje, poza tym, że pozbywał się niebezpieczeństwa, czy raczej, mówiąc dokładniej, oddalał je od siebie, oraz zdejmował sobie z głowy kłopot, jakim było dbanie o mnie – kontynuowała Nontle. – W tej samej trumnie, w której byłam zamknięta, poniesiono mnie w samo serce bagien, żebym tam trafiła do wiedźmiej chaty.

Nontle była nadal szczelnie zamknięta oraz unieruchomiona, ale nie przeszkadzało jej to w odczuwaniu całą sobą świata zmieniającego się wokół. A ten świat ulegał przeobrażeniom, im dalej posuwali się w głąb trzęsawisk. W pewnym momencie Mauretanka czuła już wyraźnie wszystkie zaklęcia, jakie utkała starucha, wszystkie ochronne uroki, które unosiły się nad moczarami niczym gęsta, lepka pajęczyna. Nontle widziała te zaklęcia, widziała ich skomplikowaną, wielokrotnie splecioną siatkę, pełną pułapek i zwodniczych labiryntów. Bez trudu zneutralizowałaby je, rozplątała, usunęła z drogi, chcąc przedostać się do siedziby czarownicy, lecz ich trwałe unicestwienie wydawało jej się w tym momencie zadaniem wymagającym nie tylko ogromnej ostrożności, ale też sporej ilości czasu. W każdym razie wiedziała doskonale, że temu, kto wdarłby się na bagna należące do mateczki Olgi, nie byłoby łatwo przeżyć. Zabłyby go nawet nie stróżujące potwory, dla których otwarto bramy nie-świata, lecz ogłupiający strach, który kazałby uciekać w głąb morderczych moczarów, otumaniałyby przerażające wizje zsyłane na umysł, które nie pozwoliłyby odróżnić rzeczywistości od obłądnych fantazmatów.

– Krótko mówiąc, widziałam, że starucha solidnie się postarała – podsumowała Mauretanka. – Gdyby cała armia weszła na jej bagna, to cała armia by na tych bagnach została na wieki wieków.

Marius obrócił spojrzenie na Knabego, a inkwizytor, widząc ten wzrok, skinął głową.

– Nic dodać, nic ująć – rzekł. – Wiedźma mogła czuć się bezpiecznie przed ludźmi i jakimkolwiek ich działaniem.

Löwefell w tej samej chwili pomyślał, że jednak wszelkie środki ostrożności i bezpieczeństwa, jakie podjęła stara wiedźma, w końcowym efekcie na nic się jej nie przydały. Co prawda zamordowana została przez własną uczennicę, ale Dietrich Knabe i jego podwładni do domu wiedźmy również dotarli i wdarli się bez trudu. A czy gdyby starucha żyła, to starcie z każdym inkwizytorem Wewnętrzznego Kręgu zakończyłoby się jej klęską i śmiercią? Niekoniecznie, gdyż byłaby przecież u siebie, otoczona uczennicami

i opleciona ochronnymi zaklęciami. A nie wszyscy inkwizytorzy Wewnętrznego Kręgu byli wyszkoleni w boju, zwłaszcza mogliby być nieprzygotowani do walki ze spadkobierczynią sabatów, od tak dawna już zapomnianych w Cesarstwie. No ale w tym wypadku chodziło o Dietricha Knabego. Jak mogłaby mierzyć się z kimś takim jak on wiedźma, choćby najstarsza i najbardziej doświadczona? Ona swoje mordercze pułapki przygotowała z myślą o inwazji zwykłych śmiertelników, a nie z myślą o zabezpieczeniu się przed inkwizytorami podobnymi do Knabego. Zresztą nawet gdyby wiedziała, że Knabe zmierza w jej stronę, to i tak nie wiedziałaby, jakie podjąć środki obrony. Tak jak mysz zamknięta w klatce z wężem może co najwyżej znieruchomieć i udawać, że wcale jej nie ma.

Im dłużej trwała podróż, tym silniejsze było wrażenie obecności, przejmującej wręcz mocy magicznych sił. Tak jakby cała ta okolica była wielkim magnetytem, wielką wyspą magesową, a oni wszyscy metalowymi opiłkami przyciąganymi w jej stronę z ogromną, niepohamowaną energią. I to, co czuła księżniczka, nie było już odczytywaniem wiedźmiej magii, to była swoista i naturalna właściwość tego miejsca, do którego się zbliżali, to tam było epicentrum owej magicznej siły, emanującej z niepokojąco wielką mocą. I Nontle, pomimo że uwięziona w skrzyni, związana, zakneblowana i pozbawiona wzroku, brudna i brzydząca się zarówno własnego brudu, jak i własnego smrodu, pomimo zagrożenia zdrowia i życia, pomimo tego, że nie mogła mieć pewności, iż wyjdzie cało z opresji i kiedykolwiek opuści te przeklęte bagna położone na końcu świata, a więc pomimo tego wszystkiego Nontle poczuła rozkoszny dreszczyk emocji, tak jak zawsze, kiedy stawiała naprzeciwko drzwi z napisem Tajemnica. A otwarcie owych drzwi i zbadanie, co jest za nimi, zawsze kusilo ją tym bardziej, im groźniejszy ze środka dobywał się warkot i im bardziej nieprzenikniona ciemność za nimi zalegała.

Kiedy przestała już napawać się mocą emanującą z samego miejsca, zobaczyła również, że obecne są tam inne czarownice. Wyraźnie czuła trzy silne postacie, niczym płonące ogniska, a w tym

jedną, która szczególnie ją zainteresowała, oraz sześć malutkich, nierozwiniętych jeszcze płomyczków. Uczennice, pomyślała Mauretanka. Żadna z nich nie jest groźna. Obawiać mogłabym się tylko Nataszy, ale ona nie mieszka ze staruchą. A umysły tych dziewcząt? Prędzej czy później nagnę je tak do swojej woli, by stanęły przeciwko mistrzyni, pomyślała. Oczywiście, jeśli w ogóle podobny zabieg będzie potrzebny i jeśli nie poradzę sobie wcześniej sama.

Löwefell pomyślał, że Mauretance nie brakowało na pewno ani pewności siebie, ani wigoru. Ale cóż się dziwić, w końcu była, kim była, a jej dotychczasowymi przygodami można byłoby obdzielić niejedno ludzkie życie, a i tak każde z tych obdarowanych istnień wydawałoby się fantastycznie pasjonujące.

Wreszcie doszło do tego, do czego dojść musiało, czyli skrzynia z Nontle w środku została ułożona na podłodze, a raczej, co sama Mauretanka boleśnie odczuła, po prostu ciśnięta na tę podłogę. Nontle najpierw uderzyła czołem w wieko, a potem potylicą w dno. Zmiała w ustach przekleństwo, sama rozzłoszczona na siebie za tę reakcję. Wielodniowa niewola połączona z kompletnym bezruchem, z głodem i pragnieniem, ze smrodem oraz przede wszystkim to ciągłe pojenie gorzałką z czarnego żyta spowodowały, iż nerwy księżniczki były napięte niczym naciągnięte postronki. Jednak jeśli chciała żyć, musiała panować nad sobą. Tak drobne niedogodności jak rzucenie na podłogę czy obicie głowy nie mogły w żaden sposób na nią działać. Zwłaszcza że wszystko zdawało się zmierzać ku lepszemu. Przecież dotarły do celu i tutaj, na tym właśnie miejscu, wiedźma coś od niej będzie chciała. A jeśli tak, to musi jej dać pewien zakres swobody. Chociażby zdolność mówienia.

Szczęknięto odmykane wieko, potem ktoś zdjął kaptur z twarzy Nontle i nad Mauretanką ukazała się twarz staruchy. Zasepiona i ponura.

– Jesteś moją rzeczą – oznajmiła wiedźma bez ogródek, bez żadnych wstępów, twardo i opryskliwie. – Należącym do mnie przedmiotem, z którym uczynię, co tylko będę chciała.

Stuknęła Nontle w nos kościstym palcem. Wbrew temu, co można by sądzić o wiedźmach, nie miała brudnych, długich i popękanych paznokci, przypominających szpony dzikiego zwierzęcia. Wręcz przeciwnie, może nie były to zadbane dłonie, ale na pewno dało się na nie spoglądać bez obrzydzenia.

– Teraz wyjmę ci knebel, a jeśli odezwiesz się niepytana albo powiesz coś, co uznam za słowo za dużo, to obetnę ci nos. Rozumiesz? To na początek.

Nontle nie takie groźby słyszała już w życiu, a jakoś udało jej się zachować wszystkie części ciała w całości. Owszem, gdyby była zwykłym człowiekiem, to na pewno miałyby blizny liczniejsze i bardziej widoczne niż w rzeczywistości, bo nie zawsze udawało jej się wyjść z każdej opresji całkiem bez szwanku. Ale i tak najgroźniejszy wypadek spotkał ją nie z rąk człowieka, lecz po ukąszeniu przez kobrę w Indiach. Spotkania z krokodylem ludojadem na brzegach Gangesu i z rozwścieczonym hipopotamem na środku Gambii również nie należały do przyjemnych. No ale ruska wiedźma była na pewno mądrzejsza niż kobra, krokodyl i hipopotam razem wzięte. I Nontle nie zamierzała również wątpić ani w jej bezwzględność, ani w jej okrucieństwo.

– Nie zamierzam ci się sprzeciwić – odpowiedziała bardzo spokojnie. – Poza tym dlaczego miałabym czynić cokolwiek przeciwko tobie albo cokolwiek przed tobą ukrywać? Moje sprawy, moi ludzie i mój kraj, a także moje Inkwizytorium są trzy tysiące mil stąd. W czym możesz nam zaszkodzić, nawet jeśli wyjawię ci znane tylko nam sekrety?

Mateczka Olga przyglądała się jej uważnie, a potem wolno skinęła głową.

– Rozsądne podejście – pochwaliła. – Zobaczymy jednak, na ile szczerze.

Pogładziła stwardniałymi opuszkami palców policzek Nontle.

– Nigdy nie widziałam jeszcze czarnych ludzi – wyznała. – Ale mam księgi, w których ich wymalowano. Maurów takich jak ty. Ale nie byli tacy ładni jak ty.

– Znam maści, mikstury, kremy i eliksiry przywracające urodę. Sprawiają, że skóra staje się jędrna, młoda i rozświecła się blaskiem.

Starucha skrzywiła usta i przeciągnęła po swojej pomarszczonej twarzy.

– Mnie żadne twoje kremy nie pomogą – odrzekła niemal wrogim tonem. – Na to, na co cierpię, na starość, nie ma już żadnego lekarstwa.

– Może kiedyś będzie – powiedziała Nontle z prawdziwą, niekłamaną nadzieją w głosie.

To prawda, pomyślał Löwefell, że przy całej naszej wielkiej wiedzy nie odkryliśmy lekarstwa na starość. Owszem, umiemy zahamować upływ czasu, ale jeśli już się postarzejemy, to nie znamy sposobów, by odmłodzić cudownym sposobem. Chociaż wielu, nie tylko czarowników i wiedźm, ale również zwykłych alchemików, próbowało odnaleźć eliksir młodości i wielu z nich to pragnienie wciągnęło w demoniczną otchłań. Bo przecież demony nie były głupie i wiedziały, co jest obsesyjnym marzeniem ludzi. I w zamian za oddane usługi roztaczały piękne wizje spełnienia owego marzenia. Tymczasem tak naprawdę było ono do spełnienia niemożliwe. Ale kiedyś osiągniemy również to, pomyślał Löwefell. Będziemy potrafili bez wysiłku i bez wielkich kosztów, bez użycia potężnej magii uczynić młodzieńca ze staruszka. Tak się stanie, jeżeli tylko nasz Pan zechce, aby tak się stało, i uzna, że jest to przydatne dla Jego chwały.

Mateczka Olga wyraźnie usłyszała szczerość i zapal w słowach Nontle, więc pokiwała głową.

– Może uda się tobie, może komuś innemu i w innych czasach – rzekła. – Ale teraz... – uniosła palec – nie o tym mowa. Lecz o tym, że jeśli mi się sprzeciwisz, to zamienię twoje piękne liczka w krwawy ochłap, a ciebie samą w szpetne monstrum. Ludzie nie będą mogli spojrzeć na ciebie bez obrzydzenia, a dzieci będą krzyczały ze strachu, kiedy cię zobaczą. Każdy, kto cię ujrzy, będzie się modlił, by w nocy nie przyśniła mu się kreatura taka jak ty. Rozumiesz mnie?

Tym razem starucha uchwyciła w rozczapierzone palce kości policzkowe Mauretanki. Ścisnęła mocno, tak jakby mocowała się z opornym psem, któremu chce się rozewrzeć pysk.

– Dobrze mnie rozumiesz? – Pałające wściekłą, ognistą czerwienią oczy wiedźmy zdawały się wwiercać w umysł Nontle.

– Sądziła, że mnie zastraszy – rzekła Nontle i wzruszyła ramionami. – Mruczała półgębkiem jakieś uroki. Cóż, zupełnie niepotrzebnie, bo i tak bałam się wystarczająco. – Roześmiała się dźwięcznie.

Löwefell mimo woli uśmiechnął się również. Pewność siebie Mauretanki była może czasami denerwująca, jednak zdarzało się również, iż wzbudzała sympatię. Oczywiście, że się bała, samotna i wydana w ręce szalonej wiedźmy. Ale dla mądrego człowieka strach nie jest kamieniem u szyi, lecz szalupą ratunkową. Pozwala zręcznie i szybko oddalić się od źródła zagrożenia. Lub je obejrzyć, zrozumieć i następnie w stosownym czasie pokonać.

– Tak jak mówiłam wcześniej, mogłam wyznać jej wszystko i zdradzić każdą tajemnicę, gdyż i tak nie planowałam zostawić jej przy życiu – ciągnęła Nontle. – Zamierzałam być naprawdę bardzo grzeczna, bardzo miła i bardzo pomocna tak długo, jak tylko będzie trzeba, by uspić czujność starej. By poznać dokładnie wszystkie jej moce i wszystkie sposoby, jakimi się zabezpieczyła. Ale przecież nie zależało mi tylko na tym, by się wyrwać! – Uniosła głowę. – Wchodząc do tego domu, wiedziałam już, że chcę zbadać tajemnicę, jaką skrywa siedziba wiedźmy. Marzyłam, by przenieść się do nieświata i obejrzyć okolicę dokładnie właśnie z jego poziomu. I wiedziałam, że wszystko to będę mogła uczynić, jeśli przed starą wiedźmą stworzę pozory, że zupełnie jej nie zagrażam.

– Wiedźmy nie są tak zupełnie głupie, cokolwiek byś o nich sądziła – wtrąciła Llatrisant zgryźliwie.

– Oczywiście, że nie! – zawołała Mauretanka. – Nie zamierzałam grzeszyć ani pewnością siebie, ani pochopnością. Byłam w jej domu, wśród jej uczennic, otoczona jej magią. Zamierzałam być grzeczna jak krokodyl z zawiązaną paszczą. – Roześmiała się. – Wiecie, że

Madderdin tak o mnie myślał? Jako o krokodylu z zawiązaną paszczą, który jednak kiedyś się uwolni. I wtedy wszyscy będą się mieli z pyszna. – Nontle była naprawdę rozbawiona. – Więc postanowiłam obserwować i przede wszystkim... – Znacząco uniosła smukły palec. – Nauczyć się jak najwięcej.

Potem umilkła i westchnęła z żalem.

– Niestety, jak wiecie, moje plany nie zakończyły się sukcesem. Chociaż mogły. – Obróciła wzrok na Knabego i Löwefellowi wydało się, iż jest to spojrzenie nieudawanie wściekłe oraz pogardliwe.

– Księżniczko, wracajmy do chaty więdmy – poddał van Bohenwald.

Nontle była pieczołowicie pilnowana, ale niczego innego się nie spodziewała. Doskonale wiedziała, że zwłaszcza przez pierwsze dni i tygodnie będzie poddana najściślejszej obserwacji. Ale również doskonale zdawała sobie sprawę, że więdma nie jest głupia. Że sama świetnie zna mechanizm, jaki powoduje niemal każdym człowiekiem, sprawiający, że ludzie zaczynają oswajać się z niebezpieczeństwem, jeśli przebywają z nim na co dzień i nie odnoszą żadnej krzywdy. Wtedy owo niebezpieczeństwo zdaje się im coraz mniej groźne, coraz bardziej zwyczajne, takie całkiem już udomowione, oswojone i okiełznane. A wtedy, pewnego dnia, nieróżniącego się na pozór od setek innych, właśnie to niebezpieczeństwo, tak już niby dobrze poznane i zrozumiane, nagle otwiera zębatą paszczę i mówi: „Ho, ho, nadszedł czas”... A potem jest już dużo bólu i dużo krwi.

Mauretanka nie liczyła, że zostanie uwolniona, i rzeczywiście tak się nie stało. Dostawała jednak jeść i pić do syta i całkiem smacznie (jeśli w ogóle w tej strasznej krainie jakkolwiek potrawę można było nazwać smaczną) oraz wreszcie przestano ją poić wódką z czarnego żyta. Za każdym razem, kiedy starucha ją odwiedzała i wypytywała o różne sprawy, towarzyszyła jej jedna z młodych czarownic. Była to albo rudowłosa dziewczyna o piegowatej twarzy, albo skośnooka, smagła Ugryjka. Ugryjka była mądra i milcząca, za to rudowłosa całkiem wygadana i swobodnie się zachowująca. Nontle od razu wiedziała, iż to właśnie ona jest szalejem, jak więdmy nazywały

podobne dziewczyny. To ona była uzdolniona, błyskotliwa, ale jednocześnie nieprzewidywalna. Jeśli mądrość zwycięży nad pochopnym dążeniem do władzy, to może zostać kimś znaczącym. Natomiast jeśli zatriumfują niecierpliwość oraz szaleństwo, to dziewczyna zniszczy albo siebie, albo wszystkich wokół. Albo, to najbardziej prawdopodobne, uda jej się osiągnąć oba te cele za jednym zamachem.

– Morgana była szalejem – wtrąciła Deirdre Llatrisant. – Ale potrafiła powstrzymać swoją żądzę władzy i swoje szaleństwo tak, by zmierzać ku wyrozumowanym celom, a nie jedynie ku wypełnianiu pasji.

Löwefell wiedział, że Morgana była legendarną, najpotężniejszą czarownicą znanego świata, twórczynią najbardziej złowieszczej sieci sabatów. Ona jako pierwsza próbowała zjednoczyć wszystkie wiedźmy Brytanii pod jednym berłem. Oczywiście: swoim. Ona jako pierwsza chciała też przerwać wyniszczające wojny pomiędzy sabatami, głosiła, iż wszystkie wiedźmy są siostrami i mają współdziałać niczym jedno ramię, trzymające jeden miecz, zarządzane jednym umysłem oraz jednym sercem. Była blisko, naprawdę blisko osiągnięcia celu. Co przyczyniło się najbardziej do jej klęski? Niezłomna wola inkwizytorów? Złoto i wojska Cesarstwa? Zawiść i zdrada innych czarownic? Do tej pory trwały na ten temat dyskusje. Dla Löwefella historia Morgany nie była szczególnie zajmująca, gdyż bardziej interesowały go aktualne problemy Bizancjum i Persji niż to, co się stało z wiedźmą, która zatrzęsała Brytanią kilkaset lat temu. Lecz trudno było oczywiście nie znać tego imienia oraz związanej z postacią barwnej historii.

– To też świadectwo, że tylko od naszej wolnej woli zależy, jaką pójdziemy drogą – stwierdził sentencjonalnie van Bohenwald. – A jak się przekonacie, owa ruda wiedźma skończyła źle. – Zastanawiał się przez chwilę. – Chociaż kto wie czy w sumie nie lepiej jednak niż Morgana...

Löwefell złapał się na myśli, iż nie wie, jak zakończyło się życie Morgany. Czy wielka brytońska czarownica została zabita? Czy

nastąpiło to w bitwie, czy w zamachu? Czy dokonali tego inkwizytorzy, czy jej własne towarzyszki? A może zginęła w wyniku intrygi skruszonych feudałów, zaczynających rozumieć, że od strony Cesarstwa wieje nieokiełznany wiatr politycznych zmian i chcących ten podmuch złapać w żagle? A może uwięziono ją i spalono na stosie lub zmarła w czasie wyczerpujących przesłuchań? Tak czy inaczej, nie było to szczególnie istotne dla losów Inkwizytorium, a zapewne tylko dla historyków spisujących dawne dzieje, zarówno dla pamięci, jak i nauki.

– Gdyby inne szaleje były tak rozumne jak Morgana, nasze zwycięstwo ani nie byłoby tak błyskawiczne, ani tak przekonujące – rzekł z zadumą van Bohenwald i sam do siebie pokiwał głową.

– Zwycięstwo wiary Chrystusa i jego świętego Kościoła nie ulegało jednak nigdy wątpliwości – odezwał się twardo Angelidis.

– Z tym nikt nie będzie się spierał – wzruszył ramionami Marius. – Ale szczerze trzeba przyznać, że nasze zwycięstwo zawdzięczaliśmy nie tylko własnym olśniewającym zaletom, lecz i przytłaczającym wadom naszych wrogów, których to wad owi wrogowie nie potrafili przewyciężyć.

Obrócił wzrok na Löwefella.

– Gdyby nasz perski przyjaciel odzyskał pełnię władz umysłowych oraz pamięć, niechybnie, jak mniemam, potwierdziłby moje słowa. Gdyż sam doskonale by wiedział, że gdyby Persowie byli tylko trochę mniej skłóceni, to przegniły gmach Bizancjum dawno już załamałby się pod ich naporem.

Löwefell w żaden sposób nie zareagował na uwagę Mariusa, natomiast Angelidis machnął tylko ręką.

– Kiedy proponowałem, by osadzić na tronie oddanego nam cesarza, to Święte Oficjum odrzuciło moją propozycję – powiedział z wyraźnym niezadowoleniem w głosie.

Nontle poruszyła się na krześle.

– Czy będziemy jeszcze rozmawiać o Rusi? – zapytała lodowatym tonem. – Bo może nie jestem już wam do niczego potrzebna?

Van Bohenwald skrzywił usta.

– Księżniczko, jesteś wręcz niezbędna, zarówno nam tutaj zgromadzonemu, jak i Świętemu Officjum na całym szerokim świecie – zapewnił żarliwie. – Nie dalej jak dziś mówiłem Arnoldowi, jak niezwykle cenię twoje przymioty umysłu oraz ducha. Czyż nie tak, Arnoldzie? – Ciężki wzrok Mariusa znowu spoczął na Löwefellu.

– Wszyscy je cenimy jak najwyżej – odparł Löwefell, nie odpowiadając wprost na pytanie.

– Księżniczko, jeśli byś raczyła kontynuować – poprosił van Bohenwald wystudiowanie grzecznym tonem.

Nontle przez chwilę przyglądała mu się obojętnym wzrokiem, umoczyła usta w trunku i dopiero potem, odstawwszy kielich na stół, odezwała się.

– Obwąchiwałyśmy się jak dwa psy, które nie wiedzą jeszcze, czy rzucić się sobie do gardeł, czy może jednak wspólnie zapolować – rzekła. – My miałyśmy polować na zdobycz najcenniejszą: na wiedzę. Gdyż ona nie wiedziała tego, co wiedziałam ja, a ja nie wiedziałam tego, co wiedziała ona. Na początku jednak, i to było jasne, to głównie starucha wypytywała mnie o wszystko. I wyobraźcie sobie – Mauretanka uniosła smukły palec – zawsze jedna z dziewcząt pieczołowicie zapisywała moje słowa.

– Umiały więc pisać! Ruskie więdźmy z bagien. No, no, a to piękne i niespodziewane – stwierdził zdziwiony i rozbawiony Biber.

– Nie tylko umiały pisać, lecz miały papier, Barnabo – odparła Nontle pobłaźliwie. – Papier oraz inkaust. Na tej przeklętej dziczy, można powiedzieć, było to tchnienie cywilizowanego świata, kiedy widziałam, jak pilnie notują moje słowa. – Zaśmiała się.

Löwefell wyobraził sobie zgarbioną ruską więdźmę z nachmurzoną, spiętą twarzą, siedzącą obok związanej Nontle. A tuż koło nich młoda czarownica pilnie notująca, co mówią, trzymająca w dłoni gęsie lub łabędzie pióro i przygryzająca usta, by nie porobić kleksów na kartach papieru. Ten obraz był jednocześnie zabawny i nierealny, a przecież dokładnie tak właśnie sprawy mogły wyglądać.

Pewnego dnia Nontle poczuła aż boleśnie tchnienie magii idące gdzieś z głębi bagien. To uczucie objawiło się jak ucisk w skroniach i kołatanie serca. I Nontle od razu wiedziała, że coś, co zbliża się od strony Peczory, jest kimś lub czymś bardzo potężnym. Kimś lub czymś, co wszelkie pułapki oraz bariery, jakie postawiła stara wiedźma na straży swego gospodarstwa, usunęło sobie z drogi bez szczególnego trudu. Mauretanka na początku nie potrafiła nadać nazwy temu źródłu mocy ani stwierdzić, czym ono jest, ale w pewnym momencie jasno zrozumiała, z kim ma do czynienia. Bo każdy utalentowany magicznie człowiek, a Nontle była niewątpliwie utalentowana nadzwyczajnie, rozpoznaje innego utalentowanego magicznie człowieka już na odległość. Tak jak zwykli ludzie pamiętają twarz kogoś, kogo spotkali, po jej cechach charakterystycznych, tak wytrenowany inkwizytor pozna natychmiast osobę używającą zaklęć, jeśli widział ją wcześniej chociaż raz. I dlatego Nontle nawet zdziwiła się, że tak późno zorientowała się, kto przemierza trzęsawiska. Nie wiedziała, co Natasza czyni dokładnie, ale czuła rodzaj niezwyklej swobody i lekkości, z jaką układały się drgnienia magicznej aury, tak jakby wszystko, co robiła ta dziewczyna, stanowiło szybko i elegancko układaną mozaikę z kolorowych szkieł. Później dopiero, dużo później, Nontle zrozumiała, że z dziewczyną jest również inkwizytor. Nie dlatego, iż potrafiłby się tak zręcznie maskować, ale dlatego, że jego blask był niczym tłąca się draska wystawiona w pełnym słońcu. Ten płomyk było ledwo widać.

– Jeśli stara zobaczyła to samo, co i ty, nie była zachwycona siłą własnej uczennicy – wtrącił Biber.

Löwefell w milczeniu zgodził się z tą uwagą. To jasne, że dla gospodarza chroniącego swój dom przemyślnymi zamkami oraz pułapkami jest niepokojące i upokarzające, iż ktoś te zamki bez trudu otwiera, a pułapki lekko omija. W takiej sytuacji zawsze rodzi się pytanie: czy to ja zrobiłem błędy, czy też ten ktoś jest tak mocny, że nawet w najlepszej dyspozycji i najbardziej się wysilając, nie będę w stanie mu dorównać? A jak działało się wtedy? Löwefell był pewien, iż stara, ostrożna czarownica, która tyle lat przeżyła bez szwanku,

nie zaniedbała żadnych środków bezpieczeństwa. To Natasza musiała z niezwykłą swobodą radzić sobie z wszelkimi pułapkami. Jaka szkoda, pomyślał Löwefell, iż sądząc z przebiegu opowieści, nigdy nie dane nam będzie spotkać się z tą niewątpliwie uzdolnioną młodą kobietą. Kto wie jak wielkie postępy uczyniłaby pod czujnym okiem inkwizytorów. Kto wie do jakich doszłaby godności oraz do jakiej władzy. Oczywiście osiągnęłaby je pod jednym warunkiem: gdyby zrozumiała, iż są to wartości całkowicie nieistotne dla kogoś, kto szczerze walczy o sprawę Chrystusa.

– Działo się coś złego – rzekła Nontle. – Wyczuwałam w tym domu poruszenie, wyczuwałam złość, a kiedy Natasza zbliżyła się, to również smutek i... – na chwilę przerwała – rozedrganie. Ten swoisty nastrój przypominający czas, kiedy powietrze jest ciężkie i wilgotne, a niebo zasnuwa się ołowiem. I nie spada jeszcze ani jedna kropla deszczu, nie rodzi się nawet pasemko błyskawic, nie słychać nawet pomruku grzmotu, a świat wokół otula cię niczym nieruchomy całun...

Mówiła tak przekonująco, że Löwefell niemal widział oczami nie wyobraźni, lecz tuż przed sobą to burzowe niebo. I niemal czuł, jak wilgotny oddech z trudem wnika do jego płuc. Jak dusi go i przytłacza ciężar powietrza. I jak niepokojem napawa myśl o chwilach, które nadejdą.

– I wtedy, tuż przed burzą – kontynuowała Mauretanka – wiesz doskonale, że za chwilę cały świat może runąć w otchłań szaleństwa żywiołów, którego nikt już nie zatrzyma. – Umilkła na moment. – Tak właśnie to sobie wtedy wyobrażałam – dodała cicho.

A potem dopowiedziała jeszcze:

– I wiedziałam, że nie chcę być ani w tym domu, ani w jego okolicy, kiedy ten kataklizm się rozpęta. Oczywiście jeśli rzeczywiście się rozpęta, gdyż mieliśmy przecież do czynienia z żywą, myślącą istotą, a nie bezrozumnym żywiołem. Wiedziałam, że dziewczyna wcale nie chce doprowadzić do katastrofy, jednak nie będzie potrafiła zapanować ani nad sobą, ani nad światem...

– Co takiego wydarzyło się w jej życiu, że była aż tak poruszona? – zapytał Angelidis.

– Poruszony to możesz być wtedy, kiedy twojemu koniowi niespodziewanie spadnie podkova – burknęła Nontle. – A ta dziewczyna była kroczącym kataklizmem.

– Jaką więc krzywdę jej wyrządzono?

– Krzywdę – wzruszyła ramionami Nontle, ironicznie powtarzając słowo. – Żadną krzywdę. To ona pozabijała ze swoim inkwizytorem, z naszym inkwizytorem – sprostowała, szyderczo akcentując słowo „naszym” – wszystkich na peczorskim zamku, którzy wpadli im w ręce, razem z wołchem i samą księżną. A potem uciekli.

– Dlaczego mieliby uczynić coś takiego? – zapytał zdumiony Biber.

Nontle tylko wzruszyła ramionami, więc Barnaba przeniósł spojrzenie na Knabego.

– Pomyłka w ocenie faktów – wyjaśnił krótko Knabe.

– Pomyłka w ocenie faktów – powtórzył z zadumą van Bohenwald. – Pomyśleć, że te cztery enigmatyczne słowa wyjaśniają nam czasem genezę nie tylko upadku pojedynczych ludzi, lecz również całych królestw.

Löwefell zrozumiał, że owe słowa nie zostały rzucone ot tak. Bo rzeczywiście w skomplikowanych politycznych układach, jakie panowały na Rusi, nagła śmierć księżnej kontrolującej w imieniu Nowogrodu ważne szlaki handlowe mogła spowodować zawalenie się całej misternej konstrukcji. Ruskie księstwa oraz domeny rządzone przez Mongołów pozostawały w stanie chwiejnej równowagi. Ale tak chwiejnej, że jedno małe szturchnięcie mogło spowodować katastrofalny upadek. Czy jednak z punktu widzenia Świętego Oficjum było się w ogóle czym przejmować? Czy zamieszanie na Rusi miało jakiegokolwiek znaczenie nie tylko dla świętej wiary, ale i Cesarstwa? Löwefellowi wydawało się, że w jakimś stopniu byłoby prawdopodobne, iż ewentualny chaos dotknąłby również polskie królestwo, ale chyba tylko w tym znaczeniu, iż Polacy nabraliby chętki na poszerzenie swoich granic, i tak rozciągniętych na niemal jedną czwartą Europy. Ale przecież

równie prawdopodobne było, jak w przypadku tysięcy podobnych zdarzeń w całej historii świata, że za kilka miesięcy czy lat nikt nawet nie będzie pamiętał o peczorskim dramacie. A imiona jego uczestników rozpląną się w ruskiej mgle znad trzęsawisk. A może ta opowieść i imiona bohaterów przetrwają w trwożnej pamięci ludu? Kim będą wtedy, w tej pamięci, inkwizytor i jego ruska kochanka? Najpewniej potworami. Zresztą, patrząc z punktu widzenia zwykłych ludzi, skądinąd całkiem słuszna będzie taka ocena...

Nontle zrozumiała, iż oto nadarza się wielka szansa ucieczki. Przybycie Nataszy i inkwizytora wywoła na pewno zamieszanie, coś się wydarzy, jakiś dramat, tego Nontle była pewna. Bo chociaż nie umiała spoglądać w przyszłość, by wysnuwać z niej nici zdarzeń wielce prawdopodobnych, prawdopodobnych mniej i niemal całkiem niemożliwych i z nici tych następnie układać skomplikowaną plecionkę możliwych wypadków, to jednak wystarczyła znajomość świata i ludzi, by wiedzieć, że pod beczką z prochem podpalono właśnie lont. Oczywiście może się zdarzyć, iż ten lont zgaśnie po drodze lub zdepcze go czyjaś zdecydowana nie dopuścić do wybuchu stopa. Mauretanka zastanawiała się jednak, czy odejście z niewoli jest dla niej korzystne. Tak, tak, to, co przeciętnemu człowiekowi zdawałoby się łaską niebios, okazało się dla Nontle powodem poważnych rozmyślań. Oczywiście bowiem, że niewola była niewygodna i niebezpieczna, lecz niosła ze sobą szansę poznania tajemnic naprawdę wielkiej czarownicy. Nontle wiedziała, że w Cesarstwie, w Bizancjum czy gdziekolwiek indziej nie ma najmniejszej szansy, by spotkać kogoś, kto stworzył tak długotrwały i silny sabat. Cóż, oczywiście likwidacja sabatów była wielką zasługą inkwizytorów, ale Nontle zawsze żałowała, iż wiedźmom nie zostawiono jakiegoś skrawka lądu, gdzie mogłyby się rządzić same, same rozwijać i gdzie badacze tacy jak Nontle mogliby ten rozwój śledzić, opisywać i analizować.

– Ogród zoologiczny z czarownicami – roześmiał się Angelidis i klasnął. – Nasz cesarz ma taki z krokodylami, hipopotamami, lwami i tygrysami, lecz przyznam, że czarownice to całkiem śmiały

i ciekawy koncept. A jaką część świata oddałabyś im, księżniczko? Brytanię?

Nontle wzruszyła ramionami.

– Nie, oczywiście, że nie Brytanię. Ale może Islandię? Wysłałibyśmy na nią więźniów jako kolonistów i więdźmy, by nimi rządziły. I założyłyby sabat według starych reguł! I zobaczylibyśmy, co z tego wyniknie! Czyż to nie ciekawe? Pasjonujące? – Potoczyła rozplómięnięnym wzrokiem po obecnych.

– Islandia? – wzruszył ramionami Thorwaldson. – Najpierw trzeba byłoby uporać się z tym, co się na niej dzieje. Ale mogliibyśmy im oddać Orkady – uśmiechnął się nieznacznie – albo jeszcze lepiej: Szetlandy.

– Teraz już i tak nie ma na całym świecie, przynajmniej na tym, który znamy, tylu czarownic tak dobrze wyszkolonych i przygotowanych, by założyć prawdziwy sabat – powiedział van Bohewald z nieoczekiwaną nutą smutku w głosie.

Löwefell zrozumiał, z czego wynikał ten żal. Z tęsknoty za dawnymi czasami, za epoką, w której wykuwało się świat niczym sztolnie w dzikiej kopalni. Teraz sztolnie były już wykute, na ich ścianach zawieszono lampy, a na korytarzach ustawiono wygodne ławeczki i ciekawskich zapraszano do zwiedzania. Potwory można było zobaczyć tylko w charakterze trofeów przybitych do murów. I niektórzy dlatego tęsknili za dawnymi czasami. Ale przecież wystarczyło tylko spojrzeć w stronę Persji i okupowanych przez nią krain, by zrozumieć, że właśnie tam będzie kontynuowane wielkie dzieło podboju świata w imię Jezusa. A perscy magowie ognia oraz liczne, wyćwiczone i świetnie uzbrojone perskie armie były czymś o niebo lepszym niż brytońskie czarownice i niesubordynowane, skłonne do zdrady lub ucieczki armie brytońskich feudałów.

Mariusz spojrział nagle na Löwefella, jakby znał i rozumiał tok jego przemyśleń.

– Kiedy nasi śmiertelni wrogowie giną, wtedy ginie również część nas samych – stwierdził z pełną powagi melancholią. – Kiedyś, kiedy przyjdzie odpowiedni czas, i ty to dobrze zrozumiesz, Persie...

– Nie o Persji teraz mówimy – powiedziała Katrina wyraźnie niezadowolonym głosem. – I bardzo bym sobie życzyła, byśmy wrócili na Ruś, jeśli to nie przeszkodzi... – tu obróciła się w stronę Mariusa – twoim docinkom, przytykom czy złośliwościami.

– Ależ, ależ – zawołał Marius, całkiem się rozchmurzając. – Ja sam już pilnie upraszam naszą księżniczkę o kontynuowanie ruskiej historii, gdyż zapewne wszystkich was zjada niepewność co do losów sabatu.

– Aż podskakuję z niecierpliwości, by usłyszeć dalszy ciąg – burknął szyderczo Thorwaldson, a Marius obrzucił go niechętnym spojrzeniem.

– Wahałam się, czy wykorzystać nadarzającą się okazję. – Nontle wróciła do opowieści. – Chociaż wiem doskonale, że niewielu miałoby podobne rozterki. Jednak wiedzcie, że gdybym chciała być bezpieczna, gdybym chciała przez życie zaledwie się prześlizgnąć, to siedziałabym w jakimś przyjemnym pałacu albo w przytulnej bibliotece, a nie włóczyła się po całym świecie.

– Z twoich, jak to nazywasz, włóczęg płynęło dotąd wiele nauk i pożytków – rzekł uprzejmie van Bohenwald. – Dlatego Święte Oficjum do tej pory zawsze wspierało cię w tych ambicjach.

Löwefell po tych słowach zrozumiał, że Nontle może naprawdę mieć spore kłopoty, jeśli Marius zagnie na nią parol. Czy Mauretanka poznała to również? Na razie nic nie wskazywało, by grzeczne zapewnienia Mariusa zadźwięczały dla niej niczym ostrzegawczy dzwonek. A powinny. Słowo „dotąd” było tu bowiem znaczące, tak samo jak sformułowanie „do tej pory”. A to oznaczało również, że sprawy mogą się szybko zmienić, nauki oraz pożytki nie będą już uznawane za istotne, a Inkwizytorium wycofa swoje wsparcie.

– Ta dziewczyna była moimi drzwiami na wolność, ale przecież wiedziałam, że jeśli na tę wolność wyjdę, to jednocześnie zatrzasnę za sobą drzwi sabatu. A tego nie mogłam uczynić! – Nontle uderzyła pięścią w rozwartą dłoń, aż zadźwięczały bransolety na jej nadgarstkach. – Nie chciałam też zabijać starej wiedźmy, póki nie wypatroszę jej ze wszystkich tajemnic, nie wybebeszę z sekretów,

nie wydrę z jej trzewi odpowiedzi na każde pytanie, jakie tylko przyjdzie mi do głowy...

Löwefell wiedział, że wszyscy w komnacie, tak jak i on, czują w tych zdaniach szczerą pasję i najprawdziwsze pożądanie.

– Ale ponieważ swoje życie też lubię i cenię – dokończyła Nontle już spokojnie i z uśmiechem – to postanowiłam, że postaram się uciec z bagien i wykorzystać do tego Nataszę, a potem... – Urwała na chwilę. – A potem namówię księżną Ludmiłę, by poprowadziła zbrojną wyprawę na moczary. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że Ludmiła nie żyje.

– Namówię – powtórzył z przekąsem Biber. – Czy raczej, mówiąc ściślej: zauroczę oraz opętam.

– Nieważne, jakich słów użyjemy. – Nontle machnęła dłonią lekceważąco. – Ważne, że miałabym szansę wtedy albo na porozumienie z pozycji siły, albo na zdobycie tej wiedźmier siedziby i zbadanie jej oraz jej mieszkańek jako moich więźniów.

Löwefell wyobrażał sobie, że taka wyprawa mogłaby się z całą pewnością udać, gdyby Nontle namówiła do udziału w niej również Nataszę. Ale czy bez młodej wiedźmy też zakończyłaby się powodzeniem? Czy Mauretanka, nawet ze swoimi wielkimi zdolnościami i na czele grupy zbrojnych, przedarłaby się przez trzęsawiska? Löwefell miał co do tego wątpliwości, natomiast nie miał ich co do jednego: owa wyprawa kosztowałaby życie wielu poddanych Ludmiły. Löwefell mógłby się założyć, że nad tym aspektem sprawy Nontle nie tylko nie pochyliła się z uwagą. On nawet nie przyszedł jej do głowy.

Nontle odczuwała aż boleśnie obecność Nataszy w domu wiedźmy i czuła również, jak niebezpieczne jest to, co nią teraz kieruje. Poczucie doznanej krzywdy, niesprawiedliwości, zawód, tęsknota, niepewność, wreszcie złość na samą siebie. Wszystkie te kłębiące się w dziewczynie uczucia Nontle widziała niczym rzucone na ścianę rozbryzgi kolorowej farby, które układały się, przelewały, przemieniały i mieniły w coraz szybszym, spazmatycznym tańcu. Jakże chciałabym przyjrzeć jej się przez nie-świat, pomyślała. Nie

w krótkiej jak mgnienie oka wizji, nie przez ulotne wrażenie, błysk tak ulotny, że nawet nie wiadomo, czy prawdziwy. Jakże chciałabym dostrzec, jak ona tam wygląda. Chciałabym ją tam zabrać i zobaczyć, jak sobie w tym uniwersum poradzi i jak to uniwersum zareaguje na nią, jakie drgnienia lub wstrząsy spowoduje jej obecność.

– Widzę, że mamy do czynienia z prawdziwą fascynacją – burknął Biber.

Nontle obróciła na niego spojrzenie, a w jej źrenicach, jak Löwefellowi przez chwilę się wydawało, odbijały się jeszcze migoczące lustra przeszłych wydarzeń.

– Zobaczyłbyś ją na własne oczy, to sam chciałbyś jej dotknąć. – Nontle wyciągnęła przed siebie upierścienioną dłoń. – Poczuć jej umysł, jej serce – dodała z rozmarzeniem, po czym odetchnęła głęboko. – Zrobiłabym wszystko, aby ją obronić...

Wszyscy doskonale rozumieli, że deklaracja Mauretanki nie ma nic wspólnego z uczuciem przyjaźni czy miłości. To było tylko wyznanie kolekcjonera, który zobaczywszy okaz niezwykłego, fascynującego motyla, jest gotów stanąć przeciw każdemu, kto chciałby mu przeszkodzić w złapaniu tego skarbu i włączeniu go do kolekcji.

– Inkwizytor obcował z nią setki razy i nie rozumiał, nie był nawet w stanie pojąć, przed jakim stanął źródłem mocy. Ta zakochana dziewczyna otworzyłaby przed nim bramy, o jakich nie miał nawet pojęcia, że istnieją. – Rozżalona Nontle pokręciła głową. – Nie chodzi o to, że nie wiedział, jak ją poprosić, on nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, że istnieje coś, o co może prosić... Perły przed wieprze, perły przed wieprze... – dodała z rozżaleniem jeszcze większym.

– Zakładam, że ty już byś się odpowiednio zajęła tym źródłem mocy – skwitował złośliwie Angelidis.

Księżniczka spojrzała na niego wrogo.

– Płeć nie ma dla mnie znaczenia w czasie aktu cielesnego obcowania, bo przyjemność można czerpać z każdego towarzystwa – stwierdziła. – Zwłaszcza że kobiety posiadają unikalną zdolność, by

znacznie lepiej rozumieć potrzeby innych kobiet niż wy, mężczyźni.
– Słowo „mężczyźni” zaakcentowała tak, jakby było nieprzyzwoite...

Angelidis uśmiechnął się uprzejmie i skłonił głowę.

– Ale w tym wypadku nie miało to znaczenia jeszcze bardziej – kontynuowała Nontle. – Bo chociaż wiedziałam, że Natasza jest podobno piękna, to jej uroda czy kształty jej ciała, jej urok czy zdolność uprzejmej konwersacji... – tym razem ton Nontle był już ironicznie zjadliwy – nie miały żadnego znaczenia przy tym, jak jaśniał jej umysł.

Nontle podjęła decyzję, że jednak spróbuje uknuć spisek przeciwko starej wiedźmie. Czy bała się konsekwencji? Oczywiście, że tak! Doskonale zdawała sobie sprawę, że mistrzyni sabatu nie żartuje i że ukarze ją naprawdę okrutnie, jeśli tylko przejrzy tę intrygę. I wtedy nie pozwoli Mauretance ani zwyciężyć, ani nawet uciec. Nontle zastanawiała się, czy na jej decyzję oddziałuje fakt, iż jest w upokarzającej i niewygodnej niewoli. Czy gdyby traktowano ją lepiej, bardziej jak towarzysza, a nie niewolnika, więźnia czy zwykły przedmiot, to czy wtedy byłaby bardziej skłonna do współpracy? I odpowiedziała sobie na to pytanie twierdząco. Tak, gdyby otrzymała od staruchy większą wolność, to nie próbowałyby na razie uciekać. Do konfrontacji i tak musiałyby kiedyś dojść, ale Nontle wcale nie przyspieszałyby dramatycznego finału. Wolałyby wpierw pozbierać wszystkie perły, jakie przed nią rozsypano, a dopiero potem poradzić sobie z ich dotychczasową właścicielką. Ale niestety, sprawy miały się tak, jak się miały. Nontle zresztą najbardziej obawiała się jednego: że mateczka Olga wyśle gdzieś Nataszę i jej inkwizytora, gdzieś daleko, w kompletnie nieznanym, niebezpiecznym miejscu, gdzieś, gdzie Nontle nie będzie mogła ich zagarnąć. Mogła też próbować ich zabić, a wtedy sprawy łatwo wymknęłyby się spod kontroli. Nontle nie życzyła sobie ani śmierci młodej Rusinki, ani śmierci inkwizytora. Nie życzyła sobie również, by odesłano ich na nie wiadomo jaki skraj świata. Kto wie co mogłaby wymyślić stara wiedźma? Jakies schronienie wśród dzikich plemion za Kamieniami? A może jeszcze dalej? W każdym razie Nontle nie zamierzała przemierzać świata w poszukiwaniu tej pary,

zważywszy w dodatku, iż w tej chwili miała ich oboje pod ręką. A wcale nie wiadomo było, jak długo ten stan może potrwać, gdyż wiedziała, że mateczka Olga również nie jest jeszcze pewna, co powinna uczynić. I ten brak pewności oraz wywołany nim brak zaufania wszystkich do wszystkich mógł szybko obrócić się w katastrofę.

Nontle spokojnie poczekała, aż dom ucichnie, aż wszyscy w nim położą się na nocny spoczynek. Trzeba było posłuchać inkwizytora i pić mnie gorzałką z czarnego żyta, pomyślała złośliwie o mateczce Oldze, bo teraz odzyskałam już trochę sił i chociaż zakneblowana oraz pozbawiona wzroku i ruchu, nie jestem przynajmniej pozbawiona zdolności myślenia. Mauretanka pogrążyła się w modlitewnej medytacji. Spokojnej, cichej, niepowodującej najmniejszego drgnienia w osnowie rzeczywistości. I po pewnym czasie zobaczyła całą tę chatę, jakby była żywym stworzeniem. Pulsującym organizmem, w którym mieszkańcy stanowili jego części i narządy. Widziała nici zakłęć i aury, choć wszystko to nie było tak wyraźne, jak gdyby przeszła do nie-świata i z jego poziomu przyglądała się domostwu. Jednak na podróż do nie-świata nie mogła sobie pozwolić, gdyż była pewna, iż tak silne działanie dotarłoby do staruchy. Czarownica zapewne nie miałaby żadnych szans w konfrontacji z Nontle, gdyby obie stawały do walki na równych prawach, ale w obecnych warunkach Mauretanka mogłaby opierać się przewadze mateczki równie skutecznie, co rycerz zakopany po szyję w ziemi, wystawiony do walki przeciwko chłopu w podkutych butach. Nontle przyglądała się temu wszystkiemu, co działo się w domu, badała, analizowała i rozmyślała. Im dłużej patrzyła, tym marniej widziała swoje szanse na uczynienie jakiegokolwiek kroku, który mógłby pozostać niedostrzeżony albo przy którym nie obawiałaby się o ryzyko dostrzeżenia. I kiedy już prawie że była zdecydowana, iż na razie powstrzyma się od jakichkolwiek działań, wtedy usłyszała, jak cicho otwierają się drzwi. W zasadzie nawet nie tyle usłyszała, ile poczuła na włosach i policzku delikatne tchnienie powietrza, jego ledwo wyczuwalny powiew. Ale nadal nic nie widziała oczami duszy.

Żadnego drgnienia aury, żadnej nici magii. A przecież w tym domu nie było nikogo, kto by potrafił zamaskować swą prawdziwą naturę przed oczami Nontle. Przynajmniej tak dotąd sądziła, gdyż teraz wszystko zdawało się mówić, że ktoś taki jednak istnieje.

Drzwi zostały zamknięte i Nontle usłyszała cichuteńki stuk ich krawędzi o deskę futryny. Ale nie wydawał się on wiele głośniejszy niż spacer przechodzącego obok pająka. I zaraz potem Nontle, która była zaniepokojona, jeśli nawet nie przestraszona tą wyraźną tajemniczą obecnością, usłyszała szmer kroków i jej nozdrzy dobiegł zapach trawy. Opanowała ją nagła fala ulgi, kiedy zrozumiała, że tajemniczym gościem jest Natasza. I zaraz potem zadała sobie pytanie, czy ta ulga jest aby na pewno uzasadniona i czy odwiedziny Nataszy zwiastują cokolwiek dobrego, czy też wręcz odwrotnie: oznaczają jeszcze większe kłopoty.

Nontle poczuła dotyk palców na twarzy i delikatnie zdjęto jej opaskę otaczającą głowę. W pokoiku było ciemno choć oko wykol, ale Mauretanka nie potrzebowała światła, by widzieć w ciemności. Dlatego też mogła wyraźnie zobaczyć stojącą obok Nataszę. Widziała ją pierwszy raz i zdziwiła się, nie rozumiejąc, co powoduje, iż Natasza uchodzi w Peczorze za piękność. Dziewczyna miała zbyt jasną cerę i zbyt wyblakłe oczy. Owszem, na pewno cechowała ją delikatność rysów, ale właśnie przez to ta twarz sprawiała na Nontle wrażenie, jakby wszystko w młodej wiedźmie było nieco za ostre, pozbawione tej łagodnej miękkości, która powinna charakteryzować naprawdę piękną kobietę. Przydałoby się dziewczęciu przytyć kilka funtów, pomyślała. Nie mogła jednak nie zauważyć, że piersi Rusinki były nawet większe od jej własnych, chociaż ona sama nie miała przecież się czego wstydić.

Natasza usiadła na krawędzi łóżka, do którego przywiązano Mauretankę. Dotknęła jej głowy delikatnym gestem.

– Masz piękne włosy – powiedziała ciepło. – Szkoda, że moje tak się nie kręcą.

Nontle nie mogła odpowiedzieć, lecz uśmiechnęła się. Natasza oczywiście nie mogła dostrzec ruchu jej ust, ale z całą pewnością ten

uśmiech zauważyła w oczach księżniczki.

– Teraz wyjmę ci knebel – zdecydowała Natasza. – A ty będziesz bardzo grzeczna i nie sprawisz mi żadnych kłopotów.

Dziewczyna ukucnęła przy księżniczce i zbliżyła twarz do jej twarzy. Nontle poczuła tym razem już bardzo mocny zapach świeżej trawy i zobaczyła poważne, przejrzyste szare oczy.

– Jeżeli mnie zaatakujesz – ciągnęła spokojnym szeptem Rusinka – będę musiała zrobić ci krzywdę. Nie aby cię ukarać, lecz abyś nie uczyniła niczego podobnego nigdy więcej. – Zawiesiła na chwilę głos, a potem jej oczy pochłodniały. – Rozumiesz, co to znaczy zrobić komuś takiemu jak ty tak wielką krzywdę, żeby naprawdę zaczął się mnie bać? – zapytała wyraźnie.

W głosie czarownicy było coś, co spowodowało, że Nontle aż się wzdrygnęła. I ze zdumieniem oraz złością zrozumiała, że wbrew swojej woli, wbrew rozsądkowi i doświadczeniu boi się tej młodej wiedźmy. Jej determinacji, bezwzględności i... szaleństwa. Skinęła głową w odpowiedzi. Może nawet kompromitująco zbyt szybko. Natasza, widząc ten gest, ostrożnie rozplątała węzeł, a potem wyjęła knebel z ust Nontle.

– Masz piękną skórę – pochwaliła. – Bardzo gładką.

– To nie tylko zasługa samej skóry – odparła Mauretanka, starając się, by jej głos zabrzmiał naturalnie i przyjaźnie. – To zasługa kremów i balsamów, których receptury sama opracowałam, które sama sporządzam i które codziennie wcieram. To one pomagają skórze zachować jędrność, świeżość i blask, by nie wysychała i nie marszczyła się. – Potem się uśmiechnęła. – Ale ty jeszcze nie musisz nic robić. Jesteś młoda i piękna.

– Ty nie jesteś młoda – nie zapytała, lecz stwierdziła Natasza.

– Nie, nie jestem – odparła szczerze Nontle. – Bardzo, bardzo dawno temu zapomniałam, co to znaczy być młodym. Bardzo, bardzo dawno temu zapomniałam również, co to znaczy kogoś kochać. Zwłaszcza tak mocno kochać, jak ty kochasz swojego inkwizytora.

– Czy to niedobrze? – spytała ze smutkiem.

– *To niebezpieczne, Natasza – odparła szczerze Mauretanka. – Sama wiesz, jak bardzo jest to niebezpieczne.*

Dziewczyna skinęła głową i westchnęła. Przez chwilę wydawała się krucha i bezbronna. Mój Boże, pomyślała Nontle, iluż ona ludzi może zniszczyć, zanim przekonają się, że ten urok i bezbronność są tylko zasłoną. Bynajmniej nie żadnego rodzaju mistyfikacją, gdyż ona jest przecież szczerą w tym wdzięku i tej bezbronności. Ale poza nimi kryje się nie tylko moc, lecz całkowita bezwzględność. Niezależnie od tego, jak bardzo będzie dla mnie miła, to jeśli zrobię coś nie po jej myśli, zniszczy mnie. I to w bolesny sposób.

– *On jest ten jedyny – wyznała Natasza.*

W tym głosie był nie tylko smutek, ale również przekonanie o wręcz mistycznej determinacji ich losów, o więzach stworzonych raz na zawsze. Przekonanie tak silne, że Nontle aż poczuła zawrót głowy.

– *O mój Boże – szepnęła tylko bezwiednie.*

Czarownica westchnęła.

– *Uratował mi życie, zawsze o mnie dbał, podarował mi pieska, który mnie kochał... – Głos Nataszy zadrżał, a ona sama zaczęła nagle płakać.*

To jest jeszcze dziewczynka, zrozumiała nagle Nontle z całą jasnością, to jest dziewczynka obdarzona diablo potężną mocą, mądra, przebiegła i okrutna, lecz jednak tylko naiwna dziewczynka. Spragniona wyidealizowanej miłości. Domu, mężczyzny i pieska, którymi będzie mogła się opiekować i których będzie mogła kochać. I którzy ją będą kochali. Wszystko to jej zabrano, a ona wiele odda, by odzyskać może nie dawne życie, lecz by dostać nowe, podobne choć trochę do tego, które tak pokochała.

– *Co się stało z twoim pieskiem? – zapytała z nieudawanym współczuciem, gdyż sama miała dawno, dawno temu własnego lwa i pamiętała, jak bardzo przeżyła jego śmierć, kiedy była w wieku Nataszy.*

– *Zabił go. Taki wołch. To był zły człowiek – odparła zgaszonym głosem.*

Był. Nontle zauważyła, jakiego słowa użyła Natasza. I pomyślała, że o tych, którzy skrzywdzili tę dziewczynę, będzie się zapewne zawsze mówiło w czasie przeszłym.

– Czego chcesz, Natasza? – zapytała wprost Mauretanka. – Czego chcesz od życia?

Rusinka podniosła na nią błyszczące od łez oczy.

– Żeby wszyscy o nas zapomnieli – odpowiedziała bez wahania.

Nontle przez moment poczuła pokusę, by jej to obiecać. Trwało to przez mgnienie oka, zanim zrozumiała, że złożenie podobnie nieszczerzej obietnicy raz na zawsze zniszczyłoby jakąkolwiek szansę na porozumienie. Jeżeli między nią a Nataszą rodziło się lub mogło się narodzić coś na kształt kruchej, delikatnej więzi, to sama idea tej więzi zostałaby unicestwiona kłamstwem.

– Może taką obietnicę ktoś ci kiedyś złoży, ale nikt i nigdy jej nie dotrzyma – odparła zgodnie z prawdą.

Natasza skinęła głową.

– Wszyscy chcą nas wykorzystać – zgodziła się. – Oboje o tym wiemy.

Nontle wiedziała, że mówiąc „oboje”, dziewczyna myśli o swoim inkwizytorze. Sama z kolei wiedziała, że minie jeszcze sporo czasu, zanim będzie mogła spokojnie myśleć o człowieku, który pokonał ją i upokorzył. Który przez wiele dni trzymał ją w drewnianej trumnie, w jej własnych odchodach i wymiocinach. Który poił ją obrzydliwą, śmierdzącą jak potępienie gorzałką z czarnego żyta. Który sprzedał ją i oddał w moc starej ruskiej wiedźmy. I który jeszcze, na domiar upokorzenia, był tak diabło rzeczowy i uprzejmy, kiedy do niej przemawiał!

– Madderdin nie widzi świata poza tobą – powiedziała i zobaczyła, jak twarz dziewczyny rozjaśnia się w promienistym uśmiechu. I wtedy Natasza nawet w oczach Nontle stała się piękna.

– Naprawdę tak myślisz? – zapytała z niewinną nadzieją.

Tak, Nontle naprawdę tak właśnie uważała. Bo to, co uczynił inkwizytor, przerastało o niebo to, co mógłby zrobić mężczyzna znajdujący się po prostu pod urokiem pięknej kobiety, z którą może

zaspokoić pożądanie. To była prawdziwa miłość, na ile oczywiście Nontle mogła to ocenić. Ale żyła już tak długo i tak wiele widziała spraw oraz ludzi, że chyba mogła. Poruszyła palcami, na tyle, na ile pozwalały związane nadgarstki, by dotknąć palców Nataszy.

– Tak właśnie myślę – odparła.

– Też chcesz nas wykorzystać, prawda? – zapytała Natasza, ujmując jej dłoń. – Inaczej byś do mnie nie przemówiła...

– Nie przemawiałam do ciebie! – Nontle chciała wykrzyczeć te słowa, gdyż zrozumiała, że padły ofiarą czyjejs intrygi. Że właśnie wpadły w pułapkę. Ale jednak tylko zaszepotała te słowa. Niemniej była przestraszona.

Natasza uśmiechnęła się leciutko i uspokajającym gestem położyła dłoń na policzku Mauretanki.

– Czułam, że chcesz się ze mną spotkać – wyjaśniła. – Myślałaś o tym, myślałaś o mnie i myślałaś o moim miłym. Tak jakbyś cały czas na mnie patrzyła. Patrzyłaś z nadzieją, prawda? – Szare oczy przyglądały się jej uważnie i chłodno.

Nontle zrozumiała, że weszła właśnie na cienki i śliski lód. Jeżeli źle odmierzy kroki, tafla może się załamać, a ona sama utonie. I to będzie paskudna śmierć.

– Oczywiście, że chcę was wykorzystać – odparła z całkowitą szczerością. – Chcę dzięki wam wrócić do Cesarstwa. I chcę oddać zarówno ciebie, jak i inkwizytora w ręce Świętego Officjum.

Zdecydowała, że na razie nie będzie mówić nic o tym, iż chce zbadać sam sabat. Na to przyjdzie czas potem, kiedy będzie już wolna i kiedy będzie mogła negocjować z innej pozycji niż pozycja związanego więźnia błagającego o uwolnienie. Natasza skinęła głową i nawet się uśmiechnęła.

– Oczywiście, że chcesz nas wykorzystać – odparła. – Ale powiedz w takim razie, jaki dla nas będzie pożytek z uwolnienia ciebie?

– Ofiaruję wam opiekę – rzekła uroczyście Nontle. – W imieniu Świętego Officjum własnym życiem zagwarantuję wasze bezpieczeństwo. Twojego inkwizytora zostawię w spokoju, gdyż jest dla nas zbyt cenny, a co do ciebie...

– *Dlaczego jest dla was taki cenny?* – przerwała jej natychmiast Natasza.

– *Zakłęto w nim jedną z najbardziej tajemniczych magicznych ksiąg świata – odparła poważnie Nontle. – I nikt nie wie, w jaki sposób tę księgę z niego wydostać.*

– Powiedziałaś tej małej ruskiej wiedźmie o Szachor Sefer?! – niemal krzyknął oburzony Angelidis. – Jak mogłaś uczynić coś podobnie nierozważnego?

– Wolałabym, aby mojej opowieści nie przerywano wybuchami bezrozumnej złości – zauważyła lodowatym tonem Mauretanka.

Bizantyjczyk rozłożył tylko ręce.

– Mogę nie przerywać, ale to niepojęte. Nie-po-ję-te! To po to trzymamy wszystko w głębokim sekrecie, po to mylimy ślady, udajemy, że wcale nas ten inkwizytor aż tak bardzo nie obchodzi, by teraz dowiadywać się, że nawet na dalekiej Rusi jakieś byle wiejskie wiedźmy wiedzą, jaką i gdzie ukrywamy tajemnicę?

Nontle tylko wydeła usta i wzruszyła ramionami.

– Owa Rusinka i tak już nie żyje, więc wszystko jedno, czego się ode mnie dowiedziała – rzekła. – A byłam w takiej sytuacji, w której nie zamierzałam kłamać.

– Dobrze, dobrze. – Marius uniósł dłonie. – Kontynuuj opowieść, proszę.

– *Księgę?* – W głosie Nataszy słychać było zdziwienie, chyba z domieszką rozczarowania. – *Co to za księga?* – dodała.

– *Nikt nie potrafi jej odczytać w odpowiedni sposób. Jest niezwykle skomplikowanym szyfrem, zagadką o ogromnym stopniu złożoności, węzłem gordyjskim, który nie tylko nie wiadomo, jak rozplątać, ale nawet nie wiadomo, gdzie szukać końca nici albo czy te nici w ogóle gdziekolwiek się znajdują. Nad tajemnicą Szachor Sefer głowiły się największe umysły całego świata. Persowie, Bizantyjczycy, inkwizytorzy w Cesarstwie. Nie wiemy nawet tak naprawdę, do czego ta księga służy.*

– *Być może do niczego* – zauważyła Natasza.

Biber, słuchający uważnie tej opowieści, zaśmiał się w tym momencie.

– Mądra mała – skwitował.

– To prawda – przyznała Nontle. – Przecież i my wiele razy spotykaliśmy się z podejrzeniami, że Szachor Sefer jest jedynie pułapką dla naszych umysłów, przygotowaną z niesłychanym sprytem i precyzją, ale całkowicie bezwartościową jako źródło wiedzy. Żartem z nas i z naszych zdolności.

– Wracajmy do czarownicy – zdecydował van Bohenwald. – Szachor Sefer na razie i wyjątkowo nas nie interesuje, chociaż ja sam jestem jak najdalszy od okazywania lekceważenia temu dziełu i jego twórcy lub twórcom.

– *Istnieje wiele teorii. Są tacy, którzy mówią, że to księga, którą zostawił nam Bóg i która jest sprawdzianem naszych zdolności. Kiedy rozwiążemy jej tajemnicę, wtedy Bóg uzna, iż jesteśmy godni, by przemienić nasz świat.*

– *Przemienił?*

– *Z obrzydliwej poczwarki w pięknego motyla* – rzekła Nontle.

Natasza skinęła głową na znak, że rozumie.

– *Ale z kolei inni uważają, że Szachor Sefer to księga demonów i kiedy jej sekret zostanie ujawniony, to otworzą się wrota prowadzące do demonicznych dziedzin i cały nasz świat zostanie zalany hordami z piekła. Wtedy też ludzkość zginie w wielkiej wojnie. A w finale tej wojny my, inkwizytorzy, wydamy ostatnie tchnienie, broniąc do samego końca klasztoru w Amszilas.*

– *Bardzo to heroiczne* – zauważyła niewinnie Natasza.

Nontle odpowiedziała jej uśmiechem, gdyż uwaga dziewczyny nie tylko ją rozbawiła, ale w sumie wydała się całkiem słuszna.

– *Dla równowagi dodam, że inni uważają, że hordy demonów rzeczywiście zaleją świat, ale tylko po to, byśmy je pokonali, a w ogniu walki wykuł się nowy rodzaj człowieka.* – Nontle westchnęła. – *Koncepcji są dziesiątki. Powiedz mi jednak, Natasza, czy możemy tak spokojnie rozmawiać? Czy wiedźma się nie obudzi?*

Rusinka potrząsnęła głową.

– *Mateczka smacznie śpi, ale nie śni bynajmniej zbyt pięknych snów, żeby nie wydało się to podejrzanе – odparła.*

Nontle pomyślała, że dziewczyna, która sprowadziła tak łatwo sen na swoją mistrzynię, musi naprawdę nie tylko być utalentowana, ale wydać się bardzo niebezpieczna samej mistrzyni. I wiedziała, że mateczka Olga, nawet jeśli tego nie rozumiała do tej pory, to świetnie to zrozumie teraz. Lecz pytanie również brzmiało, czy przypadkiem nie igra z nimi obiema? Czy nie przycziła się w swojej norze, czekając, co wymyślą, jaki spisek, jaką intrygę utkają: jej więzień i jej najzdolniejsza uczennica. Może wcale nie spała, pogrążona w smacznym śnie, jak wyobrażała sobie to Natasza, lecz czuwała niczym stary pająk? Pająk, który sprawia wrażenie zeschniętej gałązki, póki nie ruszy do ataku i nie okaże się, że ani nie jest gałązką, ani nie jest zeschnięty. Tylko wtedy dla jego ofiar jest już za późno.

– *Czyli właśnie to mateczka Olga zobaczyła w moim miłym – powiedziała zamyślona Natasza.*

– *Co zobaczyła mateczka Olga?*

Dziewczyna potrząsnęła głową.

– *Nie wiem do końca. Mówiła, że chciałyby go rozciąć, wypatroszyć i wybebeszyć. W jej oczach, w jej umyśle był taki... głód. Jakby całkowicie odbierający rozum.*

– *No proszę! Czyli starej ruskiej wiedźmie przydarzyło się dokładnie to samo, co uczonej Hildegardzie Reizend – rzucił kąśliwie Biber. – Żądza poznania sekretu odebrała jej rozum.*

Nontle chciała coś odpowiedzieć, ale van Bohewald uniósł dłoń.

– *Proszę, mów dalej, Hildegardo. A ty, Barnabo, bądź łaskaw zostawić swoje uwagi dla siebie, jeśli nie wnoszą do naszej dyskusji niczego poza czczą złośliwością.*

Mauretanka była pewna, że w tamtej właśnie chwili Madderdinowi groziło przerażające wręcz niebezpieczeństwo. I tylko determinacja zakochanej dziewczyny wybawiła go z opresji. A kto wie czy nie przysłużyła się również całemu światu.

– *Zrobiłaby mu krzywdę, gdyby nie ty – powiedziała, patrząc Nataszy prosto w oczy. – Wydaje mi się, że wtedy uratowałaś mu*

życie.

– *Może i tak – zgodziła się Rusinka. – Jest mocny, ale mateczce nie dałby rady. – Zastanawiała się przez chwilę. – Ani wtedy, ani dzisiaj.*

– *A ty, Natasza? Dałabyś?*

Dziewczyna zerknęła na nią i uśmiechnęła się.

– *Na pewno mnie do tego nie namówisz – powiedziała, a jej oczy przez moment błysnęły głęboką, ognistą czerwienią. – Chociaż jeśli trzeba będzie się bronić, to na pewno nie nadstawię drugiego policzka.*

– *Dobrze – rzekła Nontle. – Tak więc, jak mówiłam, twój inkwizytor może czuć się z nami bezpieczny. Jest w końcu jednym z nas, tym cenniejszym, że nosi w sobie wartościowy sekret. A co do ciebie, to z całą pewnością bez trudu przekonam ich, że będziesz znacznie bardziej pożyteczna jako nasz stronnik niż jako popiół pod stosem. Lub jako więzień – dodała po chwili.*

– *I tak zostaniemy więźniami – stwierdziła Natasza, spoglądając uważnie na Nontle.*

– *A czyż tutaj, w Peczorze, nie jesteście więźniami? I czy jest w ogóle jakiekolwiek miejsce na ziemi, gdzie człowiek będący w takiej sytuacji jak wasza mógłby powiedzieć: jestem całkowicie wolny i nic mi nie zagraża? – Mauretanka umilkła na chwilę. – Inkwizytorium ofiaruje wam opiekę i ochronę, ale wszystko ma swoją cenę. – Odetchnęła i ciągnęła bardzo poważnym głosem: – Natasza, musisz pojąć jedno: w Świętym Officjum, wśród jego najpotężniejszych członków, jest wielu ludzi, którzy kiedyś, dawno temu, byli zupełnie kimś innym. Rozumiesz?*

Rusinka zmrużyła oczy.

– *Na przykład wiedźmami?*

– *Wiedźmami, magami, czarnoksiężnikami, szamanami, druidami, kapłanami, nekromantami, wieszczami, zercami czy augurami. Wszyscy oni walczyli kiedyś z Chrystusem, by teraz być Jego najwierniejszymi uczniami i orędownikami.*

– *Ja wierzę w Chrystusa – odparła Natasza.*

– *Więc tym łatwiej będzie ci żyć wśród nas – stwierdziła z przekonaniem Nontle.*

Natasza nie odzywała się przez chwilę.

– A ty? Byłaś afrykańską wiedźmą?

W głosie dziewczyny nie było żadnej złośliwości, żadnej kpiny, a tylko czysta, dziecinna wręcz ciekawość, tak niewinna, że Mauretanka aż się uśmiechnęła.

– Nie – powiedziała. – Byłam córką króla. Jedną z wielu córek, ale ulubioną. Kiedy ojciec umarł, wysłano mnie do Cesarstwa, abym poznała świat. I tam odnaleźli mnie inkwizytorzy. Oni zobaczyli we mnie coś, co uznali, że może stać się przydatne w walce w obronie Chrystusa.

Natasza skinęła głową, a potem myślała przez chwilę.

– Czy gdybym zgodziła się ci pomóc, czy poznałabym wtedy magię inkwizytorów? – spytała wreszcie.

Nontle pokręciła głową.

– Nie wiem, czego zechcą ci uczyć i w jaki sposób. Nie do końca też rozumiem, co masz na myśli, mówiąc: magia inkwizytorów. Jeśli chcesz wiedzieć, czy będziesz potrafiła robić to, co twój inkwizytor, odpowiedź brzmi: tak. I dużo, dużo więcej.

Dziewczyna uśmiechnęła się, zaraz potem jednak spoważniała.

– Ktoś powiedział, że jestem jak głodna niedźwiedzica, która krąży po lesie. Myślisz, że to prawda?

Mauretanka pokręciła głową.

– Jesteś jak burza, Natasza. Jak wiosenna burza z grzmotami, wiatrem, błyskawicami i ulewą. To niebezpieczne i dla twoich wrogów, i dla twoich przyjaciół. I dla ciebie samej. Inkwizytorium nauczy cię bezpiecznie korzystać z twojej własnej siły.

Natasza skinęła głową.

– Nie wiesz, co się stało w Peczorze, prawda? – zapytała.

Nontle pokręciła głową.

– Księżna zginęła, a my musieliśmy uciekać – wyjaśniła Natasza.

– Zginęła? Cóż się wydarzyło?

Czarownica westchnęła naprawdę żałośnie.

– To ja ją zabiłam. Ale wcale tego nie chciałam zrobić... Przecież ja ją nawet całkiem lubiłam, a i świetnie wiedziałam, że jest nam

potrzebna. Ale... – Wzruszyła ramionami i westchnęła powtórnie. – Po prostu stało się...

Ach, więc tak zaczęła się katastrofa, którą Nontle przeczuwała. Śmierć Ludmiły mogła mieć konsekwencje nie tylko dla nich wszystkich tutaj, w chacie wiedźmy, ale dla wszystkich mieszkańców Peczory, a kto wie, może i dla całej Rusi. To jednak na razie nie mogło zajmować myśli Nontle, musiała skupić się na tym, co tutaj i teraz. Wiedziała, że nie może okazać zdenerwowania przedłużającą się rozmową, lecz wiedziała również, że upływający czas jest jej wrogiem. Jeśli stara wiedźma się obudzi pomimo łagodnych, spokojnych snów, jakie zesłała na nią Natasza, to obie będą miały się z pyszna. Bo przecież tutaj, pośród zaklęć utkanych przez mateczkę Olgę, Nontle miałyby znikome szanse, by się jej skutecznie przeciwstawić. Pewnie z pomocą Nataszy by się to udało, ale nikt nie mógł jednak przewidzieć, po czyjej stronie stanęłaby Natasza w wypadku takiego konfliktu.

– Wypisałaś na swoim inkwizytorze piękne runy – pochwaliła Nontle. – Mocne, ale z mocą tak ukrytą, że przekonałam się o niej, dopiero kiedy o mało mnie nie zabiły.

– Sprawy dzieją się czasami same, wiesz?

Nontle zmrużyła oczy.

– Chyba nie rozumiem, co masz na myśli.

Natasza milczała dłuższą chwilę, potem odgarnęła włosy z czoła.

– To tak, jakbyś miała kubek pełen wody, a okazuje się, że i napiłaś się do syta, i wykapałaś. A kiedy patrzysz do kubka, to okazuje się...

– ...że jest nadal pełny – szepnęła Nontle.

Natasza potrząsnęła głową.

– Że jest w nim więcej wody, niż było na początku... – odparła.

– Naprawdę tak powiedziała? – przerwał opowieść zaskoczony Barnaba Biber. – Naprawdę użyła tych właśnie słów?

– Nie, tak sobie wymyślam – odparła kąśliwym tonem Nontle, niezadowolona, że jej przeszkadzono.

– A co znalazłeś w tych słowach nadzwyczajnego? – zapytał z ciekawym van Bohlenwald.

– Dokładnie takiego sformułowania użyła młoda Morgana w swoich pamiętnikach. Dokładnie takiego!

– Młoda Morgana? – zagadnął Angelidis. – Chodzi ci o tę Morgane?
– Löwefell wyraźnie usłyszał, iż słowo „tę” zostało wypowiedziane z takim naciskiem, jakby wymówiono je wielkimi literami. Albo nawet bardzo wielkimi literami.

– Właśnie tak – przyznał Biber.

Nontle wzruszyła ramionami.

– Nie wiedziałam o tym, nie znałam tych słów, ale porównanie mnie uderzyło, gdyż świadczyło, że moc dziewczyny nie tylko raptownie rośnie, lecz że ona świetnie zdaje sobie z tego sprawę. Zresztą potem powiedziała mi również, że ten wołch, ten, który zabił jej psa, otóż ten wołch ją najpierw pokonał...

– Tak właśnie są szkoleni – pokiwał głową Biber.

– Ale powiedziała, że teraz nie dałby już jej rady – mówiła dalej Nontle. – Że w jednej chwili zobaczyła jak na dłoni wszystkie pułapki, wszystkie sposoby, jakich użył. I że zrozumiała, jak je ominąć, jak sobie z nimi poradzić...

Przez chwilę w komnacie panowało milczenie.

– Jeśli mówiła prawdę – odezwał się wreszcie Biber.

– Była bardzo szczerą – odparła Nontle. – Może wydać wam się dziwne to określenie, skoro mowa o czarownicy, ale sprawiała wrażenie niewinnej i prostolinijnej. – Milczała chwilę. – W jakiś sposób zagubionej – dodała.

– Z pewnych powodów, o których będzie mowa później, wiem, że mówiła prawdę – stwierdził zdecydowanie van Bohenwald.

– Szkoda, naprawdę szkoda, że takiej utalentowanej młodej kobiety nie zdołaliśmy sprowadzić do Amszilas – westchnął szczerze Biber.

Nontle rozłożyła ręce.

– Zrobiłam, co w mojej mocy. Wierzcie mi, że zależało mi najpierw głównie na tym, by wydostać się z pułapki, gdyż niewola u starej wiedźmy mogła się okazać niebezpieczna, potem jednak coraz bardziej chciałam mieć tę małą Rusinkę.

Löwefellowi, a i zapewne nikomu innemu w komnacie nie umknęło słowo „mieć”, którego użyła Mauretanka. Ale nikogo też zapewne ono nie zdziwiło.

– Ale sprawy nie potoczyły się tak, jak potoczyć się powinny – poddał van Bohenwald.

Nontle westchnęła.

– Niestety nie – odparła.

A potem kontynuowała opowieść.

– *Mój miły opowiadał mateczce, co zdarzyło się między wami – powiedziała Natasza smutnym tonem, a Nontle nagle poczuła, jak lodowy sopel skuwa jej kręgosłup od krzyża po kark. – Co zdarzało się między wami – dodała z jeszcze większą goryczą. – Bo to przecież działo się często, prawda? Między nim a tobą. – Spojrzenie szarych oczu Nataszy sięgało w głąb Nontle. I było to spojrzenie nie tyle nawet lodowate, co obce. Tak jakby wszystko, co powiedziały sobie do tej pory, i cała delikatna więź, która zdawała się między nimi powstawać, jakby wszystko to zostało w jednej chwili zapomniane.*

– *Nie znał cię jeszcze wtedy, nawet nie wiedział o twoim istnieniu – szepnęła odrętwiała ze strachu Mauretanka.*

Natasza pokiwała głową, a kiedy znów spojrzała na księżniczkę, jej wzrok już nie był tak obcy jak jeszcze przed momentem. Ale nadal ostrożny.

– *To prawda, że wtedy mnie jeszcze nie znał – zgodziła się i ujęła dłoń Nontle w swoją. – Więc nie mogę obwiniać ani jego, ani ciebie – dodała wielkodusznie.*

A potem wzruszyła ramionami.

– *Zresztą on i tak woli mnie – dorzuciła.*

Uspokojona Nontle roześmiała się cicho.

– *Natasza, on całą mnie oddałby za jeden twój oddech – wyznała z tak bezwzględną szczerością i tak kompletnie bez intencji zdobycia kłamstwem względów Rusinki, że dziewczyna odpowiedziała jej najpierw nieśmiałym i niepewnym, a potem promiennym uśmiechem.*

– *Ty jesteś tak piękna, że możesz mieć każdego na świecie, którego tylko zechcesz – powiedziała Natasza lekko i uprzejmie. – A ja mam*

tylko jego jednego – dodała już z powagą. – I tylko na nim jednym mi zależy. Wiesz, co powiedziałam rok temu mateczce? Powiedziałam: odbierz mi go, a spalę cię na popiół.

– I co ona na to? – całkiem szczerze zainteresowała się Nontle, bo więdźmy nie tolerowały i nie cierpiały, kiedy ta młodsza i mniej doświadczone ośmielała się im grozić.

Natasza wzruszyła ramionami.

– Cofnęła się – rzekła.

– Dzielna dziewczyna – pochwaliła Llatrisant, kiwając głową.

– Zakochana – westchnęła Nontle, jakby to słowo tłumaczyło wszystko.

– Jak to zrobimy? – zapytała Natasza i Nontle zrozumiała, że zmierzają wreszcie do sedna sprawy.

Uścisnęła palce Rusinki.

– Obudź swojego inkwizytora i wyprowadź nas z bagien. Przejmę władzę w Peczorze i potem już wspólnie zdecydujemy, co dalej.

– Przejmiesz władzę w Peczorze? – powtórzyła Natasza.

– To właśnie umiem: manipulować ludźmi – odparła szczerze Nontle.

– I co dalej, nawet jeśli ci się to uda? Jak przedrzemy się przez cały Nowogród?

Mauretanka myślała już o tym przedtem i wiedziała, że Nowogród stanowi dla nich wszystkich barierę nie do przebycia. Nie wydadzą się z księstwa należącego do wielkiego księcia Włodzimierza.

– Pójdziemy przez Moskwę – rzekła Nontle. – Albo dookoła, przez Jugrę, żeby dojść do Krymu i poprosić o azyl Polaków.

Nontle wiedziała, że ten drugi pomysł, pomysł długiej podróży przez dzikie kraje, jest więcej niż niebezpieczny. Ale wiedziała też, że tak naprawdę będzie chciała przekonać zarówno Nataszę, jak i Madderdina, by na razie zaatakować gospodarstwo więdźmy i przejąć sabat. Przecież mogliby przez pewien czas pędzić na bagnach całkiem bezpieczne i wygodne życie, dopóki Nontle nie poznałaby wszystkich tajemnic staruchy. A potem dopiero zdecydowałiby, co robić dalej.

– Natasza, pozwól, że nad tym zastanowimy się później – poprosiła.
– Teraz najważniejsze jest, byśmy wszyscy, we trójkę, wydostali się z bagien.

Dziewczyna milczała chwilę.

– Mój miły nie da rady – powiedziała wreszcie. – Mateczka go dostrzeże. On nie potrafi tak ukryć, tak schować swojej mocy jak ty. Nie ma jej tak dużej, ale wystarczy, by ją obudzić.

– Uśpij ją mocniej.

Rusinka potrząsnęła głową.

– To nie takie proste – rzekła, a potem zacisnęła usta. – Nie mogę zostawić go samego, bo mateczka go zabije. A jak spróbuję wyjść i z nim, i z tobą, to nas dopadnie i mi nie pozwoli. Musiałabym z nią walczyć – westchnęła.

– Może to jest właściwe wyjście? – poddała delikatnie Nontle. – Jeśli mnie uwolnisz, wierz mi, że będę cennym i wiernym sprzymierzeńcem. Zaręczam ci, że chociaż może na to nie wygląda, kiedy leżę związana, potrafię wiele rzeczy, które mogą okazać się dla ciebie bardzo pomocne...

Natasza poruszyła nerwowo ramionami.

– Nie chcę walczyć z mateczką. Nie chcę jej zabijać.

– Przecież możesz ją tylko obezwładnić – poddała Nontle. – Czyż nie?

Rusinka nagle się uśmiechnęła.

– Nie wiesz za wiele o czarownicach, prawda?

Nontle wiedziała, że dziewczyna nie ma racji, ale rozumiała też, że jej nie przekona. Nie tutaj, nie teraz i nie w tak krótkim czasie. Dlatego zdecydowała, że zgodzi się na wszystko, co zaproponuje Natasza. Aby tylko odzyskać wolność.

– To ty nie miałaś racji – odezwała się Llatrisant. – Ta Rusinka dobrze oceniła sytuację. Mogła tylko zabić mistrzynię, nic poza tym. Dopóki mistrzyni żyła, wszystkie inne czarownice stanęłyby po jej stronie. – Umilkła na chwilę. – Zapewne oprócz szaleju, ale to by jeszcze tylko skomplikowało sprawy – dodała. – Tak czy inaczej –

kontynuowała Llatrisant – dziewczyna chciała ocalić sabat, a poza tym miała wyraźną słabość do mistrzyni...

– Rozumiała, że jeśli mistrzyni nie przeżyje, wtedy władzę obejmie szalejąca, a to najprawdopodobniej doprowadzi do zagłady wszystkich – rzekł Biber.

– Lubiała dzieci, prawda? – zapytała nagle Llatrisant.

– Tak, lubiała dzieci – odparł Knabe, chociaż to nie do niego skierowano pytanie.

– Tak sądziłam. – Deirdre skinęła głową. – Bała się o te najmłodsze uczennice.

– Wszystko to pomioty Szatana – burknął Angelidis.

– Nie mówimy o twoich uczuciach, ale o uczuciach tej Rusinki – odparowała lodowatym tonem Llatrisant.

– Miały sześć, siedem lat – wytłumaczył Knabe. – Natasza znała je wszystkie od maleńkości. Wiem z zeznań Madderdina, że była do nich bardzo przywiązana.

– Co z nimi zrobiłeś?

– A co miałem zrobić? – zdziwił się Knabe. – Kazałem je powiesić i ciała wrzucić do studni.

– I bardzo słusznie postąpiłeś – wtrącił van Bohenwald. – W jedyny możliwy w tamtej sytuacji sposób.

– Inkwizytor prosił, żebym je wypuścił do domów – przypomniał sobie Knabe z lekkim uśmiechem. – Tłumaczył mi, że to są tylko dzieci, które porwała zła czarownica.

Nawet Deirdre Llatrisant skrzywiła usta, słysząc te słowa, a Angelidis całkiem wprost się roześmiał.

– Nie ma się co dziwić – uniósł dłoń Marius. – Zważcie, że obecnie inkwizytorów nie uczy się o sabatach, bo i po co, skoro sabatów od dawna nie ma?

Tak właśnie było i Löwefell również wiedział, że nad kwestiami sabatów prześlizgiwano się i zajmowano się nimi o tyle, o ile łączyły się z obecnie działającymi wiedźmami czy czarownikami. A więc Madderdin nie zdawał sobie sprawy z tego, co proponuje, i nie zdawał sobie również sprawy, jakie konsekwencje by to wywołało,

gdyby przystano na jego propozycję. Gdyż te dzieci, naznaczone przez wiedźmę szatańskim piętnem, należało uwięzić lub zlikwidować. Wypuszczone między ludzi prędzej czy później stałyby się gorsze od wściekłych psów. A przy tym dużo trudniejsze od nich do okiełznania. Zwłaszcza na terenach takich jak Księstwo Peczerskie, gdzie mieszkało niewielu ludzi i gdzie nie było nie tylko inkwizytorów, lecz doświadczony wołch czy kapłan również stanowił rzadkość.

– Gest litości wobec złoczyńców daje tylko złudne poczucie czynienia dobra, a tak naprawdę może spowodować prawdziwie wielkie zło – stwierdził sentencjonalnie Marius.

– Gdyby Jezus ulitował się nad Jerozolimą czy nad Rzymem, ileż szkód by to w efekcie przyniosło – pokręcił głową Angelidis. – Powiem wam, że zawsze kiedy bierze mnie chętka na wykonanie miłosiernego gestu, wspominam, jak nasz Pan obrócił w popiół zdradziecką Jerozolimę...

Löwefell przypomniał sobie o jednej z tych bezsensownych herezji, które na przestrzeni lat a to przygasały, a to wybuchały nowym płomieniem. Herezja owa mówiła, że przeznaczeniem Jezusa była zgoda na męczeńską śmierć, a w ten sposób, poprzez swoje cierpienie, miał zbawić całą ludzkość. Jednak w ciało krzyżowanego Chrystusa wniknął demon, twierdzili owi odstępcy, i to właśnie tenże demon poprowadził armię na Rzym oraz obwołał się imperatorem. Dlaczego jednak nasz Pan miałby wierzyć, że coś tak kompletnie bezsensownego jak wydanie się na śmierć zbawi ludzkość? Tego heretycy już nie tłumaczyli. A kto chciałby niby potem wierzyć w Boga tak bezsilnego, że pozwolił, by zabili go zwykli ludzie? Kto chciałby wierzyć w Boga, który żadnym czynem nigdy bezspornie nie udowodnił, iż posiada nadzwyczajne moce, i który nikogo, łącznie z samym sobą, nie był w stanie uratować, a niemal nikogo też nie umiał przekonać do swych idei? Jakimż szaleńcem trzeba by było się urodzić, by wierzyć w tak bezsilne bóstwo!

– Słusznie – zgodził się van Bohewald, przerywając Löwefellowi rozmyślania. – Ale teraz wróćmy do wiedźmiej chaty – dodał, znowu zwracając wzrok na Mauretanke. – Natasza cię uwolniła, czyż nie?

– Oczywiście – skinęła głową Nontle, chociaż zadane przez Mariusa pytanie było przecież retoryczne. – Zgodziłyśmy się, że wypuści mnie do Peczory, a sama zostanie na bagnach, by ochronić inkwizytora i zawrzeć pokój z mistrzynią.

– Dałoby się tak? – van Bohewald zwrócił się do Deirdre.

Llatrisant z wahaniem skinęła głową.

– Żadna z nich nie chciała wojny, więc pewnie by się dało. Niełatwo dogadać się dwóm silnym wiedźmom, z których każda chce czegoś innego, ale czasami nawet one potrafią zrozumieć, iż wojna często prowadzi nie do tego, że ktoś ma dwa razy więcej, lecz do tego, że każdy zostaje z niczym...

Marius pokiwał głową.

– Święte słowa. Gdyby królowie i książęta potrafili słuchać podobnych sentencji, byłoby mniej wojen na świecie.

– I tak nie ma ich za wiele – wzruszył ramionami Angelidis. – Przynajmniej w obrębie chrześcijaństwa – zastrzegł od razu.

– A do wojny z Palatynatem coraz bliżej – wtrącił Thorwaldson.

Marius wzruszył ramionami.

– Nie martwi nas to wcale – rzekł. – Jak cesarz zwycięży, to dobrze, ale jak heretycy utrą cesarzowi nosa, to drugie dobrze... – Obrócił spojrzenie na Mauretanke. – Dom opuściłyście bezpiecznie, czyż nie?

Nontle skinęła głową, ale nim zdążyła powiedzieć cokolwiek dalej, odezwał się Angelidis.

– Dlaczego ta dziewczyna w ogóle ci uwierzyła?

– Bo była mądra – opryskliwie odparł van Bohewald.

Mauretanka rozłożyła ręce.

– Cóż mogę powiedzieć więcej? Właśnie tak. Bo była mądra. Bo wiedziała, czuła i widziała, że zależy mi zarówno na niej, jak i na jej inkwizytorze. Byli moim skarbem! Więc jak mogłabym nie walczyć o mój skarb? – Roześmiała się.

Ale zaraz potem spochmurniała.

– I nie z mojej winy wszystko się skończyło tak, jak się skończyło – stwierdziła.

Wymknęły się z chaty bezszelestnie niczym nocne zmory. Ale Nontle czuła, iż Natasza rozplątuje zaklęcia, którymi zabezpieczono chatę. Nie wiedziała, co dziewczyna robi dokładnie, lecz rozumiała, że gęste i lepkie sieci utkane przez mistrzynię rozstępują się przed Nataszą niczym pajęcza mgiełka babiego lata. Natasza była skupiona, poważna, a kiedy już wychodziły przed chatę, w blask nabrzmiałego, opuchniętego księżyca, to Rusinka wydała się Mauretance nie tylko wyższa, lecz również jakby mniej realna. Jakby należała do kosmicznego świata Drogi Mlecznej i gwiazdnego blasku, a nie do realnej rzeczywistości skrzypiącego drewna i chlupoczącego pod stopami błota. Podeszły na skraj bagnisk, do linii powykręcanych krzewów i wygiętych drzew. W świetle księżyca te drzewa przypominały tłum kalekich starych ludzi, którzy dowlekli się, dopętlili i doczołgali do granicy bagien i teraz stoją na tej właśnie granicy, czekając, aż przekroczy ją ktoś nienależący do nich, a wtedy wykręcą go, wygną i przepoczwarzą na swój kształt oraz podobieństwo.

– Chodź – nakazała Natasza i na chwilę ujęła dłoń Nontle w swoją dłoń. Miała lodowate palce.

Szły wśród muskających je gałęzi, omijając konary oraz pnie, chlupocząc butami w błotnistej brei. A raczej, jak zauważyła Nontle, tylko jej własne stopy zapadały się z młaśnięciem w błocko i z młaśnięciem z niego wychodziły. Natasza natomiast zdawała się jedynie muskać powierzchnię trzęsawiska. Poza tym Rusinka otoczona była delikatnymi strzępami mgły, której pasma zdawały się wirować w nieustannym, wolnym i majestatycznym tańcu wokół jej głowy, dłoni i piersi...



Szły tak dość długo, aż wreszcie Natasza zatrzymała się i wyciągnęła dłoń w stronę Nontle. Na środku tej dłoni siedział malutki ptaszek, nazywany jerem, i przekrzywiając łebek, przypatrywał się Mauretance oczami połyskliwymi jak wypolerowane główki szpilek.

– Muszę już wracać – stwierdziła Natasza. – Póki nie stanie się coś złego. On cię wyprowadzi z bagien. – Pogłaskała ptaszka bardzo delikatnie czubkiem palca po piórach. – Przyglądaj mu się i idź za nim. Nie zostawi cię, póki nie będziesz całkiem bezpieczna. Ale później musisz już sobie sama dać radę.

– Abym tylko dotarła do pierwszych ludzi – uśmiechnęła się Nontle.

Wiedziała, że każdy napotkany człowiek, nieważne, czy to rybak, myśliwy, czy żołnierz, natychmiast zechce jej pomóc, usłużyć, wkupić się w jej łaski. A potem ten pierwszy pociągnie za sobą drugiego, trzeciego i dziesiątego. A potem będą rywalizować o jej spojrzenie, o jej uśmiech, o pochwałę, starając się wykonywać jej polecenia najpilniej, jak tylko potrafią. Oczywiście powodowanie ludźmi było łatwe tylko do pewnego czasu. Kiedy tracili z Nontle kontakt, kiedy długo jej nie widzieli, mogli zacząć się zastanawiać, czy na pewno to, co robią, jest słuszne. Mogli też się zbuntować, jeśli rozkazy Nontle stały w dramatycznej sprzeczności z ich wierzeniami religijnymi czy systemem wartości. Dlatego najlepiej i najwygodniej było opanowywać umysły osobników tępych oraz pozbawionych moralnych skrupułów. Mauretanka doskonale wiedziała, że na Rusi od takich ludzi aż się roi, i przeczuwała, że w tej mierze sytuacja nie zmieni się jeszcze przez wiele, wiele dziesiątków lat. Oczywiście skuteczne było również rozpalenie pożądania czy miłości, ale jeśli ten ogień opanowywał zbyt wielu mężczyzn naraz, to z jednej strony kończyło się to zabawnie krwawą bijatyką, z drugiej strony jednak powodowało niezręczną sytuację, gdyż Nontle traciła swoje pionki i musiała szukać nowych, by dalej skutecznie grać. Wiedziała, że będzie musiała zachować wielką ostrożność, jeśli chce przejąć kontrolę nad Peczorą, gdyż forteca po śmierci księżnej i przy nieobecności jej zaufanego kanclerza najprawdopodobniej pograżyła

się w chaosie. Kto wie co tam się teraz działo, jak wielu ludzi próbowało sięgnąć po władzę, jak wiele splotło się intryg. Albo chociaż jak wielu ludzi próbowało, korzystając z zamieszania, załatwić swoje prywatne porachunki albo zwyczajnie się wzbogacić. Przecież w takiej dramatycznej chwili wystarczy, że kilku śmiałków rzuci się rabować komnaty, a kilku innych spróbuje ich powstrzymać, by podobna zwada stała się iskrą, która w następstwie podpali cały zamek.

– Dogadaj się ze starą – powiedziała Nontle. – A ja będę na ciebie czekać.

Ptaszek poderwał się z dłoni Nataszy, a wtedy Mauretanka ujęła dziewczynę za rękę.

– Nie zawiodę cię – obiecała. – Nie złamię przyrzeczenia.

Rusinka skinęła poważnie głową.

– Zrobię, co będę mogła, by nie zabić mateczki – westchnęła.

Nontle oddała jej uścisk.

– Jeśli przyjdzie co do czego, to wahania i sentyment mogą cię kosztować życie – ostrzegła.

Natasza wzruszyła ramionami.

– To, że o tym wiem, wcale nie oznacza, że będzie mi łatwo podjąć decyzję – powiedziała. – No dobrze, idź już. – Uwolniła dłoń i wzniosła twarz ku rozmazanemu sinym srebrem granatowemu niebu. – Czuję coś złego w powietrzu, muszę iść...

– I co? I jednak starucha okazała się silniejsza od dziewczęcia, którym tak się zachwycaliście? – zagadnął Angelidis.

– Wszystko, co wiem, wiem już tylko od niego. – Nontle wskazała Knabego niechętnym ruchem podbródka. – Ja mogę powiedzieć jeszcze jedno: ani Natasza, ani inkwizytor nigdy nie dotarli do Peczory. Czekałam na nich, bo zgodnie z tym, co obiecałam, udało mi się w fortecy tak omotać wszystkich, że na tym chwiejącym się stosie drewna potrafiłam utrzymywać jaką taką równowagę. Ale... – rozłożyła ręce – co z tego?

Mariusz przeniósł wzrok na Knabego.

– Proszę – przyzwolił.

– Oczywiście to nie starucha zabiła Nataszę – wyjaśnił Knabe. – Zaatakowała i zabiła ją szaleją. Dziewczyna o imieniu Tamara, jej najbliższa przyjaciółka.

Llatrisant pokiwała smutno głową na znak, że wcale, ale to wcale podobny finał jej nie dziwi.

– Natasza była potężna, lecz tak naprawdę ufna i niewinna – wtrąciła Nontle z nieoczekiwanym smutkiem w głosie. – Chciała wierzyć w miłość, w przyjaźń, w to, że ludziom, przynajmniej niektórym, można czasami zaufać.

– Byłaby nieprawdopodobnie niebezpieczna, gdyby dorosła – wtrąciła Deirdre.

Nontle po chwili wahania skinęła głową.

– Zapewne tak. Ale tego akurat już nigdy się nie dowiemy, prawda?

A potem jej oczy błysnęły.

– Zwracam się do ciebie, Mariusie van Bohlenwald, i do was wszystkich tu obecnych – rzekła mocnym głosem i wypowiadając te słowa, wstała z krzesła.

Mauretanka była kobietą filigranowej budowy, lecz tutaj i teraz wydawała się potężnieć, górować nad nimi wszystkimi, zajmować centralne i najważniejsze miejsce w całej komnacie. Czy była to tylko powaga jej głosu, czy też szczególny urok, który wywarł wrażenie nawet na Löwefellu, tego inkwizytor nie mógł na razie być pewien.

– ...zwracam się do was w obronie moich praw. Ale też w obronie prawa do wiedzy, które to prawo nie tylko mnie, ale i wam wszystkim bezwzględnie oraz nierozumnie odebrano. Proszę was o jedno. – Nontle wyciągnęła dłonie w ich stronę. – O to, byście z chłodną powagą rozpatrzyli moją skargę.

– A na co tak się strasznie skarżysz? – spytał Marius rozdrażnionym tonem i nastrój wywołany głosem oraz postawą Mauretanki nagle prysnął.

– Dlaczego nie pozwolono mi zostać na Rusi? Dlaczego Dietrich Knabe siłą sprowadził mnie do Cesarstwa? Dlaczego odebrał mi niezwykłą, niespotykaną i jedyną na całe istnienie naszego świata

szansę zbadania mauzoleum, gdzie przez wieki chowano pokolenia wiedz?

– Bo nikogo to tak naprawdę nie obchodzi! – przerwał jej podniesionym głosem Angelidis. – Owszem, to ciekawe zagadnienia, owszem, to na pewno zajmujące badania, i owszem, napisałabyś jak zwykle pasjonującą książkę na ich temat. Tyle tylko, droga księżniczko, że my mamy na głowie znacznie poważniejsze problemy niż jakiś martwy sabat na samym końcu świata. Mamy szykującą się wojnę z Persją i w każdej chwili możemy stracić Cypr, a nawet Malte. Mamy kłopoty z naszymi szpiegami w Persji i Palatynacie, mamy spory z papieżem oraz problemy dotyczące wypraw do Nowego Świata, ciągle walczymy o utrzymanie północnej Afryki i...

Marius van Bohenwald uniósł dłoń i Bizantyjczyk zamilknął.

– I to, co mówisz, i dużo, dużo więcej – zgodził się Marius. – Sądzę jednak, że Hildegarda Reizend nawet nie wie o tym wszystkim – zauważył łagodnie. – Gdyż zarówno kwestie wielkiej polityki, jak i wojen czy dyplomacji pozostają poza zasięgiem jej zainteresowań. – Pokiwał głową i westchnął. – A to najszczerza prawda, księżniczko, że mamy wiele innych spraw na głowie i kwestia ruskiego sabatu oczywiście nas interesuje, lecz spędzała nam sen z oczu tylko z uwagi na inkwizytora Madderdina. Teraz kiedy młody człowiek jest już bezpieczny, wszystkie ruskie sprawy zajmują nas w dużo, dużo mniejszym stopniu. Choć jak rozumiem, i wcale tego ani nie potępiam, ani nawet nie oceniam, ciebie obchodzą bardzo silnie.

– Zlitujcie się, czy wy naprawdę nic nie rozumiecie? – Mauretanka złożyła dłonie błagalnym gestem. – Przecież ten sabat jest jak kości dawno umarłych zwierząt, jak włochate słonie tysiące lat temu pogrzebane pod lodem. Patrząc na nie i badając je, możemy się nauczyć, jak żyły, co robiły...

– Powtórzę, księżniczko: kogo to obchodzi? – zapytał Bizantyjczyk tonem, w którym teraz nie pobrzmiwały złość czy szyderstwo, lecz raczej rezygnacja.

– A kamień z gwiazd? – Nontle potoczyła wzrokiem po zgromadzonych. – Nie mówcie, że nikogo nie obchodzi, że setki lat temu na tę dziką puszcę spadł gigantyczny kamień z gwiazd. I to w tym właśnie gładzie wiemy wykuły lochy i piwnice swojego sabatu, to stamtąd czerpały moc, która pozwoliła im przetrwać...

– Hola, hola! – zawołał Angelidis. – Tego wcale nie wiemy. Wiemy po prostu zbudowały swój dom na twardym podłożu. Jedynym w okolicy, co do którego były pewne, że ich dom nie utonie kiedyś w błocku. – Wzruszył ramionami. – Po co do zwykłego, praktycznego zachowania, dobrze świadczącego o ich zdrowym rozsądku, dorabiać kosmiczne teorie?

– Nie do wiary. – Nontle pokręciła głową. – Naprawdę wierzycie, że sabat i wielowiekowe mauzoleum wydrążone w kamieniu, który przemierzył gwiazdną pustkę, który przyleciał do nas z nie wiadomo jakiej części bezkresnego kosmosu, że to wszystko to zaledwie przypadek? Nie interesuje was, co i z jakiego miejsca ten gład mógł przynieść? Jaką magię? A może... jakie istoty?

Angelidis uśmiechnął się tylko zmęczonym uśmiechem.

– Wolałabym jednak, byśmy na naszej naradzie z kosmosu powrócili na ziemię – rzekła stanowczo Katrina. – Jeśli natomiast kiedyś wrócimy na Ruś, pod Kamienie, to całą sprawę dokładnie zbadamy. Ale na razie nie zawracajmy sobie nią głowy.

– Wystarczyło pozwolić mi tam zostać! – krzyknęła Nontle. – Chciałam tylko zbadać to miejsce, nic poza tym. Czyż moja praca nie przysłużyłaby się Świętemu Oficjum? Dlaczego pozbawiliście mnie takiej szansy?

– Świętemu Oficjum najbardziej przysłuży się, jeśli będziemy mieli cię na oku. Tutaj, w klasztorze – odparł Biber.

Mauretanka chciała coś powiedzieć, ale van Bohenwald uciszył ją szybkim gestem.

– Proponuję łagodny wymiar kary – rzekł. – Pięć lat aresztu domowego w Amszilas. Zakaz opuszczania murów klasztoru, poza tym zachowanie wszelkich innych praw oraz przywilejów.

– Niebywałe. – Nontle usiadła ciężko na krześle. Jej twarz stężała.

– A może gdyby Hildegarda Reizend wyglądała na swój wiek, to zaczęłyby się również zachowywać z powagą należną takiemu wiekowi oraz wyglądowi? – spytała Deirdre.

– Co więc proponujesz?

– Dziesięć lat postu od krwi Aniołów – rzekła Llatrisant.

Twarz Nontle poszarzała.

– Mariusie, dobrze wiesz, że to tylko zemsta starej kobiety, która nigdy nie będzie już młoda i którą kole w oczy moja uroda. Nie rób mi tego, proszę... Zastosuję się w pełni do aresztu domowego i będę służyła pomocą, kiedy tylko będziecie mnie potrzebować...

Löwefell pomyślał, że propozycja Deirdre musiała prawdziwie przerazić Mauretanke, skoro zniżyła się do tonu nie tylko pojednawczego, ale wręcz pokornego.

– Dziesięć lat to nie tak dużo – stwierdził Marius, przyglądając się jej uważnie. – Ząb czasu nie nadszarpnie cię zbyt mocno.

Potem uniósł głowę i przeciągnął wzrokiem po wszystkich zgromadzonych w komnacie.

– Pięć lat aresztu i dziesięć lat postu, oto nasza propozycja. Czy ktoś z was zabierze głos w obronie Hildegardy?

Angelidis potrząsnął odmownie głową, a Thorwaldson wzruszył ramionami.

– To i tak łagodna oraz miłosierna nauczka – rzekł Biber, a Katrina skinęła głową na znak, że zgadza się z tymi słowami.

– Arnoldzie, a ty? – Marius obrócił spojrzenie na Löwefella. – Czy przemówisz do nas za Hildegardą Reizend? Czy twoja gorąca niczym ogień ifryta mowa obrończa rozgrzeje nasze serca, wzruszy sumienia i umożliwi nam, zalany łzami rozczulenia, cofnięcie surowego werdyktu?

Löwefell podszedł do stołu.

– Narses poświęcił całe swoje życie w Persji, by dostarczyć Szachor Sefer do Amszilas, gdyż tak wydawała mu się ważna dla losów świata – zaczął. – W jej obronie walczyli, a nawet zginęli dobrzy inkwizytorzy. A ty – zmierzył Nontle twardym wzrokiem – przez głupią, egoistyczną ciekawość mogłaś zaprzepaścić wszystkie

te ofiary oraz wyrzeczenia. Mogłaś również pozbawić nas możliwości odkrycia, czym tak naprawdę jest Szachor Sefer, lub niewłaściwym jej traktowaniem doprowadzić nas do zguby. Biorąc to wszystko pod uwagę, zgadzam się, że powinnaś być zadowolona, że wyrok nie jest bardziej surowy.

Nontle miała usta zaciśnięte w wąską kreskę. Ale nietrudno byłoby dostrzec, iż te usta drżą, tak jakby hamowała się przed wybuchem. Płaczu? Furii?

– No! – Marius klasnął głośno. – Może nie było to coś, co nazwałbym gorącą mową obrończą, niemniej jeśli o mnie chodzi, zostałem całkowicie oraz bezapelacyjnie przekonany. A skoro nie słyszę protestów, to rozumiem, że wy wszyscy również podzielacie słuszność wyroku?

Ponieważ nikt się nie odzywał, wzruszył po chwili ramionami.

– Czyli postanowione – zdecydował. – A teraz wracajmy do raportu mistrza Knabego. – Odwrócił wzrok na odzianego w czerni inkwizytora. – Ty, Hildegardo, możesz zostać z nami lub wyjść, jak sobie zażyczysz. Bowiem twoich praw i twojej pozycji nikt nie podważa – rzekł dobitnie. – I nadal jesteś jedną z nas, tą, którą otaczamy miłością oraz szacunkiem.

W głosie Mariusa nie było ani kpiny, ani ironii, ale pełne i szczere przekonanie. Zresztą było właśnie tak, jak mówił: Nontle została ukarana, a wyrok był ściśle precyzyjny. I nikt nie miał najmniejszego prawa rozszerzać jego działania na inne aspekty życia Mauretanki. Ciągle miała te same prawa, by uczestniczyć w naradach i podejmować decyzje dotyczące całego Inkwizytorium. Oczywiście, że od tej chwili wszyscy będą obserwowali ją ze zdwojoną uwagą, lecz to w niczym nie ujmowało jej przywilejów.

– Zostanę – zdecydowała Nontle.

Löwefell zastanawiał się, czy księżniczka może liczyć na złagodzenie wyroku. Areszt domowy zapewne zupełnie jej się nie podobał, jednak gorszy był post od krwi Aniołów. Bo zażywanie jej niczym lekarstwa, w sposób przemyślany oraz roztropny, nie tylko nie pozwalało ciału się zestarzeć, lecz również rozjaśniało umysł,

łagodziło łaknienie i ograniczało potrzebę snu. „Coraz mniej jemy, coraz rzadziej wydalamy, nie odczuwamy pożądania ani natury erotycznej, ani natury materialnej” – mówił kiedyś Barnaba Biber i Löwefell pamiętał, że uczony inkwizytor ciężko wtedy westchnął. „Coraz bardziej przestajemy być ludźmi, Arnoldzie”. Jednak nie do końca była to prawda, a przynajmniej nie w każdym wypadku. Bo przecież Nontle pomimo karmienia krwią Aniołów nie straciła nic ze swego afrodyzjańskiego zapachu, a wręcz twierdziła, że gorączka jej namiętności wzmacnia się pod wpływem anielskiej krwi. Nie wiem, na ile jesteśmy jeszcze ludźmi, pomyślał Löwefell, tak jak nie wiem, w jaki sposób odpowiedzieć w ogóle na pytanie: „Co to znaczy być człowiekiem?”. Czy istnieje w ogóle jakaś miara pozwalająca odmierzyć i powiedzieć: „O tak, ten właśnie jest człowiekiem, a tamtemu pozostała zaledwie jedna ćwierć człowieczeństwa”. Wiadomo było, że nie. Nic takiego nie istniało, a o nich – członkach Wewnętrznego Kręgu Inkwizytorium – można było tylko powiedzieć, że różnili się od innych ludzi. Czy byli lepsi, gorsi, czy po prostu inni, to już pozostawało kwestią interpretacji oraz punktu widzenia. Löwefella zawsze nurtowało jedno pytanie: czy Bóg życzył sobie, aby byli tacy, jak byli, czy zaledwie na to pozwalał? Czy przyglądał im się z obojętnością, z miłością, czy z obrzydzeniem? Czy działali w granicach zakreślonych Bożą ręką, czy granice te przekroczyli, w niewłaściwy sposób korzystając z wolnej woli? Löwefell wiedział, że na te pytania nie istnieją odpowiedzi, był też przekonany, iż wielu inkwizytorów ma nadzieję, że odszyfrowana księga Szachor Sefer w pewien sposób odsłoni przed nimi pozostającą do tej pory w ukryciu prawdę.

– Zjawiłem się na sabacie zaraz po śmierci mistrzyni – z rozmyślań wyrwał go głos Knabego. – Moi żołnierze pochwycili wszystkie czarownice oprócz szaleju i Ugryjki. Przesłuchałem Madderdina i jak wam już mówiłem, zdecydowałem, że oczyszczenie jego umysłu z balastu ruskich wspomnień jest bezwzględnie wskazane.

Mariusz pokiwał głową.

– Bez wątpliwości uczyniłeś jak najbardziej słusznie. Obrzędy wiedźm są paskudne i mogą budzić opór w sercu dobrego chrześcijanina, jednak pokusa mogłaby stać się zbyt silna. – Westchnął.

Löwefell pomyślał, że van Bohenwald przynajmniej w tym wypadku ma całkowitą rację. Człowiek, który w imię wielkiego dobra musi popełnić wielkie zło, zaczyna owo dobro wyolbrzymiać, a zło bagatelizować. Poza tym inkwizytor z pewnością poczułby się rozgrzeszony, gdyby na ofiary wiedźmich rytuałów wybrał zatwardziały złoczyńców. Wtedy Madderdin zadałby sobie pytanie: co jest więcej warte, dobro, które mogę osiągnąć rytuałem, czy zło, że zabijam człowieka? I widząc tych ludzi, tych zbrodniarzy, których wybrał na ofiary, odpowiedziałby sobie bez wahania, że ich życie jest nieistotne. Oczywiście miałyby rację i gdyby nie nosił w sobie tej wielkiej tajemnicy, to Inkwizytorium nie broniłoby mu przeprowadzania podobnie odrażających aktów, gdyby tylko służyły dobrej sprawie. Ale Mordimer Madderdin nie mógł krążyć po nieświecie niczym płonąca pochodnia, wystawiony na głodne spojrzenia demonów. Inkwizytorzy musieli go chronić, a skoro ceną za tę ochronę było odebranie mu pamięci, to cóż: tak właśnie należało uczynić.

– Rzecz jasna, nie starucha, mistrzyni sabatu, ani jej morderczyni, którą nazywacie szalejem, wzbudziła moje największe zainteresowanie – kontynuował Knabe.

– Słuchajcie, słuchajcie – przykazał van Bohenwald, wysoko unosząc palec wskazujący. – Bo teraz zaczyna się naprawdę interesująca opowieść.

– Największe moje zainteresowanie wzbudziła, a jak mniemam, Święte Officjum podzieli te spostrzeżenia, owa młoda Natasza, o której tak szczegółowo opowiadała nam Hildegarda Reizend.

Nontle wydeła usta, słysząc własne imię z ust człowieka, którego serdecznie nie znosiła. A przynajmniej przed wszystkimi okazywała, iż go serdecznie nie znosi.

– I co z tego, skoro dziewczyna nie żyje? – burknęła. – Straciliśmy taki skarb, taki nieoszlifowany klejnot...

– Moja droga – przerwał jej stanowczo Marius – jeżeli ktokolwiek zawinił w tym wypadku, to nikt inny jak ty. W końcu to nie w mojej obecności zginęła ta czarownica, ale w twojej. I to ty jej przyrzekłaś opiekę, a nie ja.

Nontle spojrzała na niego naprawdę złym wzrokiem.

– Sądzisz, że sama nie wyrzucam sobie jej śmierci? Tyle tylko, że nie mogłam jej ocalić, skoro nie chciała walczyć ze swoją mistrzynią. Wierz mi. – Przyłożyła dłoń do piersi. – Wierzcie mi wszyscy, że walczyłabym z mistrzynią, gdybym była pewna, że Natasza stanie po mojej stronie, a nie przeciwko mnie. Ale tego pewna wcale nie byłam. Nie mogłam ryzykować.

– Zgoda – rzekł Marius. – Co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Wojna z mistrzynią, wszystkimi jej uczennicami w jej własnym domu i w obecności tej szalonej Nataszy, o której nie wiadomo było, co zechce uczynić i po czyjej stronie stanąć, nie byłaby mądra. Nikt cię nie obwinia, Hildegardo, że wystraszyłaś się i nie dałaś rady uratować dziewczyny.

Trudno było nie dostrzec, że van Bohenwald właśnie zaprzeczył tymi słowami wypowiedzianemu kilka chwil wcześniej oskarżeniu. No ale tak to już z nim było, że nazywał coś ciemnym, w chwilę potem jasnym i nie tylko za każdym razem wierzył w to, co mówi, ale chciał również, by inni w to także święcie wierzyli.

– Proszę – rzekł teraz, dając dłonią znak Knabemu, by kontynuował.

– W pełni podzielam zachwyty Hildegardy nad tą dziewczyną, chociaż, ku mojemu ubolewaniu i rozczarowaniu, nie miałem jej okazji poznać inaczej niż zaledwie z opowieści – powiedział Knabe.

– Nie rozumiem, jak ona mogła dać się zabić. – Nontle potrząsnęła głową tak mocno, aż srebrne kolczyki w jej uszach zadźwięczały niczym delikatne dzwoneczki. – Zupełnie tego nie pojmuję.

– Sama powiedziałaś, że to była tylko dziewczynka – odparł van Bohenwald bez złośliwości czy ironii. – Prostoduszna, naiwna

i wierząca w miłość. Ufała więc towarzyszce i siostrze, z którą się wychowała w jednym domu. Wydawało jej się, że łączy je coś mocnego. Jakaś szczególna więź, której nie powinno się przerwać ze zwykłej żądzy zysku. Popełniła jednak błąd. Czyż nie tak, Deirdre? – Obrócił ciężki wzrok na dawną wiedźmę.

Llatrisant skinęła poważnie głową.

– Właśnie tak – odparła. – I dlatego wiedźmy nie przetrwały.

– Między innymi dlatego wiedźmy nie przetrwały – sprostował Marius z naciskiem na słowa „między innymi”. – Gdyż one były niczym garść piachu rzucona w powietrze, a my byliśmy niczym kamienna pięść. Sterowana jedną wolą, jednym sercem i jednym umysłem.

Löwefell na tyle znał historię walki z sabatami, iż wiedział, że słowa Mariusa są nie do końca prawdziwe. To raczej inkwizytorzy w pięknej legendzie o dawnych czasach chcieliby uznać je za prawdziwe. Tymczasem wtedy zdarzały się również zdrady ze strony Świętego Officjum. Z powodów raczej wykorzystania ludzkiej słabości niż wielkiej zmiany idei. Kogoś przekupiono, kogoś zastraszone, kogoś zwiedziono na manowce. Trzeba przyznać, że trafiali się również inkwizytorzy, którzy całkowicie świadomie przeszli na stronę sabatów, odrzucając naukę Jezusa i dorobek chrześcijaństwa. Ale to były wyjątki wśród wyjątków. Niemniej zdarzały się. Löwefell czasami żałował, że nie było mu dane żyć w tamtych czasach. Czasach, gdy na polach bitew rozstrzygały się losy świata, gdy równe zastępy opancerzonych od stóp do głów inkwizytorów kroczyły w pierwszych szeregach chrześcijańskich armii, a aura Bożego błogosławieństwa unosiła się nad nimi niczym łuna południowego słońca. Takie to były czasy... Ale cóż, tutaj i teraz również mieli do wykonania zadania, które mogły decydować o losach świata. Może nie było to maszerowanie na czele armii, może nie błyszczała nad ich głowami aureola chwały czy męczeństwa, lecz wiekopomne triumfy odnosi się nie tylko na polach bitew. Można sięgnąć po zwycięstwo, tylko stawiając znaki na papierze. Albo tylko stawiając znaki we własnym umyśle.

– Dostojna Llatrisant zna zapewne zaklęcie, jakiego użyła ta ruska dziewczucha...

– Natasza. Ona miała na imię Natasza – sprostowała ostrym tonem Nontle i Löwefell po raz pierwszy w trakcie tej narady zdziwił się.

– Oczywiście: Natasza – odparł grzecznie i gładko Knabe. – Jakkolwiek byśmy o niej mówili i jakiegokolwiek miano byśmy jej nadali, to użyła potężnego zaklęcia ochronnego. Nie uratowało jej to życia, lecz zamknęło ciało w rodzaju magicznego kokonu...

– Tak, znam ten czar – przyznała Deirdre. – Słyszałam, że powstał na irlandzkich trzęsawiskach, chociaż wiem, że inni wskazują Szkocję jako jego kolebkę...

Van Bohenvwald potrząsnął głową.

– Kiedy zaklęcie trafiło do Brytanii, już było stare – wyjaśnił. – Mówią, że zrodziło się na Polach Pontyjskich, tam gdzie po triumfie Armii Jezusa dniami i nocami topiono wrogów naszej świętej wiary. – Wzruszył ramionami. – Ale nie wiem, czy to prawda...

– Mogło powstać w kilku miejscach niezależnie, czyż nie? – wtrącił Angelidis.

– Oczywiście – odparła Nontle. – Persowie chlubią się magią ognia, lecz zaklęcia działające niemal w ten sam sposób odnalazłam wśród ludów żyjących w Ogonie Smoka. I na pewno nie dotarły one do nich z Persji, lecz zostały stworzone właśnie tam, na miejscu, przez nich samych, przez ich szamanów i kapłanów.

– Były przyjaciółkami, niemal siostrami... Dlaczego więc ją zabiła? – Biber westchnął i wzruszył ramionami. – Podejrzewam, że z powodu tych głupich wiedźmich przesądów... – odpowiedział sam sobie.

Knabe skinął głową.

– Sądziła, że morderca przejmuje całą wiedzę zamordowanego – rzekł.

Llatrisant potrząsnęła głową.

– Głupie wiedźmy, niczego się nie nauczyły przez wieki. To wcale tak nie działa! – burknęła z rozgoryczeniem.

– Oczywiście, że nie – zgodził się bez trudu Knabe. – Niemniej sama wiesz doskonale, jak ciężko jest wyplenić podobne przekonanie. Zwłaszcza że, jak wiemy, czasami wcale nie odbiega ono tak silnie od prawdy.

– Tylko w bardzo szczególnych okolicznościach i w dodatku... – zaczęła Llatrisant.

– Dość o tym – przerwał jej zdecydowanie Marius. – Nie interesuje nas, jaka jest prawda, interesuje nas, w co wierzyła ta druga wiedźma i jaki wpływ na zdarzenia wywarła jej wiara. Jak ona miała na imię, przypomnij mi... – Spojrzał na Knabego.

– Tamara – odrzekł Knabe.

– O, właśnie: Tamara – zgodził się Marius. – Wiecie, że to imię pochodzi z języka hebrajskiego? Czyż nie zabawne, że na najodleglejszych mokradłach Rusi mieszkała dziewczyna o hebrajskim imieniu, oznaczającym palmę daktylową? – Roześmiał się sam do siebie. – No i nasz towarzysz Knabe ściał jej tę piękną rudą główkę niczym dorodnego daktyla. Czyż nie tak było, Dietrichu?

– Technicznie rzecz ujmując, dekapitacji dokonał jeden z żołnierzy Świętego Officjum – odparł uprzejmie inkwizytor. – Ale jeśli chodzi o to, kto wydał rozkaz, to tak: byłem to właśnie ja.

– Być może należało pomyśleć o przewiezieniu jej żywej do Cesarstwa – zauważył Biber.

– Być może należało mi wydać podobnie brzmiące zalecenie – odparł Knabe jeszcze bardziej uprzejmym tonem niż wcześniej.

Van Bohenwald parsknął, potem machnął ręką.

– Nie była warta naszego zainteresowania – skwitował lekceważąco. – Więcej ambicji i pasji niż zdolności. Nie to, co ta druga... – Urwał i obrócił wzrok na Nontle – Natasza. I teraz... – Podniósł rękę. – Przejdziemy do najciekawszego fragmentu opowieści. Do czegoś, co mam nadzieję, poruszy wasze serca i umysły, choćby nie wiem jak wydawało się, że są one niewzruszone...

Wzdrygnął się teatralnie.

– Ale może najpierw obiad, hmm? Co byście powiedzieli na suma w miodzie gryczanym, smażonego na migdałach i skropionego dojrzałą cytryną? – Przymknął oczy. – Podanego z kwaśnymi pieczonymi jabłuszkami i zsypanego świeżutkim koperkiem? – Mlasnął. – Przyznam, że mnie ślinka leci na samą myśl o tak wykwiętym obiedzie!

– Nie mam czasu na twoje gry, Mariusie, ani nie mam czasu na obiad – przerwała mu nieprzyjemnym tonem Katrina. – Oderwałam się od moich naprawdę pilnych zajęć tylko po to, by wziąć udział w dyskusji, a nie w biesiadzie... – dodała szyderczo.

Marius otworzył oczy i spojrzał na nią obrażonym wzrokiem głodnego sybaryty, któremu uprzątnięto sprzed nosa talerz pełen smakołyków, zanim zdążył choćby sięgnąć do niego ręką.

– No tak, tak – powiedział rozżalony. – Ciebie nie interesuje jedzenie, prawda? Nie musisz jeść, czyż nie? Czy już jednak musisz? A zaczęłaś wydalać?

Katrinie nie drgnęła nawet brew.

– Wróćmy do Rusi – nakazała. – Mistrzu Knabe, bądź tak łaskaw. – Obróciła się w stronę Dietricha.

– Jak sobie życzysz – odparł Knabe.

Katrina i Dietrich Knabe zostali połączeni więzami, których nie da się nigdy rozplątać. To on był tym inkwizytorem, który obciął skrzydła Aniołowi, jakim była do niedawna Katrina. To, że dokonał tego uczynku na rozkaz Świętego Oficjum i w ramach wydanego na Katrinę wyroku, nie miało żadnego znaczenia. Löwefell nie wyobrażał sobie nawet, co to znaczy być Aniołem i nagle przestać nim być, a stać się człowiekiem. To prawda: nadzwyczajnym człowiekiem, obdarzonym niezwykłą, niewyobrażalną nawet dla Löwefella mocą, jednak tylko człowiekiem. Chociaż można powiedzieć: tylko i aż. Bo to przecież inkwizytorzy, ludzie z krwi i kości, zrodzeni z matek, potomkowie Adama i Ewy, kierowali sprawami Świętego Oficjum. A Aniołowie im służyli. I chociaż te stosunki oraz wzajemne zależności były bardzo skomplikowane, to jednak dla Löwefella nie ulegało wątpliwości, że Aniołowie nie mają

władzy nad Inkwizytorium. Wpływ – tak (ba, nawet zdarzały się nieprzyjemne groźby w niektórych sprawach), ale władzy – nie. Löwefell zastanawiał się czasami, czy Katrina, kiedy jeszcze była Aniołem, była tak samo szalona i niepojęta jak reszta jej towarzyszy? Czy jej oczy były również labiryntami prowadzącymi do otchłani obłędu? Czy sprawiała wrażenie, jakby pogardzała ludźmi za ich człowieczeństwo, a jednocześnie ze wściekłą, zwierzęcą wręcz zajadłością tego człowieczeństwa im zazdrościła? Niedawno zapytał ją o to, ale Katrina tylko potrząsnęła głową.

– Nie pamiętam, Arnoldzie – wyznała ze smutkiem. – Naprawdę nie pamiętam, jak to jest być Aniołem. Czasami tylko wydaje mi się, że mogłam biec po promieniach słońca szybciej, niż one się rodziły. – Przymknęła wtedy oczy. – Cokolwiek mogłoby to oznaczać – dodała. – I wydaje mi się, że zamiast pustki, która teraz mnie wypełnia, wypełniała mnie Boża światłość...

– Wypełnia cię pustka? – zapytał ze współczuciem.

– Och, tak jak i ty służę całym sercem naszej wspólnej sprawie i kocham Jezusa ponad wszystko, ale... – Pochyliła się wtedy i ujęła jego dłonie. – Czuję się tak, jakbym obeszła dom dookoła. Przy ganku płonie ognisko, a ja znalazłam się po ciemnej stronie, gdzie co prawda pamiętam ciepło i blask żaru, gdzie widzę poświatę znad dachu domu, ale nie mogę już stanąć przy samych płomieniach.

Löwefell myślał wtedy dłuższą chwilę.

– Może twoim przeznaczeniem nie jest wcale wrócić do ognia, lecz wejść do domu drzwiami znajdującymi się po zaciemnionej stronie? I tam, w środku, znajdziesz dopiero to, czego szukasz.

Katrina skinęła głową.

– I ja sądzę, że nic nie dzieje się bez wyższej przyczyny – odparła.

– Mam pytanie do mistrza Löwefella – odezwał się Knabe ku zdziwieniu Arnolda. – Czy umiałbyś rozpoznać, że człowieka przywrócono do życia za pomocą modlitw? Takich, jakie sam potrafisz odmówić?

Löwefell skinął głową.

– Pod wpływem wskrzeszenia zachodzą pewne zmiany, które wydaje mi się, że mógłbym dostrzec. Ale jak sam rozumiesz, problem jest tak skomplikowany, a podobne przypadki tak rzadkie, że ciężko mi stwierdzić, czy z całą pewnością, bez pomyłki mógłbym powiedzieć, że człowieka poddano podobnemu zabiegowi. Lub wykluczyć, że na pewno go nie poddano.

– Czyli, krótko mówiąc, nic nie wiesz i niczego byś nie poznał – wtrącił opryskliwie Marius.

– Jak Sokrates – odparł lekko Löwefell.

– Zważywszy, jak skończył, nie brałbym go za przykład^[10] – burknął van Bohenwald.

– Czy mogę wiedzieć, czemu zadałeś podobne pytanie? – Löwefell zignorował wtręt Mariusa i zwrócił się w stronę Knabego.

– Jedna z wiedźm, ta zwana szalejem, która zabiła mistrzynię, otóż ta wiedźma twierdziła, że Natasza wskrzesiła inkwizytora Mordimera Madderdina.

Biber tylko prychnął i machnął ręką.

– Brednie! Wiedźmy tego nie potrafią. Owszem, mogą przywrócić kogoś do życia na chwilę, choćby po to, żeby wydobyć od niego zeznania albo żeby go dręczyć dla zabawy, ale nigdy w żadnym zakątku świata nie potrafiły naprawdę wskrzesić człowieka. Tak jak umieją to uczynić mistrz Löwefell lub Katrina.

Van Bohenwald przez cały czas tej przemowy spoglądał na niego z nieznacznym złośliwym uśmieszkiem na obrzmiałych wargach.

– W pełni się zgodzę z podobną tezą – odparł Knabe. – Problem jednak w tym, że dziewczyna nie użyła wiedźmiej magii, lecz inkwizytorskich modlitw.

Przez chwilę w komnacie panowała cisza, którą wreszcie przerwał Biber.

– To niemożliwe – stwierdził ostro. – Madderdin ani nie zna tych modlitw, ani nie ma wystarczającej mocy, by je zastosować. I najpewniej nigdy nawet się do takiej mocy nie zbliży. Nie mógł jej tego nauczyć.

– Ośmielam się zauważyć, że żadnym słowem nie zasugerowałem, że dziewczyna nauczyła się tych modlitw od naszego towarzysza – rzekł spokojnie Knabe.

– Od kogo więc? – Biber otworzył szeroko oczy.

– Bardzo celne pytanie, Barnabo – wtrącił van Bohenwald złośliwie serdecznym tonem. – I obawiam się, że jak większość celnych pytań, pozostanie bez odpowiedzi.

– Nie, nie, nie – potrząsnął głową Biber. – Nie życzę sobie słuchać podobnie wymijających odpowiedzi. Chcę wiedzieć, skąd młoda ruska wiedźma, żyjąca w odosobnieniu na samej granicy Azji, umiała posłużyć się modlitwami inkwizytorów tak złożonymi i tak świętymi, że znane są one jedynie nielicznym naszym towarzyszom w całej historii Świętego Officjum.

– Takie rzeczy są niemożliwe – stwierdził Angelidis.

– Przewędrowanie świata od Sahary po Ogon Smoka nauczyło mnie nie szafować słowem „niemożliwe” – odparła Nontle.

– Co racja, to racja – pokiwał głową Marius. – Ze zdumieniem Theodorosa zgadzam się jak najbardziej i uważam to zdumienie za ze wszech miar uzasadnione. Niemniej nauczyliśmy się już w czasie chwalebного istnienia Świętego Officjum, że słowo „niemożliwe” ma zdolność zamieniania się w słowo „wyobrażalne”, potem w słowo „prawdopodobne”, aż wreszcie mówimy: „O, zobacz, leży tutaj, pod twoimi nogami”.

– Wybaczcie – rzekł ze skruchą Angelidis. – Nigdy jednak nie słyszałem o podobnym wydarzeniu.

– Ani o nim nie czytałem – dodał Biber.

– Ale czyżbym się mylił, sądząc, że nasza czcigodna i rozumna Deirdre Llatrisant wcale nie jest tak zdumiona jak wy? – Marius utopił wzrok w siwowłosej kobiecie.

– Znałam kogoś, kto potrafił dziać podobne cudowności – odparła.

– Cudowności – powtórzył van Bohenwald z przekąsem. – Nic, co robią czarownice, nie jest cudownością – stwierdził już mocnym głosem. – A wszystko jest najohydniejszym plugastwem. Gdyż nawet

gdyby wiedźma stworzyła najczystszy diament, to w oczach dobrego chrześcijanina będzie on mniej wart niż bryłka gnoju.

– Kim była wiedźma, o której mowa? – zagadnął Angelidis, ignorując słowa van Bohenwalda.

– Morgana, a któż by inny – odparła Llatrisant.

– Ta Morgana? – szepnął do Katriny Löwefell.

Wydawało mu się, że zadając pytanie, zaledwie poruszał bezdźwięcznie ustami, ale oddalony o kilkanaście stóp van Bohenwald odwrócił się w jego stronę.

– Tak, tak, mój drogi perski przyjacielu – potwierdził. – I tak jak czasami ludzie pytają mnie, kiedy mowa o tobie, czy chodzi o tego Narsesa, tak ja teraz mogę odpowiedzieć tobie, tak jak odpowiadam im: mowa właśnie o tej Morganie. – Mocno zaakcentował słowa „tego” i „tej”.

– Nie zajmowała mnie nigdy historia sabatów – zaczął powoli Löwefell – ale bardzo jestem ciekaw, jak to możliwe, że wiedźma, nawet tak potężna jak Morgana, poznała tak zastrzeżone i tak skomplikowane tajniki sztuki inkwizytorskiej? Czy... – zawahał się przez chwilę – wyuczył ją tego jakiś zdrajca spośród inkwizytorów? – dokończył.

– Morgana po prostu znała te modlitwy – odparła Deirdre i rozłożyła ręce. – I nie ma w tym wypadku nic więcej do dodania. Żaden z inkwizytorów nie zdradził jej ich, a poza tym wątpię, by wtedy w Brytanii którykolwiek z nich dysponował tak ogromną mocą, nie mówiąc już o umiejętności podzielenia się nią.

– Po prostu znała – powtórzył z niezrozumieniem i niedowierzaniem Thorwaldson. – Nie można po prostu znać magii o takim stopniu złożoności. – Wzruszył ramionami.

Van Bohenwald obrócił spojrzenie na Löwefella.

– Nie ma w Inkwizytorium nikogo, kto by nie podziwiał twoich nadzwyczajnych zdolności, Arnoldzie – zaczął z emfazą. – Zdolności, które przewyższają kunszt jakiegokolwiek ludzkiego lekarza w tym samym stopniu, a może nawet większym, jak najwyższe góry Dachy Świata przewyższają kopiec wykopany przez ślepego kreta. Powiedz

nam więc, Arnoldzie, jak poznałeś tę niezwykłą sztukę leczenia i przywracania do życia?

– Dobrze wiesz, Mariusie, bo nie jest to żadna tajemnica – odparł spokojnie Löwefell. – Ta wiedza stopniowo i powoli, z roku na rok otwierała się przede mną. Tak jakby była zawsze we mnie i ze mną, a upływ czasu odsuwałby zasłonę, która mnie od niej dzieliła.

– Narses według naszej najlepszej wiedzy nie potrafił ani leczyć, ani wskrzeszać – zauważył ostro otyły inkwizytor. – Nie mogłeś więc mieć wiedzy o leczeniu i wskrzeszaniu nigdy wcześniej. Zresztą i tak przecież z dawnego życia pamiętasz zaledwie strzępy, czyż nie? Tak przynajmniej nas zapewniasz...

– Tak właśnie jest – odparł spokojnie Löwefell. – Chociaż Bóg mi świadkiem, że życzylibym sobie, aby było inaczej.

– Uważajcie, czego sobie życzycie. – Marius uniósł palec, a potem zaśmiał się. – Kto wie, Arnoldzie, jakie potwory wypełzną z otchłani twojej pamięci? Tak, tak... któż to może wiedzieć... – powtórzył zamyślony.

Oczywiście sam Löwefell nie raz i nie dziesięć razy zastanawiał się nad tym samym. Czy powrót pamięci o tym, co czynił Narses, a przede wszystkim z jakich powodów czynił to, co czynił, przyniesie ulgę? Czy ta wiedza zapewni zwycięstwo w kolejnej bitwie toczony w imię Jezusa? A może wręcz przeciwnie? Może ofiaruje ból i klęskę, a stanowić będzie obciążenie? Tak czy inaczej, Löwefell wiedział, że woli znać najgorszą prawdę, niż żyć w mroku niepamięci i niewiedzy.

– Ale, ale, wracajmy do tematu twoich niezwykłych zdolności, Arnoldzie – kontynuował van Bohenwald. – Czyż możemy zaryzykować tezę, że twoja prawdziwie fantastyczna wiedza i niepodrabialne umiejętności narodziły się znikąd?

– Jak myszy ze zgniłej słomy?[11] – zadrwił Löwefell.

A zaraz potem pokręcił głową.

– Nic nie bierze się znikąd – odpowiedział. – Wszystko ma swój prapoczątek i swoją przyczynę. Moje zdolności chciałbym traktować

jako dar od naszego Pana, jako siłę, którą dał mi, bym mógł przysłużyć się Jego sprawie.

– I ja na to patrzę w podobny sposób – zgodził się z nim Biber.

– Wcale tego nie neguję – rozłożył ramiona van Bohenwald. – Niemniej skoro nasz dostojny kolega otrzymał ten dar, to czemu podobnego daru nie mogły otrzymać brytońska przywódczyni sabatów i ruska wiedźma?

– Porównywanie Arnolda do czarownic uważam za wysoce niestosowne – skrzywił się Biber.

– Nie porównuję osób, lecz jedynie sytuacje oraz zachodzące procesy – odparł van Bohenwald, patrząc na Bibera z wystudiowanymi wyrzutem i niechęcią.

– Postawiłam kiedyś hipotezę – zaczęła Nontle, urwała na moment i zmrużyła oczy – to było już dawno temu – dodała – ale kto wie, może jest w niej ziarno prawdy...

– Pilnie słuchamy – zapewnił van Bohenwald i aż zatarł ręce.

– Cała wiedza o świecie, o wszystkich jego sekretach oraz wszelkich rządzących nim procesach znajduje się w otaczającej nas przestrzeni – zaczęła księżniczka. – Ta wiedza jest niczym bezmiar wody oddzielonej od nas grubym szkłem. Prowadząc badania naukowe i eksperymenty, poznając świat i kierujące nim procesy, nawiercamy maleńkie dziurki w tym szkłe i pozyskujemy kropelki owej wody. Ale są wśród nas tacy – Mauretanka spojrzała w stronę Löwefella – którzy nie wiedząc nawet, w jaki sposób to czynią, potrafią spowodować, by woda wyciekła wprost na nich bez żadnego wysiłku z ich strony.

Nontle wzruszyła ramionami, jakby na znak, by jej koncepcji nie brać tak całkowicie poważnie, po czym dodała jeszcze:

– Pisałam o tym kiedyś, dawno temu, jako o jednej z wielu możliwych hipotez dotyczących zasad rządzących światem. To bardziej fantazja niż naukowe przemyślenia, ale kto wie... może jest w niej ziarno prawdy.

Przez chwilę wszyscy zgromadzeni w komnacie milczeli.

– Teoria dobra jak każda inna – rzekł w końcu Thorwaldson.

– Bóg stworzył źródło wszechwiedzy, lecz nie każdy potrafi się z niego napić – dodał zamyślony Biber. – Czemu miałyby tak właśnie nie być?

– A jeśli odgadnięcie sekretów Szachor Sefer otworzy przed nami to źródło? – spytał Angelidis, mrużąc oczy. – Jeśli to właśnie Czarna Księga umożliwi nam dostęp do wiedzy, którą przygotował dla nas Bóg? Jeśli fakt, że umiemy rozszyfrować Księgę, stanie się dla Boga świadectwem, że zasłużyliśmy na to, by napić się ze źródła wszechmądrości?

– Albo szklana tafla pęknie, a cała ta znajdująca się nad nią woda wyleje się na nas i potoniemy – rzekł zgryźliwie Thorwaldson.

– Nie, nie i jeszcze raz nie! – zaprotestował gwałtownie van Bohenwald i równie gwałtownie zamachał rękami. – Jesteśmy na spotkaniu Wewnętrznego Kręgu Świętego Officjum, a nie na naukowej dyspucie filozofów spierających się o prawa rządzące kosmosem. Wróćcie, bardzo was proszę, na ziemię, moi drodzy towarzysze, gdyż z filozofii i filozofowania żadnego chleba tutaj nie upieczemy...

– Niemniej tezy księżniczki wyjaśniają, w jaki sposób Morgana mogła nauczyć się magii inkwizytorów – zauważyła Deirdre. – Bo tego, dlaczego właśnie Morgana nabrała tak niezwykłych mocy, nigdy żadna z nas się nie dowiedziała. W sabatach nazywano ją Wybraną lub Uświęconą...

– Uświęconą – prychnął z niesmakiem i pogardą Thorwaldson. – To odrażające monstrum było podobne raczej do wściekłego psa chłepczącego ludzką krew niż do kogokolwiek, kogo można by nazwać mianem „uświęconego”.

– Ech, dajże spokój, Magnusie – machnął ręką van Bohenwald.

– Wiecie dobrze – kontynuowała Llatrisant – że ja sama służyłam sabatom długo po śmierci Morgany. Czy raczej po schwytaniu jej przez inkwizytorów – sprostowała. – Ale my cały czas, aż do końca, sądziłyśmy, że została zabita. W każdym razie pamięć Morgany otaczano w sabatach wielką czcią i niełatwo było doszukać się prawdy o pewnych sprawach z jej życia...

– Opisałaś to, czytałam twoje raporty – wtrąciła żywo Nontle.

– Tak, oczywiście, opisałam to, ale ponieważ zakładam, że nie wszystkich tu obecnych zajmowały sabaty, bo niby czemu miały zajmować, skoro zdawały się być jedynie historią...

Löwefell zwrócił uwagę na sformułowanie „zdawały się być”, które padło zamiast bardziej narzucającego się sformułowania „były”. Czyli historia ruskiego sabatu wywarła wrażenie na starej wiedźmie.

– ...krótko mówiąc – kontynuowała Deirdre – Morgana była oczywiście bardzo zdolna i jednocześnie bezwzględna, ale na początku jej talenty opierały się nie tyle na jakiejś potężnej magii, ile na zdolnościach dyplomatycznych zarówno w negocjacjach z przeciwnikami, jak i z innymi sabbatami. Jako pierwsza uznała, że zwykli ludzie powinni być traktowani jak sojusznicy, a nie jak niewolnicy, i zakazała znęcać się nad nimi... – Deirdre strzepnęła palcami. – No, przynajmniej nad tymi, którzy byli stronnikami sabbatów. Moglibyście się zdziwić, ale po stronie sabbatów stało wtedy wielu znacznych feudałów i szlachciców, którzy zrozumieli, że władza Morgany przynosi im zyski...

– A dokąd zmierzamy? – przerwał jej van Bohlenwald znudzonym tonem.

Llatrisant nie spojrzała nawet w jego stronę.

– Morgana miała znaczne zdolności magiczne. – Uniosła palec wskazujący. – Znaczne, powiedziałam, a nie olbrzymie, zadziwiające czy nieprawdopodobne. Ale coś zaczęło się z nią dziać od pewnego momentu, co spowodowało, że te zdolności rosły, rosły i rosły... Tak jakby ta szklana kopuła, o której mówiła Hildegarda, zaczęła pękać nad jej głową, a źródło wiedzy zaczęło sączyć się prosto do jej umysłu.

– W praktyce niewiele jej to przyniosło pożytku – zauważył Biber.
– Bo wojnę przegrała z kretesem.

– Kiedy zaczęła nabierać mocy, było już za późno, by odwrócić losy sabbatów – odparła Deirdre. – Może gdyby podobne zdolności zyskała wcześniej, może wtedy zdołałaby wytrwać dłużej. Bo

przecież, a dobrze to dzisiaj wiemy, chociaż wtedy nie wszyscy inkwizytorzy byli tego tak pewni, ostateczne zwycięstwo stało poza zasięgiem sabatów.

Nontle klasnęła.

– Tak właśnie było z tą małą Nataszą! – zawołała. – Dziewczyna sama była zdumiona tym, jak szybko się uczy i jak szybko zaczyna rozumieć pewne sprawy, które wcześniej były dla niej całkiem niezrozumiałe.

Odwróciła ściągniętą gniewem twarz w stronę Knabego.

– Wszystko zmarnowałeś – rzuciła oskarżycielsko.

– Droga księżniczko – przerwał jej van Bohenwald – możesz oskarżać Dietricha, że zabrał cię z Rusi i nie pozwolił odkryć tajemnic sabatu, co zresztą uczynił w zgodzie z naszymi najściślejszymi poleceniami. Ale na Boga, nie możesz go obciążać odpowiedzialnością za śmierć tej młodej wiedźmy, bo tylko ty, nikt inny, jesteś winna temu, że została zabita. Skoro była dla ciebie tak ważna, to trzeba było jej lepiej pilnować.

– Ależ ja...

Van Bohenwald gwałtownym, rozkazującym gestem wyciągnął rękę.

– Dość o tym! – rozkazał. – Ruskie sprawy pozostawiliśmy za nami. Może kiedyś odwrócimy głowę, by zobaczyć, co się z nimi dzieje, ale na pewno nie nastąpi to szybko.

– Poza tym Morgana żyła w innych czasach – rzekł Thorwaldson. – Dzisiaj żadna wiedźma, nawet najpotężniejsza, nie zmieni losów świata. Ba... ani jeden, ani nawet sto sabatów tak samo nie zmieniłyby tych losów. – Machnął dłonią. – Po prostu mielibyśmy krótką, krwawą wojnę, a po niej mnóstwo stosów. Rzeczywistość się zmieniła – dodał, wzruszając ramionami. – I tak jak nikt dzisiaj nie walczy z rydwanów bojowych ani nie atakuje wroga dwudziestostopowymi sarissami[12], tak nikt nie wygra wojny dzięki pomocy nawet najzdolniejszych czarownic.

– Zgadzam się z tą tezą całkowicie – odezwał się van Bohenwald. – Chociaż poza wszystkim innym chciałbym jednak zauważyć, że

w stosunku do Morgany powinniśmy używać formy terażniejszej, czyli „żyje”, a nie formy przeszłej, czyli „żyła”.

Thorwaldson tylko wzruszył ramionami, ale Löwefell prawdziwie się zdumiał.

– Żyje? – powtórzył. – Chcesz powiedzieć, że Morgana żyje?

– Ano żyje – burknął Marius. – I siedzi w naszych lochach... – Urwał na chwilę. – Barnabo – spojrzał w stronę Bibera – od iluż to lat? Przypomnij mi, jeśli łaska...

– Od tysiąc osiemdziesiątego drugiego roku, Mariusie – odrzekł natychmiast Biber.

– No widzicie! – klasnęła van Bohenwald. – Jeśli dobrze pójdzie, to jeszcze wszyscy będziemy świętowali pięćsetlecie uwięzienia Morgany w Amszilas.

– Przyzwoicie ją traktujemy, poimy krwią Aniołów i tak sobie żyje z roku na rok – dodał Biber i wzruszył ramionami.

– Słowo „przyzwoicie” w tym wypadku zapewne zależy od tego, jak interpretujemy jego znaczenie – wtrącił van Bohenwald. – Chociaż rzeczywiście nie głodzimy jej i nie torturujemy. – Uniósł na chwilę spojrzenie ku sufitowi i zmrużył oczy. – W sumie nawet nie wiem, czemu tego nie robimy – dodał zamyślony.

– Bo Morgana potrafiłaby się zabić – poddał Biber tonem wyjaśnienia, choć Löwefell był pewien, że akurat Marius wie o tym doskonale.

– Tak, zabić się – przytaknął van Bohenwald. – Ostatnia droga ucieczki dla ludzi niechących, by opromieniła ich łaska Świętego Oficjum – rzekł z namaszczeniem i westchnął. – Zwykle staramy się tę drogę ucieczki szczelnie przed naszymi więźniami zamykać, ale w przypadku Morgany nie zdałoby się to, niestety, na nic.

Löwefell rozumiał, co Marius ma na myśli, gdyż on sam potrafiłby, gdyby zaszła taka konieczność, uśmiercić siebie samego za pomocą jedynie siły woli. Wystarczyło do tego wyobrazić sobie własne organy wewnętrzne jako elementy funkcjonującego mechanizmu. Jak trybiki, przekładnie i kółka zębate w wielkim zegarze. A potem należało je zatrzymać... Czy inkwizytorzy potrafiliby powstrzymać

Löwefella przed podobnym postępkim? Zapewne tak, gdyby cały czas obserwowali go i pilnowali naprawdę potężni wśród nich. Co oznaczało, że podobne pilnowanie okazałoby się prędzej czy później nieskuteczne.

– A tak, przypomniałem sobie – pstryknął palcami Marius. – Morgana zagroziła, że się zabije, jeśli zaczniemy ją torturować.

– Może byłoby i lepiej, gdyby tak właśnie się stało – zauważyła Llatrisant.

– Gdybyśmy ją torturowali czy gdyby sama się zabiła? Którą z tych alternatyw masz na myśli?

– Inkwizytorium jest wieczne – stwierdził poważnie Biber. – A wola Boża objawia się niespodziewanie. Czekamy więc cierpliwie, aż serce tego potwora napełni się miłością i bojaźnią Bożą.

– Zważywszy na to, ile czasu to już trwa, to cierpliwość wydaje się w tym wypadku słowem kluczowym – zauważył ironicznie Angelidis.

Marius skinął poważnie głową, po czym rzekł lekkim już tonem:

– Nie jest tak, że problem Morgany spędza sen z oczu inkwizytorom. Po prostu raz na jakiś czas któryś z nas pyta: hej, a wiecie, że Morgana siedzi w lochu już od dwustu lat? A inni albo kiwają, albo kręcą głowami. Potem nic się już nie dzieje i sprawa umiera na kolejnych dwieście lat.

Problem na pewno nie był aż tak błahy, jak ironicznie przedstawiał go van Bohenwald, lecz jak Löwefell rozumiał, od pewnego czasu Inkwizytorium po prostu nie robiło sobie żadnych szczególnych nadziei związanych z Morganą. To z kolei oznaczało, że najprawdopodobniej kiedyś takie nadzieje, na praktyczne wykorzystanie zdolności oraz wiedzy największej wiedzy w historii świata, istniały.

– Nie możemy zdecydować, co uczynić z tą plugawą kreaturą. Jedni są za tym, by ją usunąć raz na zawsze, inni za tym, by pozostawić status quo, jeszcze inni chcieliby dokonać na niej pewnych eksperymentów... – kontynuował van Bohenwald.

– Jak rozumiem, próbowano pozyskać ją dla Inkwizytorium? – zagadnął Angelidis.

– A jak sądzisz? – Marius obrócił na niego ciężkie spojrzenie. – Oczywiście, że próbowano – dodał, wzruszając ramionami. – Starucha jest jednak uparta niczym stado mułów. Nie da się przemówić ani do jej rozumu, ani do jej uczuć, chociaż wszyscy, którzy mogliby coś w tej mierze osiągnąć, próbowali. No więc skoro nie chce nas pokochać, to siedzi i nienawidzi nas tak samo gorąco jak pięć wieków temu...

Przez chwilę nikt się nie odzywał.

– Jediną wartą zapamiętania aktywnością Morgany było zdarzenie, że kiedy pewnego dnia, a było to naprawdę dawno, dawno temu, odwiedziła ją w celi Deirdre Llatrisant, to Morgana napluła jej w twarz. Czy nie tak właśnie było? – Marius obrócił spojrzenie na siwowłosą kobietę.

– Dokładnie tak – chłodno odparła Llatrisant.

– Ano właśnie – pokiwał głową van Bohenwald. – Jak się domyślcie, bylibyśmy skłonni otoczyć ją naprawdę ciepłymi uczuciami, gdyby przeszła na stronę jedynej i prawdziwej wiary.

– Czemu więc tego nie uczyniła? – zapytał Löwefell.

Marius przyglądał mu się dłuższą chwilę w milczeniu i mrużąc oczy, tak jakby obserwował wyjątkowo cudaczne stworzenie, które tylko niezwykłym zbiegiem okoliczności znalazło się na linii jego wzroku i którego sama obecność stanowi wręcz pogwałcenie praw natury.

– Czemu tego nie uczyniła? – powtórzył pytanie Löwefella pełnym głosem. – Może czcigodna Llatrisant zechce nam odpowiedzieć na tę niewątpliwie interesującą kwestię.

– Morgana wierzy – odrzekła krótko Deirdre.

Löwefell przez chwilę zastanawiał się nad tymi słowami.

– Czy ona wie, jak bardzo zmienił się świat od czasu, kiedy została uwięziona? – zapytał wreszcie. – Czy rozumie, że nic nie zostało z sabatów oprócz pamięci zawartej w podaniach, legendach i kronikach? Że czarownice, które kiedyś były przebiegłą hordą

wilków, dzisiaj zaledwie przypominają otepiałe, wściekłe psy, pojedynczo kryjące się w chaszczach?

Mariusz roześmiał się.

– Poetycka natura z ciebie wychodzi, drogi towarzyszu – pochwalił ironicznie. – Otepiałe, wściekłe psy, kryjące się w chaszczach – powtórzył rozbawiony. – No tak, no tak, ale naprawdę trudno odmówić prawdziwości temu porównaniu – dodał już poważnie. – Tak jak trudno nam odmówić, że staraliśmy się pokazać Morganie potęgę chrześcijaństwa i nicość wrogów naszej świętej wiary. – Pokręcił głową. – Nic z tego jednak nie wyszło.

Wzruszył ramionami.

– Powiem wam, że najbardziej na świecie nienawidzę tych, którzy wierzą tak samo silnie jak my, jeśli jednak ich wiara opiera się na ideach kompletnie różniących się od naszych – stwierdził z namaszczeniem. – A Morgana, niestety, należy do takich właśnie nieprzyjemnych ludzi.

– Wybaczcie, ale nie rozumiem, w co może wierzyć Morgana – powiedział Löwefell. – Że na jakimś końcu świata znajdzie się siła, która pokona chrześcijan? Że z innych światów ruszą na nas demony i obrócą nasz świat w perzynę? I że wtedy ona będzie mogła zatriumfować? – Milczał przez chwilę. – Załóżmy nawet tak niezwykłą ewentualność, że ktoś by nas pokonał, to jak niby mogłaby skorzystać na tej klęsce stara, beużyteczna wiedźma?

Van Bohlenwald słuchał wątpliwości i pytań Löwefella z szerokim uśmiechem i nawet kiwał głową, jakby z uznaniem dla celności tychże pytań. A potem spojrział w stronę Llatrisant.

– Bądź tak uprzejma wyjaśnić naszemu perskiemu towarzyszowi, na co liczy Morgana, a raczej może, ściślej mówiąc, na co my sądzimy, że ona liczy.

Deirdre skinęła głową i zwróciła twarz w stronę Löwefella.

– Jak sądzisz, Arnoldzie, w jakim celu wiedźmy chowają swoje mistrzynie w wiecznej magicznej mgle?

– Żeby w symboliczny sposób oddać im cześć? Żeby podkreślić więź łączącą pokolenia czarownic?

Llatrisant skinęła głową.

– Niewątpliwie masz rację. Ale też dlatego, że wierzą, że kiedyś pojawi się czarownica, która je wszystkie przywróci do życia.

– Ach tak. Zakłęci rycerze w górach... – uśmiechnął się Löwefell.

Deirdre przez mgnienie oka zdawała się nie pojmować, wreszcie jednak odpowiedziała zdawkowym uśmiechem.

– Oczywiście, znam tę legendę – odparła. – Czarownice wierzą, czy raczej lepiej powiedzieć: wierzyły, i to też nie wszystkie oraz nie wszędzie, że kiedyś pojawi się wiedźma, której moc będzie nie z tego świata. Ona obudzi wszystkie siostry, nawet te z najdawniejszej przeszłości, i przywróci im władzę nad wszystkim, co żyje.

– A nie wszystkie mauzolea odnaleziono. – Biber znacząco uniósł palec. – Jak sądzimy, wiedźmy niektóre ze swoich świętych miejsc ukryły tak chytrze, że część tych grobowców, niewielka, bo niewielka, przetrwała do dzisiaj gdzieś na terenie Brytanii.

– Zresztą kiedy pokonaliśmy sabaty, to nikogo szczególnie nie obchodziło, by zajmować się poszukiwaniami starych cmentarzysk – skwitował van Bohenwald. – Znaleźliśmy ich wystarczająco wiele, by dokładnie je zbadać, a potem zniszczyć. Te, które zostały, nie były nam do niczego potrzebne.

– I dlatego właśnie Morgana może wierzyć w swojego wiedźmiego mesjasza, który przywróci wiedźmom władzę nad światem – podsumowała Deirdre.

– Przywróci? Wiedźmy nigdy nie rządziły światem – stwierdził Löwefell.

– Nie opowiadam ci o tym, jaka jest prawda, opowiadam ci o tym, jaka jest wiara – odparła Llatrisant ze smutnym uśmiechem.

– Wybacz, proszę.

– Och! – Strzepnęła palcami. – Nie ma czego wybacząć. Rzeczywiście można uznać, że w pewnym czasie wiedźmy rządziły Brytanią, i to też na swój szalony sposób, a nie w zwyczajnym rozumieniu tego słowa. Ale na pewno nie rządziły całym światem. – Umilkła na chwilę. – Nie wiem nawet, czy do końca wyobrażały sobie, co to tak naprawdę znaczy: rządzić...

– Być bezkarnym niczym szlachcic polujący na lisa, który stratował chłopu pole pełne dojrzewającego zboża i nie poniósł żadnych konsekwencji? – zaryzykował przypuszczenie Löwefell.

Deirdre myślała przez chwilę, po czym skinęła poważnie głową.

– Właśnie coś takiego – zgodziła się. – Tylko dużo, dużo więcej bólu i krwi.

– Słuchając was, zaczynam się zastanawiać, czy nie lepiej by było, gdybym jednak zniszczył to ruskie mauzoleum – odezwał się niespodziewanie Knabe. W milczeniu przysłuchiwał się rozmowie tak długi czas, że wszyscy zdawali się zapomnieć o jego obecności i traktować go raczej jako mebel czy rzeźbę, a nie żywego człowieka.

Nontle parsknęła rozdrażniona.

– Ludzie twojego pokroju myślą tylko o zniszczeniu czegoś, czego nie rozumieją – odezwała się złym głosem. – A mauzoleum należało nie niszczyć, lecz zbadać. Przejrzeć każdy jego sekret, rozplątać każdy jego mistyczny węzeł. – Wymierzyła wprost w Knabego upierścieniony palec. – Ty mi to uniemożliwiłeś, Dietrichu!

Knabe przyłożył dłoń do serca.

– Do usług – odparł, a Nontle, słysząc te kpiące słowa, zacisnęła tylko wściekle usta.

– Droga Hildegardo, Dietrich Knabe nie przybył na Ruś z misją badawczą, lecz z misją ratunkową – rzekł poważnie van Bohenwald.

– Jego zadaniem w żadnym wypadku nie było wikłanie się w przedziwne intrygi czy rozwiązywanie zagadek i sekretów. Dietrich Knabe miał ocalić nosiciela Szachor Sefer, dowieźć go bezpiecznie do Cesarstwa oraz zlikwidować wszelkie pozostałości czarnej magii, jeśli będzie to mógł uczynić, nie szkodząc głównej misji. – Marius odetchnął głęboko i powiódł wzrokiem po zebranych. – I chciałbym jak najwyraźniej podkreślić, że moim zdaniem nasz towarzysz ze wszystkich wyznaczonych mu zadań wywiązał się znakomicie, czym zasłużył sobie na nasze uznanie. Zgadza się ze mną?

– Bez wątpliwości – odezwał się natychmiast Angelidis.

Reszta członków Wewnętrznego Kręgu również, w ten czy inny sposób, bardziej lub mniej zdecydowanie, zgodziła się ze słowami Mariusa. Bo też rzeczywiście, czy od Knabego można było wymagać więcej? Co ja sam bym zrobił? – zadał sobie pytanie Löwefell. Czy wysłuchałbym hipotez Nontle i zdecydował się zostawić ją w tej ruskiej dziczy, na pozostałościach sabatu? Być może tak, gdyż niemal równie chętnie jak Hildegarda Reizend zadają pytania o sens oraz sposób działania świata. I cóż, pewnie właśnie dlatego mnie z podobną misją by nie wysłano. Knabe gwarantował solidność wykonania rozkazów.

– Jeżeli nikt nie ma nic do dodania, to cóż... – Marius uśmiechnął się serdecznie i uniósł z krzesła. – Rozejdźmy się wszyscy, by w naszym ciężkim, codziennym znoju wychwalać imię Pańskie.

– Nie podjęliśmy więc żadnych decyzji poza ukaraniem Hildegardy? – zapytał niechętnie Thorwaldson.

– A jakież jeszcze decyzje chciałbyś podjąć? – Marius obrócił na niego ciężkie spojrzenie. – Nasze dzisiejsze spotkanie służyło nie podejmowaniu decyzji, lecz wysłuchaniu raportów Dietricha Knabego oraz Hildegardy Reizend. Cóż więcej możemy na razie uczynić? Czy mam was wezwać, abyśmy zorganizowali wyprawę na Ruś? Czy mam zatrzeć, abyście już, teraz i zaraz, pakowali manatki i dosiadali wierzchowców?

– Ja bym pojechała! – oznajmiła z mocą Nontle.

Van Bohewald prychnął.

– Niczego innego bym się po tobie nie spodziewał, księżniczko. Ale, Bogu dziękować, wyprawy oraz podróże na razie nie będą zaprzętać twojej uwagi...



Esencja ducha i życia



Mariusz siedział, a raczej wygodnie rozpiął się na ławie wyściełanej grubymi poduchami, obitymi ciemnoczerwonym aksamitem. Ubrany był w powłóczyście szaty z mieniącego się jedwabiu, to okrycie przypominało trochę obszerny płaszcz, a trochę suknię, gdyż miało szerokie, powiewające przy każdym ruchu rękawy. Odzienie van Bohenwalda wydawało się czasami złote, czasami karminowe, a czasami wpadało w nuty tak ciemnego, królewskiego błękitu, że zdawał się on niemal przybierać barwę szafiru czy kobaltu, a wszystko zależało od tego, pod jakim kątem się spoglądało i pod jakim kątem padało na otyłego inkwizytora światło ze świeczników. Tak czy inaczej, trzeba było uznać ten strój za interesujący, a van Bohenwald – monstrualnie otyły, łysy, o nalanych policzkach i wypukłych, mięsistych ustach – przypominał w nim jakiegoś zdeformowanego dobrobytem perskiego eunucha z dworu książąt czy szacha.

– Dowiedziałem się, że chcesz mnie widzieć – powiedział Löwefell i przysiadł na drewnianym siedzeniu ławy, odsunąwszy na bok poduchy.

– Nie katuj pośladków twardym drewnem – pokręcił głową Marius. – Sam sprawdź, jak miękkie są te podusie.

Löwefell przemilczał uwagę i postanowił spokojnie poczekać, aż van Bohenwald zacznie mówić z sensem i na temat.

– Nie to nie – burknął otyły inkwizytor. – Twoja strata, Arnoldzie. – Obrócił się w stronę towarzysza. – Ale przecież jako Narses musiałeś hołdować wygodom, luksusowi i bajecznej wręcz wystawności, więc skąd narodziła się ta nagła chęć do umartwiania?

Löwefell znowu się nie odezwał, bo zresztą nie zamierzał tłumaczyć Mariusowi, iż Narsesowi tak naprawdę nie zależało na zbytku, a jeżeli okazywał publicznie swe rzeczywiście niezmiernie bogactwo, to nie dla pychy czy hołdowania próżności, lecz by olśnić zarówno sprzymierzeńców, jak i wrogów. Pierwszych utwierdzić w przekonaniu, że dobrze postępują, a drugich przerazić lub zwabić. Dla Narsesa majątek i przepych były jedynie środkami prowadzącymi do celu, jakim była władza. Władza w sensie politycznym, ale też władza w sensie mistycznym. Z bogactwem i z olśniewaniem innych ludzi swymi niezwykłymi możliwościami było tę władzę po prostu łatwiej osiągnąć.

Marius ułożył się wygodniej, zasapał z wielkim ukontentowaniem, jakby chciał pokazać Löwefellowi, jak wiele ten traci, siedząc na drewnianym siedziszczu, po czym wreszcie się odezwał.

– Powiedz mi, jak się czuje twoja ukochana przyjaciółka i uczennica Roksana? – zagadnął tonem przyjacielskiej pogawędki.

Löwefell również nie zamierzał tłumaczyć, że Roksana nie jest ani jego uczennicą, ani przyjaciółką, gdyż van Bohenwald sam doskonale o tym wiedział. Owszem, była uczennicą Narsesa, może nawet ulubioną uczennicą, ale stary perski mag traktował ją nawet nie jak wierne zwierzę, ale po prostu jak wart przechowywania przedmiot, który nabiera ceny z biegiem lat i może okazać się przydatny.

– Czy opiekując się nią, potrafisz spożytkować ogromny sukces, jaki odnieśliśmy, odnajdując właściwego nosiciela dla jej esencji życia? – dopowiedział Marius.

– Nie powiedziałbym, że w przypadku Roksany znalezienie właściwego nosiciela okazało się sukcesem – zauważył Löwefell. – Roksana nienawidzi mnie, każdego z nas, klasztoru, w którym ją zamknięto, chrześcijaństwa, a nade wszystko chyba nienawidzi siebie samej i życia, jakie jej przeznaczono. Ciągłe powtarza, że najbardziej chciałaby umrzeć.

Van Bohenwald zaśmiał się złośliwie.

– Chciałaby umrzeć! A to paradne! – Prychnął ostentacyjnie. – Otóż, Arnoldzie – ciągnął już zdecydowanie poważniej – gdyby twoja uczennica naprawdę pragnęła śmierci, to zapewne znalazłaby możliwość, by spełnić swoje marzenie i w ten czy inny sposób ją sobie zadać. – Potem van Bohenwald spojrział w stronę towarzysza. – Tymczasem problem tkwi w czym innym: ona po prostu nie wie, jak żyć. I właśnie ty, Arnoldzie, jej opiekun, mentor i władca, miałeś oraz powinieneś ją tego nauczyć – dodał z wyraźnym wyrzutem.

Nie było to wszystko tak proste, jak przedstawiał Marius, zresztą on sam najpewniej wiedział, iż przywrócenie Roksany do życia okazało się na razie fiaskiem. Poza tym ona już wcześniej została zniszczona, zresztą przez samą siebie, potężnymi zaklęciami ognia i krwi, a z młodej, pięknej kobiety zamieniła się w plugawą, obrzydliwą staruchę żyjącą w koblenckiej dzielnicy biedoty. To tam właśnie spotkała Piękną Katarzynę, obecnie i od lat gościa klasztoru Amszilas, oraz jej małego wtedy syna, którego dzisiaj znano pod imieniem Mordimera Madderdina, a które to imię zresztą wymyślił mu sam Löwefell. I to tam, w Koblencji, w trakcie magicznego rytuału starucha przekazała chłopcu zaklętą przez siebie księgę Szachor Sefer – wielką tajemnicę, której wydobywanie i rozszyfrowanie według niektórych zapewniało przejście do krain niebiańskiej szczęśliwości, według innych wieszczyło zagładę rodzaju ludzkiego, a jeszcze według kolejnych nie znaczyło kompletnie nic, ponieważ sama Szachor Sefer nigdy nie była istotna, a traktować ją należy jako pułapkę zastawioną na badaczy – ot, ślepa droga, wędrówka, która zajmie czas poszukiwaczom, wędrówka, którą okupią wielkim wysiłkiem, a która donikąd ich nie zaprowadzi. Roksana była wtedy

i zawsze odważna, bezwzględna oraz ślepo oddana sprawie, której służyła. Ale teraz z dawnej wspaniałej magini ognia nie pozostała nawet łupina. Nic poza wiecznie uzalającą się nad sobą i swoim losem młodą, nieładną i nieforemną kobietą, która nie mogła znieść ani siebie (a zwłaszcza swojego nowego ciała, które wydawało jej się odrażające), ani nikogo i niczego obok siebie.

– Roksana nie widzi już we mnie tego, kim byłem kiedyś, nie dostrzega we mnie Narsesa, którego bała się i którego czciła – wyjaśnił Löwefell. – Pogardza mną tak samo mocno jak innymi chrześcijanami.

Van Bohenwald musiał o tym oczywiście wiedzieć, ale nie silił się na żadne złościwości. Skinął tylko głową, przyjmując opinie Löwefella do wiadomości.

– To się zmieni – stwierdził z wielką pewnością w głosie. – To się zawsze zmienia. To się musi zmienić.

– Roksana była piękną kobietą – powiedział Löwefell. – Nadzwyczajnie piękną. Jej urodę sławiono w wierszach i poematach, była natchnieniem dla artystów. Nazywano ją Fiołkiem Kaviru. A przy niezwykłych walorach ciała była również fascynująco rozumna. W końcu nie bez powodu utrzymała się tyle lat przy starym, okrutnym Narsesie...

– Do czego zmierzamy? – burknął otyły inkwizytor z wyraźnym niezadowoleniem.

– Zmierzam do tego, by ci powiedzieć, że dla Roksany utrata urody oraz utrata mocy, którą miała jako magini ognia, jest niewyobrażalnym wręcz dramatem. Możesz to ignorować, możesz to uważać za głupie lub niegodne tak potężnej kobiety jak ona. – Urwał na moment. – Jaką ona kiedyś była – poprawił się. – Ale tak właśnie jest.

– Jej moc wróci – znowu burknął van Bohenwald. – Tylko ta głupia, uparta dziewczka musi się o to bardziej postarać. A ona tego nie chce – dodał z wyraźną złością. – A nie chce dlatego, że ty, Arnoldzie, nie potrafisz jej przekonać, by zechciała! – dokończył z jeszcze większym rozdrażnieniem.

Milczeli przez chwilę.

– Ale wezwałem cię nie po to, by mówić o twojej perskiej przyjaciółce oraz rozprawiać o twoich związanych z nią klęskach, niepowodzeniach i porażkach – odezwał się wreszcie van Bohenwald. – Chciałbym, abyśmy poruszyli sprawy i kwestie znacznie bardziej istotne od tej niewydarzonej magiczki.

Określenie Roksany mianem mało istotnej oraz niewydarzonej magiczki było na pewno celowe, ale też trudno było przejść nad takim stwierdzeniem do porządku dziennego. Przecież wyprawa inkwizytorów właśnie po esencję życia Roksany ruszyła aż za Kamienie, górski masyw oddzielający Europę od Azji. W celu zdobycia tejże esencji stoczono bitwę z Agu Batarem, bitwę, która mogła się nawet skończyć śmiercią wszystkich obecnych tam inkwizytorów: Barnaby Bibera, Hildegardy Reizend, Mordimera Madderdina oraz samego Arnolda Löwefella. Czy po to ryzykowali życie, by przywrócić światu perską czarodziejkę Roksanę, by teraz ten wielki wysiłek uznawano za sprawę mało istotną? Jednak fakt pozostawał faktem, iż na razie efekty wskrzeszenia Roksany były, najłagodniej mówiąc, mało satysfakcjonujące.

Löwefell czekał, co jego towarzysz powie, a van Bohenwald najwyraźniej liczył na jakąś reakcję na swoje słowa o Roksanie. A przynajmniej sprawiał wrażenie, że na taką reakcję czeka.

– Chcielibyśmy, aby Roksana była tak potężna i tak pełna witalnych sił jak wtedy, kiedy zjawiała się w Amszilas – oznajmił poważnie van Bohenwald. – Bo powiem ci, Arnoldzie, że choć była ona wrogiem chrześcijaństwa i chrześcijan, to jednocześnie zawsze ceniliśmy jej odwagę i zdecydowanie. A poza wszystkim innym należy jej oddać, że była bezwzględnie lojalna wobec ciebie. – Westchnął. – Tak, tak, to, niestety, zdolność, którą wielu utraciło, nie tylko zresztą w Persji: bezwzględna lojalność.

Trudno było się nie zgodzić z tym stwierdzeniem, zwłaszcza po perypetiach Hildegardy Reizend i po osądzie, któremu została poddana. Swoją drogą, Löwefell był ciekaw, czy wyrok naprawdę się utrzyma, czy też niedługo z jakichś powodów, prawdziwych bądź

wydumanych, zostanie uchylony lub złagodzony. Był pewien, iż Nontle na taki obrót spraw liczyła, chociaż też warto było zauważyć i zapamiętać, że na spotkaniu Wewnętrznego Kręgu żaden z obecnych nie stanął w jej obronie, nie tylko by dążyć do jej uniewinnienia, ale chociażby zaledwie do złagodzenia kary.

A czy Roksana była lojalna wobec Narsesa? Niewątpliwie tak, gdyż miała w tym swój własny interes. Jedynie przy nim mogła nie tylko żyć w luksusie i poczuciu względnego bezpieczeństwa, ale przede wszystkim rozwijać swoje, i tak wielkie już, zdolności magiczne. Pamiętam przecież z tego dawnego życia, z tej egzystencji Narsesa, pomyślał Löwefell, że czasami kusilo mnie, aby poniżyć tę piękną, dumną i silną kobietę. Aby ją torturować, aby ją rzucić na pastwę ifrytów, którzy gwałciłiby ją swoimi ognistymi członkami... Aby zmusić ją do płaczu, lamentu i upokarzającego błagania o litość. I zawsze się powstrzymywałem, czy raczej Narses zawsze się powstrzymywał. Mógł zabawiać się z innymi ludźmi i innym zadawać męki, ale Roksany było mu po prostu żal. Nie, oczywiście, że nie jako człowieka, nie jako myślącej i czującej istoty. Było mu jej żal jako najdoskonalszego dzieła jego życia, które przez głupotę bezpowrotnie by utracił. Zmarnowanie Roksany dla chwili płóchej uciechy byłoby jak zniszczenie jedyne w swoim rodzaju i niepowtarzalnego dzieła sztuki. Tak jakby rzeźbiarz rozłukł młotem niemal idealny posąg, nad którym wiele lat pracował, tylko po to, by zabawił go dźwięk gruchotanego marmuru. Dlatego Narses mimo wszelkich pokus wołał w Roksanie widzieć uczennicę, doradczynię i zaufaną sługę. A potem Roksana zdecydowała, by wraz ze swym panem zdradzić Persję, by uciec pod opiekę inkwizytorów i znienawidzonego w Persji Świętego Officjum. Teraz po tej Roksanie, która zdecydowała się porzucić całe dotychczasowe życie, nie pozostał ślad. Była tylko zniechęconą, wiecznie narzekającą kobietą, która na nic nie miała ochoty, niczego nie pragnęła ani na nic już nie liczyła i której dni mijały jeden po drugim, kompletnie pozbawione sensu i nieprowadzące jej nawet na

krok dalej. Kiedyś życie Roksany było niczym bieg po pióropuszcach płomieni, teraz jednak przypominało leżenie na stercie gnoju.

– No dobrze – westchnął Marius. – Będziemy jeszcze wracać do sprawy Roksany i będziemy cię ciągle pytać, Arnoldzie, bądź na to przygotowany!

Löwefell skinął głową. Tak, o tym akurat wiedział, że Roksana jest jego obowiązkiem i nikt go z tego zadania nie zwolni, choćby było ono nie tylko niemiłe, ale także bezsensowne.

– Powiedz mi, Arnoldzie – zmrużył oczy van Bohenwald – co sądzisz o naszym towarzyszu Dietrichu Knabem?

Löwefell pokręcił głową.

– Nic – odparł.

– Nic – powtórzył van Bohenwald. – Jakże wiele powiedziane.

– Wiem, że pełni ważną rolę dla Świętego Officjum, i wysłuchałem jego raportu z ruskich działań, wiem również, że wykonał egzekucję na Aniele, którym była niegdyś Katrina. Ale to wszystko jest wiedza, to wszystko jest informacja, natomiast w żadnym wypadku nie osąd – wyjaśnił obojętnie Löwefell.

– Taaak – pokiwał głową van Bohenwald. – Wiedza, wiedza, wiedza. – Wypowiedział te słowa, jakby smakowanie ich sprawiało mu prawdziwą przyjemność. – Wiedza o Dietrichu Knabem jest zaiste niezwykle zajmująca...

Van Bohenwald zabębnił palcami po drewnianym siedzisku ławy i zastanawiał się chwilę.

– Czy wiesz, Arnoldzie, z czym wiąże się taka egzekucja jak obcięcie skrzydeł Aniołowi?

– Wiem to za dużo powiedziane – odparł ostrożnie Löwefell. – Słyszałem o pewnych konsekwencjach.

Marius machnął lekceważąco ręką.

– Nie pytam o Katrinę, gdyż doskonale wiem, co ją spotkało i jakie stworzyło dla niej konsekwencje. Chociaż uwierz mi... – Obrócił się nagle w stronę Löwefella i wpatrzył w niego wzrokiem niemal wrogim. – Uwierz mi, że pod pewnymi względami życie Katriny jest

teraz o wiele pełniejsze, bogatsze i bardziej wartościowe, niż kiedy była Aniołem.

– Zapewne wszystko zależy od oceniającego – odparł Löwefell.

Marius wzruszył ramionami.

– Jak zwykle – zgodził się. – Ale wracając do kwestii egzekucji, to pytałem cię, czy wiesz, co oznaczałoby dla człowieka takiego jak ty czy ja... – Urwał nagle i cmyknął przez zęby. – No, być może popełniam nadużycie, nazywając nas ludźmi, ale mam nadzieję, że rozumiesz, o co mi chodzi... Otóż powiedz mi, czy wiesz, jakie konsekwencje miałyby, gdybyś obciął skrzydła potężnemu Aniołowi, nawet w sytuacji, gdyby była to legalna egzekucja, przeprowadzona zgodnie z prawem i obyczajem, a sam Anioł byłby pogodzony ze swoim losem.

Löwefell nigdy nie zastanawiał się nad tym, co czuł Knabe, obcinając skrzydła Aniołowi, więc pokręcił tylko głową.

– Otóż, mój drogi perski towarzyszu, gdybyś obciął skrzydła Aniołowi tak potężnemu, jakim była Katrina, to wywołałbyś tak katastrofalną burzę, że walące z niej pioruny usmażyłyby twój mózg, jakby był jajkiem wrzuconym do środka wulkanu.

Cóż, można było właśnie przypuszczać coś takiego. Egzekucja istoty tak szalonej i tak potężnej jak Anioł musiała odbić się przerażającym echem zarówno w świecie rzeczywistym, jak i w uniwersum nie-świata. A egzekutor byłby w samym środku wywołanej przez siebie katastrofy.

– Cóż więc chroniło Knabego? – zapytał.

– Knabego chroniło to, kim jest. – Van Bohenwald wyciągnął palec i wycelował go prosto w twarz Löwefella. – Czy raczej, ściślej mówiąc, to, jakie posiada przyrodzone zdolności.

Położył dłonie na pulpicie i splótł palce, co zresztą z uwagi na ich grubość uczynił z wyraźnym trudem.

– Wyobraź sobie, Arnoldzie, że kiedy Knabe brał zamach swoim srebrnym mieczem i kiedy skąpany w fontannach złotej krwi obcinał skrzydła Aniołowi, to nie drgnęła mu nawet brew. Nawet się nie skrzywił... – Marius zaśmiał się i zatarł ręce. – Taki właśnie jest

nasz Dietrich Knabe, jakbyś chciał wiedzieć. Nieoceniony, zapewniam cię.

To, że Knabe jest postacią wyjątkową, Löwefell oczywiście wiedział już wcześniej. W końcu byle kto nie potrafiłby poradzić sobie w jednej chwili z Hildegardą Reizend, w dodatku z Hildegardą Reizend wściekłą, zdeterminowaną oraz przygotowaną do walki. A jednak, jak sama opowiadała i jak wynikało z raportu Knabego, inkwizytor obezwładnił ją momentalnie i bez trudu.

Teraz jednak oprócz rozmyślań o Knabem Löwefell zaczął się zastanawiać, jak technicznie wyglądała egzekucja Anioła. Gdzie się odbyła? W którym dokładnie miejscu? Kto był jej świadkiem? Jak wyglądali uczestnicy tej kaźni? Czy Anioł miał rozpostarte skrzydła? Czy przykuto go łańcuchami lub obezwładniono zaklęciami? Chyba nie, skoro van Bohenwald mówił, że był pogodzony z losem. A jak przebiegał proces przemiany? Jak to się stało, że mocarny Anioł zamienił się w kruchą, delikatną kobietę, jaką była Katrina? Czy ta przemiana przebiegła natychmiastowo, czy też trwała dniami lub nawet miesiącami? A czy obecne, niezwykle zdolności Katriny i jej wielka moc, stanowiły pozostałość po umiejętnościach, które miała jako Anioł, czy były czymś zupełnie, całkowicie nowym? Jakimś elementem towarzyszącym fizycznej przemianie, jaka ją spotkała? Krótko mówiąc: ile z Anioła pozostało w obecnej Katrinie? I czy miała szansę, by kiedykolwiek wrócić do dawnej postaci? A gdyby taką szansę otrzymała, to czy chciałaby z niej skorzystać? Löwefell miał tak wiele pytań i przemyśleń, lecz wszystkie zatrzymał dla siebie, a na głos rzekł tylko:

– Zastosowano surową karę, czyż nie?

– Mogła być surowsza – wzruszył ramionami Marius. – Bo nie po to, narażając życie wielu dobrych ludzi, podejmując ogromny wysiłek i ponosząc gigantyczne koszty, sprowadziliśmy do Amszilas najpotężniejszego perskiego czarownika, skłonnego podzielić się z nami swymi sekretami, by potem z winy nieuważnego Anioła wszystko to przepadło jak kamień w oceanicznej głębi. A tobie... – wykonał taki gest, jakby chciał uderzyć palcem wskazującym

w czoło Löwefella, ale wstrzymał ten ruch na cal przed celem – z mózgu zrobiono galaretę.

Löwefell nie wiedział, dlaczego właśnie Katrinę obarczono winą za nieupilnowanie bezpieczeństwa Narsesa, lecz podejrzewał, iż skoro zdecydowano się na tak surowy wyrok, to błąd musiał być niepodważalny.

– To bardzo interesujące, co zechciałeś mi opowiedzieć – rzekł szczerze. – Lecz wyjaw mi, czemu właściwie zawdzięczam zaszczyt konwersacji o Dietrichu Knabem i jego zdolnościach?

– Dietrich Knabe – powtórzył van Bohenwald i pokiwał głową. – Pamiętam go jeszcze z czasów, kiedy był chłopcem. Bardzo sumiennym, odważnym i oddanym naszej sprawie. – Marius zaśmiał się nagle do swoich myśli. – Czy wiesz, kiedy go zobaczyłem pierwszy raz? Ha, pamiętam to jak dzisiaj. Wychodziliśmy właśnie z katedry w orszaku wielkich panów, dam oraz inkwizytorów, a ten chłopak podbiegł wprost do mnie i zawołał: „Mistrzu, ja też chcę być inkwizytorem! Proszę mnie przyjąć do Świętego Officjum!”.

Marius zaśmiał się znowu, ale z niespotykaną, jak na niego, serdecznością. Widać to wspomnienie dawnych lat było miłe jego sercu.

– Poznawaliśmy Dietricha i jego talenty – kontynuował. – A mówię: poznawaliśmy, bo przecież i on sam przez długie lata nie zdawał sobie sprawy, do czego jest tak naprawdę zdolny. A kto wie, być może coś jeszcze przeoczyliśmy – westchnął. – W każdym razie mam taką nadzieję – dodał z uśmiechem. – Bo dobrze by było odkryć, że nasz dzielny towarzysz jest w stanie nas jeszcze, kiedyś w przyszłości, czymś zadziwić.

Löwefell nie zapytał, o jakie to szczególne zdolności chodzi, gdyż świetnie rozumiał, że Marius właśnie po to chciał się z nim spotkać, by o tych zdolnościach opowiedzieć.

– Dietrich umie przyzywać żołnierzy, którzy mu służą w potrzebie. Tak właśnie uczynił na Rusi, kiedy zniszczył sabat – rzekł van Bohenwald.

– Przyzywać żołnierzy – powtórzył Löwefell.

– No wiesz... stamtąd. – Marius wykonał nieokreślony ruch dłonią, nie wiadomo było, czy wskazuje nim górę, czy dół, ale jego rozmówca oczywiście natychmiast zrozumiał, o co chodzi. Skinął głową.

– To niebezpieczne – skwitował tylko.

– Nasze życie w ogóle jest niebezpieczne – też skwitował van Bohenwald. – Ale choć wielce sobie cenimy tę umiejętność Dietricha, gdyż bywa ona w jego rękach całkiem przydatna, to jednak co innego uważamy za najbardziej zdumiewający jego talent.

W ustach Mariusa sformułowanie takie jak „najbardziej zdumiewający talent”, wypowiedziane w dodatku głosem całkowicie poważnym, bez krzty ironii, kpiny czy szyderstwa, zabrzmiało naprawdę interesująco oraz niezwykle.

– Knabe umie wydobywać esencję zmarłych – wyjął po chwili van Bohenwald.

Löwefell drgnął. Nie spodziewał się czegoś takiego. Myślał raczej o jakiejś niezwyklej zdolności bitewnej albo o szczególnej umiejętności radzenia sobie z sekretami nie-świata. Ale wydobyć esencji życia? Ten zabieg był cudem, i to nie w powszechnym rozumieniu tego słowa, lecz w pojmowaniu go przez Wewnętrzny Krąg Świętego Officjum, a więc ludzi, dla których magia nie stanowiła wielkiej tajemnicy. Oznaczało to ni mniej, ni więcej, że Dietrich Knabe potrafił czynić cuda, dzieła olśniewające nawet najbardziej wtajemniczonych inkwizytorów. I dla ogromnej większości z nich pozostające poza zasięgiem pojmowania. Przecież esencja życia Roksany, dawnej perskiej księżniczki i magini, nie została wydobyta przez inkwizytorów. Oni ją tylko odzyskali z rąk wroga, który to uczynił. Natomiast znalezieniem odpowiedniego nosiciela, człowieka, w którego ciało można było wlać tę esencję, zajął się już Wewnętrzny Krąg i udało się to zdumiewająco, wręcz nadzwyczajnie szybko. Chociaż na razie, niestety, tylko owa szybkość była czymkolwiek, co się powiodło w rzeczonym zabiegu.

– To cudowna zdolność – powiedział Löwefell. – Wiedziałem, że w Inkwizytorium są osoby nią obdarzone, lecz zdziwiło mnie, kiedy

powiedziałeś, że należy do nich właśnie Knabe.

– Prawda? Pomyślałby kto... – westchnął Marius. – No cóż, trzeba przyznać naszemu Dietrichowi, że jest to człowiek szeregu wielkich talentów, i to w dodatku z dziedzin znacząco od siebie odległych, co jego zdolności czyni jeszcze bardziej niezwykłymi i dla nas cennymi.

Tak jest, to była niewątpliwa prawda, że wszechstronność połączona z biegłością w każdej z dziedzin mogła być uważana za unikatową.

– Oczywiście zdolności Knabego mają znaczące ograniczenia – stwierdził Marius tym razem ze smutkiem.

– Czas – odgadł Löwefell.

– Rzecz jasna. – Van Bohenwald skinął głową. – Im więcej czasu upłynie od śmierci człowieka do chwili zakończenia zabiegu, tym większe, niestety, istnieje zagrożenie, że procedura w ogóle się nie uda. Lub że esencja zostanie skażona czy wypaczona w sposób... – umilkł na chwilę – stanowiący istotne zagrożenie – dokończył.

– O jakim czasie mówimy?

Van Bohenwald wzruszył ramionami.

– Kilka godzin. Kilka dni. Wszystko zależy od cech zmarłego człowieka. Ale na pewno nie dłużej.

Potem Marius splótł dłonie, aż chrupnęły mu kości, i wyraźnie się skrzywił.

– Ale widzisz, mój perski przyjacielu, to nie ta przeszkoda jest najgorsza i najgroźniejsza. To nie groźba spaczenia esencji powstrzymuje nas przed stosowaniem tego przecież prawdziwie cudownego zabiegu. – Znów odwrócił się do Löwefella, a oczy mu błyszczały. – Powstrzymuje nas, a powiem to szczerze i bez ogródek, siła strachu tak porażająca, że kazała nam wydać prawo, że każdy, kto bez zgody całego Wewnętrznego Kręgu przeprowadzi ten zabieg, zostanie ukarany w sposób, przy którym kara dla Hildegardy Reizend wydawałaby ci się zaledwie delikatnym oraz czułym napomnieniem.

– Skoro wydano takie prawo, to oznacza, że Inkwizytorium, po pierwsze, miało przykre doświadczenia, a po drugie, że nie tylko

Knabe został obdarzony tym talentem – zauważył Löwefell.

– Przykre doświadczenia – powtórzył van Bohenwald i pokiwał głową. – Tak zapewne właśnie można by nazwać to, co nas spotkało. Kto inny z kolei powiedziałby: niedogodność, a jeszcze kto inny nazwałby to piekielną, dewastującą katastrofą – dokończył, dobitnie wypowiadając trzy ostatnie słowa.

Jeśli Marius z jakichś sobie tylko znanych powodów nie przesadzał lub nie kłamał, to Święte Officjum musiało naprawdę zostać poruszone nieszczęściem, które się wydarzyło. A wydanie przewidującego drakońskie kary prawa również nie było przecież zwyczajnością, gdyż w Wewnętrznym Kręgu zwykle ufano osądowi jego członków i nie spiesono się z ustalaniem prewencyjnych zakazów.

– Czego aż tak bardzo się boi Święte Officjum? – zapytał Löwefell.

Marius rozłożył ramiona tak szeroko i tak gwałtownie, że rękawy jego kaftana niemal musnęły twarz rozmówcy.

– Nie wiemy – odparł po prostu. – A raczej, mówiąc bardziej ściśle i zrozumiale, bo przecież szczerze pragnę, byś zrozumiał, co dokładnie mam na myśli: nigdy nie wiemy, co zdarzy się w danym i konkretnym przypadku. Lecz zawsze... – stuknął kośćmi pięści w blat – przysięgam ci, Arnoldzie, zawsze do tej pory był to kataklizm uderzający zarówno w nie-świecie, jak i odbijający się potężnym i spotworniałym echem w naszym uniwersum.

Löwefell nie odzywał się przez moment, a tylko myślał nad tym, co właśnie usłyszał.

– Taka więc jest obrona kosmosu – rzekł wreszcie. – Jego świętych zasad mówiących, że co jest martwe, to jest martwe, a co żywe, to żywe. I tak jak możemy przechodzić ze stanu drugiego do pierwszego, gdyż jest to naturalna kolej praw natury, tak przejście ze stanu pierwszego do drugiego kosmos uważa za rażące naruszenie rządzących nim prawideł.

– Rozgadałeś się, jak nie ty – prychnął van Bohenwald. – Ale tak, właśnie tak – dodał po chwili z westchnieniem. – Mniej więcej o to chodzi i właśnie do podobnych wniosków jak twój doszliśmy

w Inkwizytorium. Nie żeby nam się to podobało, gdyż przecież łamać prawa natury mieliśmy zamiar jedynie w wielkiej potrzebie i w świętej sprawie. Ale jak widać... – Znowu rozłożył ręce. – Albo powód, dla którego czynimy, co czynimy, nie jest istotny z punktu widzenia następujących po nim konsekwencji, albo umknęła nam jakaś furтка, jakaś ścieżka prowadząca do rozwiązania, które nie kończyłoby się katastrofą.

– Kiedy ostatnio przeprowadzono ten zabieg?

– Przedostatnio było to bardzo, bardzo dawno temu i od tej pory wstrzymywaliśmy się z podobną pochopnością oraz z tak gwałtownym atakiem na prawa kosmosu. – Słowa „prawa kosmosu”, zaczerpnięte z wcześniejszej wypowiedzi Löwefella, wymówił jednak z wyraźną ironią.

– Przedostatnio – powtórzył za nim Löwefell. – A ostatnio?

– Czyż to nie jest jasne? – zmarszczył brwi van Bohenwald. – Skoro zacząłem rozmowę od opowieści o Knabem, to chyba zrozumiałe, że sprawa dotyczy właśnie jego. To nasz przyjaciel Dietrich zdecydował się złamać długo obowiązujące zakazy i Bóg wie co sprowadził lub co sprowadzi w ten sposób na świat.

– Czyją esencję Knabe odzyskał na Rusi? – zapytał Löwefell, jednak doskonale już znając odpowiedź.

– A czyją esencję mógł odzyskać, jak nie tej małej wiedźmy, która zrobiła na nim tak wielkie wrażenie? – Van Bohenwald obrócił błyszczące gniewem oczy na Löwefella. – Czy wyobrażasz sobie, jak wielkie było to wrażenie, skoro Dietrich Knabe, rozważny, posłuszny Dietrich Knabe, który za honor poczytuje sobie, że ściśle wykonuje rozkazy, a nie rozmyśla nad ich sensem, zdecydował się zlekceważyć nasz najsurowszy i najbardziej stanowczy zakaz?

Löwefell skinął głową.

– Wyobrażam sobie – powiedział tylko.

Szczerze mówiąc, na razie nie wiedział, ani co ma myśleć o tej historii, ani dlaczego właśnie jemu ją opowiedziano. Dlaczego van Bohenwald nie zaznajomił z nią wszystkich czy chociaż kilku członków Wewnętrznego Kręgu, ale właśnie jego? Chyba że

z każdym miał zamiar rozmawiać w cztery oczy, lecz niby z jakiego powodu miałby tak właśnie czynić, a nie zwołać ogólną naradę?

– On sobie wyobraża – powtórzył Marius w przestrzeń obrażonym tonem. – Nie, drogi Arnoldzie, nie wyobrażasz sobie, a i ja nie sądziłem, że Knabe jest zdolny do takiego postępku.

– A czyż pytanie nie powinno brzmieć: czy pochwalamy ten postępek, czy go ganimy?

Marius pokiwał głową.

– Ano właśnie. Pochwalamy czy ganimy? Karzemy czy nagradzamy? A może obojętnie pomijamy?

– Drugie pytanie brzmi: co pragniemy uczynić z esencją tej wiedzy?

Van Bohenwald lekceważąco strzepnął dłońmi.

– Sam wiesz, że niewiele tu może zależeć od nas i naszych złych czy dobrych chęci. W przypadku Roksany mieliśmy ogromne, niewyobrażalne wręcz szczęście, że nosiciel zdolny przyswoić esencję jej życia znalazł się niemal natychmiast. Ale równie dobrze możemy na właściwą osobę czekać lata. A nawet wieki! – Zamyślił się na chwilę i opuścił wzrok. – Tak, tak, nawet wieki – powtórzył z wyraźnym smutkiem.

Lecz zaraz potem znowu uniósł głowę.

– Bo wiedz, Arnoldzie – kontynuował – że jeśli popełnilibyśmy błąd w wyborze nosiciela, to ten błąd byłby ostateczny i nieodwracalny.

To wszystko Löwefell akurat wiedział, ale rozumiał też, że van Bohenwald bije się z natłokiem myśli. Dlaczego jednak tymi myślami zechciał się dzielić właśnie z nim? Owszem, Löwefell brał udział w wyprawie na Ruś i za Kamienie, lecz przecież nie poznał młodej wiedzy, gdyż zjawiała się ona na zamku w Peczorze dopiero po jego wyjeździe do Cesarstwa. Co niby miał więc powiedzieć lub doradzić? I czy van Bohenwald w ogóle oczekiwał od niego jakiejś rady?

– Jeżeli Knabe zjawił się niedługo po śmierci czarownicy – zaczął Löwefell – i jeżeli miał do dyspozycji jej ciało, jak rozumiem, pozostawione w nienaruszonym stanie, to dlaczego nie skorzystał

z możliwości, by esencję życia z powrotem przelać w ciało dziewczyny? Nie musielibyśmy szukać teraz odpowiedniego nosiciela.

– Przede wszystkim, drogi Arnoldzie, pytanie brzmi, czy takiego nosiciela w ogóle kiedykolwiek będziemy chcieli szukać? Może po prostu buteleczkę z esencją życia tej ruskiej wiedźmy postawimy na półce, pod spodem umieścimy tabliczkę z napisem „Natasza – ruska czarownica” i zapomnimy o tym niefortunnym wydarzeniu na kolejne lata.

Löwefell, na którego pytanie nie odpowiedziano, czekał spokojnie. Marius przyglądał mu się przez chwilę ze zmarszczonymi brwiami, a potem stuknął palcem o palec.

– A tak, twoje pytanie o Dietricha. Zadane w sposób niesłychanie pospolity i wykazujący nierozumienie dla całości problemu, no ale niby skąd miałbyś tę wiedzę posiadać. – Otyły inkwizytor pokiwał głową ze współczującym wyrazem twarzy. – A odpowiedź brzmi, że Knabe jest poszukiwaczem diamentów, nie szlifierzem ani jubilerem. Po prostu nie jest w stanie niczego uczynić z esencją życia poza jej pozyskaniem oraz zabezpieczeniem. Proces przekazania esencji nosicielowi to zabieg o stopniu komplikacji... – Zawiesił na chwilę głos i zabębnił palcami po blacie pulpitu, wyraźnie się nad czymś zastanawiając. – Pamiętasz, no oczywiście, że pamiętasz, jak przeprowadziłeś operację rozdzielania Trójniaka? Jak odzyskałeś dla nas Matyldę i wszystko poczyniłeś tak bezpiecznie, że nie poraniłeś nikogo z operowanych?

Löwefell, rzecz jasna, pamiętał ten niezwykły zabieg, przeprowadzony na jeszcze bardziej niezwykłej istocie. A poza tym, że odniósł w tym wypadku niesłychany wręcz triumf jako medyk, to na pewno o sprawie nie pozwoliłby mu zapomnieć fakt, iż cały czas zastanawiał się, kim jest teraz tak naprawdę Matylda i jakimi tak naprawdę dysponuje mocami? A także gdzie obecnie się znajduje i jakie zlecenia wykonuje na rozkaz Świętego Officjum? Löwefell na pewno czuł się odpowiedzialny za tę obdarzoną niezwykłymi

zdolnościami dziewczynę, którą w trakcie wielogodzinnej operacji odłączył od dwóch braci, rozdzielając ich ciała oraz umysły.

– No więc jeśli, jak wierzę, pamiętasz swoją operację, to wyobraź sobie, że wcielenie esencji życia w nowego nosiciela jest dużo bardziej niebezpieczne i skomplikowane. Wymagające wpięrow ogromnego wyczucia w doborze właściwego ciała, a potem niesłychanej precyzji w trakcie samego zabiegu. Jedna mała pomyłka, a esencja zniknie raz na zawsze. Puff... – prychnął i wzruszył ramionami.

Przez chwilę się nie odzywał, ale potem na ustach pojawił mu się nieoczekiwany uśmiech.

– Jeden z inkwizytorów, nie znasz tego poczciwego chłopca, bo od dawna bawi on poza klasztorem, ale w każdym razie jeden z naszych towarzyszy posiadających tę unikalną zdolność pracy nad esencją życia mówił kiedyś, że w czasie tego zabiegu jesteś niczym wielki, merdający ogonem pies mający przebiec drogą, na której ustawiono mu jeden przy drugim kryształowe kieliszki. I nie wolno mu stłuc ani wywrócić żadnego... – uśmiechnął się jeszcze szerzej van Bohenwald. – Nasz towarzysz może nie wyjaśnił tego w oczekiwany od inkwizytora sposób godny akademika i profesora, ale przyznam, że przedstawił problem może zbyt anegdotycznie, lecz jednak z trafną obrazowością.

Löwefell skinął głową. Tak, to rzeczywiście było obrazowe i przemawiające do wyobraźni. On sam swoją operację na Trójniaku przyrównywał do regulowania ogromnego, złożonego mechanizmu, pełnego zapadek, kółek zębatych i sprężynek. Tak to zresztą widział w trakcie zabiegu, kiedy rozumiał, że jeden niewłaściwy ruch może spowodować nieodwracalną destrukcję całej maszynerii. Ale porównanie z psem lawirującym wśród kryształowych kieliszków miało swój urok.

– A więc Knabe uznał, że dziewczyna jest tak ważna dla Świętego Officjum, że zdecydował się złamać rozkazy Wewnętrzznego Kręgu. – Löwefell wrócił do najważniejszego tematu, gdyż dygresje o psach merdających ogonami wśród kryształowych kielichów może były

zabawne, lecz nie prowadziły ich konwersacji w żadnym rozsądnym kierunku.

– Ba... dla Świętego Officjum – parsknął van Bohenwald z lekceważeniem. – Nie, nie, Dietrich uznał, że ta dziewczka może okazać się ważna dla całego chrześcijaństwa, a nie tylko dla naszej zacnej kompanii... Dla całego świata!

– Ważna dla całego chrześcijaństwa, to wielkie słowa – zauważył Löwefell. – Ludzie mają zwyczaj ich nadużywać nawet w błahych przypadkach, ale my zwykle nie popełniamy tego błędu, prawda?

– Czasami popełniamy – westchnął Marius. – Lecz Knabe nie jest skłonny do panińskiej egzaltacji. Powiedział mi, że woli mieć na sumieniu błąd odzyskania jej esencji, jeśli jego decyzja okazałaby się błędem, niż świadomość, że straciliśmy tak wielką szansę, by zyskać kogoś, czyje zdolności mogą okazać się czymś nowym, nieznanym, fascynującym i jednocześnie wielce pożytecznym.

– Dużo słów, by opisać niebezpieczeństwo – rzekł Löwefell. – A to jest przecież wiedźma.

Marius gwałtownie pokiwał palcem.

– Nie, nie, nie, to nie jest do końca wiedźma. Sądzę, że mogłaby się okazać kimś, na kogo jeszcze nie mamy odpowiedniego określenia. – Zamyślił się na chwilę. – Chociaż zgadzam się, że była, jest i będzie niebezpieczna – znów szeroko uśmiechnął się van Bohenwald. – Ale przecież od tego mamy inkwizytorów, by takiej dzikiej ruskiej wilczycy nie powyrywać bezmyślnie zębów, lecz by skłonić ją, aby od tej pory gryzła tylko na nasz rozkaz i aby szczerze pokochała to posłuszeństwo oraz trzymających ją na smyczy łowczych.

– Czyli zamierzasz Knabego pochwalić?

Marius zrezygnowanym gestem rozłożył ramiona.

– Cały czas rozmyślam nad tym, co powinniśmy uczynić. Sam wiesz, że dopuszczamy łamanie nawet najsurowszych rozkazów, jeśli może to posłużyć dobru chrześcijaństwa, ale przecież nie możemy pozwolić, by nieposłuszeństwo stało się powszechne i akceptowalne. Bo za chwilę wszyscy inkwizytorzy będą sobie robili, co chcą, tak jak nie przymierzając nasza słodka Hildegarda.

Więc ty mi powiedz, Arnoldzie. – Spojrzał badawczo na Löwefella. – Co powinniśmy zrobić? Jaką decyzję podjąć?

Löwefell spodziewał się podobnego pytania i zastanawiał się tylko, czy jego opinia może w jakikolwiek sposób mieć wpływ na decyzje podejmowane przez Mariusa, czy też prośba o podzielenie się tą opinią jest jedynie testem, jakiemu van Bohenwald poddaje samego Löwefella. Tak czy inaczej, zamierzał odpowiadać szczerze.

– Mówiłeś o katastrofalnych konsekwencjach, jakie pojawiają się po procesie pozyskiwania esencji życia – rzekł. – Ale nie mogę dokonać osądu czynu Knabego, póki nie będę miał większej wiedzy na ten temat. Chciałbym wiedzieć: o jak wielkiej katastrofie mówimy? O jakiej skali kataklizmu?

– Tak – pokiwał głową van Bohenwald. – Bardzo słuszne pytanie. Opowiem ci o jednym wydarzeniu, które opisano dość dokładnie i którego zapis możesz odnaleźć w naszej bibliotece, chociaż o ile sobie przypominam... – Zmarszczył brwi. – W żadnym ze źródeł nie podano przyczyny tego zjawiska, gdyż nie uznawaliśmy za stosowne, aby wiedza o tych przyczynach stała się inna niż ściśle hermetyczna.

Zamilkł na chwilę i przymrużył oczy, tak jakby właściwe słowa o wydarzeniu, na którego temat miał mówić, musiał odnaleźć gdzieś w zagubionych zakamarkach pamięci.

– Nie będę wnikał w to, jakie po przeprowadzeniu tego zabiegu nastąpiły wstrząsy w nie-świecie i jak bardzo skomplikowało nam to niektóre zamierzenia. Ograniczę się do konsekwencji tu. – Stuknął kostkami ręki w blat. – W tym naszym nie najlepszym ze światów, który po tej katastrofie stał się jeszcze nieco gorszy, niż był...

Löwefell nie okazywał tego, ale pomimo że ozdobne wtręty Mariusa uważał za całkiem niepotrzebne i wolałby, aby inkwizytor przeszedł do sedna, to historia niezwykłego kataklizmu bardzo go zainteresowała. Nigdy nie słyszał o magicznym zabiegu, który miałby aż takie konsekwencje. Co ważne, konsekwencje całkowicie niezwiązane z zamiarami ludzi uprawiających ten rodzaj magii.

– Na oceanie powstała fala – kontynuował van Bohenwald – o której mówiono, Bóg raczy wiedzieć, czy bardzo przesadzając, czy też koloryzując zaledwie trochę, w każdym razie była to fala sięgająca od samego nieba aż po powierzchnię morza. Fala owa mknęła z oszałamiającą prędkością, a towarzyszył jej wicher i tak ogłuszające wycie żywiołów, jakby otwierały się bramy do samego piekła. Ta ogromna masa wody uderzyła w Islandię i nie tylko zniszczyła na niej wszelkie życie, ale rozbudziła wulkany, które w tej samej chwili bluznęły sięgającymi na setki mil strumieniami ognia...



Van Bohenwald odetchnął głęboko i spojrział w stronę swego rozmówcy.

– Mam wrażenie, że możesz nie do końca ufać moim słowom – powiedział. – Ale tak jak mówiłem, opis tych zdarzeń znajdziesz w bibliotece.

Cóż, tak jakby książki mówiły prawdę, pomyślał Löwefell z lekkim rozbawieniem. A przecież wszystko, co zawarto w historycznych księgach, zależało nie tylko od samego kronikarza, ale również, a może przede wszystkim od tych, którzy kronikę zamawiali i za jej pisanie płacili, a następnie od tych, którzy podczas kopiowania dokonywali poprawek. A czasami były to poprawki nie tylko liczne, lecz zmieniające całkowicie sens dzieła. Święte Officjum dysponowało oczywiście oryginałami wszelkich ksiąg (a przynajmniej tym, co uchodziło za oryginały), tak było na przykład w przypadku zapisków Hildegardy Reizend, której teksty w wersji nieokrojonej i nieocenzurowanej znajdowały się tylko w bibliotece klasztoru Amszilas. Reszta świata musiała się zadowolić skromniejszą wersją dzieł tej autorki, nadal niezwykle interesującą, lecz pozbawioną wielu istotnych wiadomości. Choćby informacji o tym, że Hildegarda Reizend jest zaufaną i wpływową członkinią Wewnętrzznego Kręgu. Oraz że żyje od wielu pokoleń i jeśli nie przydarzy jej się jakieś nieszczęście, to najprawdopodobniej żyć będzie jeszcze wtedy, kiedy dawno umrą prawnuki czytelników jej książek.

– Wybacz, Mariusie, ale któż mógł opisać falę, która pędziła przez ocean, a następnie zniszczyła Islandię? Z jakiego miejsca można było obserwować taką katastrofę, samemu nie narażając się na zagładę?

Van Bohenwald klasnął.

– Prawda, że trudno uwierzyć w aż taką siłę żywiołu? – zapytał wesołym tonem, tak nieprzystającym do opowieści o katastrofie. – Ale chętnie odpowiem na twoje pytanie – dodał już poważniej. – Otóż świadectwa czerpiemy z wielu źródeł. Po pierwsze, z daleka, czy lepiej mówiąc, z bardzo daleka widzieli ten kataklizm żeglarze znajdujący się w zasięgu wzroku od wielkiej fali...

– Cóż, gdyby wierzyć w świadectwa żeglarzy, to szukalibyśmy tej otchłani, w którą wlewają się wody wszystkich oceanów, oraz polowalibyśmy na piękne syreny wabiące nieostrożnych morskich podróżników swoim cudnym śpiewem – wtrącił Löwefell.

– Po drugie – kontynuował niezrażony Marius – misja wysłana przez Święte Officjum zbadała Islandię i opisała szkody, czy raczej całkowitą dewastację, jakiej zaznała ta wyspa.

To już było dużo bardziej przekonujące. Obserwacjom i wnioskom oficjalnej wyprawy Inkwizytorium należało oczywiście wierzyć.

– Po trzecie – mówił dalej van Bohenwald – mieliśmy świadectwo Aniołów, gdyż w okolicy kataklizmu przyciągnęło je to niesłychane poruszenie w nie-świecie. Z ich opisów również wiele się dowiedzieliśmy.

W tym wypadku także należało ufać Świętemu Officjum, iż potrafiło oddzielić ziarno od plew. Z większością Aniołów nie było bowiem łatwo się porozumieć, a ich niehumanitarne szaleństwo często uniemożliwiała komunikację nawet w najprostszym stopniu. Można jednak przypuszczać, że w tym przypadku Inkwizytorium starało się dochodzić do prawdy długo, cierpliwie oraz ostrożnie, by nie wyciągnąć mylnych wniosków lub by nie dokonać niewłaściwej interpretacji.

– Po czwarte wreszcie – ciągnął van Bohenwald – dysponujemy opisami wizji, jakie przeżyli świątobliwi mnisi z naszego klasztoru, a są to ludzie, w których ani uczciwość, ani prawdziwość doświadczeń nie wątpimy, gdyż wiele razy ujawniali i udowadniali niezwykle zdolności.

Löwefell wierzył oczywiście w siłę mistycznych wizji, jednak przede wszystkim wierzył w zdrowy rozsądek każący oddzielać realność od fantasmagorii, a fakty od wymysłów. Ponieważ jednak Święte Officjum miało na ten temat dokładnie takie samo zdanie, można było ufać, że owych mnichów oraz ich wizje również dokładnie sprawdzono.

– I po piątą oraz najgorszą, Arnoldzie! Nie tylko rozpętaliśmy siłę naturalnego żywiołu, lecz stało się coś dużo poważniejszego.

Otworzyliśmy, czy raczej ta wywołana naszym działaniem fala otworzyła szczeliny prowadzące nie tylko do nie-świata, lecz do innych demonicznych uniwersów. Nasi inkwizytorzy napotkali więc na Islandii nie tylko spustoszoną krainę ognia i lodu, nie tylko nędzne pozostałości po zdruzgotanej cywilizacji, lecz natknęli się również na demoniczne hordy...

Mariusz umilkł na dłuższą chwilę, a potem dodał prawdziwie smutnym głosem:

– Zginęło tam kilku dobrych inkwizytorów, a takie nieszczęście od dawna nie spotkało Wewnętrznego Kręgu. Być może kiedyś ta wyprawa stanie się tematem heroicznego poematu.

– Co wydarzyło się później? Wyprawa się wycofała? – dopytał Löwefell.

– Islandia jest daleko, więc postanowiliśmy zostawić ją w spokoju – wzruszył ramionami van Bohlenwald. – Pewnie, że niemiło żyć ze świadomością, że grasują na niej demony, ale z drugiej strony uwierz mi, że niełatwo byłoby ją oczyścić. Jest spowita czarnym dymem, pogrążona w wybuchach ognia i sięgających pod niebo fontannach lodowych gejzerów, pełna ciągnących się całymi milami jaskiń, pocięta wąwozami, których dna nawet nie widać...

– Byłeś na tej wyprawie? – zdecydował się przerwać Löwefell, dla którego ton opowieści Mariusa brzmiał tak, jakby inkwizytor był świadkiem tego wszystkiego.

– Jeśli chcesz wiedzieć, to tak, byłem tam osobiście – odparł ponuro Mariusz. – I postawiłem stopę na tej przeklętej wyspie, i mało na niej nie zginąłem. Dlatego też byłem jednym z tych członków Wewnętrznego Kręgu, którzy jak najsilniej optowali za tym, by w przyszłości nie przeprowadzać zabiegu pozyskiwania esencji życia, gdyż może to nas wszystkich zbyt wiele kosztować.

Löwefell skinął głową. Katastrofa, o której opowiadał van Bohlenwald, zagłada Islandii, która może nigdy nie była ludną i kwitnącą wyspą, ale na której spokojnie mieszkała sobie garść Norwegów i Dunów, zajmujących się głównie rybołówstwem oraz wypasem owiec, otóż ta zagłada miała miejsce pod koniec

jedenastego wieku. A ze słów Mariusa wynikało, że już wtedy był doświadczonym inkwizytorem. Löwefell wiedział, że van Bohenwald urodził się dawno, dawno temu, ale oto uzyskał pierwszą realną wskazówkę mówiącą, jak naprawdę dawno to było. Cóż, większość ludzi oddałaby wszystko, by móc żyć kilka stuleci, dla członków Wewnętrznego Kręgu, obdarzonych łaską korzystania z mocy krwi Aniołów, była to normalność. W praktyce mogli pozostać nieśmiertelni, jeśli tylko nie przydarzyło im się jakieś gwałtowne nieszczęście, takie jak choćby tym biednym inkwizytorom, którzy zginęli w starciu z demonami na wrogich wybrzeżach Islandii.

– Można by jednak zadać pytanie i jestem pewien, że je zadawano: cóż nas może obchodzić życie garstki Normanów koczujących na Islandii i cóż nas może obchodzić, że cała ta odległa wyspa zamieniła się w lodowo-ognistą pustynię? – powiedział Löwefell.

– To nas rzeczywiście obchodzi jedynie w niewielkim stopniu – mruknął van Bohenwald. – Tylko widzisz, Arnoldzie, zakaz pozyskiwania esencji wynika z tego, że nie chcielibyśmy mieć podobnych przygód w Cesarstwie. Kilkudziesięciometrowa fala, która zalała i zniszczyła Islandię, obudziła wulkany oraz wyrznęła szczelinę do nie-świata, z której to szczeliny wyłoniła się horda demonów, rzeczywiście jest bardzo interesującym, ba, może nawet niezmiernie fascynującym naukowym zagadnieniem do zbadania! Fenomenem zarówno w materialnym, jak i w mistycznym rozumieniu tego słowa. Ech, nie uwierzysz, ile dostawałem próśb od naszej drogiej Hildegardy, by zorganizować wyprawę na Islandię. – Pokręcił głową. – Aczkolwiek na jej usprawiedliwienie mogę tylko wspomnieć, że oczywiście paliła się, by w takiej wyprawie wziąć udział, zastrzegała jednak: wcale nie w charakterze dowódcy. – Marius uśmiechnął się kącikiem ust, a potem wzruszył ramionami. – O czym to ja wcześniej mówiłem? Ach tak, o zagrożeniach – przypomniał sobie. – No więc chociaż jak już mówiłem, nie przejmujemy się Islandią, to jednak wyobraź sobie, że gdyby podobna katastrofa wydarzyła się pod Engelstadt, Hez-hezronem

czy nawet Londinium lub Rzymem, to byłoby to już nie zagadnienie badawcze, lecz niezwykle poważny problem egzystencjalny... Tak niezwykle poważny, że wolelibyśmy go uniknąć, zwłaszcza że uważamy, że ryzyko w żadnym razie nie rekompensuje zysków. Bo niby kogo tak bardzo, bardzo chcielibyśmy przywrócić do życia, by zaryzykować tym przywróceniem katastrofę? – Wzruszył ramionami. – W dzisiejszych czasach nie widzę nikogo takiego.

– A w tamtych czasach? Któż był tak wartościowy dla Świętego Oficjum, że przeprowadzono ów niebezpieczny zabieg?

Van Bohewald potrząsnął tylko głową.

– Mówienie o tym nie należy do naszej sprawy – odparł stanowczo. – Powiem ci tylko jeszcze, że na nasze usprawiedliwienie można rzec, że wydobycie esencji życia wiązało się co prawda zawsze z wydarzeniami bardzo nieprzyjemnymi, ale tak wielka katastrofa zdarzyła nam się jednak po raz pierwszy i nie mieliśmy żadnych, najmniejszych nawet przesłanek, by ją przewidzieć.

Löwefell był prawdziwie ciekaw, kogo wtedy przywrócono do życia, a także czy zna tego człowieka osobiście lub choćby z opowiadań, ale rozumiał, że van Bohewald nie zamierza mu tego wyjawić. Z jakich powodów? Czy naprawdę była to jakaś wielka tajemnica, czy też Marius po prostu chciał, by Löwefell teraz głowił się nad tym problemem?

– Tak czy inaczej, powtórzę: obecnie nie mieliśmy i nie mamy konieczności korzystania z tej metody, gdyż, dziękować Bogu, nasi najważniejsi przyjaciele cieszą się dobrym zdrowiem. A nawet gdyby coś stało się któremuś z nich... – Marius wzruszył ramionami. – Czyż zaryzykowałibyśmy katastrofę?

Cóż, stare porzekadło mówiło, że nie ma ludzi niezastąpionych, ale czy tak do końca była to prawda? Löwefell rozumiał jednak ostrożność, jaka nakazywała przyjąć Wewnętrznemu Kręgowi zasadę, iż nikt nie jest tak cenny, by chcąc go przywrócić do życia, wywołać kataklizm. Zwłaszcza że jak już powiedziano, proces przyswajania przez nowe ciało był tak skomplikowany, iż mógł się zakończyć niepowodzeniem.

– Setki demonów rozpełzających się po naszym świecie mogłyby oczywiście wnieść nowego bojowego ducha w Święte Officjum – dodał van Bohenwald z uśmiechem. – I natchnąć do walki wielu zwykłych inkwizytorów, którzy coraz mniej wspólnego mają z naszą heroiczną przeszłością, a coraz chętniej pływają się w sytym lenistwie. Ale... – Marius uniósł palec – zważ, Arnoldzie, że choć poznalibyśmy i rozwiązali dzięki takiemu wydarzeniu wiele nowych problemów, to jednak moglibyśmy ponieść liczne straty, przynajmniej w pierwszej fazie, kiedy nie mielibyśmy jeszcze w pełni rozpoznanych sił i zdolności wroga. A czy chcemy i życzymy sobie pokazywać ludziom, że Inkwizytorium jest bezradne? Że inkwizytorzy umierają? Że demony panoszą się i tak jak w Mrocznych Wiekach stąpają w blasku dnia po ulicach naszych miast? Wszystko to, Arnoldzie, byłoby bardzo, ale to bardzo niewychowawcze. – Uśmiechnął się kącikiem ust.

Van Bohenwald z całą pewnością miał rację, chociaż trzeba też przyznać, że z punktu widzenia badawczego podobne zjawisko byłoby nad wyraz zajmujące i kto wie jakie nowe wrota by otworzyło przed inkwizytorami, jakie pojawiłyby się nowe tezy i jakie wyjaśnienia do dawnych teorii.

– Gdyby Wewnętrzny Krąg jednak zdecydował się kiedyś ponownie odwiedzić Islandię, to możesz zapisać mnie do załogi razem z Hildegardą – oznajmił Löwefell lekkim tonem, ale tak naprawdę całkiem poważnie.

– Masz moje słowo – obiecał mu Marius, wskazując go palcem.

– Pozwól jeszcze, Mariusie, że spytam, czy kiedy Agu Batar pozyskiwał esencję życia Roksany, czy z winy tego zabiegu odnotowaliśmy kolejny kataklizm?

Van Bohenwald opuścił głowę i milczał dłuższą chwilę.

– Szkopuł w tym, Arnoldzie, że nic takiego się nie zdarzyło – odparł wreszcie po chwili. – A przynajmniej o niczym takim ani nie wiemy, ani nie słyszeliśmy, ani nam nie doniesiono. Tak jakby nie było żadnych konsekwencji.

– Skoro ten starożytny demon tak łatwo i bez konsekwencji pozyskał esencję życia Roksany, może to oznaczać, że nasza metoda jest wadliwa, obarczona katastrofalnym błędem – zaryzykował przypuszczenie Löwefell.

Van Bohenwald spochmurniał, ale przytaknął.

– Oczywiście, bierzemy to pod uwagę, lecz nie jesteśmy w stanie wymyślić niczego ponad to, co do tej pory wymyśliliśmy. Gdybyście Agu Batara przesłuchali, a nie zabili, to może zdradziłby wam swoje głęboko skrywane tajemnice, co? – zapytał van Bohenwald z nieukrywaną złośliwością. – Może opowiedziałby wam o swoich sekretach i wyjawiał tajemne przepisy?

Potem podniósł palec wskazujący.

– Wasza wyprawa na Ruś i za Kamienie spowodowała, że rzeczywiście jedno wam się udało: szczęśliwie dostarczyliście do naszego klasztoru esencję życia Roksany. Ale ani nie pozyskaliście żadnych informacji od potężnego antycznego demona, ani nie dochowaliście należytej staranności w opiece nad Madderdinem! Zostawiliście człowieka niosącego naszą beczenną księgę na łaskę i niełaskę Rusinów! Na pastwę wiedźm, demonów oraz nie lepszych od nich mieszkańców tej przeklętej krainy! – Oczy Mariusa błyszczały gniewem. – W przeklętej krainie przeklęte kobiety napiętnowały tego inkwizytora przeklętym przeznaczeniem[13] – ciągnął coraz głośniejszym i coraz gniewniejszym głosem. – I wszystko to wasza wina!

Wreszcie umilkł, potem jeszcze zasapał z gniewem, uderzył dwakroć pięścią w blat i pokręcił głową z wielkim niezadowoleniem. Löwefell cierpliwie czekał, aż te teatralne i wystudiowane objawy złości miną, a sam nie zamierzał, rzecz jasna, odpowiadać na zarzuty Mariusa, które dawno temu zostały już wyjaśnione i które na pewno nie przedstawiały się tak jednoznacznie, jak teraz to opisywał.

– Dlaczego odzyskanie esencji życia przez Agu Batara nie skutkuje kataklizmem, a odzyskanie esencji życia przez inkwizytorów taki kataklizm wywołuje, to moim zdaniem pytanie, na które powinniśmy odpowiedzieć – rzekł spokojnie Löwefell.

– A niby jak? – burknął van Bohenwald. – Nie znamy sposobów, jakich używał Agu Batar, i nigdy ich nie poznamy, więc nie możemy z nimi porównać naszych działań. Jedyne, co możemy, to powstrzymywać się z aktywnością w tej mierze. Po prostu od dawna darowaliśmy sobie przywracanie kogokolwiek do życia, a ponieważ, tak jak ci wspominałem, nie znamy nikogo tak niezbędnego i tak wartościowego, by dla niego ryzykować kataklizm, to decyzja o rezygnacji staje się tym łatwiejsza.

– Knabe odzyskał esencję życia ruskiej wiedzy kilkanaście tygodni temu, czyż nie? – spytał Löwefell. – Więc pozwól, że zapytam, czy odczuliśmy jakiegokolwiek konsekwencje jego postępowania? Czy nasi przyjaciele, którzy obserwują nie-świat oraz zachodzące w nim procesy, poczuli cokolwiek niepokojącego w samej sferze nie-świata, jak i coś, co mogłoby obrócić się przeciwko naszemu uniwersum?

Van Bohenwald spojrzał w stronę ołtarza i zatrzymał tam wzrok na dłuższy czas.

– Wiesz, co nas ogromnie niepokoi, Arnoldzie? Co, nie zawaham się użyć tego słowa, spędza nam sen z powiek? Otóż zobaczyliśmy, że nie stało się nic! – podniósł głos. – Zupełnie i kompletnie nic! Nie-świat pozostał tak samo spokojny, jak był, a w naszym świecie nie tylko nie przeżyliśmy żadnego kataklizmu, ale nawet nie ujrzyliśmy najmniejszego śladu zagrożenia, niezależnie, czy miałoby ono pochodzić z żywiołu ziemi, ognia, wody, czy powietrza...

– Ale czemuż ten kataklizm miałby uderzyć w Europę i odbyć się na naszych oczach? – spytał Löwefell. – Może właśnie teraz miliony ludzi umierają w Chinach, Indiach czy na Ogonie Smoka, a my po prostu nic o tym nie wiemy...

– Tak może też być – pokiwał głową van Bohenwald. – I śmierć jakichś wszetecznych pogan nie tylko nie spędzałaby nam snu z powiek, ale uznałibyśmy ją za wydarzenie całkiem miłe w oczach Boga. – Uśmiechnął się życzliwie. – Jednak nie jesteśmy w stanie wytłumaczyć sobie, dlaczego nie-świat nie zareagował nawet najmniejszą zmianą, nawet tycieńkim drgnieniem. – Marius

pieszczotliwie obniżył głos, wypowiadając tak niepasujące do jego ust słowo „tycieńki”, i palcami pokazał, o jak niewielki rozmiar chodzi.

– Pozwól, że zapytam, czy Knabe poprzednio odzyskiwał już esencję życia, a jeśli tak, to jak wtedy się zakończyła przeprowadzona przez niego operacja?

Mariusz klasnął.

– Rozumiem, co masz na myśli, Arnoldzie. Oto jakiś inkwizytor nieumiejętnie przeprowadza zabieg i doprowadza tym samym do kataklizmu, ale za sprawy zabiera się biegły i genialny Dietrich Knabe, nie popełnia błędu i tym samym świat nie zaznaje żadnej szkody. Czyż nie to miałeś na myśli, mój perski przyjacielu?

Łatwo było się domyślić po reakcji, że podejrzenia Löwefella, które rzeczywiście biegły w takim kierunku, jak przypuszczał van Bohenwald, jednak były błędne.

– Otóż spieszę cię zapewnić, Arnoldzie, że Dietrich Knabe nie pierwszy raz dokonywał tego ogromnie niebezpiecznego zabiegu – kontynuował Mariusz. – I to właśnie jemu, nikomu innemu, Islandia i Islandczycy zawdzięczają, że wyparowali w wulkanicznej połodze. – Otyły inkwizytor roześmiał się, tak jakby uaktywnienie wulkanów, potężna, niszczycielska fala i wysyp demonicznej hordy pochodzącej z demonicznych uniwersów były wielce udanym żartem.

Mówienie, że Islandia swój smutny koniec zawdzięczała Knabemu, było oczywiście przesadą. Przecież inkwizytor ani nie wywołał kataklizmu celowo, ani nawet nie liczył się z tym, że podobne zjawisko może zaistnieć. Ale rzeczywiście jego postępowanie mogło być przyczyną klęski.

– Być może Knabe przeprowadził oba zabiegi inaczej – zaryzykował przypuszczenie Löwefell. – Za pierwszym razem się pomylił, natomiast w drugim przypadku udało mu się przeprowadzić operację bez zarzutu.

Van Bohenwald cmyknął przez zęby.

– Taka jest właśnie twoja hipoteza?

– Mam tak mało danych, że wzdragałbym się przed użyciem słowa „hipoteza”. Może raczej użyłbym określenia „luźne przypuszczenie”...

Mariusz chciał coś wtrącić, ale Löwefell tym razem nie chciał, by mu przerywano, więc uniósł dłoń, dając znak, że chce dokończyć zdanie.

– Kiedyś powierzyłeś mi, Mariusie, operację Trójniaka, a śmiem twierdzić, że była to nie tylko operacja najtrudniejsza, jaką kiedykolwiek przeprowadziłem, ale też o jakiej kiedykolwiek słyszałem czy czytałem. I w każdej chwili trwania tego zabiegu balansowałem na cienkiej granicy. W każdej chwili mogłem popełnić błąd, który mógł się zakończyć klęską całego przedsięwzięcia. Jednocześnie każdy taki błąd nauczyłby mnie na tyle dużo, bym nie popełnił go w przyszłości.

– Trójniak był jedyny i niepowtarzalny – rzekł van Bohewald. – Ale rozumiem, co masz na myśli.

– A skoro rozmawiamy o Trójniaku, to czy możesz mi wyjawić, gdzie jest Matylda i kiedy do mnie wróci? – spytał Löwefell.

– Wróci, wróci – powtórzył z przekąsem van Bohewald. – Czy kiedykolwiek ta dziewczyna była z tobą, że miałyby teraz wracać? – Słowo „wracać” wymówił z wyraźnym niesmakiem.

– Była pod moją opieką i to ja miałem badać, jakie zmiany, pozytywne czy negatywne, wywarła na niej operacja rozdzielania. Byłem za nią odpowiedzialny.

– Oj... – Mariusz wstrząsnął głową. – Wszyscy jesteśmy za nią odpowiedzialni, Arnoldzie, i wszyscy ją bardzo kochamy, cenimy i liczymy, że stanie się nieubłagane skutecznym orężem w rękę Świętego Officjum. Więc wcale nie musisz się niepokoić jej losem. Wcale a wcale...

Löwefell zrozumiał, że w kwestii Matyldy więcej informacji z van Bohewalda nie wydobędzie, tak że postanowił wrócić do pierwotnego tematu ich rozmowy.

– Czy wielu mamy inkwizytorów potrafiących wydobywać esencję życia? – zapytał.

Mariusz zmrużył oczy i wyciągnął przed siebie dłoń z rozczapierzonymi palcami.

– Oczywiście: Knabe – rzekł, zginając pierwszy palec. – A poza tym dwóch towarzyszy, których nie miałeś okazji poznać – dokończył, chowając dłoń. – Jeden jest w tej chwili w Hiszpanii, a drugi uczestniczy w wyprawie przez ocean do Nowego Świata. – Pokręcił głową z wyraźnym niezadowoleniem. – Tak jakbyśmy w Starym Świecie nie mieli wystarczająco dużo do zrobienia, by inkwizytorzy musieli jeszcze włóczyć się, uczestnicząc w podróżach do krańców globu.

Löwefell nie wierzył w niezadowolenie van Bohlenwalda, bo chociaż otyły inkwizytor zdawał się najlepiej czuć w klasztorze Amszilas, a przynajmniej na terytorium Cesarstwa, to jednak musiał sobie zdawać sprawę, że powodzenie misji Świętego Oficjum jest zależne od tego, jak dobrze inkwizytorzy będą poznawać świat i jak szybko wykryją czające się w jego nieznanym zakątkach możliwe, choć jeszcze nie zbadane zagrożenia. Oczywiście na razie trudno było przypuszczać, by tubylcy zamieszkujący Nowy Świat mogli w czymkolwiek zagrozić europejskim potęgom, ale już teraz dochodziły zza oceanu niepokojące wieści o nieznanym, lecz bardzo silnym rodzaju magii. Inkwizytorzy, którzy pragnęli przekonać się, jak sprawy wyglądają na miejscu, na pewno nie popełniali błędów. A poza tym na tego rodzaju udział w wyprawie członków Wewnętrznej Kręgi musiała być wydana oficjalna zgoda, więc albo Mariusa przegłosowano, albo jednak uznał, że misja może okazać się pożyteczna.

– Ale tacy to są właśnie młodzi ludzie w dzisiejszych czasach – ciągnął niezadowolony van Bohlenwald. – Jak to mówią: kielbie we łbie. I to niezależnie od tego, czy jesteś inkwizytorem, czy zwykłym obywatelem Cesarstwa. Ale na szczęście zazwyczaj skłonność do podobnych szaleństw mija z wiekiem – zauważył już z zadowoleniem. – No chyba że jest się Hildegardą Reizend – dodał. – Bo wtedy nie tylko nie mija, lecz wręcz się wzmacnia!

Löwefell nie skomentował tych słów, tylko czekał, kogo jeszcze wymieni van Bohenwald. A ten przez chwilę wpatrywał się przed siebie z nieodgadnionym wyrazem twarzy, po czym zaczął mówić dalej:

– Również dwóch z naszych szacownych i świątobliwych mnichów, ojciec Pelagiusz i ojciec Chryzostom, jest biegłych w tej dziedzinie sztuki, lecz z tego, co wiem, obaj zaprzysięgli przed ołtarzem, że nigdy i pod żadnymi warunkami oraz z żadnych powodów nie podejmą się już wykonania podobnego zadania.

W klasztorze Amszilas mnisi oraz inkwizytorzy współistnieli w całkiem dobrej komitywie, chociaż mimo tylu lat spędzonych już w Wewnętrznym Kręgu Löwefell nie do końca rozumiał, jakie współzależności łączą mnichów i inkwizytorów. Bo nie można tu było w żadnym razie mówić o podległości jednych wobec drugich. Ani Wewnętrzny Krąg nie był zwierzchnikiem przeora, ani przeor nie miał wiele do powiedzenia (chyba że go poproszono o wyrażenie opinii), jeśli chodzi o decyzje Wewnętrznego Kręgu. Podział wydawał się przebiegać w taki sposób, że mnisi bardziej zajmowali się wszystkim tym, co działo się w klasztorze (choćby najświętszą i najważniejszą misją chrześcijaństwa, czyli opieką nad pogrążonym w letargu Jezusem Chrystusem), a inkwizytorzy bardziej wszystkim tym, co działo się na szerokim świecie. Mnisi nie wydawali się interesować ani polityką, ani światowymi intrygami, ani pozyskiwaniem majątku i sprawowaniem doczesnej władzy, czyli wszystkim tym, co bardzo żywo obchodziło inkwizytorów. Ale w zamian za to mnisi zajmowali się Aniołami oraz z ogromnym zapalem eksperymentowali na pochwyconych demonach i pozyskiwali dogłębną wiedzę o nie-świecie. Oczywiście mniej znaczni spośród mnichów pełnili również, jak w każdym klasztorze na świecie, funkcje służebne: zajmowali się sprzątaniami, kuchnią, ogrodem, uprawą warzyw, owoców i ziół – krótko mówiąc, wszystkimi sprawami, jakich wymagało gospodarzenie w miejscu, gdzie przebywało kilka setek ludzi.

Decyzja dwóch mnichów o tym, iż nie będą korzystać ze swoich umiejętności, musiała zapaść na pewno po wielkim namyśle oraz zostać podjęta za zgodą przeora. Czyli mnisi również bali się, może jeszcze bardziej niż Wewnętrzny Krąg, przeprowadzania tego magicznego zabiegu.

– A Katrina? – spytał Löwefell.

– Wiedziałem! – Marius znowu klasnął, tym razem jednak z takim rozmachem i tak głośno, że aż krzątający się przy ołtarzu mnich odwrócił się w jego stronę i pogroził mu palcem. – Wiedziałem, że stałym elementem każdej naszej rozmowy jest to, że w pewnym momencie wspominasz o Katrinie. – Pokręcił głową. – Zaiste niezła by z was była para: zdegradowany Anioł i perski mag o ugotowanym mózgu. – Marius roześmiał się tak szczerze i tak impulsywnie, że aż wokół prysnęły kropelki jego śliny.

– Katrina potrafi czynić rzeczy, na które ciężko znaleźć nawet określenie – odparł spokojnie Löwefell. – Dlaczego zatem miałyby kogokolwiek zdziwić, gdyby umiała również radzić sobie z pozyskaniem esencji życia?

Van Bohenwald odwrócił się w stronę swego towarzysza, tym razem z twarzą już poważną.

– Nigdy nie słyszałem, by Katrina potrafiła dokonać tego cudownego zabiegu, nigdy też nie słyszałem, by ten temat w jakikolwiek sposób i kiedykolwiek ją zainteresował. Jak powinieneś wiedzieć, Katrina jest pogrążona w swoich własnych sprawach i niechętnie wyściubia nos poza to, co uważa za interesującą ją domenę. Natomiast...

Przerwał, umilkł na chwilę, po czym wymierzył w Löwefella palec.

– Natomiast nie zdziwiłbym się, mój perski przyjacielu, gdybyś ty dysponował podobną mocą jak Dietrich Knabe. A w każdym razie gdybyś jako jeden z nielicznych na świecie potrafił w ogóle zrozumieć, na czym ta moc polega...

Löwefell rzeczywiście podczas tej rozmowy od pewnego czasu zastanawiał się, czy jego niezwykle uzdolnienia w zakresie leczenia,

a nawet wskrzeszania mogłyby się przydać w czasie zabiegu pozyskiwania esencji duszy. Mogło tak być, ale równie dobrze proces mógł się okazać zbyt skomplikowany. Zresztą Löwefell nie sądził, by w sytuacji, jaka się ukształtowała, ktokolwiek w klasztorze zgodził się na eksperymentowanie, stosowanie metod prób i błędów i doskonalenie tej arcytrudnej umiejętności tylko po to, by przyuczyć kolejną osobę do przeprowadzania operacji, których przeprowadzać zakazano.

– Chyba nie będziemy ryzykować drugiej Islandii – odparł lekko.

Van Bohenwald wykonał taki gest, jakby chciał poklepać go po ramieniu, ale w końcu zatrzymał dłoń o cal nad ręką Löwefella.

– Nie, oczywiście, że nie – rzekł.

Oparł się wygodniej, zakręcił na poduszkach, zasapał i wyciągnął nogi tak daleko, jak tylko dał radę.

– Łaźnia i masaż – powiedział. – To powinienem teraz robić, a nie marnować czas na pozbawione sensu dysputy z tobą – dodał z ogromnym niezadowoleniem.

– Chętnie zostawię cię, jeśli tego sobie życzysz – poddał Löwefell uprzejmie.

– No i taki z ciebie pożytek, Arnoldzie, że chcesz zmykać, zanim podzielisz się ze mną swoimi przemyśleniami – burknął rozgoryczony van Bohenwald. – Nie spodziewam się i nie liczę, że twoje opinie przydadzą mi się na cokolwiek, a jednak mam zamiar wysłuchać zdań z wielu stron, choćbym zawczasu przewidywał, że przynajmniej niektóre okażą się kompletnie bezużyteczne. Więc mów.

– Byłoby mi łatwiej mówić, gdybym wiedział, na jaki temat tak bardzo chcesz usłyszeć moją opinię.

Van Bohenwald westchnął z głębokim rozgoryczeniem, tak jak nauczyciel zmartwiony i zde gustowany wyjątkową tępotą swojego ucznia. Po którym i tak wiele się nie spodziewał, ale nawet to „niewiele” okazało się nieosiągalne.

– Oczywiście chcę usłyszeć twoje zdanie na temat tego, co powinniśmy uczynić z Dietrichem, który tak beztróska złamał zakaz

Świętego Officjum.

– Nie sądzę, aby fraza „złamał go beztrosko”, jak zechciałeś się wyrazić, oddawała złożoność sytuacji – zaprotestował Löwefell. – Wiedząc to, co wiem o Knabem, uważam, że dokonał wyboru, poprzedzając go głębokim namysłem i w pełni wierząc, że czyni coś, co obróci się na pożytek Świętego Officjum. Na jego korzyść przemawia też fakt, że żaden kataklizm jak do tej pory się nie zdarzył, co też może wpływać na nasz osąd jego postępków.

Van Bohlenwald spojrział na towarzysza tym razem z wyrazem twarzy zarówno poważnym, jak i spokojnym.

– Mam podobną opinię na ten temat jak ty, Arnoldzie – rzekł. – I mam wrażenie, że sprawa skończy się tak, że przejdziemy do porządku dziennego nad uczynkiem Dietricha, choć łatwość i lekkość, z jaką to uczynimy, budzi jednak moje wątpliwości i głębokie obawy na przyszłość.

Löwefell rozumiał dylemat swego towarzysza, bo przecież można było teraz łatwo zadać pytanie (i na pewno zostanie ono zadane), czemu nie ukarano Dietricha, a ukarano Nontle? Czemu złamanie surowego zakazu zostało wybaczone, a lawirowanie pomiędzy zakazami zostało ukarane, i to w sposób zarówno dokuczliwy, jak i dotkliwy?

– Nad czym tak rozmyślasz, Arnoldzie, człowieku o zasępionym obliczu? – spytał van Bohlenwald.

– Czy Hildegarda wie o tym, co się wydarzyło na Rusi, kiedy ona sama była już nieprzytomna? Czy wie, że jesteśmy w posiadaniu esencji życia ruskiej wiedzy?

– A jak sądzisz?

– Sądzę, że wolalbym słyszeć odpowiedzi, a nie je odgadywać.

Van Bohlenwald wstrząsnął głową.

– Będziemy musieli jej to powiedzieć, bo wyobrażam sobie piekło, jakie by rozpętała, gdyby dowiedziała się o tym sama, a nie z oficjalnej informacji.

– Jak wiesz, Mariusie, temat esencji życia, zarówno w kwestii jej wydobywania, znajdowania odpowiedniego nosiciela, jak

i przekazywania jej temu nosicielowi, był, a sumie nadal jest mi niemal całkowicie obcy. Ale kto i na podstawie jakich kryteriów dokonuje wyboru? Jak wybrano kobietę, w którą tak nieszczęśliwie przelano esencję duszy Roksany?

Van Bohenwald prychnął z niezadowoleniem.

– Absolutnie nie zgadzam się z użyciem przez ciebie słowa „nieszczęśliwie”, jeśli chodzi o odnalezienie nosiciela dla Roksany. Wręcz przeciwnie, uważam, że mieliśmy niezwykle, wręcz niespotykane szczęście, znajdując odpowiednią osobę tak szybko. A sam zabieg udał się, bo Roksana przecież żyje.

– Żyje, ale do niczego nie jest nam przydatna – stwierdził Löwefell nieco ostrzej, niż zamierzał.

– To się zmieni – machnął lekceważąco ręką tłusty inkwizytor. – I ty, właśnie ty – wbił twardy wzrok w swego towarzysza – masz nad tym czuwać i jesteś za to odpowiedzialny. Więc jeśli z Roksaną stanie się coś złego, to nie będzie to wina nieszczęśliwego – ironicznie zaakcentował to słowo – zabiegu, lecz wyłącznie twojej niewłaściwej opieki.

Tego oczywiście Löwefell mógł się po Mariusie spodziewać i rzeczywiście, patrząc na sprawy z jego punktu widzenia, pewnie było to nawet rozumowanie logiczne. A przynajmniej jednoznacznie cedujące odpowiedzialność.

– Dobrze, pozwól jednak, że wrócimy do mojego pytania. Kto dokonuje wyboru i oceny nosiciela?

– Mówisz to tak lekkim tonem, jakby był to zabieg powszechnie przez nas stosowany – rzekł nachmurzony Marius. – A tymczasem powtórzę, że ten proces uważamy za prawdziwy cud i dar Boży.

Nie była to, rzecz jasna, odpowiedź na pytanie Löwefella, więc inkwizytor cierpliwie czekał, aż wyjaśnienie zostanie mu jednak udzielone.

– Zajmują się tym nasi dostojni przyjaciele w habitach – powiedział w końcu van Bohenwald. – Oczywiście pod naszym czujnym okiem i kierując się naszymi opiniami. Ale to ich wiedzy i doświadczeniu powierzamy sedno tego zabiegu.

Dla Löwefella z jednej strony było to zaskakujące, że Inkwizytorium pozostawiło tak ważny problem, nie starając się go rozwiązać, z drugiej jednak strony rozumiał, że skoro ten obarczony tak gigantycznym niebezpieczeństwem zabieg był w praktyce niestosowany, to Święte Officjum nie miało szczególnych powodów, by się pochylać nad jego teorią oraz praktyką i marnować czas oraz siły inkwizytorów, i jeszcze ponosić odpowiedzialność w razie niepowodzenia.

Usłyszeli kroki i Löwefell odwrócił głowę w stronę wejścia do kaplicy. Zobaczyli Deirdre Llatrisant idącą niespiesznie w ich stronę. Kiedy podeszła, skinęła im głową i przysiadła na ławie obok.

– Już wiesz, prawda? – zapytał van Bohenwald.

– A zamierzałeś mi o tym w ogóle powiedzieć? – odpowiedziała pytaniem, a jej głos był lodowaty.

– Oczywiście, że zamierzałem i zamierzam – burknął Marius. – Za swój obowiązek uważam poinformować was wszystkich o rewelacjach Dietricha, bo po pierwsze, nie widzę powodu, by sprawę trzymać w tajemnicy, a po drugie, Święte Officjum na pewno potrzebuje opinii i rady w tej kwestii.

– Chcesz więc znać również moją opinię? – spytała.

– Czy chcę czy nie chcę, i tak się nią ze mną podzielisz, czyż nie?

Skinęła głową i spojrzała Mariusowi prosto w twarz.

– Knabe powinien zniszczyć wszystko, co kryło się we mgle, a przede wszystkim zniszczyć ciało i duszę tej młodej wiedźmy – stwierdziła kategorycznym tonem. – Mógł to zrobić, bo podobna interwencja nie przerastałaby sił żadnego z nas. Sabat został opuszczony, nie broniło go nic poza pułapkami, z którymi Knabe poradziłby sobie bez najmniejszego trudu.

– Wiesz przecież sama, jaki jest Dietrich – odezwał się Marius dziwnie koncyliacyjnym tonem. – Można mu powierzyć wykonanie rozkazów, ale trudno liczyć na jego inicjatywę w kwestiach wykraczających poza wyznaczone zadania.

– O tak, rzeczywiście trudno – powiedziała Llatrisant z bezbrzeżną ironią w głosie.

Van Bohenwald westchnął.

– Zważywszy na sytuację, jaka zaistniała, i na decyzję podjętą przez Dietricha, może moje zapewnienia i opinie nie są rzeczywiście w tej chwili wiarygodne, ale przecież sama wiesz, jaki on zawsze był. To, co uczynił, owo pozyskanie esencji życia czarownicy, to... – Aż pokręcił głową. – Jak na niego działanie wręcz niebywałe.

– Szkoda, że nie zniszczył tego wszystkiego – powtórzyła Deirdre i też pokręciła głową. – Naprawdę wielka szkoda.

– A ja naprawdę cię nie rozumiem – warknął rozzłoszczony już van Bohenwald. – W dzikiej głuszy, na samej granicy Azji, oddzielone od nas wrogimi królestwami, pośrodku puszczy stoi sobie mauzoleum z zasuszonymi wiedźmami, członkiniami sabatów. Llatrisant, na Boga, przecież gdyby wszystkie te wiedźmy nawet ożyły i nawet wzięły miotły i z tymi miotłami zatańczyły, gdyby nawet użyły swoich najbardziej perfidnych i najpotężniejszych zaklęć, to i tak każde z nas zdmuchnęłoby je ze świata ruchem jednego palca! Czemu to fakt, że nie zniszczono tego grobowca, tak cię porusza? – Sapnął gniewnie, po czym skrzywił się. – Czy to kwestia twojej przeszłości? – zapytał już spokojnym tonem.

Co ciekawe, tym razem van Bohenwald swoim pytaniem ani nie szydził, ani się nie wyzłośliwiał, ale rzeczywiście dzielił się własnymi wątpliwościami oraz zdziwieniem. Löwefell wiedział, że to, co ich towarzysz mówił o zdmuchnięciu wiedźm ruchem małego palca, niezupełnie odpowiadało prawdzie, ale też nie było całkowicie z nią sprzeczne. Bo nawet najbieglejsza czarownica nie miałaby żadnych szans z inkwizytorem Wewnętrznego Kręgu, zwłaszcza jeśli pojedynek miałby się toczyć na neutralnym terenie. Jeśli jednak wiedźm byłoby kilkadziesiąt czy kilkaset, to stanowiłyby już ogromne zagrożenie i na pewno nie można byłoby szybko i łatwo się ich pozbyć bez zaangażowania sporych i wykwalifikowanych sił. Oczywiście przyjmując niezwykle śmiałe założenie, że czarownice nie pokłóciłyby się wcześniej śmiertelnie o to, która ma być przywódczynią, i nie pozabijały się nawzajem. Inna sprawa, a warto cały czas o tym pamiętać: te kobiety nie żyły. To były tylko truchła na

podobieństwo egipskich mumii, lecz zakonserwowane nie dzięki zabiegom preparatorów, ale dzięki wiedźmie magii mgły.

– Dziwi mnie jedno – rzekł Löwefell. – Dlaczego nikogo nie zainteresował fakt, że starucha wysyłała uczennice? Dokąd one trafiły? Jak długo trwał ten proceder? Ile z nich jest teraz wiedźmami na ruskich dworach, a ile żonami lub kochankami feudałów? Ile z nich urodziło dzieci? I co stało się z tymi dziećmi?

– Na miłość Pana! – znowu zakrzyczał van Bohenwald. – A co nas to wszystko obchodzi!? Niech sobie te dziewczki robią, co chcą, jeśli gdzieś tam jeszcze żyją. Sabatu już nie ma, więc nie ma i kłopotu. A nawet gdyby był, to obchodziłby nas niewiele...

Llatrisant odwróciła się w stronę Löwefella.

– Marius wie o tym, co ci teraz powiem, chociaż wiedzę tę całkowicie lekceważy. A mianowicie wiedz, mój drogi Arnoldzie, że młoda czarownica, której esencję życia Knabe przywiózł z Rusi do Amszilas, mogłaby być uważana przez wiedźmy za kogoś w rodzaju wyczekiwanego od wieków mesjasza. – Uśmiechnięta położyła mu dłoń na ramieniu. – Nie rozumiesz jeszcze? – Llatrisant nagle wyprostowała się. – Jej przybycie świadczy o jednym: według wierzeń sabatów czas końca jest już blisko – rzekła nieoczekiwanie głuchym głosem. – A my powinniśmy się szykować do ostatniej bitwy.

Van Bohenwald roześmiał się gromko i szczerze.

– Cóż to za niewiarygodne bzdury – stwierdził, lekceważąco machając dłonią. – Morgana miała być wiedźmim mesjaszem, twoja córka miała być wiedźmim mesjaszem. I co z tego wynikło? Morgana gnije u nas w lochach, a po twojej córce nie została nawet pamięć popiołu, w który zamieniliśmy jej ciało.

Na twarzy Llatrisant nie drgnął nawet jeden mięsień.

– To tylko sny o potędze, to tylko rojenia – kontynuował Marius. – Mrzonki, o jakich gdzieś tam przez lata opowiadały sobie głupie staruchy, które wytrwale i bezlitośnie goniono, łapano i palono. Bo chciały wierzyć, że mają po co żyć, że ich opór na coś się przydaje. Chciały też wierzyć, że ich wrogów spotka słuszna kara, a one same

jeszcze kiedyś będą rządzić światem i wywrą zemstę. Tylko tyle i aż tyle.

Trudno było się nie zgodzić z wywodem van Bohenwalda, gdyż przedstawiał jeden z najpospolitszych mitów, jakie zawsze towarzyszą upokarzonym ludom. Ludy te marzą o pomście i o wodzu, który im na tę pomstę pozwoli oraz który doprowadzi ich do wymarzonej Ziemi Obiecanej. W niemal wszystkich wypadkach owe rojenia kończą się tylko jednym: morzem krwi oraz nieszczęściem i zagładą marzycieli.

– Zadajcie sobie jedno pytanie – powiedziała spokojnie Llatrisant.
– Czy jeśli zgodzimy się, że ta młoda wiedźma miała absolutnie unikalne zdolności, a przecież zarówno Knabe, jak i Hildegarda Reizend są tego całkowicie pewni, więc jeśli zgodzimy się z tym właśnie założeniem, to czy zetknięcie nosiciela Szachor Sefer z tak wyjątkową... – zawahała się – istotą nie zaowocowałoby czymś niezwykłym?

Löwefell rozumiał, że Deirdre w tym wypadku nie chciała i nie użyła słów „wiedźma” czy „czarownica”, gdyż z jej słów miało wynikać, że uważa Nataszę za coś więcej. Za jakiś nowy, nierozpoznany do tej pory transcendentny byt, którego prawdziwa natura dopiero się objawi i wtedy też będzie go można odpowiednio nazwać.

– Mówisz, że Szachor Sefer była niczym magnes, który przyciągnął tę dziewczkę do inkwizytora. – Marius przesunął dłonią po policzku. – Choć ona sama nie zdawała sobie z tego sprawy. – Pokiwał głową. – To całkiem możliwe – zgodził się. – I tutaj może was zaskoczę, ale obserwowałbym z niezwykłym zainteresowaniem, jak wiedźmy próbują dobrać się do Madderdina, by wyszarpać z niego coś, co je tak przyciągało... Oczywiście nie dopuścilibyśmy, aby sprawy potoczyły się w niebezpiecznym kierunku, ale wzbogacenie naszej wiedzy poprzez obserwowanie samego procesu byłoby całkiem zajmujące.

Löwefell uśmiechnął się w myślach, bo Marius przemówił przez chwilę zupełnie jak ciekawa zagadek świata i gotowa na coraz to

nowe eksperymenty Hildegarda Reizend.

– A gdyby ta niezwykła dziewczyna stała się brzemienna za sprawą nosiciela tak potężnej magii jak Szachor Sefer? – poddała Deirdre. – Czyż nie ciekawie byłoby zadać sobie pytanie: jaką istotę przyniosłaby nam na świat?

Marius machnął dłonią.

– Tak: ciekawie. Na dyspucie marnujących czas gadaczy, zadających sobie pytania w rodzaju: ach, cóż by to było, gdybyż księżyc był ulepiony z sera? – odparł Marius niecierpliwie i przekręcając słowa teatralnie złośliwym tonem.

Deirdre tylko wzruszyła ramionami.

– Niezależnie od tego, co postanowicie i jak ukarzenie czy nagrodzicie Knabego, chcę, żebyś pamiętał o jednym, Mariusie. – Tym razem głos Llatrisant brzmiał nie tylko poważnie, ale i ponuro. – Nigdy nie próbujcie wcielić jej esencji życia w nosiciela. Nigdy nie próbujcie wskrzesić tej dziewczyny. A ja przysięgam, że póki będę członkiem Wewnętrznego Kręgu i póki wszystkie moje myśli będą przy świetle Chrystusa, przysięgam na krew, męczeństwo i wiktorię naszego Pana, że nigdy nie dam swojej zgody na podobny zabieg.

Przemawiała tak uroczyście, z dłonią na sercu, że Löwefell był absolutnie pewien, że to przyrzeczenie wynika z jej niezachwianego i niepodważalnego przekonania i że naprawdę jest gotowa uczynić wszystko, by nie dopuścić do tego, co uważała za katastrofę.

Marius poruszył się niecierpliwie i wyraźnie skrzywił.

– Banialuki – burknął opryskliwie. – Stare, wiedźmie przesady, których nie pozbyłaś się nawet w Świętym Officjum.

– A dziecko, Mariusie? – zapytała Deirdre. – Zadam to pytanie raz jeszcze: czy wyobrażasz sobie, kim mogłoby być dziecko zrodzone z połączenia tak niezwykłej istoty oraz mężczyzny nasyconego mocą Szachor Sefer?

– A gdyby to były bliźniaki? – zadrwił van Bohenwald. – Albo trojaczki? Ależ wtedy by było!

– Przecież ona była tylko młodą dziewczyną. – Löwefell zwrócił się do Llatrisant. – Utalentowaną, ale po pierwsze, teraz jest martwa

i mimo swojej wiedźniej siły łatwo dała się zabić. A po drugie, nawet jeśli zostanie ożywiona, to i tak będzie się znajdować całkowicie w naszej mocy.

– Jezus też był kiedyś dzieckiem – stwierdziła Llatrisant. – I był również w mocy Heroda, faryzeuszy oraz Poncjusza Piłata. – Uśmiechnęła się uśmiechem, który wydał się Löwefellowi niepokojący. – Zważcie, że naprzeciwko tego łagodnego cieśli stała cała armia rzymska. I cóż się stało? Oni wszyscy już nie żyją, a stronnicy Jezusa i Jego Królestwo mają się dobrze. Czyż nie tak właśnie było i jest?

Potem, nie czekając na odpowiedź, skinęła Löwefellowi głową, odwróciła się i wolno odeszła w głąb kaplicy. Inkwizytor spoglądał za nią, póki nie zniknęła za zakrętem. Nazwanie Jezusa „łagodnym cieślą” wywołało jego uśmiech, ale rzeczywiście Llatrisant miała do pewnego stopnia rację. Chrystus dał się osądzić, ubiczować i ukrzyżować, cały czas zaklinając swych wrogów o opamiętanie i błagając ich również, by się do niego przyłączyli. I dopiero kiedy wyśmiano go, wyszydono i przybito do krzyża na pewną śmierć, dopiero wtedy, widząc, że dobrym słowem nie jest w stanie nawrócić swych oprawców, zdecydował się wyrzucić na nich pomstę. I tak właśnie utopił we krwi Jerozolimę, a już pod koniec roku świętował zwycięstwo w Rzymie, własnoręcznie raczył ściąć głowę cesarza Tyberiusza i obwołał się imperatorem. Więc zważywszy na wszystko, co stało się na Golgocie i po niej, nazwanie Jezusa „łagodnym cieślą” było jednak niecodziennym określeniem.

– Jest szalona – usłyszał głos van Bohenwalda.

– Cokolwiek miałyby to oznaczać – odparł Löwefell, nie odwracając się w jego stronę.

– Szaleństwo oznacza między innymi, że mrzonki, którymi szalenie fasczeruje sobie umysł, nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. A podejrzenia, hipotezy czy przeczucia są zaledwie fantasmagorią histerycznie pulsującej wyobraźni.

– Kiedy Jezus wjeżdżał do Jerozolimy z garstką uczniów i opowiadał o królestwie nie z tej ziemi, też go wyśmiewano –

przypomniał Löwefell.

Marius załamał rękę. Pokręcił głową z niezadowoleniem i zdziwieniem.

– Arnoldzie, na Boga! Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że wierzysz w brednie wypowiedane przez szaloną wiedźmę!?

– Oczywiście, że nie wierzę – rzekł Löwefell spokojnie. – Żaden inkwizytor czy żadna czarownica, czy żaden demon, czy żaden czarnoksiężnik nie są w stanie zagrozić Inkwizytorium, gdyż stanowimy potęgę nie tylko w sensie mistycznym, lecz i w sensie militarnym, finansowym oraz politycznym. Jesteśmy imperium. – Uśmiechnął się. – Imperia co prawda upadają, lecz my jesteśmy na tyle mądrzy, by ewentualny upadek przewidzieć i mu zapobiec...

– Cóż za cudny pean na cześć Officjum. – Marius ironicznie zaklaskał w palce.

Löwefell kontynuował, nie zwracając na niego uwagi:

– ...interesuje mnie jednak, co taką wiarę wywołuje w samej Llatrisant. Dlaczego tak bardzo lęka się tej martwej wiedźmy. Nie sądzisz, że warto byłoby to dokładnie sprawdzić, zważywszy, że chodzi o tak potężną i cieszącą się zaufaniem członkinię Wewnętrznego Kręgu?

Van Bohenwald nie odpowiadał przez chwilę, wreszcie pokiwał głową.

– Cieszącą się zaufaniem – powtórzył słowa Löwefella i zmrużył oczy. – Czy sądzisz, Arnoldzie, że gdyby w słowach Deirdre Llatrisant tkwiła prawda, gdyby rzeczywiście ta mała ruska czarownica była Bestią, z którą przyjdzie zmierzyć się wyznawcom Jezusa w Ostatniej Bitwie, czy sądzisz, że dałbym sobie uciąć rękę, że Deirdre stanie wtedy po naszej stronie?

– Podejrzewam, że nie dałbyś sobie uciąć ręki za wierność żadnego z nas – odparł Löwefell uprzejmie.

Van Bohenwald powstał, zbliżył się do Löwefella i objął go nieoczekiwanym, niespodziewanym gestem, tak szybkim, że inkwizytor, nawet jakby chciał, nie potrafiłby tego uścisku uniknąć.

– Za ciebie dałbym sobie uciąć nawet głowę – wyznał ciepło.

Potem odsunął się, mrugnął porozumiewawczo, poklepał towarzysza po policzku wielkopańskim gestem właściciela nagradzającego czułością ulubionego psa, po czym odszedł ciężkim, kolebiącym się krokiem, pozostawiając Löwefella zamyślnego, jednak nie tyle nad jego słowami, ile nad tym, czego van Bohenwald nie powiedział.



Spotkania z Mariusem nigdy nie były przypadkowe, a przynajmniej Löwefell nie miał złudzeń, że kiedy zdarzało się, iż trafiał na tego inkwizytora w ogrodzie, refektarzu czy na tarasie lub dziedzińcu, to działo się to bez przyczyny. Tym razem jednak spotkali się w stajni, gdzie Löwefell pomagał masztalerzowi doprowadzić do zdrowia jednego z ogierów. Koń od kilku dni nie chciał nic jeść i gasł w oczach. I kiedy masztalerz nie mógł sobie już poradzić w jakikolwiek zwykły sposób, żadnymi znanymi sobie likworami, maściami czy pastami, wtedy poprosił Löwefella o pomoc. Której ten oczywiście nie odmówił, bo po pierwsze, często wybierał się na konne przejażdżki, a po drugie, przez wszystkie lata spędzone w Amszilas polubił masztalerza oraz podobało mu się, że był on całkowicie oddany zwierzętom, które powierzono mu w opiekę.

– Cóż za marnowanie czasu i zdolności – skwitował zniesmaczonym głosem van Bohenwald, widząc pochylonego nad wierzchowcem Löwefella. – Pomagać koniom niczym jakiś byle wiejski znachor...

Löwefell jak zwykle zignorował przytyk, poklepał zwierzę po szyi i odwrócił się do masztalerza.

– Mam nadzieję, że niedługo mu się polepszy – oznajmił. – Niech dużo pije, a apetyt powinien wtedy wrócić. No i niech odpocznie kilkanaście dni.

– Bardzo wam dziękuję, mistrzu Löwefell, bardzo wam dziękuję. – Masztalerz serdecznie i z prawdziwym oddaniem potrzęsnał dłonią

inkwizytora.

– Czy możemy już zająć się poważnymi sprawami, Arnoldzie? – zapytał skwaszony van Bohenwald. – Święte Officjum wzywa nas na pomoc, a ty wolisz się babrać w końskim gównie?

Löwefell wyprostował się, podszedł do kadzi i umył dłonie.

– Jestem do twojej dyspozycji, Mariusie – rzekł.

– Przejdźmy się w takim razie po ogrodzie – zaproponował van Bohenwald. – Popodziwiajmy sobie kwiatki, poupajajmy się ich zapachem, poplotkujmy sobie jak przyjaciele o tym i owym.

– Służę ci uprzejmie – zgodził się Löwefell.

Weszli na zwirowaną alejkę, wzdłuż której rosły pięknie utrzymane i przycięte różane krzewy, wyższe niż wysoki człowiek i obsypane teraz kwiatami. Rzeczywiście pachniały pięknie, a wyglądem również przyciągały wzrok, gdyż ogrodnicy posadzili je w taki sposób, by na przemian rosły krzaki róż białych, czerwonych, różowych i żółtych, a wśród nich zdarzały się również tak głęboko pąsowe, że niemal fioletowe oraz, szczególnie podobające się Löwefellowi, róże, które w jednym kwiecie miały płatki o kilku kolorach.

– Zatrudniamy najlepszych ogrodników w całym Cesarstwie – stwierdził van Bohenwald z taką dumą, jakby klasztor Amszilas właśnie jemu zawdzięczał pozyskanie tych niezwykłych fachowców. – Czy wiesz, że udało im się wyhodować czarną różę?

– Czy to coś niezwykłego? – zapytał Löwefell.

– Ależ, Arnoldzie – van Bohenwald aż się zatrzymał – róże o płatkach czarnej barwy nie rosną w żadnej znanej nam krainie. Owszem, widzimy je czasami na obrazach czy witrażach, lecz są one wtedy jedynie symbolicznym przedstawieniem smutku lub żałoby. W naturze, zapewniam cię, nie występują nigdy!

– Czy ten krzak rośnie w naszych ogrodach?

– Tak, chętnie ci go pokażę – rzekł van Bohenwald. – Rzeczywiście, ciężko się na niego przypadkowo natknąć, kiedy nie wiadomo, gdzie szukać, bo rośnie w raczej ustronnym miejscu, zawsze pogrążonym w cieniu...

– A czyż róże nie lubią słońca?

– Owszem, tak właśnie jest. I to pamiętasz świetnie – pochwalił go van Bohenwald. – Lecz ten akurat gatunek zupełnie i całkowicie nie znosi słońca. Pod wpływem słonecznych promieni jego kwiaty marszczą się, więdną, obumierają i usychają. – Marius rozłożył ramiona. – Wygląda na to, że coś za coś. Że cena za wynaturzenie, jakim jest czarna barwa kwiatów, musiała zostać zapłacona.

Marius spojrział na Löwefella.

– Zupełnie jak z tobą, mój perski przyjacielu. Straciłeś zdolności, jakie miałeś jako Narses, a zyskałeś nowe, niezwykle interesujące. Chociaż powiem ci – Marius zatrzymał się i zastąpił Löwefellowi drogę – że wolałbym, abys stracił całą pamięć i wszystkie zdolności, które masz jako Arnold Löwefell, a odzyskał pamięć i zdolności czarnoksiężnika Narsesa. – Marius wpatrywał się w Löwefella kamiennym wzrokiem. – Taki układ, powiem ci szczerze, uznałbym za całkiem udany. – Milczał przez chwilę. – Wielka szkoda, że nikt nie zdoła mi go zaoferować – dodał na koniec.

A potem odstąpił na bok, odwrócił się od Löwefella i ruszył wolnym krokiem.

– Chodź, chodź, nie zatrzymuj się, Arnoldzie! – zawołał. – Poprowadzę cię wprost do tego pięknego dzieła naszych ogrodników, a potem sobie pogawędzimy.

Löwefell domyślał się, że van Bohenwald ma za nic jego metamorfozę, a teraz otrzymał dosłowne i werbalne potwierdzenie owych domysłów. Marius wolałby mieć w swej mocy maga Narsesa – perskiego zdrajcę – i całą zawartość jego głowy niż Arnolda Löwefella – prawowiernego chrześcijanina, w pełni oddanego Panu i miłującego Światłość. Narses dałby van Bohenwaldowi to, czego nie mógł mu dać Löwefell: wyjaśnienie zagadki Szachor Sefer. Chociaż z drugiej strony patrząc, nikt nie wiedział, czy Narses naprawdę poznał sekret Czarnej Księgi, czy też był tylko o swoim osiągnięciu święcie przeświadczony.

Po kilku minutach spokojnego marszu, który odbyli już w milczeniu, Löwefell zobaczył rozwidlenie drózek, a pośrodku tego

rozwidlenia duży klomb z altaną o ażurowych ścianach i litym dachu. Wewnątrz budynku rósł wysoki i szeroki krzak, obsypany pięknie rozwiniętymi kwiatami o czerni tak intensywnej, że zdającej się nie mieć odpowiednika w ludzkim świecie. Dno studni w bezksiężycową noc zdawałoby się przy tej czerni jedynie szarością.

– Piękny – pochwalił szczerze Löwefell.

– O tak – zgodził się Marius. – Kiedy myślę o zerwaniu jednego z tych kwiatów, to wyobrażam sobie, że rozlałby mi się na dłoni niczym najczystsza ciemność. Jak idea ciemności.

Bardzo to było poetyckie, jak na Mariusa, ale Löwefell musiał przyznać, że te róże poprzez intensywność barwy, bogactwo ukwiecenia oraz proporcjonalność i nienaganną elegancję kwiatów rzeczywiście robią wrażenie nawet na kimś, kogo rośliny nieszczególnie obchodziły.

– Przysiądźmy sobie – zaproponował Marius.

Podeszli do ławki, a van Bohenwald, zanim usiadł, to nacisnął ręką na oparcie oraz siedziszczce.

– Ależ twarde – poskarżył się, tak jakby spodziewał się że kamienna ława okaże się miękka niczym poduszki wypchane pierzem. – Czemuż to, Arnoldzie, nie mogliśmy porozmawiać w klasztorze, tylko przyciągnąłeś mnie na te niewygody...

Van Bohenwald z niechętnym westchnieniem opadł na ławę i oparł plecy. Przez chwilę wiercił się, szukając najlepszej pozycji.

– Siadaj, siadaj, Arnoldzie.

Löwefell przysiadł i dotknął kamienia, z którego wykuto ogrodowy mebel. Był gładki niczym szkło.

– To chyba czarny turmalin – zmarszczył brwi Marius, widząc gest swego towarzysza. – Ale głowy bym nie dał.

Przez chwilę milczeli, gdyż Marius najwyraźniej nie chciał się odzywać, a Löwefell spokojnie czekał, aż dowie się, czemu zawdzięcza zaszczyt spaceru i rozmowy z van Bohenwaldem.

– Tajemnice dzielą się na dwa rodzaje – rzekł wreszcie van Bohenwald z namaszczonej powagą. – Pierwszy rodzaj to takie, które

zostały wyjaśnione, a drugi to takie, których nigdy nie wyjaśniono.

– Bardzo celne spostrzeżenie, Mariusie – pochwalił Löwefell bez cienia ironii w głosie.

– Nas oczywiście interesują przede wszystkim te sekrety, których nigdy nie zbadano, nie przejrano oraz nie objaśniono. I te z kolei dzielą się znowu na dwa rodzaje. O których to rodzajach – Marius uniósł palec – bardzo chętnie zaraz ci opowiem. Otóż... – ciągnął, nie czekając na zachętę – istnieją sekrety, których mimo usilnych starań nie udało się nigdy przejrzeć, tajemnice, które pilnowały swojej nierozpoznawalności, przypominając w tym najeżone zamkami stalowe drzwi skarbcza, strzegące ukrytych w nim bogactw. Ten rodzaj sekretów również nas nie interesuje.

Löwefell podejrzewał już, dokąd zmierza przemowa van Bohenwalda, ale czekał w milczeniu.

– Chciałbym, abyśmy zajęli się tym rodzajem sekretów, które zostały porzucone – rzekł Marius. – Tymi tajemnicami, które przypominają starą, biedną pannę samotnie podpierającą ścianę w sali balowej. Nikogo ona nie interesuje, nikt w jej stronę nie spogląda, nawet po to, by złośliwie skomentować jej wygląd. Dla obecnych w sali ona po prostu nie istnieje. Jest niczym cień, który pozostał po blasku dawnej chwały i urody. Niby żyje, ale tak naprawdę jakby jej nie było.

– Sądzę, że takie rzeczy się zdarzają – zgodził się Löwefell.

– Takie rzeczy się zdarzają – powtórzył van Bohenwald, kiwając głową. – Owszem, tak właśnie bywa.

– Czy ostrzegasz przed przeszłością, czy przed przyszłością? – spytał Löwefell.

Marius milczał przez chwilę.

– Chciałbyś wiedzieć, mój drogi towarzyszu, czy mówię o sekretach, które niegdyś spędzały nam sen z oczu, a teraz nikogo już nie obchodzą? Czy może chciałbyś wiedzieć, czy mówię o sekretach, którym dzisiaj poświęcamy siłę i czas, a które z perspektywy dnia jutrzejszego okażą się tych sił i tego czasu kompletnym zmarnotrawieniem?

– Nikt nie wie, co się okaże z perspektywy dnia jutrzejszego – zauważył Löwefell.

Marius skinął głową.

– To do pewnego stopnia jest prawda – zgodził się.

– Czy chcesz powiedzieć, że w zapomnianych sekretach dnia wczorajszego może kryć się wyjaśnienie pytań, które stawiamy dzisiaj? – zapytał Löwefell. – Czy trzymając się twojej metafory, owa biedna i stara panna podpierająca ścianę może okazać się posiadaczką ukrytego majątku?

– Wszystko może okazać się wszystkim, czyż nie? – zmrużył oczy van Bohenwald.

– Do twojej klasyfikacji sekretów dodałbym jednak, jeśli pozwolisz, kolejny rodzaj. Otóż istnieją również takie, które objaśniono błędnie i których niewłaściwe objaśnienie posłużyło jako pewnik do wytłumaczenia kolejnych tajemnic, powodując, że również wynik następnych badań uległ kompletnemu lub częściowemu zafałszowaniu.

Marius westchnął.

– Czyż nie prowadzi nas to do tezy Gorgiasza[14] mówiącej, że żaden człowiek nie może ogłosić prawdy, gdyż nawet gdyby przypadkowo ją ogłosił, to sam by o tym nie wiedział?

Löwefell uśmiechnął się nieznacznie.

– Czy nasza rozmowa zmierza do jakiegoś konkretnego finału? – spytał. – Czy też po prostu będziemy smętnie rozważać opinie Gorgiasza, Heraklita lub Demokryta o braku możliwości obiektywnego poznania czegokolwiek, co istnieje? Które to tezy, nawiasem mówiąc, wydają mi się czasem aż nazbyt dobrze odzwierciedlać naszą sytuację.

– Drogi Arnoldzie, a czy możemy obiektywnie określić, dokąd prowadzi nas ta rozmowa? – odpowiedział Marius pytaniem. – Na ile wyprostowała ona lub zagmatwała nasze drogi? A może nie przyniosła niczego poza zmarnotrawieniem czasu? Zmarnowaniem go na poruszanie ustami w celu wytworzenia niemających żadnego znaczenia dźwięków?

Van Bohenwald znowu westchnął i strzepnął palcami.

– Przynajmniej obejrzałem niezwykły krzew róży, którego wygląd na pewno zapadnie mi w pamięć – rzekł Löwefell na poły poważnie, na poły żartobliwie.

Marius pokiwał głową.

– O tak, to zaiste wspaniałe dzieło trudno wymazać z pamięci, a i wymazać byłoby szkoda... – Obrzucił Löwefella niechętnym spojrzeniem. – W ogóle śmiem twierdzić, że utrata pamięci jest wielce kłopotliwa, bynajmniej nie tylko dla tej osoby, która ją utraciła, lecz również dla całego jej otoczenia...

Trudno było się z tym nie zgodzić, chociaż zdanie zostało wypowiedziane takim tonem, jakby to sam Löwefell zawinił temu, że wskutek zamachu zniszczono umysł Narsesa.

– Cóż, nie będę zatrzymywał cię dłużej, Arnoldzie – rzekł Marius, wstając z ławy. – Czasami po prostu zbiera mi się na smętne rozmyślania o naturze rzeczy i o tym, jak bardzo musimy polegać na niedoskonałości naszych zmysłów oraz jak zawodzi nas zdolność nie tylko do obserwacji świata, lecz również do wyciągania wniosków z tych obserwacji.

– Obserwujemy świat, nie mając ku temu zdolności, jesteśmy ograniczeni ubóstwem naszych zmysłów, po czym wyciągamy fałszywe wnioski. To mi chcesz powiedzieć, prawda? – zapytał Löwefell, również wstając. – Zgadzam się z tym bez wahania i sprzeciwu. Nie widzę tylko sposobu, jak mielibyśmy się ustrzec przed popełnianiem podobnych błędów.

– Tylko Bóg widzi każdą istotę, rzecz oraz ideę w ich prawdziwej naturze – stwierdził van Bohenwald. – A jak sądzisz, Arnoldzie, czy Bóg traktuje nas jak dzieci i prowadzi ostrożnie za rękę, byśmy poznawali świat pod jego przewodem? Czy może trzyma nas w kojcu i nie pozwala wyjść krok poza ogrodzenie dla naszego własnego dobra?

– A może jesteśmy wściekłymi psami, które zamknął w klatce, by nie uczyniły krzywdy światu, ale przed których unicestwieniem jeszcze się wzdraga? A może wręcz odwrotnie. – Löwefell

skrzyżował spojrzenie z Mariusem. – Może ty i ja jesteśmy wściekłymi psami, które Pan wypuścił, by doświadczały cierpieniem świat i żyjące na nim istoty? Może to my jesteśmy próbą? Może to my jesteśmy plagami, które zesłano na Hioba?

Van Bohenwald milczał dłuższą chwilę, nie cofając wzroku, a potem położył dłonie na ramionach Löwefella. I znowu był to gest tak szybki, że Löwefell, nawet jakby chciał, nie zdołałby ani się przed nim uchronić, ani odsunąć na bok.

– A może to ty jesteś wściekłym psem, a ja łowczym wysłanym przez Pana, by cię powstrzymać? – zapytał Marius.

– Powstrzymać przed czym?

– Ty mi powiedz.

Löwefell potrząsnął głową.

– Nie przychodzi mi na myśl żaden sekret, którym nie mógłbym się z tobą podzielić – powiedział lekkim tonem i cofnął się o krok, by dłonie van Bohenwalda opadły z jego ramion. – Pozwolisz, że wrócę do moich zajęć, Mariusie?

– Oczywiście, oczywiście – odparł van Bohenwald. – Miłego dnia, Arnoldzie.

Skinął ręką, odwrócił się i odszedł w stronę załomu ogrodowej alejki. Löwefell usłyszał tylko jeszcze, jak mówi niby do siebie, jednak tak głośno, by nie było wątpliwości, że zostanie usłyszany.

– Nigdy nie wątpiłem, że nie masz sekretów, którymi nie mógłbyś się ze mną podzielić – powiedział, akcentując mocniej słowo „mógłbyś”. – Zastanawiam się tylko, jak wiele istnieje takich, którymi podzielić się nie chcesz.

Tak się zdarzyło, znowu – jak sądził Löwefell – wcale nie przypadkowo, że już następnego dnia spotkali się w refektarzu. Löwefell zazwyczaj prosił, aby przynoszono mu posiłki do pokoju, ale tym razem zdecydował się zejść na kolację, zwłaszcza że przechodząc wcześniej obok refektarza, widział, iż pomieszczenie jest niemal puste, nie licząc trzech inkwizytorów, którzy siedzieli przy końcu stołu i zapalczywie dyskutowali o czymś w towarzystwie strofującego ich i mitygującego ich zapał mnicha.

Ale kiedy Löwefell usiadł już z dala od dyskutantów, nie chcąc im przeszkadzać, nagle w drzwiach pojawiła się potężna postać Mariusa.

– A więc tu jesteś, mój kochany! – zawołał tak gromko, że inkwizytorzy aż zamilkli i spojrzeli w jego stronę.

A żeby nie było wątpliwości, któż to jest tym „jego kochanym”, to van Bohenwald rozłożył szeroko ramiona i powiewając fałdami oraz rękawami ulubionej lśniącej i mieniącej się wieloma kolorami szaty, szedł wprost na Löwefella niczym dziwaczny rozpędzony galeon o rozpostartych żaglach i zdeformowanym kadłubie.

Usiadł z impetem naprzeciwko towarzysza.

– Ach, jeść, jeść, jeść, czyżbyś tylko o tym myślał, mój przyjacielu? To ja ślęcę w bibliotece i kulawię język na naradach, a ty w tym czasie hołdujesz rozkoszom podniebienia. Cóż to nam dzisiaj dadzą?

Zbliżył się do nich pełniący służbę mnich.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – rzekł. – W czym wam mogę usłużyć, mistrzu van Bohenwald, mistrzu Löwefell?

– Zjadłbym jakieś szczupaczysko w chrzanie – wyznał Marius z młaśnięciem. – Do tego polewkę piwną z rodzynekami, pieczeń z bażanta, półmisek serów, kilka butelek wina, może być białe mozelskie, a na deser salaterkę bezów z kremem, kandyzowane figi, daktyle i skórki pomarańczy oraz butelkę słodkiej jak grzech czerwonej alhamry. To na początek! Potem się zastanowimy.

– Dzisiaj jest piątek, mistrzu van Bohenwald – rzekł mnich z wyraźną naganą w głosie. – I mogę wam zaoferować jedynie kaszę bez omasty, pieczoną rzepę oraz wodę. Ale przyznam, że raczej sądzimy, że należałoby chociaż w ten jeden dzień w tygodniu zachować post całkowity.

– Boże miłosiwy, skąd oni cię tu wzięli, człowieku! – zawołał ze zgrozą Marius. – Czy chcesz nas zagłodzić i zamęczyć, piekielna zmoru?

– W takim razie kasza czy rzepa? – spytał mnich, nie reagując na zaczepkę.

Marius westchnął.

– Cóż, chyba mamy jednak ochotę, by oddać się grzesznemu obżarstwu, więc poprosimy jedno i drugie – zdecydował z wyraźnym smutkiem.

Później zerknął na Löwefella.

– Nie wiem, jak ty, Arnoldzie, ale ja sędzę, że choć naszego Pana ukrzyżowano w piątek, to jednak przecież również w piątek połamał krzyż swej męki i wraz z Apostołami ruszył na Jerozolimę, by pokarać grzesznych i nagrodzić prawych. Czyż więc na pewno powinniśmy w ten właśnie dzień tygodnia oddawać się umartwieniom?

Löwefell nawet nie odpowiedział, bo przecież zarówno Marius, jak i on sam, i każdy chrześcijanin w Cesarstwie wiedzieli, że piątkowy post trwa tylko do zachodu słońca. Potem można się było weselić. Na ulicach wielu miast i w wielu domach świecono światła i palono ognie, aby przypomnieć blask łun nad płonąca Jerozolimą, oraz wdziewano czerwone stroje, by przypomnieć, iż stronnicy Chrystusa bez litości przelewali krew wrogów naszego Pana. Ale do zachodu słońca rzeczywiście nakazywano zachowywać nie tylko post, lecz również umiar w okazywaniu wesołości. Zarówno posępna, jak i radosna strona tego dnia tygodnia potężniały w Wielki Piątek, który w całym chrześcijańskim świecie obchodzono nadzwyczaj uroczyście.

Van Bohenwald położył tłustą, upierścienioną dłoń na blacie i Löwefell znowu odniósł wrażenie, jak bardzo ta zdeformowana otyłością ręka nie pasuje do surowej i szlachetnej prostoty wiekowego dębowego pnia, z którego wykonano stoły.

– Tak to już jest w naszym życiu, drogi towarzyszu. Zakradasz się do ukochanej, by oddać się nocą miłosnym igraszkom, a kiedy wchodzisz do jej pokoju, to z łóżka wyskakuje jej gach i daje ci takiego kopniaka, że spadasz wprost do kanału z nieczystościami. – Rozłożył ręce i westchnął ciężko. – Moje życie czasami wydaje mi się pasmem porażek, z których najbardziej kłopotliwą, bo wchodzącą mi ciągle przed oczy, jesteś ty...

Löwefell jak zwykle zlekceważył to szyderstwo, które w zasadzie można już było nazwać zniewagą i które w świecie zwyczajnych ludzi pewnie doprowadziłoby do sprzeczki, może i większej awantury, a w niesprzyjających okolicznościach kto wie czy nie do bijatyki lub pojedynku. Jednak Löwefell od dawna traktował słowa van Bohenwalda jak uporczywy szum wiatru. Słyszał go, ale szum ten nie mógł go rozzłościć lub sprawić mu przykrości.

– Myślałeś trochę o mnie, mój przyjacielu, niewidziany od wczoraj? – zagadnął Marius tym razem serdecznym tonem.

– Myślałem o Deirdre Llatrisant – odparł zgodnie z prawdą Löwefell.

– Szalona wiedźma – pokręcił głową jego towarzysz. – Całkiem pomyłona.

Rzecz jasna, gdyby Deirdre była naprawdę pomyłona, to nikt nie zapraszałby jej na narady Wewnętrznego Kręgu i nikt nie pozwoliłby jej na poznanie tak wielu tajemnic. Siła Inkwizytorium tkwiła w tym, że kiedy było trzeba, działało ono niczym stalowa, zaciśnięta pięść, jednak jego członkowie różnili się znacząco między sobą. Poglądami, pochodzeniem społecznym, miejscem urodzenia, oczywiście również wiekiem i doświadczeniem.

– Na naradzie powiedziałaś, że Deirdre klęczała na smyczy obok nóg Bibera – przypomniał Löwefell.

– Być może tak właśnie powiedziałem – zgodził się Marius.

– Jak to się stało, skoro wydała nie tylko własną córkę, ale i cały sabat? Skoro przeszła na naszą stronę? Dlaczego została znowu uwięziona?

– Nie została uwięziona – potrząsnął głową van Bohenwald. – No, może w pewnym sensie – dodał, a potem uśmiechnął się nieznacznie. – Widzisz, Arnoldzie, inkwizytorzy przysięgli jej, że jeśli zdradzi sabat, to jej córka zostanie ocalona i będzie mogła również służyć Świętemu Officjum...

– Ach tak – rzekł Löwefell.

– Llatrisant była na tyle mądra, by wiedzieć, że wojna czarownic jest przegrana, na tyle jednak głupia, by ufać, że dotrzemy danej

jej przysięgi. – Roześmiał się. – Tak jakby inkwizytor musiał honorować przyrzeczenie złożone jakiejś byle plugawej wiedźmie...

– Mogliśmy dotrzymać tego przyrzeczenia – stwierdził Löwefell.

– Rzecz jasna, że mogliśmy – klasnął van Bohenwald. – Zwłaszcza że młoda wiedźma była bardzo utalentowana. Co prawda nie tak zdolna jak jej matka, lecz i tak stałaby się cennym sprzymierzeńcem. Ale ty przecież wiesz, Arnoldzie, dlaczego zamiast przyjąć ją w nasze szeregi i natchnąć wiarą w miłość Jezusa, torturowaliśmy ją i spaliliśmy?

Löwefell skinął głową. Oczywiście wiedział.

– Chcieliśmy pokazać Llatrisant – ciągnął niezrażony jego ruchem van Bohenwald – że skoro ma być jedną z nas, to musi wiedzieć, że inkwizytora nie może wiązać żadna przysięga poza tą złożoną Bogu. Ani żadne zobowiązania inne niż te złożone na ołtarzu Jezusa. Ani żadna miłość poza miłością do Boga. Ani żadne przywiązanie do żadnego z ludzi.

Löwefell znowu skinął głową. Tak właśnie było, a on się z tym całkowicie zgadzał.

– A wiesz, co doprowadziło Deirdre do tak wielkiej wściekłości oraz rozpacz, że musieliśmy ją wziąć na smycz? – spytał jeszcze, ciągle się uśmiechając, Marius.

– Jak sądzę, była to chwila, kiedy wyjawiliście jej, że jeśli nie wstawiłaby się za córką, to ta córka by ocalała – odparł Löwefell.

Gruby inkwizytor znowu klasnął z zadowoleniem.

– Dokładnie tak, Arnoldzie! – przyznał wesołym tonem. – Twoje rozumowanie jest bez zarzutu. Powiem ci również, że ta wiadomość stanowiła dla Llatrisant wielce niemiłe zaskoczenie – dodał kpiąco.

Tak, to Löwefell mógł sobie wyobrazić. Córka Llatrisant zginęła tylko dlatego, że matka za bardzo chciała ją ocalić. Gdyby się za nią nie wstawiła, dziewczyna żyłaby pewnie do tej pory.

– Ale muszę szczerze wyznać, że spaliliśmy tę młodą wiedźmę na stosie bez żadnej radości i bez żadnej satysfakcji. – Marius szybko wrócił do poważnego tonu. – Gdyż tak jak wspominałem, była bardzo utalentowana oraz całkiem rozumna. Przyznam ci z ręką na

sercu, że czułbym o wiele większe zadowolenie i o wiele chętniej określiłbym nasze działanie mianem triumfu, gdybyśmy mogli pozostawić ją przy życiu i przyjąć na służbę naszej świętej wiary. Ale cóż, ponieważ zależało nam, by Llatrisant dokładnie zrozumiała cele i pobudki Świętego Officjum, musieliśmy zabić jej córkę. – Wzruszył ramionami, potem uśmiechnął się. – Ale jakież to był szczęśliwy dzień i ukoronowanie naszych wysiłków, pamiętam to jak dziś, kiedy Llatrisant przyznała, że nie tylko nas rozumie, ale że będąc na naszym miejscu, uczyniłaby dokładnie to samo.

– Wyobrażam sobie, że musiałeś czuć wtedy wielką satysfakcję, że postąpiłeś słusznie – stwierdził Löwefell.

– A ty uczyniłbyś inaczej?

– Mam za mało przesłanek, by wnioskować – odparł Löwefell po chwili. – Być może jednak starałbym się postąpić tak, by pozyskać obie, skoro jak mówisz, córka była również warta zachodu.

– O tak. – Tłusty inkwizytor przymrużył oczy, jakby dzięki temu zmrużeniu mógł myślał dokładniej ujrzeć obrazy odległej przeszłości. – Była warta i zachodu, i grzechu, oczywiście jeśli czyjeś serce rozgrzewają sprawy związane ze zgrabnym ciałkiem i piękną buzią... Twojego nie rozgrzewają, prawda? – Zerknął bystro w stronę rozmówcy.

Löwefell był pewien, że Marius doskonale wie, jaka jest prawda, więc nawet nie wysilił się na odpowiedź. Zresztą jego towarzysz zapewne wcale tej odpowiedzi nie oczekiwał, traktując wtret jako jedną z wielu złośliwości. Pozbawionych zarówno zapachu, jak i znaczenia. Lub przynajmniej sprawiających wrażenie, że są pozbawione znaczenia.

– Miała jasne włosy sięgające do pasa, a tak gęste, że mogła ciało okryć nimi niczym szatą – ciągnął Marius. – Miała oczy jak lipcowe niebo i miała usta niczym rozgniecione maliny...

– Rozumiem więc, że zębki miała jak perełki – dodał ironicznie Löwefell.

– A widzisz. – Marius uniósł dłoń. – W tym akurat nie masz racji, bo zęby miała szerokie jak łopaty, żółte i nieładne. – Pokręcił głową

ze zdziwieniem. – Raziło to u tak pięknej kobiety, ale sama świetnie wiedziała o tym felerze, więc nigdy się nie uśmiechała. Nazywano ją nawet Tywyll[15].

– Co to miało oznaczać?

– Posępna. Potem co prawda nie miała już zębów, by je musiała ukrywać, ale też, jak się domyślasz, nie miała również powodów, by się uśmiechać – dodał i klasnął dłońmi w uda ubawiony własnym dowcipnym konceptem.

– A jak brzmiało jej prawdziwe imię? – spytał Löwefell.

– Seren[16] – odparł Marius. – Co w języku ludu, z którego pochodziła, oznaczało gwiazdę. Była wysoka i szczupła. Miała długie nogi, szczupłą kibić i nosiła się niczym królowa. A wiem, jak wyglądała, więcej niż dokładnie, gdyż widziałem ją całkiem nago, i to w chwili, kiedy na jej powabnym ciele nie użyto jeszcze narzędzi...

Milczał przez chwilę, kto wie, może wyobrażając sobie nagie ciało ponętnej wiedźmy rozpięte na łożu tortur, może czekając, aż Löwefell sobie to wyobrazi, a może zaledwie sprawiając wrażenie, iż owo sięgnięcie do odległej przeszłości sprawia mu przyjemność. Potem uśmiechnął się.

– Dowiedzieliśmy się w trakcie przesłuchań, że roiła sobie w tej pięknej główce, że kiedyś powtórzy dzieło Morgany – rzekł. – Że to ją będą nazywać Królową Czarownic. – Tłusty inkwizytor prychnął. – Ale to już nie były te czasy, co kiedyś. Przerażeni inkwizytorzy nie siedzieli zamknięci po fortecach niczym króliki po norach, a miejscowi baronowie nie usługiwali wiedźmom. A to, że czasy zmieniły się bezpowrotnie i rzeka już nigdy nie cofnie się do źródeł, zrozumiała najszybciej Deirdre Llatrisant. Dlatego właśnie wydała w nasze ręce wszystkich, których znała...

Przerwał na chwilę i pokiwał głową do własnych myśli.

– Tak – dokończył. – Taka to właśnie jest jej historia.

Potem spojrział na Löwefella z zagadkowym wyrazem twarzy.

– Każdy z nas pisze swoją historię, a te opowieści czasami łączą się w piękny epos lub hymn, a czasami nawet w epitalamium[17]. –

Uśmiechnął się i uniósł znacząco palec. – Choć zapewne to ostatnie akurat nie zajdzie w naszym wypadku – dodał. – Lecz czasami – kontynuował po chwili już poważnie – losy dwojga lub więcej ludzi splatają się w elegię lub nawet tren.

– Albo dla jednego w hymn, dla drugiego w tren – zauważył Löwefell.

– Bardzo przytomna uwaga, mój perski przyjacielu, bardzo przytomna – zgodził się van Bohewald. – Bo przecież co dla jednego błogosławieństwem od Boga, to dla drugiego klątwą od szatana...

Słowa te zabrzmiały, jakby Marius cytował jakieś przysłowie, jednak Löwefell tego akurat powiedzenia nie znał. Choć samej sentencji nie można odmówić oczywistej słuszności.

– Ale teraz oderwijmy się od spraw poetyckich i skierujmy ku ziemi – kontynuował van Bohewald. – Pozwól, że podzielę się z tobą gwałtowną myślą, jaka przyszła mi do głowy teraz, a w zasadzie przed chwilą, kiedy tak czekałeś na obiad, siedząc tutaj przy stole. Otóż... – Zadarł głowę, wpatrując się w rzeźbiony sufit. – Chciałbym, a nie jest to życzenie tylko moje, byś odwiedził Morganę. Tak, tak, właśnie TĘ Morganę – dodał szybko i podnosząc dłonie, chociaż Löwefell w żaden sposób nie zareagował na słowa towarzysza, jedynie przyglądał mu się nieruchomym wzrokiem.

Wiedział, że cały początek przemowy Mariusa, dotyczący raptownie podjętej decyzji, można wsadzić między bajki. Z całą pewnością przynajmniej on sam, a sądząc z dalszych słów, również inni inkwizytorzy głęboko się wcześniej zastanowili, czy takie odwiedziny będą dobre dla sprawy.

– Jaki miałby być cel moich odwiedzin? – zapytał wreszcie, kiedy Marius nic więcej już nie powiedział.

– A jakież może być cel odwiedzin u tak plugawej wiedźmy? – zdumiał się van Bohewald. – Oczywiście trzeba w niej rozpaścić żar prawdziwej wiary, sprawić, by miłość do Jezusa zaczęła w niej buzować niczym ogień w łaźniebnym piecu i by czarownica cała aż spotniała od tej miłości. – Marius otrząsnął się z całej siły. – No

a potem żeby wyznała, że jedyne, czego pragnie najbardziej na świecie, to służyć Inkwizytorium po kres swoich dni.

Löwefell skinął głową.

– Będę musiał powtórzyć jej twoją przemowę. Na pewno ją rozbawi.

– O tak, o tak – zgodził się radośnie Marius. – Morgana ma tak mało rozrywek, że nawet ty ze swoją smętną miną i ponurymi uwagami potrafiłbyś ją zapewne doprowadzić do paroksyzmów śmiechu.

– Dlaczego zostałem wybrany do tej misji?

– Och, od razu: wybrany? – Marius zamachał dłońmi tak gwałtownie, jakby słowo „wybrany” było piłką lecącą mu prosto w twarz, przed którą musiał bronić się rozpaczliwie szybkim gestem. – W sformułowaniu „wybrany” czai się podejrzenie, że zaraz użyjemy pojęcia „wybraniec”, oznaczającego kogoś wyjątkowego i wyróżnionego, w jakiś sposób opromienionego blaskiem. Bohatera i wybawcę. – Marius uniósł oczy do sufitu. – Niczym Beowulf lub Zygfryd.

Odetchnął głęboko i znowu przeniósł wzrok na Löwefella.

– Nie, nic z tego – rzekł. – Po prostu komuś się przypomniało, że wielu z nas próbowało rozmawiać z Morganą, a ty jeszcze nie. I ten ktoś zaproponował: „A może Arnold pogawędziłby z Morganą, skoro zapewne i tak nie ma co robić?”. A ja na to odparłem: „O, na pewno nie odmówi, choćby powodowany tą samą ciekawością, z jaką idziemy do cyrku czy ogrodu zoologicznego”.

– Kto ją odwiedzał do tej pory?

– Od dawna już nikt, więc może nawet, kto wie, ucieszy ją towarzystwo takiego miłego Persa jak ty. Taaak, o czym to ja? Aha... – Klepnął się w czoło. – Miałem ci opowiedzieć, kto odwiedzał wiedźmę. No więc przedtem bywałem u niej i ja, i Deirdre, i Biber, i jeszcze kilka osób, których nie znasz, a które mogły poszukać z nią wspólnego języka. Mogły, lecz jednak nie znalazły, choć powiem szczerze, że trudno mi odmówić ich usiłowaniom entuzjazmu oraz fachowości.

– Czy dokonano zapisów tych rozmów?

– Oczywiście!

– Czy będę mógł się z nimi zapoznać?

– Oczywiście, że nie. – Spojrzał na niego z naganą, tak jakby tym pytaniem Löwefell bardzo, ale to bardzo go zawiódł. – Zależy mi na tym, by twój umysł był czysty, nieskażony dokonaniem poprzedników, czy raczej ich brakiem – dodał z przekąsem.

Löwefell skinął głową, bo takiej odpowiedzi się zresztą spodziewał. Zapewne próbowano wcześniej wielu sposobów, analizowano zachowanie Morgany, każde jej słowo, każdy gest czy wyraz twarzy. I ponieważ nie przyniosło to żadnego skutku, postanowiono wysłać Löwefella, pozbawionego jakiegokolwiek wiedzy na temat poprzednich wizyt i reakcji Morgany na owe wizyty.

– Czy Katrina również brała udział w próbach przesłuchań? – spytał.

Van Bohenwald przypatrywał mu się przez chwilę w milczeniu i nieruchomym wzrokiem.

– Zawsze intrygowało mnie owo szczególne zainteresowanie, jakim darzysz Katrinę – rzekł. – Pozwól więc, że powiem ci coś o twojej ulubienicy. Otóż jeśli w całym Amszilas próbowałbyś znaleźć najgroźniejszego drapieżnika, a zebrało się tu nas trochę, to czmychałby on przed Katriną jak kot przed miotłą. – Marius zaśmiał się sam do swojego wyobrażenia. – Powiedz więc, co cię w niej tak pociąga? Moc, której nie potrafisz sobie nawet wyobrazić? Satysfakcja, że przebywało się w jednej klatce z tygrysem i wyszło się z niej ze wszystkimi kończynami w całości? Wyobrażenie, że ów tygrys uśmiecha się do ciebie, więc jest całkiem oswojony? Przyznaj, Arnoldzie, skąd ten wielki sentyment?

– Czy Katrina również próbowała dogadać się z Morganą? – zapytał ponownie Löwefell, ignorując tyradę i pytania rozmówcy.

– Sam jej spytaj – odparł van Bohenwald, wzruszając ramionami. – Jeśli nawet próbowała, ja nic o tym nie wiem. Ale – zawahał się na chwilę – nie wykluczałbym podobnej możliwości.

– Co mogę zaoferować wiedźmie?

Mariusz położył mu dłoń na ramieniu.

– Arnoldzie, możesz jej zaproponować i zaoferować wszystko, co tylko chcesz. Nawet podróż na Księżyc zaprzęgiem z żurawi. Bo Morgana i tak na nic się nie zgodzi. A my po prostu do listy osób, które próbowały przekonać Morganę, dopiszemy „Arnold Löwefell”. I wszyscy będziemy mieli spokój na kolejne sto lat.

Potem nic już nie mówili przez dłuższy czas, każdy zastanawiając się nad swoimi sprawami, a kiedy mnich przyniósł miski z kaszą i rzepą, to van Bohenwald prychnął tylko pogardliwie i powstał gwałtownie.

– Myśl, że mógłbym skazać moje podniebienie podobnym posiłkiem, budzi we mnie grozę – oznajmił mnichowi. – Niechże sobie Arnold zje obie porcje, bo jemu i tak zupełnie wszystko jedno, czyż nie tak, Arnoldzie?

A kiedy mnich odszedł, van Bohenwald położył nieoczekiwanie dłoń na ramieniu Löwefella.

– Katrina nie jest oswojonym tygrysem, który cię polubił, Arnoldzie, i który będzie mruczał z zadowolenia, kiedy leżysz obok niego i drapiesz go za uchem – rzekł z ogromną powagą. – Pamiętaj o tym. Pamiętaj o tym zawsze.

Löwefell odsunął się delikatnie.

– Kim jest w takim razie? – spytał.

Nie żeby dowiedzieć się szczególnie wyjątkowych tajemnic, ale ciekaw, jakiej odpowiedzi udzieli jego towarzysz.

Gruby inkwizytor uśmiechnął się.

– Gdyby tygrysy miały króla i gdyby tego króla ustrzelił waleczny łowca, to Katrina byłaby bogiem, do którego ów łowca by się modlił – odparł, a potem parsknął krótkim, urywanym śmiechem i odszedł, nie mówiąc już nic więcej.



Komnata, czy raczej komnaty Katriny nie przypominały niczego, co zwykły człowiek mógłby wyobrażać sobie pod pojęciem „klastorna cela”. Te pokoje można by przenieść do książęcego pałacu i z pewnością właściciele nie poczuliby się rozczarowani. Jednak kiedy Löwefell po raz pierwszy był w tych apartamentach, zadał Katrinie pytanie, czy lubi przepych. Odpowiedziała wtedy: „Lubię piękno”. I taki właśnie był cel podsufitowego fresku przedstawiającego niebo, chmury i ptaki, taki był cel kryształowego lustra i taki był cel fotela o poręczach w kształcie smoczycich głów. Löwefell wiedział, że Katrinie zupełnie obojętna jest wartość tych przedmiotów, a liczy się dla niej tylko, że dają namiastkę ulgi, kiedy na nie spogląda. Że ich kształty, urok i wzajemne dopasowanie tworzą jej własny prywatny świat, dzięki któremu po prostu łatwiej jej żyć. Oczywiście można by to również uznać za pewien rodzaj słabości, lecz Löwefell byłby bardzo ostrożny w stosowaniu zestawienia słów: „Katrina” oraz „słabość”. Nie po tym, co widział, i nie po tym, czego był świadkiem w przeszłości.

Katrina leżała na wznak, trzymając dłonie pod głową. Miała przymknięte oczy.

– Czy mogę zająć ci chwilę? – zapytał.

Otworzyła oczy, usiadła i spojrzała z uśmiechem.

– Zawsze jesteś mile widziany, Arnoldzie – powiedziała ze szczerą życzliwością i ciepłem w głosie. – A teraz tym bardziej mogę ci poświęcić czas, skoro jak widzisz, nie zajmowałam się niczym istotnym. Usiądź, proszę...

Kiedy usiadł na fotelu obok, zapytała jeszcze:

– Czy chciałbyś coś zjeść albo czegoś się napić? Może wina?

Zachowujemy się całkiem jak zwyczajni ludzie, pomyślał Löwefell, a gdyby ktoś nieznający nas przyglądał nam się z pokoju obok, pomyślałby, że oto spotkała się dwójka przyjaciół, może nawet kochanków, a uprzejma gospodyni proponuje gościowi poczęstunek. A to przecież tylko pozory. Pozory człowieczeństwa, które próbujemy ocalić, tak jakby było ono nam do czegokolwiek potrzebne...

Löwefell przyszedł przede wszystkim, by opowiedzieć Katrinie o rozmowach z van Bohenwaldem oraz wypytać ją, co sama wie o Morganie. Przy okazji napomknął też o różanym krzewie kwitnącym czarnymi kwiatami. Katrina skrzywiła się.

– Widziałam go oczywiście – powiedziała. – Ale ja lubię jasność, Arnoldzie. Błękit słonecznego nieba, ciepłą żółć słońca, biel chmur, przejrzysty szmaragd wód. A ta czerń? Ta czerń mnie przygnębia. Nie wiem, z jakiego powodu, poza kaprysem czy chęcią przechytrzenia praw natury, nasi mnisi stworzyli roślinę, której sama natura nie chciała stworzyć, roślinę tak zdeformowaną w samej swojej istocie.

Potem już wysłuchiwała w milczeniu opowieści Löwefella dotyczącej Morgany, po czym powiedziała:

– Nie mam pojęcia, kto i dlaczego podjął taką decyzję, ale idź. Przynajmniej poznasz Morgane. Zawsze to interesujące, kiedy bohater z odległej przeszłości objawia się nagle naszym oczom, prawda?

Löwefell wzruszył ramionami.

– Cóż może mnie obchodzić Brytania i brytońska wiedźma? – spytał. – Gdyby jeszcze chodziło o jakąś perską czarownicę. Ale Brytania?

– Oglądałam Morgane – powiedziała Katrina. – Dawno temu, kiedy byłam jeszcze... – Urwała na ledwo dostrzegalną chwilę. – Kiedy nie byłam jeszcze tym, czym jestem dzisiaj. Nie przypominam sobie, bym dostrzegła w niej cokolwiek nadzwyczajnego. To była bardzo, bardzo silna wiedźma, tego nikt nie zaneguje, ale jej władza w Brytanii opierała się nie tylko na osobistej mocy, lecz na zręcznie utkanych politycznych wpływach oraz wielkim majątku.

– Widzę w tym podobieństwo do Narsesa – stwierdził Löwefell.

Katrina potrząsnęła głową.

– Narses był mędrce, badaczem, człowiekiem nie tylko ogromnych umiejętności, ale również potężnej wiedzy – rzekła dobitnie. – Morgana była natomiast przebiegłą intrygantką. Dlatego twoje porównanie wydaje mi się nietrafione.

Löwefellowi wydało się dość zabawne, a w sumie również intrygujące, że właśnie Katrina broni przed nim samym pamięci Narsesa. Tak, zdecydowanie było to zabawne.

– Rozmawiałaś z nią?

Katrina potrząsnęła głową.

– Ani nikt mi tego nie proponował, ani sama nie widziałam podobnej potrzeby.

Wtedy też Löwefell opowiedział Katrinie jeszcze o tym, co usłyszał od Mariusa. O historii z królem tygrysów, łowcą i jego bogiem. Katrina roześmiała się świeżym i dziewczęcym śmiechem. Uniosła się na łokciach.

– I co ty na to? – zapytała rozbawiona.

– Nic. Słuchałem go tylko.

– A więc zdaniem Mariusa jestem bogiem, do którego modliłby się łowca tygrysów – powtórzyła. – Ładnie i zręcznie powiedziane, choć zupełnie nieprawdziwe. Jestem tylko służką naszego Pana – rzekła już poważnie. – Ani tygrysem, ani królem tygrysów, ani łowcą, ani bogiem tego łowcy. Jestem tylko pyłem u stóp Boga, niczym więcej. A że nasz wszechmocny Stwórca podarował mi w swej łasce pewne wyjątkowe uzdolnienia, to tylko w tym celu to uczynił, bym miała jak najwięcej sił, by mu godnie służyć.

Löwefell skinął głową, gdyż myśląc o sobie samym, mógł dokładnie powtórzyć słowa Katriny i pod każdym z nich się podpisać oraz zaprzysiąc, że prawdziwie odzwierciedlają jego myśli.

– Zastanawiam się, czemu Marius ostrzega mnie, nie po raz pierwszy, przed tobą i twoją mocą. Czemu chciałby, abym się pilnował, będąc w twoim towarzystwie?

Katrina rozłożyła dłonie.

– Jeśli chodzi o Mariusa i jego złośliwości, insynuacje, oszczerstwa, kpiny i szyderstwa, to często sądziliśmy, że czemuś one służą. Ale może nie służą niczemu? A może Marius właśnie chce, byśmy sądzili, że nie służą niczemu, że są po prostu jego manierą, przyzwyczajeniem. Ot, jedni spluwają w kąt co trzecie słowo,

a Marius wtrąca co jakiś czas do swojej wypowiedzi jakąś szyderczą uwagę.

– A jeśli wie, że ty i ja – powiedział powoli Löwefell – możemy dokonać wspólnie czegoś, czego on sam by się obawiał lub czego z jakichś powodów by sobie nie życzył?

Katrina uśmiechnęła się i ujęła Löwefella za rękę.

– Drogi Arnoldzie, wcale nie wykluczam, że Marius może kierować się takimi pobudkami. Ale pomyśl też, że ostrzegając cię przede mną i zniechęcając cię do mnie, może wcale nie dążyć do rozdzielenia nas, lecz wręcz przeciwnie: pragnie skłonić nas, byśmy zainteresowani przyczynami jego niechęci, zbliżyli się do siebie jeszcze bardziej. By połączyła nas tym bardziej zażyła przyjaźń, że ufalibyśmy, że przez van Bohenwalda jest niechętnie widziana.

Löwefell westchnął.

– I tak to właśnie wygląda. Zagadka pośrodku sekretu wewnątrz tajemnicy. Ot, przegląd całego naszego życia – skwitował pół żartem, pół serio.

– Przez wszystkie zagadki, sekrety i tajemnice przeprowadza nas wiara. – Katrina mocno ścisnęła jego dłoń. – Bóg nas poprowadzi, Arnoldzie, do zwycięstwa. Doskonale wiem, że ty w to wierzysz, a ty doskonale wiesz, że ja w to wierzę. Zobaczysz jeszcze, zobaczysz prawdziwie, że będziemy stali, ty i ja, zwycięscy na murach naszego klasztoru. Zwycięscy nie z powodu własnego triumfu, a z powodu triumfu idei, w którą wierzymy.

Katrina, zwykle tak spokojna, łagodna i opanowana, tym razem przemawiała naprawdę żarliwie. I w dodatku przemawiała tak prawdziwie, że Löwefell mógłby podpisać się pod każdym jej słowem. Może nie pod ostatnimi zdaniem przewidującymi zwycięstwo, gdyż tego przecież nie wiedział, ale na pewno pod tymi, które opisywały jej filozofię życia. Löwefell od samego początku, długo, długo zanim dowiedział się, iż Katrina jeszcze nie tak dawno temu była Aniołem, poczuł bliskość z tą spokojną, drobną kobietą o łagodnej twarzy. Z kobietą, która podczas podróży do nie-świata i podczas rozprawy z potężnym demonem po raz pierwszy pokazała

Löwefellowi swą moc, rzeczywiście o skali tak wielkiej, że Löwefell nie przypuszczał, iż ktokolwiek z taką łatwością i tak wyrafinowanie może się posługiwać tak potężnymi siłami. Potem zresztą również zdarzyło się, że Löwefell był wręcz oszołomiony mocami, jakimi posługiwała się Katrina, której w dodatku wszystko przychodziło z naturalną łatwością. I kiedy dowiedział się już, że kobieta, którą uważał za najbliższą jemu samemu pod względem duchowym, była nie tak dawno temu Aniołem, zaczął się zastanawiać, czy każdy Anioł skazany na bycie człowiekiem zyskałby tak potężne zdolności, które by potrafił precyzyjnie i w sposób zdyscyplinowany wykorzystać. Katrina nie pamiętała niemal nic z czasów, kiedy była Aniołem. Tak jakby tę część jej umysłu odcięto. Czy na zawsze, czy tylko chwilowo? Czy kiedyś będzie mogła wrócić do swej anielskiej postaci, czy w ogóle otrzyma taką szansę od Wewnętrzznego Kręgu? A może jako człowiek (jeżeli kogokolwiek z nas można jeszcze nazwać człowiekiem, sprostował się w myślach) Katrina była bardziej pożyteczna dla Inkwizytorium? Może właśnie teraz jej moce, które mogły służyć Świętemu Officjum, zostały w należyty sposób ujawnione? Löwefell złapał się na myśli, że wielce by ubolewał, gdyby Katrina odeszła. Czuł z nią więź nie tylko natury duchowej, nie tylko wspólnotę idei, nie tylko wszechogarniającą ich oboje miłość do Boga, ale również więź emocjonalną. I ona, i on zostali bowiem wyrwani z dawnego życia oraz zabrano im pamięć o tym, czym owo życie było. I ona, i on byli również pozbawieni, całkowicie pozbawieni, jakichkolwiek ludzkich pragnień i żądz. Nie zależało im na pieniądzach, na władzy, na cielesnych rozkoszach – niezależnie od tego, czy miałyby być one przywołane jedzeniem, trunkami, czy kopulacją. Oboje byli owładnięci tylko jedną myślą – pragnęli kroczyć w boskiej światłości i pragnęli tę światłość sprowadzić na całą ziemię. Dlatego Löwefell kochał Katrinę taką miłością, jaką jeden duch może kochać drugiego, i wiedział doskonale, że to uczucie jest w Inkwizytorium dostrzegane. Rozumiał też, że Katrina może zdobywać jego zaufanie, aby go kiedyś wykorzystać, ale naprawdę nie miał nic przeciwko temu. Ufał

jej bowiem tak bardzo, że wiedział, iż nawet jeśli go wykorzysta, to uczyni to dla większej chwały Bożej i w szczytnym celu, a nie dla kaprysu.

Löwefell, zanim odszedł, podzielił się jeszcze z Katriną tym, co van Bohenwald opowiedział mu o esencji życia i katastrofach związanych z jej wydobyciem. Katrina pokręciła głową z niechętnym grymasem.

– To bzdury, Arnoldzie – oświadczyła stanowczo. – A mówiąc językiem bardziej dyplomatycznym: niczym niepotwierdzona hipoteza, w którą Marius święcie wierzy, a przynajmniej sprawia takie wrażenie, jakby wierzył, i do której wiary przekonał również, niestety, naszych mnichów.

– Skąd więc pomysł, że to właśnie pozyskanie esencji życia było powodem zagłady Islandii?

– Bo to wydarzenia, które zbiegły się w czasie – wyjaśniła Katrina. – A pewne drgnienia nie-świata rzeczywiście wskazywały, że zabieg tak mocno i drastycznie ingeruje w prawa natury, że sama natura przeciw niemu się buntuje. Ja jednak uważam, że oba zdarzenia nie były połączone niczym prócz czasu ich zajścia. I że na pewno ów kataklizm nie wynikał z pozyskania esencji...

– A czyja to była wtedy esencja?

Katrina pokręciła głową z nieznacznym uśmiechem.

– Skoro Marius nie odpowiedział ci na to pytanie, a domyślam się, że tak właśnie było, pozwól, że i ja na nie nie odpowiem. Zwłaszcza że nie ma to moim zdaniem żadnego znaczenia w sprawie, która nas interesuje.

– Sądysz więc, że możemy dokonywać zabiegu całkiem bezpiecznie?

– Tego nie powiedziałam – spoważniała. – Gdyż zdarzyły się inne nieprzyjemne perturbacje, które nakazują mi zgadzać się z Mariusem przynajmniej w tej mierze, że do pozyskiwania esencji życia powinniśmy uciekać się wyłącznie wtedy, kiedy nie ma innego wyjścia i kiedy jest to w niepodważalnym interesie Świętego Officjum.

– Czy Dietrich Knabe wypełnił te warunki?

Katrina znowu potrząsnęła głową.

– Nie – odparła. – Moim zdaniem pomylił się w ocenie, gdyż sprawa nie jest aż tak istotna, by podejmować dla niej ryzyko. Ale na razie nic nie wskazuje na to, byśmy mieli ponieść negatywne konsekwencje jego postępowania. Tak więc byłam przeciwko temu, by go ukarać.

Gdyby Katrina była zwykłym człowiekiem, uznałaby wydarzenie za wygodny pretekst, by zemścić się na Knabem – człowieku, który obciął jej skrzydła. By żądać jego ukarania za złamanie tak surowego zakazu. Ale że była lojalnym członkiem Wewnętrznego Kręgu Inkwizytorium, to potrafiła odciąć się od własnych uczuć.

– Llatrisant, najłagodniej mówiąc, nie jest zachwycona tym, co wydarzyło się na Rusi – powiedział Löwefell.

– Och, była i u mnie – wzruszyła ramionami Katrina. – I powiedziałam jej to, co mogę powtórzyć każdemu: nie wierzę w żadne wiedźmie mity i legendy, więc jeśli Święte Officjum zechce ożywić tę dziewczynę, żeby badać ją i jej uzdolnienia, to z pewnością nie będę protestować.

Löwefell skinął głową, bo zgadzał się w tej mierze z Katriną.

– W jakiś sposób wydaje mi się to interesujące – kontynuowała. – I rozumiem, że Nontle chętnie poświęciłaby czas nie tylko samej wiedźmie, nie tylko szczegółowym badaniom, ale również dokładnemu ich opisaniu i analizie. Czy byłaby to wiedza doniosła i przełomowa z punktu widzenia Świętego Officjum? Nie sądzę. Ale jeśli bym się teraz myliła i dzięki tej Rusince odkrylibyśmy nowe obszary naszej wiedzy lub chociaż poszerzylibyśmy granice, to byłabym bardzo zadowolona, że podobny wysiłek został podjęty.



Löwefell nie miał pojęcia, jak wygląda Morgana. Dawne źródła niewiele opowiadały o jej cechach fizycznych, a koncentrowały się

na historiach jej występków, nieprawości, zbrodni, okrucieństw. Krótko mówiąc, okropieństw, jakich dokonywała w walce nie tylko z chrześcijanami, ale po prostu ze zwykłymi ludźmi. Löwefell zapoznał się również z historią upadku czarownicy, z wielopiętrową intrygą, która doprowadziła sabaty w Brytanii do tego, iż z dni chwały musiały przejść do czasu stagnacji, a wreszcie potem do rozpaczliwej obrony zakończonej całkowitą zagładą. Morgana miała niemal pięć stuleci, by przemyśleć, jakie popełniła błędy, i inkwizytor był ciekaw, czy potrafiła na tyle wyzwolić się od typowego dla wiedźm myślenia, by dokonać rzeczowej analizy tych właśnie błędów. Bo upadek Morgany był wypadkową wielu czynników: wzajemnej nienawiści panującej wśród samych wiedźm i kłótni pomiędzy sabatami, przemyślnego, zaplanowanego działania inkwizytorów, wyzwalań się brytońskich baronów spod wpływu sabatów. Wszystko to odegrało rolę w upadku Morgany, lecz Löwefell wiedział doskonale, że wiedźmy i tak były skazane na zagładę. Gdyby nawet Morgana zatriumfowała w Brytanii, to ten triumf tylko wzmógłby zapal Świątego Oficjum. Wysłano by kolejne zastępy inkwizytorów oraz cesarskich żołnierzy, a jeśli miejscowi baronowie próbowaliby się buntować, to ogłoszono by przeciw nim Pochód Krzyża i Płomienia, co zarówno dla nich samych, jak i dla całej Brytanii skończyłoby się zapewne znacznie gorzej, niż rzecz miała się w rzeczywistości.

Kronikarze pisali o Morganie, że uwodziła zarówno mężczyzn, jak i kobiety i że miała na swoim dworze cały harem miłośników obojga płci. Ale przecież tak potężna wiedźma potrafiła zarówno tworzyć iluzje, jak i dodatkowo zmieniać za pomocą czarów własny wygląd, by wydawać się bardziej powabna zauroczonym oczom. Na pewno też, podobnie jak Hildegarda Reizend, umiała przyrządzać upiększające mikstury, maści i kremy, jak również na pewno nie wzdragała się przed ich stosowaniem. Zresztą zważywszy, jak była potężna i bogata, to nawet gdyby wyglądała niczym hipopotam o świńskim podgardlu i słoniowych nogach, to i tak roiłoby się wokół niej od kochanków oraz pochlebców, którzy zapewnialiby i ją,

i wszystkich wokół o tym, jak bardzo jest powabna oraz godna pożądania.

Co zrozumiale, pochwycona przez inkwizytorów, musiała w niewoli przebywać we własnej postaci, bez żadnych magicznych i niemagicznych ulepszeń. Pojono ją krwią Aniołów, lecz ten magiczny eliksir, choć zapewniał długowieczność i powstrzymywał pojawianie się fizycznych oznak starości, to przecież ani nie działał odmładzająco, ani ulepszająco.

Löwefell, wertując dokumenty dotyczące Morgany (z jednej strony ciekawe, z drugiej strony aż do bólu przewidywalne), natknął się zaledwie na opis mówiący, iż wiedźma była postawna, trzymała się godnie i przemawiała dźwięcznym głosem. Mówiła płynnie po łacinie oraz w wielu językach i dialektach używanych wówczas w Brytanii. Nie znała żadnych języków pochodzących ze Wschodu, a co ciekawe, prawdopodobnie (choć nie wynikało to w sposób oczywisty z opisów) nie umiała ani czytać, ani pisać. W każdym razie miała zarówno lektorów, którzy czytali jej księgi, jak i sekretarzy, którzy zajmowali się jej korespondencją. Inna sprawa, że korespondencji tej nie było wiele, ponieważ Morgana zazwyczaj polegała na ustnych wiadomościach przekazywanych albo przez ludzkich posłańców, albo przez trenowane w tym celu kruki. No i oczywiście miała co najmniej kilku chowańców, których też używała w różnych celach, zarówno magicznych, jak i mających ułatwiać codzienne życie.



W Amszilas wiedźma otrzymała całkiem znośne warunki, jak na to, kim była kiedyś, jak bardzo zaszkodziła dobrym chrześcijanom, no i przede wszystkim jak na to, że była, jakkolwiek by patrzeć, więźniem. Mieszkała w kwaterze złożonej z dwóch pokojów, miała łóżko z puchową pierzyną, krzesła i stół, a nawet osobną wygodkę. Tak przynajmniej opisano to miejsce. Od samego początku uwięzienia jadła tylko gotowane ryby, zarówno morskie, jak i słodkowodne. Oraz kaszę, groch, cebulę i jabłka. I to był koniec jej żądań oraz oczekiwań. Jeśli podano jej inną potrawę, odstawiała ją nienaruszoną. Piła tylko kwas chlebowy, piwo oraz cienkie, jabłkowe wino. I tak od samego początku, od dnia, w którym zamknięto ją w Amszilas. Löwefell miał w sumie nawet skromniejsze wymagania, jeśli chodzi o jedzenie, lecz wiedział przecież, że brytońskie czarownice uwielbiały przepych: huczne uczyty, wiele wykwintnego jedzenia, wiele różnorodnych trunków. Czy Morgana zmieniła się tak w niewoli, czy też już w latach wolności była bardziej wstrzemięźliwa niż jej towarzyszki z sabatów? O tym, niestety, kroniki nie wspominały. Jedzenie dostawała trzy razy dziennie, a poza tym wydawało się, że nie robi kompletnie nic. Budziła się zawsze o tej samej godzinie, w porze jutrzni (choć ani nie miała zegara, ani do jej celi nie dochodziło bicie dzwonów), ubierała się w suknię i siadała na krześle. Z przerwą na posiłki siedziała tak aż do wieczora. I zawsze o tej samej godzinie, w porze nieszporów, szła do wygodki, potem myła się, rozbierała i kładła spać. I tak wyglądało jej życie od początków uwięzienia.

– Wiedziałaś o tym, w jaki sposób ona żyje? – zagadnął Katrinę, kiedy zobaczyli się następnym razem.

– Drogi przyjacielu, ja nie wiedziałam nawet, czy ona aby na pewno w ogóle jeszcze żyje – odparła Katrina. – Jej egzystencja nigdy ani mnie nie interesowała, ani nie niepokoiła.

– Każde z nas potrafiłoby wytrwać w takiej izolacji i takiej bezczynności, gdyż mamy za sobą moc naszego Pana i niesie nas miłość do Niego oraz wiara w Jego zwycięstwo – stwierdził Löwefell.
– Ale co może kierować samotną wiedźmą? Najpotężniejszą na

świecie nie dlatego, że jest tak znamienita, lecz dlatego, że jest ostatnia i jedyna...

Löwefell przesadzał, wypowiadając słowa „ostatnia” oraz „jedyna”, gdyż więdźmy cały czas pojawiały się na świecie, by szkodzić dobrym ludziom, lecz w Cesarstwie od wielu dziesiątków lat nie odkryto ani jednego prawdziwego sabatu. Jeżeli zdarzało się, iż czarownice zbierały się w gromadę, to najczęściej tylko na krótko i po to, by oddać się jakimś szczególnie trudnym czy zdeprawowanym praktykom. Z prawdziwymi sabatami, będącymi czymś na kształt greckich akademii (oczywiście w wynaturzonej formie), w których stary, mądry mentor nauczał młodych adeptów, obecne zloty i spędy więdźm nie miały nic wspólnego. Zresztą teraz czarownice trzymały się raczej z dala jedna od drugiej, gdyż doskonale wiedziały, jak szybko w lochach Świętego Officjum rozwiązują się języki nawet najbardziej hardym złoczyńcom i jak łatwo wobec tego stać się tematem zeznań kogoś, przed kim nieopatrznie odkryło się swoją prawdziwą naturę.

– Może jest jak kleszcz, który potrafi znieruchomieć i zamrzeć na całe lata, by z dopływem świeżej krwi obudzić się znowu do życia? Może to, co tobie wydaje się nieznośną i nudną wegetacją, jej nie sprawia żadnej przykrości?

– Kleszcz czeka na kogoś, kim będzie mógł się pożywić – rzekł Löwefell. – Na co czekałaby w takim razie Morgana?

– Może na to samo... – odparła poważnie Katrina.



Po rozmowach z inkwizytorami i po lekturze kronik dotyczących Morgany Löwefell był bardzo ciekaw, kogo spotka. Czy siwą kobietę o nieruchomej twarzy jak Deirdre Llatrisant? Czy może raczej kogoś w rodzaju normańskiej walkirii, a więc jasnowłosą olbrzymkę o ponurym wejrzeniu i kremowej skórze? A może lata niewoli zgięły ją i postarzyły? Może teraz Morgana wygląda niczym spróchniały

pień drzewa i nie marzy już o niczym innym, jak o tym, by przestać istnieć, lecz przy życiu trzyma ją cały czas uparta, mimowolna chęć przetrwania? A może jest rudowłosa i zielonooka, jak wiele mieszkanek Brytanii? Może splata włosy w grube warkocze, a upstrzone piegami dłonie trzyma na szerokich, męskich udach? I popatruje bacznie spod krzaczastych, ognistych brwi?

Z przysłanym przewodnikiem doszli najpierw do żelaznych drzwi zamkniętych na masywny klucz (ten klucz mnich wyjął spod habitu, a Löwefell zauważył, że na kółku wisiało jeszcze kilka innych), a potem po przekroczeniu ich i po krótkim marszu ślepym korytarzem doszli do zaułka i, na jego krańcu, do ściany zakończonej litym murem. Za tą fałszywą ścianą znajdowało się przejście i inkwizytor doskonale je rozpoznał, lecz powyżej miała miejsce rzecz znacznie ciekawsza i bardziej niebezpieczna. Oto przy suficie, a raczej plecami przylegając do sufitu, unosił się nad korytarzem niewidzialny Anioł. Miał zamknięte oczy i zwinięte skrzydła, twarz ukrytą w rozpuszczonych włosach. Sprawiał wrażenie śpiącego nietoperza, który jednak dziwnym sposobem nie wisiał do góry nogami, trzymając się pazurami powały, lecz kołysał się z grzbietem ściśle do niej przyklejonym. Löwefell wiedział, że gdyby byli nieproszonymi gośćmi, gdyby byli intruzami, to ten Anioł spadłby na nich niczym grom, dodatkowo wszczynając alarm w całym Amszilas. Z tego, co Löwefell widział i czuł, Anioł był dość potężny, chociaż nieporównanie mniej niż ten strzegący Pięknej Katarzyny.

Morgana, jak Löwefell już wiedział, miała do dyspozycji dwa pozbawione okien pokoje. Kiedy się zbliżali, inkwizytora aż oszołomiło na chwilę od siły runów i błogosławieństw, jakimi opisano ściany jej więzienia. To było niczym wyjście z ciemnej piwnicy na oślepiające słońce. Wrażenie zaraz minęło, lecz niewątpliwie komnaty Morgany były pilnowane wyjątkowo dobrze.

– Aż tak się jej boimy? – mruknął.

– Nie, mistrzu Arnoldzie – odparł mnich. – Aż tak boimy się o nią.

– Ktoś mógłby wyrządzić jej krzywdę? – zdziwił się Löwefell, chociaż zważywszy na to, co w tak pilnie strzeżonym klasztorze

spotkało Narsesa, to może dziwić się nie powinien.

– Nie – potrząsnął głową mnich. – Boimy się, że mogłaby próbować ucieczki i sprawy przybrałyby dla niej zły obrót. A teraz wie, że nawet gdyby nie wiadomo jak usiłowała się wydostać, to i tak nie da rady.

Löwefell pomyślał, że nie istnieją więzienia, z których nie da się zbiec. Istnieją tylko takie, które możliwość udanej ucieczki zmniejszają do niewielkiego prawdopodobieństwa i z których uwolnienie się wymaga nadzwyczajnego wręcz połączenia własnego rozumu i szczęścia, ale też wsparcia z zewnątrz. Czy kiedykolwiek ktokolwiek uciekł z Amszilas? Z tych więźniów, których przetrzymujemy w lochach lub na górnych piętrach wież? Czy udało się wymknąć któremukolwiek z demonów albo któremuś z Upadłych Aniołów? Nawet jeśli tak było, to Löwefell nic o tym nie wiedział ani nie natknął się na podobne informacje w dostępnych mu źródłach. Co oczywiście nic jeszcze nie znaczyło.

– Czy powinienem coś zrobić lub czegoś nie robić, kiedy wejdę do jej celi i kiedy znajdę się z nią sam na sam? – zapytał towarzysza.

Mnich rozłożył ramiona.

– Niczego wam nie doradzę ani niczego wam nie odradzę, mistrzu Löwefell. Ktoś, kto na własne życzenie od tyłu dziesiątków lat siedzi w celi, nie jest łatwy do rozszyfrowania. – Mężczyzna westchnął z prawdziwym, jak się wydawało, żalem. – Do umysłu Morgany nie mamy nie tylko klucza, ale nawet kluczyka – kontynuował. – Zawsze słuchałem tych, którzy byli u niej przed wami, i powiem wam, że bywało tak, że w żaden sposób, wydawało się, nie dawali jej powodu, by przestawała się do nich odzywać. A ona po prostu milkła, więcej nie otwierała ust i całkowicie ich ignorowała.

– Rozumiem.

– Nigdy też nie rozmawiała z kimkolwiek więcej niż raz. Jak przychodził drugi raz, to żeby nie wiem co się działo, udawała już, że go nie dostrzega.

– Obserwowałeś i słuchałeś wszystkich, którzy do niej przychodzili?

– Takie było i jest moje zadanie. Musicie też wybaczyć, ale nawet gdybym miał jakieś przemyślenia, które mogłyby zaowocować radami, to i tak bym wam ich nie udzielił, gdyż mistrz van Bohenwald zakazał dawać wam jakichkolwiek wskazówek.

– Rozumiem – powtórzył Löwefell.



Wiedźma była naprawdę wysoka. Löwefell nie uchodził przecież nie tylko za karła, a wręcz był postawniejszy od większości mężczyzn, tymczasem miał pewność, że gdyby Morgana wstała, to okazałaby się co najmniej pół głowy wyższa od niego. W czasach kiedy władała brytońskimi czarownicami (a ludzie przecież byli wówczas niżsi niż dzisiaj), musiała uchodzić za prawdziwą olbrzymkę. Jeśli do tego jeszcze zakładała buty na grubej podeszwie, jeśli wdziewała strój potęgujący i tak rosłą postać, no cóż, nawet samym naturalnym wyglądem, bez magicznej pomocy, musiała wtedy robić wielkie wrażenie na ludziach, którzy przebywali obok niej.

Twarz miała raczej drapieżną i interesującą niż ładną. Gdyby nieco wzmocnić jej rysy, gdyby dodać zarost, mogłaby z urody przypominać naprawdę przystojnego mężczyznę. Ale jako kobieta i tak na pewno nie musiała nikogo zaciągać do łóżnicy na siłę ani przekupywać, by zechciał się oddać z nią grzesznym urokom namiętności. Miała czarne długie włosy, gęste i lśniące niczym pióra kruka, i krzaczaste brwi, niemal zrosnięte nad nosem. Ale delikatne usta i kształtny nos łagodziły surowość tego oblicza. Dłonie Morgany były szerokie jak u mężczyzny, lecz palce długie i smukłe, jakby stworzone do tego, by ogarniać jak najwięcej klawiszy klawesynu i jak najczulej uderzać w instrument.

Ubrana była w zapiętą po samą szyję czarną suknię z długimi i bufiastymi rękawami i karczkiem opinającym jej rozrośnięte, szerokie ramiona i masywne piersi. Wiedźma siedziała na krześle z wysokim oparciem, obrócona twarzą do ściany i bokiem do drzwi,

którymi wszedł Löwefell. Wpatrywała się w mur nieruchomym wzrokiem, a inkwizytor był ciekaw, co Morgana widzi w tych wygładzonych kamieniach. Cienie przeszłości? Nadzieje na przyszłość? A może wyobraża sobie, że jest tam okno, przez którego szybę może spoglądać na świat? A może po prostu nie myśli o niczym i nie fantazjuje o niczym, ale tkwi znieruchomiała niby pogrążona w letargu jaszczurka w mroźny dzień.

– Nazywam się Arnold Löwefell i jestem inkwizytorem – rzekł. – Czy mogę usiąść?

Nie odwróciła się w jego stronę, nawet nie drgnęła. Sprawiała wrażenie, nie tylko jakby ignorowała jego obecność, ale jakby po prostu naprawdę ani go nie słyszała, ani nie widziała.

– W takim razie usiądę – zdecydował.

Stół, przy którym zajął miejsce, miał prosty blat z litego pnia drzewa wyciętego na kształt koła. Wśród słoików drewna Löwefell zauważył rysę. Ten ślad niespodziewanie go zaintrygował. Czym było to draśnięcie? Skazą spowodowaną przez przesunięcie naczynia, świecznika lub jakiegokolwiek innego przedmiotu, który miał ostrą krawędź? Tylko dlaczego wyglądało raczej jak zadrapanie po paznokciu? Tak jakby ktoś w złości przejechał palcami po drewnie. Löwefell położył dłoń na tym śladzie, starając się przywołać przeszłość oczami wyobraźni oraz za pomocą modlitw.

– Jeśli będziesz tu czarował, źle się to skończy – odezwała się Morgana.

Teraz już na niego spoglądała, a wzrok miała nawet nie wrogi czy badawczy, a raczej zaintrygowany.

– Twoi kamracy położyli tu tak silne zabezpieczenia, że ten pokój zamieni się w ogniste piekło, jeśli ktoś będzie w nim uprawiał magię – mówiła dalej. – Twoje życie mnie nie obchodzi, lecz wolałabym, żebyś nie zabił przy okazji mnie.

Wiedźma miała przyjemny w brzmieniu głos. Głęboki i raczej twardy niż aksamitny oraz raczej spiżowy niż kryształowy, niemniej na pewno nie był to głos odstręczający. Może większość mężczyzn nie chciałaby go słyszeć w łóżnicy, ale zapewne wielu chciałoby mieć

zarządcę domu i służby przemawiającego tak władczo i spokojnie jednocześnie.

– Nie czaruję – odparł Löwefell. – To tylko modlitwa. Nie sądzę więc, by jakiegokolwiek pułapki tutaj zastawione zatrzasnęły się na kimś, kto się modli.

Morgana spoglądała na niego przez chwilę, a potem skinęła głową.

– A dlaczego w ogóle chcesz żyć? – zainteresował się Löwefell. – Dlaczego nie zabijesz się sama, wiem, że potrafiłabyś dokonać tego bez trudu, albo nie zmusisz inkwizytorów, by to zrobili?

Spoglądała na niego obojętnym wzrokiem.

– Ja pragnę żyć, żeby służyć świętej sprawie Jezusa – kontynuował. – Żeby nasza wiara zatriumfowała na całym świecie i żeby Bóg odniósł ostateczne zwycięstwo. Ale ty? O co walczysz? Po co ci takie życie? Od dziesiątków lat zamknięta w małej celi i tak nieważna, że nawet inkwizytorzy zapominają, że w ogóle jesteś tutaj uwięziona.

Nadal pozostawała całkowicie obojętna, lecz Löwefell dodał łagodnym tonem:

– Boże broń, nie mam zamiaru cię obrażać i nie chciałbym, abyś tak pomyślała czy podejrzewała mnie o podobny zamysł. Opisuję tylko szczerze sytuację, tak jak ją widzę. I naprawdę jestem ciekaw, co trzyma cię przy myśli mówiącej, że chcesz przeżyć kolejny dzień, kolejny rok, kolejny wiek... Po co?

Nie odpowiadała, a inkwizytorowi przemknęło przez myśl, że straciła już zainteresowanie zarówno rozmową, jak i rozmówcą. A może po prostu mówienie lub samo myślenie ją męczyło? Może kiedy zostawała sama, pogrążała się w jakimś pozbawionym tchnienia myśli letargicznym bezruchu, przerywając go tylko na krótkie chwile spożywania oraz późniejszego wydalania? Może niewiele już w niej pozostało z człowieka? Ale przecież w każdej chwili mogła zmienić swój los. Inkwizytorium przyjęłoby ją z otwartymi rękoma, jeśli tylko uwierzyłoby, że przeobrażenie jej serca jest szczerze. Zresztą nawet gdyby nie odmieniła serca, wystarczyłoby na początek, że odmieniłaby zachowanie. Mogłaby

się w Świętym Officjum na pewno wiele nauczyć i choć traktowano by ją nadal jak więźnia, to odzyskałaby pewną swobodę ruchów i mogła prowadzić życie bardziej interesujące niż siedzenie na krześle w pokoju pozbawionym okien. Jednak nie chciała się ugiąć. Dlaczego?

– Co możesz mi oferować? – odezwała się niespodziewanie w chwili, kiedy Löwefell sądził, że już nie usłyszy jej głosu. – Jakie obietnice pozwolono ci złożyć? – zapytała szyderczo.

– Wszystko – odparł Löwefell.

Milczała przez chwilę.

– Wszystko to bardzo dużo – odparła.

– Och, zapewne sądzono, że o to spytasz, więc dlatego tak właśnie odpowiedziano na pytanie, które zadałem, zanim cię odwiedziłem. Rzecz jasna, nie sądzę, by w tej odpowiedzi było wiele prawdy, raczej widziałbym w niej mnóstwo przesady.

Skinęła nieznacznie głową, nie wiedział jednak, czy dlatego, że zgadza się z nim, czy też przyjmuje po prostu te słowa do wiadomości.

– Ciekawy z ciebie wysłannik i negocjator – rzekła wreszcie. – Pytasz, czemu chcę żyć, a może lepiej zapytaj, czemu Wewnętrzny Krąg nie chce mnie zabić.

– Sądzę, że Świętym Officjum kieruje nie potrzeba, lecz ambicja i wiara, że każde serce, umysł i duszę można nawrócić na wiarę Jezusa.

– A po co przysłali właśnie ciebie? Dlaczego ciebie wybrali na wysłannika?

– Być może kogoś interesuje, jaką opinię poweźmę o tobie, a być może kogoś interesuje, jak ty spojrzysz na mnie. A być może nic, co robimy, nie interesuje nikogo, a nasze spotkanie jest tylko kaprysem kogoś, kto o nim zdecydował – odparł szczerze.

Nie odezwała się, ale poruszyła nieznacznie głową, jakby zgadzała się z jego hipotezami.

– Zastanawiam się, po co jesteś potrzebna Świętemu Officjum – rzekł Löwefell. – Dlaczego wysłano mnie, mogę się domyślać. Ale nie

wiem jednak, w jakim celu, poza ambicją i wiarą, o jakich mówiłem wcześniej, trzymają cię w tym więzieniu od tylu lat. Mogli cię przecież zabić, gdyż nie znasz żadnych tajemnic, które komukolwiek by się przydały, nie znasz żadnych ludzi, z których można by uczynić stronników, nie potrafisz niczego takiego, czego nie potrafiłby ktoś inny...

Morgana spoglądała na niego wzrokiem bez wyrazu.

– Nie ma na świecie żadnej wojny, w której mogłabyś się przydać nie tylko jako dowódca czy oficer, ale nawet jako żołnierz. Dlatego pomyślałem, że jeśli cię odwiedzę, to może pomożesz mi zrozumieć, w jakim celu jesteś tu przetrzymywana. I czy taki cel w ogóle istnieje?

– Dlaczego miałabym ci pomagać?

– Z ciekawości? – zapytał. – Chyba że sama znasz odpowiedź na moje pytanie. Ale jeśli nie znasz, to może właśnie zwykła ciekawość poprowadzi cię dalej.

Milczała.

– Na pewno nie ma nikogo, kto chroniłby cię z sympatii lub poczucia więzi czy lojalności – ciągnął Löwefell. – A w każdym razie ja o niczym takim nie wiem ani niczego takiego sobie nie wyobrażam.

– Niewielu znałam ludzi prawdziwie lojalnych, kiedy byłam potężna, a co dopiero teraz, kiedy jestem więźniem – zdecydowała się odezwać, a potem spojrzała na niego. – Mówili ci, że mogę się zabić, jeśli zaczęliby mnie torturować?

Löwefell skinął głową.

– Ale jestem dziwnie pewna, że i tak by mnie nie torturowali – dodała zamyślona. – To zdumiewające, bo ja kogoś takiego, takiego wroga, który zadał tyle bólu moim poddanym, ja kogoś takiego torturowałabym dzień i noc. Zasypiałabym przy jego krzykach, a budziłabym się przy jego jękach, tylko po to, by potem chętnie z powrotem zmienić je w krzyki.

– Myślę, że by ci się to znudziło – powiedział Löwefell celowo lekkim tonem.

Przyglądała mu się przez chwilę uważnie.

– Nigdy nie traktowałam tortur jak rozrywki. Zawsze czemuś służyły. Niemniej z punktu widzenia twoich kompanów jestem potworem. Pewnie nawet gorszym niż oni sami.

– Myślę, że kiedyś robiłem gorsze rzeczy niż ty – przyznał Löwefell.

Morgana znowu patrzyła na niego dłuższą chwilę badawczym wzrokiem, a potem spytała:

– Myślisz? Nie jesteś pewien?

– Straciłem pamięć w czasie walki – wyjaśnił. – Nieomal mnie wtedy zabito. Wcześniej byłem kimś innym, lecz w Amszilas ulepiono mnie na nowo. Stworzono mnie takim, jakim jestem dzisiaj.

– A kim byłeś wczoraj?

– Miałem na imię Narses. Byłem perskim magiem. Arystokratą. Niektórzy mówili, że tak naprawdę byłem drugą osobą po perskim szachu. Inni twierdzili, że nawet pierwszą.

– Persja – powtórzyła Morgana. – Persja jest daleko, prawda?

– Za Cesarstwem, za Italią, za Grecją i Bizancjum – wyjaśnił Löwefell. – To wielki kraj. Dwa razy większy niż cała Brytania. Bardzo ludny i bardzo bogaty. Od dwóch tysięcy lat toczy wojny, najpierw z Grekami, Macedończykami i Rzymianami, a teraz z chrześcijanami całej Europy. A w wojnach tych żadna z sił nie może raz a dobrze zwyciężyć.

– Dwa tysiące lat – powtórzyła Morgana. – Słyszałam o Persji, ale nigdy mnie nie interesowała. W Brytanii zajmowaliśmy się czym innym.

Löwefell skinął głową.

– Nie sądzę, by w Persji ktokolwiek kłopotał się sprawami Brytanii. Niewielu tam zapewne wie, a i to tylko spośród uczonych, że taka kraina w ogóle istnieje.

Tym razem nie odzywała się naprawdę długo, ale Löwefell ani nie zamierzał jej w żaden sposób poganiać, ani nakłaniać do rozmowy. Po prostu siedział pogrążony we własnych myślach, które

w pewnym momencie zupełnie uleciały od Brytanii, od Morgany i od tej komnaty otoczonej piekielnie silnymi zaklęciami.

– Czego wy ode mnie chcecie, inkwizytorze? – zdecydowała się jednak odezwać. – Abym pokochała was i waszego Chrystusa, czyż nie? Abym zrozumiała, jaki szczęśliwy był dzień, w którym mnie pojмалиście i wymordowaliście moją rodzinę, moje siostry, moich stronników, moich poddanych... Tego chcecie, prawda?

– Tego zawsze chcemy – zgodził się z nią Löwefell.

– Wysyłali tu do mnie przed tobą już wielu – powiedziała. – Dlaczego teraz wybrali ciebie? Co mógłbyś mi powiedzieć tak interesującego, bym chciała tego słuchać?

Już chciał pokręcić głową, kiedy nagle przyszło mu na myśl, by po prostu opowiedzieć Morganie prawdziwą historię.

– Byłem na Rusi – rzekł. – Daleko, daleko, trzy tysiące mil stąd. Pod samymi Kamieniami, górami ciągnącymi się od południa na północ przez kolejne półtora tysiąca mil. Zostawiłem tam pewnego inkwizytora, a on związał się z wiedźmą i odkrył prawdziwy sabat.

Morgana nawet nie drgnęła, ale też Löwefell nie sądził, by na samo słowo „sabat” zareagowała niczym głodny pies śliniący się na widok pachnącej smakowicie kiełbasy.

– Odkrył, że sabat trwał przez setki lat, a dziesiątki wiedźm, przywódczyni sabatu, zostało pochowanych w magicznej mgle, która nie pozwala ich ciałom ani się zeschnąć, ani zgnić. Wszystkie te czarownice unoszą się teraz w tej mgle, zarówno starsze, jak i młodsze, lecz wyglądają tak świeżo i tak żywo, jakby tylko spały, a nie były martwe od dziesiątek lub setek lat.

Inkwizytor miał wrażenie, że wiedźma uważnie go słucha, chociaż tego odczucia nie potrafiłby w żaden sposób udowodnić.

– Jednak od owego miejsca – kontynuował – dzieli nas wiele tysięcy mil oraz wrogie nam państwo, którego władcy nie mają powodów, ani by sprzyjać Cesarstwu, ani by obdarzać przychylnością inkwizytorów. W związku z tym nie sądzę, by jakkolwiek podróż do tej odległej krainy była w najbliższym czasie możliwa.

Löwefell milczał chwilę.

– Zbadanie pozostałości po ruskim sabacie to jedyne, co przychodzi mi na myśl, kiedy zastanawiam się nad tym, w czym mogłabyś się przydać Świętemu Officjum. Ale tak jak powiedziałem: podróż do tego miejsca wydaje się odległym zamierzeniem. Inna sprawa, że Inkwizytorium nie myśli kategoriami dnia jutrzejszego czy kolejnego roku, ale przyszłego pokolenia. Może więc chcą mieć pewność, że będziesz z nami, kiedy kiedyś tam, nie wiadomo kiedy, przyjdzie pora wyruszyć na Ruś.

Wiedźma nieoczekiwanie skinęła głową.

– Sabaty nigdy nie myślały o odległej przyszłości – stwierdziła.

– Ty próbowałaś to zmienić – nie spytał, ale stwierdził Löwefell. – Istnieje teoria, według której świat w każdej chwili dzieli się na setki innych światów, takich, w których podjęto odmienne decyzje niż w naszym – kontynuował. – Niektórzy twierdzą, że Aniołowie dlatego są tak szaleni, że widzą wszystkie te rzeczywistości równocześnie. Ale zmierzam do tego, że może gdzieś trwa świat, w którym zwyciężyłaś, a sabaty władają jeśli nie Cesarstwem, to chociaż Brytanią.

– W takim świecie już bym nie żyła – odparła po chwili Morgana. – Bo przecież egzystuję tylko dzięki krwi Aniołów, którą mnie poicie.

– A może w tamtym świecie masz własne Anioły, które ci służą? – poddał Löwefell. – Może masz własnych, mrocznych inkwizytorów, którzy pomagają ci w walce ze Świętym Officjum?

Morgana nieoczekiwanie uśmiechnęła się.

– Zdarzali się inkwizytorzy, którzy donosili nam na swoich braci, trafiali się nawet tacy, którzy przeszli na stałe na naszą służbę. – Morgana zmrużyła oczy. – Ale nigdy nie pomyślałam, by mieć własne Inkwizytorium. Mroczne – powtórzyła z wyraźnym rozbawieniem słowa Löwefella.

– Inkwizytor, który wrócił z Rusi, pokochał ruską czarownicę, a ona pokochała jego...

Morgana prychnęła.

– To niemożliwe.

– A historia Ragnalla de Corbeau i Morwenny? – spytał.

Wiedźma skrzywiła się.

– Wszystko bajki – odparła. – Wymyślone, by minstrel wzruszył serca, a co za tym idzie również sakiewki słuchających. Tak naprawdę oni ledwo się znali.

– Ta ruska wiedźma uratowała mu życie – powiedział.

Morgana spojrzała na niego kpiąco.

– Ciekawe, którego ze starych sposobów użyła, by zyskać jego zaufanie i wdzięczność? Może tego z nocnym robakiem?

– Nie mówię o żadnych sztuczkach – potrząsnął głową inkwizytor.

– Mówię o prawdziwym uratowaniu życia. A w zasadzie o czymś jeszcze bardziej interesującym: o przywróceniu do życia. O wskrzeszeniu.

Wiedźma zawiesiła na nim wzrok, ale nie odezwała się.

– Tak, o wskrzeszeniu – powtórzył Löwefell. – Ja potrafię tego dokonać dzięki woli i łasce naszego Pana. Umieję przywrócić do życia człowieka, jeśli nie umarł dużo wcześniej i jeśli jego ciało nie zostało nazbyt uszkodzone. Ale w jaki sposób umiała to uczynić młoda wiedźma?

Morgana wzruszyła ramionami.

– Nie umiała. Omamiła wszystkich wokół.

– Nawet swoją mistrzynię? Nawet drugą czarownicę? – Löwefell pokręcił głową. – To nawet mniej niż mało prawdopodobne. Ale wiesz, co w tym wszystkim jest najbardziej zastanawiające? Otóż, to, że owa dziewczyna użyła modlitw inkwizytorów. Nikt jej nigdy tego nie uczył. Po prostu – pstryknął palcami – wiedziała, jak to zrobić.

Morgana przyglądała mu się w skupionym (a może obojętnym?) milczeniu i Löwefell zastanawiał się, czy wiedźma wierzy w jego opowieść, czy też raczej sądzi, iż ta historia jest jakimś kolejnym sposobem na złamanie jej woli. Próbą wymuszenia zainteresowania otaczającym ją światem. Podstępem Inkwizytorium mającym uczynić wyłom w tej fortecy, jaką stanowiło zobojętnienie Morgany na sprawy dziejące się wokół niej.

– Powiedziano mi, że potrafiłaś uczynić to samo, że nie były ci obce modlitwy inkwizytorów – rzekł. – Jak sądzę, wszyscy życzyliby sobie wiedzieć, nawet nie w jaki sposób ty je poznałaś, lecz jak mogła osiąść o nich wiedzę ta młoda czarownica.

– Co się z nią stało? – zapytała Morgana. – Co się stało z tą młodą wiedźmą?

– Została zabita – objaśnił. – Nie przez inkwizytorów, lecz przez własną siostrę. Przez tę, którą wy nazywacie szalejem.

– Nie powiedziałaś mi wszystkiego – rzekła Morgana po dłuższej chwili.

Löwefell od pewnego czasu zastanawiał się, czy wyjawić Morganie sprawy związane z esencją życia młodej Rusinki. Jak esencję tę wydobyto i przewieziono do Amszilas. Czarownica słuchała go spokojnie, nieporuszona i niezadająca pytań. A kiedy skończył, spojrzała na niego.

– Twoja wizyta była interesująca – powiedziała. – Ale nie przychodź już więcej.

A potem wbiła wzrok w przeciwległą ścianę i zastygła w bezruchu. Löwefell rozumiał, że nic już nie osiągnie, a przynajmniej na pewno nie dzisiaj. Pożegnał więc ją uprzejmie, podziękował, że zechciała z nim rozmawiać, i wyszedł. Już na korytarzu za kwaterami Morgany zobaczył najwyraźniej czekającego na niego van Bohenwalda.

– Wszystko widziałem i wszystko słyszałem – oznajmił Marius. – Dobrze się spisałeś. Bo widzisz, zdarzało się, że Morgana rozmawiała przez chwilę z którymś z nas, ale najczęściej tylko po to, by zaraz, po kilku zdaniach, zamilknąć i nie odezwać się więcej – rzekł van Bohenwald. – Dlatego twoją wizytę uważam za całkiem przyjemny sukces. Nie wiem, czy to zasługa twojego niekłamane go perskiego uroku, czy starowince po prostu się nudziło, jednak udało ci się zamienić z nią więcej zdań niż komukolwiek innemu.

Löwefell pomyślał, że ostatnim słowem, jakiego by użył w stosunku do Morgany, było „starowinka”. Ale patrząc na jej prawdziwy wiek, to rzeczywiście – nawet gdyby była

długowiecznym drzewem, miałyby już za sobą nie tylko młodość, ale i kwiecie życia.

Löwefella czekała tego dnia jeszcze jedna, nieoczekiwana rozmowa. Otóż do jego pokoju weszła Deirdre Llatrisant z uprzejmą prośbą, by zechciał podzielić się z nią, co osiągnął na spotkaniu z Morganą. Löwefell nie widział powodów, by taić przed nią treść rozmowy. Kiedy skończył, Llatrisant uśmiechnęła się.

– Odniosłeś sukces i Inkwizytorium powinno ci podziękować.

– Odniosłem sukces – powtórzył Löwefell. – Ciekaw jestem jaki.

– Morgana rozmyślała, czy nie zdecydować się jednak na śmierć, ale Święte Oficjum nie życzy sobie, by umarła. Teraz kiedy usłyszała twoją opowieść, znowu będzie chciała żyć. Będzie czekać. Jak sądzę, takie właśnie od początku było twoje zadanie: odwieść ją od samobójstwa.

No to może długo poczekać, zanim zorientuje się, że wiedźmie bajędy nigdy się nie spełnią, pomyślał Löwefell.

– Tak więc Inkwizytorium jest, zważywszy na nowe okoliczności, bardziej niż zadowolone, że nie będzie musiało uprzętać jej trupa.

– Zważywszy na okoliczności? – powtórzył jej słowa Löwefell.

Llatrisant rozłożyła ramiona.

– Mają nowy powód, by hodować Morganę, nie rozumiesz tego? – Wpatrywała się w niego zimnym wzrokiem. – Jestem pewna, że będą próbowali ucieleśnić w niej esencję ruskiej czarownicy. Nie wiem, czy ten zamysł się powiedzie. Nie wiem, czy sukces w ogóle jest możliwy, ale wiem jedno: będą się starali, będą badali ten trop...

Löwefell być może powinien coś powiedzieć, ale wszystko, co przychodziło mu do głowy, brzmiało albo ironicznie, albo nieszczerze, albo protekcyjnie. Tak więc nie odezwał się w ogóle.

Tymczasem Deirdre podziękowała mu, że zechciał się z nią podzielić opowieścią, i otworzyła drzwi do jego pokoju.

– Nie pozwól im na to – rzekła na koniec mocno i stanowczo. – Jeśli będziesz miał cokolwiek do powiedzenia, nigdy nie pozwól na to, by ucieleśnili esencję tej ruskiej dziewczki. A jeśli naprawdę zrobią

to za pomocą ciała Morgany... – Nie dokończyła, potrząsnęła tylko głową i wyszła.



Klasztor



Klasztor Amszilas był tak naprawdę zamkiem, warownią czy twierdzą, jakkolwiek by nazwać gigantyczną obronną budowlę. Wzniesiono go na wzgórzach górujących nad jodłową puszcza i zakolem Renu, a uczyniono to jeszcze hen, za czasów Decymusa Kasjusza oraz Valerii Flavii i ich wyprawy nazwanej potem wyprawą Siedmiu Wspaniałych Rzymian. Oczywiście wtedy, w czwartym wieku po urodzeniu Chrystusa, klasztor był maleńki. Składał się z murów, nielicznych baszt, jednej wieży, na której umieszczono dzwon, oraz niewielkiego donżonu i ciasnej kaplicy. Później dopiero dobudowano inne budynki, w tym zbrojownię, oraz przede wszystkim podziemia. A potem mijały wieki i klasztor rozrastał się zarówno na powierzchni, jak i pod ziemią. Löwefell oglądał plany architektoniczne z poszczególnych wieków, gdyż pilnie przechowywano je w klasztornej bibliotece, i mógł dokładnie prześledzić, jak powstawała ta imponująca budowla, najważniejszy gmach całego chrześcijaństwa. Jednak szkice sięgały tylko do końca trzynastego wieku, a co z klasztorem działo się przez ostatnich dwieście lat, tego Löwefell nie wiedział, gdyż nie znalazł

dokumentacji dotyczącej tego czasu. Kiedyś zapytał o to van Bohenwalda, a ten tylko wzruszył ramionami.

– Skoro nie ma nowych planów, to może po prostu nic nie budowaliśmy przez ostatnich dwieście lat?

Ale była to tylko wymówka, gdyż tak naprawdę w klasztorze ciągle coś ulegało przekształceniom. Nie były to może metamorfozy dostrzegalne dzień po dniu, ale na przykład kiedy Löwefell wrócił po kilku miesiącach z Rusi, to wyraźnie zobaczył, iż na wschodnim skrzydle wyrosła wieża, której poprzednio nie było, a zachodni pas murów sięga dalej niż kiedykolwiek. Jeśli zauważalne gołym okiem zmiany zdarzały się po kilku miesiącach, to jak można było przypuszczać, iż nic się nie wydarzyło przez dwieście lat! Jeszcze inną sprawą była kwestia podziemi klasztoru. To tam oczywiście znajdowała się największa i najcenniejsza tajemnica chrześcijaństwa – pogrążony w letargu Jezus Chrystus, utrzymywany przy życiu, czy raczej na krawędzi istnienia i nieistnienia, dzięki nieustającemu obmywaniu we krwi Aniołów. Ale wielkie podziemia klasztoru nie składały się tylko z tej najświętszej komnaty, w której chroniono samego Boga. To był cały skomplikowany, wielopiętrowy labirynt korytarzy oraz komnat, którego Löwefell nie tylko nigdy dokładnie nie poznał, ale też którego planów nigdzie i nigdy nie widział.

– Czy jest ktoś, kto zna cały klasztor od podszewki? Każdy jego korytarz, każdą komnatę, każdy zakręt? – zapytał kiedyś Katrinę.

– Ja nie znam – odparła obojętnie. – Ale też zupełnie mnie to nie interesuje. Nie wiem również, czy któregokolwiek z inkwizytorów ten problem kiedykolwiek zajmował. Ale jestem pewna, że wielu mnichów świetnie zna klasztor. – Przez chwilę zastanawiała się. – No cóż, może nie jest ich aż tak wielu – dodała. – Ale na pewno któryś z nich musi mieć wiedzę na ten temat. A chciałbyś wiedzieć coś konkretnego? – Spojrzała na niego. – Jeśli tak, to poproś o informacje przeora.

Pokręcił tylko wtedy głową.

– Zastanawiam się, jak wielka jest ta nasza budowla – rzekł. – Jak wielka jest nad ziemią i jak wielka jest pod ziemią.

Katrina zaśmiała się.

– Amszilas jest ogromny – powiedziała. – Nie tylko wszerz, wzdłuż i w głąb, Arnoldzie. Zapewniam cię, że nie tylko...

Löwefell pamiętał również świetnie, jak przestrzegano go, by nigdy nie próbował oglądać całego klasztoru z poziomu nie-świata, a więc z poziomu, gdzie wszystkie rzeczy naszego, realnego uniwersum przybierają inny, zdeformowany kształt, a każdy przejaw magii widać wyraźnie jak na wyciągniętej dłoni. Przypomniało mu się, jak przed laty rozmawiał o tym z Katriną.

– *Ostrzegam cię przed jednym, Arnoldzie – odezwała się wtedy. – Jeżeli przez myśl ci przemknęło, iż mógłbyś poprzez nie-świat zobaczyć, jak wyglądają sekretne komnaty w podziemiach Amszilas, to... – uśmiechnęła się samymi ustami – nie rób tego.*

Löwefell zdziwił się, gdyż podobne postępowanie nie przyszło mu do głowy, ale uzmysłowił sobie również, że owszem, ta myśl na pewno prędzej czy później by się pojawiła. I zdał sobie również sprawę, że byłaby to rzeczywiście niebezpieczna myśl.

– *Niczego podobnego nie zamierzałem robić – odparł szczerze.*

– *Jako twój opiekun zapewniam cię, że próba zerknięcia w nasze tajemnice z poziomu nie-świata nie kończy się dobrze.*

– *A więc ktoś próbował...*

– *Ależ oczywiście, Arnoldzie, że próbował! – Klasnęła. – Powinieneś wiedzieć, że nie ma takiej głupoty, której ktoś kiedyś nie popełniłby z ciekawości. Czasami ciekawości bezmyślnej, a czasami podżeganej pragnieniem władzy, wiedzy lub innych zysków.*

– *Tak, tak, sądziłem, że to bardziej ludzka cecha niż nasza, ale rzeczywiście i my podlegamy sile ciekawości – skinął głową inkwizytor. – Choć jak mniemam, była to ciekawość dobrze uzasadniona, a nawet szlachetnie motywowana, czyż nie?*

Milczała chwilę.

– *Widzisz, Arnoldzie, problem tkwi w tym, że nigdy nie poznaliśmy motywów kierujących nielicznymi ludźmi, u których ciekawość*

przeważyła nad ostrożnością. Widziałeś sekretne komnaty w prawdziwym świecie i doskonale wiesz, jaką skrywają tajemnicę. Zapamiętasz ją do końca życia...

Nie oczekiwała potwierdzenia, lecz Löwefell skinął głową. Tak właśnie było. Obraz, jaki pozwolono mu ujrzeć przed laty. Obraz prawdziwego Pana i Boga, Jezusa Chrystusa, nie tylko zapadł mu w pamięć, ale raz na zawsze odmienił jego serce oraz rozum. Pamiętał ten obraz w każdym szczególe i wiedział, że pozostanie on na zawsze odcisnięty w jego umyśle. Uśpiony Jezus Chrystus zasiadający na tronie. I krew Aniołów ciętych srebrnymi sierpami, spływająca na ciało Boga, by Bóg ten nigdy nie umarł, lecz by trwał w zawieszeniu pomiędzy światem żywych i światem martwych. Wszystko to w nadziei, iż zostanie kiedyś odnaleziona formuła, by wyrwać Go z tej sennej martwoty. Dlaczego Jezus opuścił Rzym? Dlaczego odnalazł się w Germanii? Czemu przed wiekami zawędrował aż tutaj, do tej dzikiej, bezkresnej puszczy, pozbawionej wtedy jeszcze miast i dróg, a zamieszkaniej jedynie przez barbarzyńskie plemiona, które jedyny sens życia widziały w nieustannej walce? W jaki sposób został pozbawiony mocy, w jaki sposób Go uśpiono i w jaki sposób odgadnięto metodę postępowania pozwalającą na utrzymanie Go przy życiu, w dziwnym stanie letargu? Jak okiełznano Anioły, by przez wszystkie upływające stulecia karmiły Boga swą ożywczą, świetlistą krwią? Na te pytania Löwefell nie potrafił odpowiedzieć, chociaż ciekawiło go, czy w ogóle istnieje na świecie ktoś, kto na nie odpowiedzieć potrafi.



– Każdy z nas, inkwizytorów Wewnętrznego Kręgu, był tam, w tej wielkiej, świętej komnacie, przynajmniej raz w życiu, a większość z nas tylko raz w życiu. Bo ten raz zupełnie wystarcza, byśmy nigdy nie zapomnieli obrazu naszego Boga.

– To prawda – przyznał Löwefell.

Właściwie dopiero teraz zdał sobie sprawę z faktu, że naprawdę nigdy nie pragnął wrócić do sekretnych podziemi, w których trwał Jezus Chrystus. Dlaczego? Może ze smutku, a może z poczucia bezsilności? Niemniej doskonale zauważył, że Katrina powiedziała: „większość z nas tylko raz w życiu”. Oznaczało to, że istnieli inkwizytorzy, którzy bywali w tej komnacie częściej. W jakim celu? Przecież Jezusem i utrzymaniem Go przy życiu zajmowali się specjalnie wyszkoleni i biegli w swych zdolnościach mnisi. Po co więc pojawiali się tam inkwizytorzy? Jakie wyznaczono im zadania?

– Niestety, a może na szczęście – ciągnęła Katrina – z kogoś, kto próbuje spojrzeć do komnat z poziomu nie-świata, zostaje zaledwie łupina. Powłoka. Wysuszony kokon. Taki człowiek znika, Arnoldzie, nie zostawiając po sobie żadnego śladu, że kiedykolwiek był, istniał, żył... Nic. Pustka.

Löwefell zastanawiał się potem nieraz nad jej słowami. Czy przedstawiały prawdę? Czy rzeczywiście ktoś, kto z poziomu nie-świata zapragnął obejrzeć komnatę, w której od wieków spoczywał Jezus Chrystus, czy taki człowiek naprawdę był skazany na zagładę? A jeśli tak, to z jakich powodów owa zagłada nadchodziła? Czy był to widok lub przeżycie nie do zniesienia dla zwykłego umysłu? A może sam Chrystus zdołał wytworzyć wokół siebie barierę czy zasłonę? A może opiekujący się nim mnisi lub nawet sami inkwizytorzy stworzyli te zabezpieczenia? Jeżeli oni, to jakie przyświecały im pobudki? Jakimi mieli powody? Czego się obawiali? Czy z poziomu nie-świata można było ujrzeć coś, co zagrażałoby Jezusowi? Löwefell nie liczył, że ktokolwiek odpowie na jego pytania (zresztą i tak nie wiadomo, czy jakakolwiek udzielona odpowiedź byłaby prawdziwa), ale postanowił zagadnąć o to Nontle. Było to w czasie wyprawy na Ruś, już za Nowogrodem, lecz jeszcze daleko, daleko przed

Kamieniami, przed granicami Księstwa Peczorskiego, dokąd prowadziła ich droga.

Stali na tarasie zamku, należącego do jednego z ruskich arystokratów, zamku, w którym ich przyjmowano z rozkazu księcia Nowogrodu. Gdzieś obok i z dołu dobiegał ich uszu hałas i gwar wydanej na ich cześć uczyty, z której wyszli, widząc, że większość uczestniczących w niej Rusinów leży już pijana na podłodze, a w najlepszym wypadku śpi z głowami na stołach.

– Czy ci ludzie nigdy się nie myją? – zapytała z obrzydzeniem Nontle. – Pół biedy jeszcze, kiedy widzimy ich na drodze lub w dużej sali, ale tutaj? Te spocone od wysiłku, ciasnoty i trunku cielska, buchające przez wszystkie pory odorem niemytej od wielu dni skóry i niepranej nigdy odzieży. – Wzdrygnęła się.

Löwefell zdziwił się.

– Nie sądziłem, że tak doświadczonej podróżniczce przeszkadzają kwestie tak przyziemne jak nieładne zapachy. – Uśmiechnął się.

Odpowiedziała mu uśmiechem i oparła głowę na jego ramieniu.

– Czyż nie wyglądamy tutaj i teraz, w świetle księżyca, niczym para kochanków szukających odosobnionego miejsca do spokojnej rozmowy? – spytała.

– Być może wielu by tak pomyślało – odparł.

– Bardzo dobrze, niech tak właśnie myślą... – zgodziła się. – A skoro pytałeś o zapachy, to rzecz jasna, każdy z nas, kto podróżuje w miejsca dzikie i zamieszkiwane przez prymitywne ludy, boryka się z wieloma problemami... estetycznymi. Paskudne zapachy, paskudne jedzenie, paskudne obyczaje. Czy wiesz, że musiałam kiedyś pić sfermentowane owoce z wielkiej miski, do której pluli wszyscy poprzednio raczący się biesiadnicy?

– Czyż nie był to znak, że zostałam zaakceptowana?

Roześmiała się.

– To prawda, że ci ludzie mieli dobre intencje, niemniej ich obyczaje pobudzały mnie raczej do wymiotów niż do życzliwości. Widzisz, cokolwiek by mówić, to ja jestem jednak księżniczką – ciągnęła. – Mój ojciec był niezmiernie bogaty, a chociaż władał afrykańskim

królestwem, to nasz pałac położony był nad wielką rzeką. Mielśmy akwedukty, studnie i kanały, korzystaliśmy z basenów i łaźni. Nawet biedacy nosili czyste ubrania. Chociaż z uwagi na pogodę akurat nie nosili tych ubrań zbyt wiele. – Zaśmiała się znowu i widać było, że wspomnienie dawnej ojczyzny sprawia jej przyjemność.

– Kiedy trafiłaś do Cesarstwa, musiał to być dla ciebie ogromny szok.

– Och, Arnoldzie, w moim królestwie czekała mnie śmierć, więc aby jej uniknąć, gotowa byłam na wszystko, nawet gdyby oznaczało to mieszkanie w chlewie wśród świń i tarzanie się w ich gnoju...

– Chyba w Cesarstwie nie było aż tak źle?

– Oczywiście, że nie! – Klasnęła. – Inkwizytorzy byli dla mnie więcej niż dobrzy. Opiekowali się mną, zajmowali, tłumaczyli mi wszystko, ba, nawet wytrzymywali moje humory, a wiesz, jako księżniczka raczej nie byłam bardzo posłuszna...

No i akurat ta cecha pozostała niezmieniona, choć tak wiele minęło lat, od kiedy mauretańska księżniczka Nontle stała się Hildegardą Reizend, badaczką, podróżniczką, autorką uczonych dzieł i zaufaną członkinią Wewnętrzznego Kręgu Świętego Oficjum.

– Kiedy zobaczyłam to ponure szaro-granatowe niebo nad Cesarstwem, ludzi okutanych w płaszcze i futra, chowających twarze pod kapturami, bo ciągle padał deszcz, kiedy zobaczyłam, że wystarczy kilka chwil, aby całe twoje odzienie nasiąkło od wilgoci, i że nie chce ono potem schnąć przez wiele dni, kiedy ujrzałam wszy i pluskwy gnieźdzące się w zbutwiałych, przegniłych siennikach... o mój Boże, oddałabym wtedy wszystko, aby wrócić do Afryki!

Milczała chwilę.

– Oczywiście, skoro rozpoczęliśmy rozmowę od ruskiego smrodu, powiem ci, że na samym początku, po ucieczce z Afryki, obrzydliwe wonie w Cesarstwie również były dla mnie trudne do wytrzymania – kontynuowała. – Chociaż z ohydnyymi wyziewami oswoiłam się już na statku. Kazali mi tam pić sok z cytryny, co jeszcze dało się znieść, ale musiałam też jeść zepsutą kapustę! Wyobrażasz sobie?

Löwefell uśmiechnął się, gdyż w głosie Nontle brzmiało prawdziwe oburzenie, pomimo że teraz musiała przecież zdawać sobie sprawę, że dieta złożona z owoców i kiszonek chroniła żeglarzy i pasażerów przed chorobami w czasie długich rejsów.

– Wiem, że kiedy zajrzysz do portowych spelunek, że kiedy trafisz do infirmerii czy do więzień, do najbiedniejszych czynszowych kamienic, to i w naszym Cesarstwie jesteś otoczony odorem i smrodem. Jednak na tej przeklętej Rusi fetor jest wszechobecny! Przecież tutaj nikt się nie myje i nikt nie pierze ubrań. Wstrętną wonią, niczym plugawym całunem, okryci są wszyscy. Nie tylko chorzy czy biedacy, lecz również wielcy panowie! Obwieszeni złotem, w aksamitach i sobolach, śmierdzą tak, jakby żyli w jednym chlewie ze świniami. – Pokręciła głową. – Co za kraj, co za barbarzyński kraj. A jeszcze jak się upiją, to lubią się rozbierać i walczyć ze sobą nago lub półnago, a ty wtedy widzisz ich czarną od brudu bieliznę, jeśli w ogóle mają akurat bieliznę, dostrzegasz placki liszajów na skórze, krosty i wrzody, pazury u nóg, które mają jak szpony u dzikich zwierząt, a w które gnój wrósł już na stałe...

– Taki to ich zwyczaj: nie myć się – rzekł Löwefell. – I bądźmy szczerzy, księżniczko, że w Cesarstwie również zdarzają się i hrabiowie, i książęta, i biskupi, którzy nie przepadają za kąpielami.

– Zdarzają się – powtórzyła Nontle. – U nas się zdarzają, u nich to reguła. A czy wiesz, co Polacy mówią o Rusinach?

– Jak sądzę, nic dobrego.

– Och, o dobrym nie ma nawet mowy. Bo przecież od wieków toczą ze sobą wojny, raz większe, raz mniejsze. Ale mają taką legendę, która dotyczy zarówno ich władcy, jak i tego, w jaki sposób na świecie pojawili się Rusini. Otóż król Lech, Polacy uważają go za założyciela swego państwa – dodała tonem wyjaśnienia – wykrył wśród swojego ludu czarownice i kazał je wygnąć na dalekie pustkowia, hen, aż nad Pontus Euxinus. Tam owe wiedźmy zeszyły się z mieszkającymi na stepie demonami i potworami, z którymi współżyły i z którymi spłodziły wynaturzone potomstwo. Tak właśnie narodzili się pierwsi

Rusini: lud o duszy i obyczajach godnych zwierząt czy demonów, a nie cywilizowanego świata[18].

Löwefell zaśmiał się.

– Bardzo słuszna próba zohydzenia wroga, z którym toczy się wojny. Nie tylko poprzez wskazywanie tego, co teraz czyni podle, ale napiętnowanie samego jego pochodzenia i określenia go jako przekłętę.

– No dobrze, Arnoldzie, porozmawialiśmy sobie o historii i o obyczajach, ale powiedz mi, po co wyciągnąłeś mnie na ten taras w tę piękną, księżycową noc? Bo przecież nie po to, aby mnie całować w świetle księżyca, prawda?

– Wybacz. – Przyłożył dłoń do serca. – Rzeczywiście jestem zapewne jednym z nielicznych mężczyzn na ziemi, który docenia twoje piękno jako niezwykle dzieło artystyczne, lecz dzieła tego wcale nie pragnie dotykać.

Zaklaskała.

– Szkoda – powiedziała. – Jeśli kiedyś jednak wróci ci chęć na amory, pošlij mi liścik. – Uśmiechnęła się do niego życzliwie. – A teraz mów.

– Jesteś poszukiwaczką i badaczką, księżniczko. Twoja pasja jest powszechnie znana, a twoje dokonania powszechnie szanowane...

Nontle roześmiała się, wyraźnie zadowolona.

– A jak brzmi pytanie, Arnoldzie, bez tych uprzejmych wstępów? Bo domyślałam się, że będzie trudne, skoro na takie wstępy się skusiłeś...

– Trudne? Nie sądzę. – Odpowiedział jej uśmiechem. – Aczkolwiek nie chciałbym w żaden sposób, byś uznała je za niegrzeczne...

– Oho, a jednak pytanie będzie trudne... – Miała cały czas żartobliwy głos, ale jej oczy już spoglądały czujnie.

– Ostrzeżono mnie, bym nigdy nie próbował spoglądać na najświętszą część naszego klasztoru z poziomu nie-świata. Powiedziano mi, że ci, którzy skuszeni ciekawością lub pasją odkrywania sekretów, pokusili się o taki wyczyn, zostali zniszczeni. Nie w wyniku kary zadanej im przez Inkwizytorium, lecz w wyniku działania magii broniącej klasztoru.

– Dokładnie to samo powiedziano i mnie, kiedy tylko nauczyłam się przechodzić do nie-świata – przerwała mu Nontle. – Powiedziano mi to w sposób... przekonujący – dodała.

– Nigdy cię nie kusiło, by samej przekonać się, z jakich powodów istnieje ten zakaz?

– To nie zakaz, Arnoldzie – odparła poważnie i pokręciła głową. – To tylko ostrzeżenie. Nikt ci nie broni wejść do nie-świata i stamtąd próbować obejrzeć salę, w której spoczywa Jezus Chrystus. Jeśli uda ci się wyjść z życiem, to zapewne Wewnętrzny Krąg z ogromnym zainteresowaniem wysłucha twojego raportu. Jeśli ci się uda...

– Twoja pasja, twoja chęć poznawania sekretów, wyjaśniania zagadek, obnażania tajemnic rządzących światem... to jest twoja natura, księżniczko. Ty nimi płoniesz. A jednak istnieją drzwi, przez które nie próbujesz nawet przechodzić.

Pokiwała głową.

– Wiem, że celem twoich słów nie jest namówienie mnie na podobną przygodę. – Znowu miała żartobliwy ton, ale jej spojrzenie było całkiem poważne. – Lecz kieruje tobą ciekawość, która każe ci zadawać pytanie: dlaczego Hildegarda Reizend, tak znana z samowolnego podejmowania decyzji i z podejmowania ryzyka, czasami nawet śmiertelnego ryzyka! dlaczego ona w tym wypadku zachowuje się tak posłusznie i spolegliwie?

– Mniej więcej to miałem na myśli – zgodził się Löwefell.

Obróciła się do niego i stali teraz twarzą w twarz tak blisko jedno drugiego, że czuli nawzajem swoje oddechy. Oddech Nontle pachniał słodkim winem i miętą.

– Wierzę, że jeśli chciałabym otworzyć drzwi, o które pytasz, to te właśnie drzwi stałyby się moimi ostatnimi. Nie byłoby już więcej tajemnic, sekretów i zagadek, które mogłabym odkryć, bo nie byłoby również mnie. Czy ta odpowiedź cię satysfakcjonuje?

– Tak. Dziękuję ci – rzekł.

Nie dopytywał już jej, dlaczego jest tak bardzo pewna, iż nie potrafiłaby sobie poradzić z magią strzegącą Chrystusa przed obserwacją z nie-świata, bo w tonie jej głosu wyczuł, że Nontle nie ma

już ochoty rozmawiać na ten temat. Może było dla niej w jakiś sposób jednak wstydlive, iż sama musiała przyznać, że istnieją bariery, których nie tylko nie potrafi pokonać, ale boi się nawet spróbować do nich podejść?

I kiedy miał już zaproponować, by wracali, to nagle na taras wpadli dwaj półnaczy Rusini, zwarci w bijatyce i wykrzykujący coś wściekle w swoim języku, okładający się pięściami i szarpiący za brody oraz czupryny. Nontle błyskawicznym ruchem odsunęła się na bok, a Löwefell stanął pomiędzy nią a bijącymi się. Jednak mężczyźni nie zwracali na nich najmniejszej uwagi, przetoczyli się w stronę kamiennej balustrady, obili się o nią z impetem, wywrócili się obaj na posadzkę, po czym jeden z nich zdołał uwolnić rękę i kułakiem zaczął tłuc tego drugiego po głowie. A raczej usiłował bić go po głowie, bo raz trafił w kamienne płyty, a raz w ciało swego przeciwnika, jednak nie widać było, aby bijącemu sprawiało to jakąkolwiek różnicę. W końcu zmęczył się, opadł zarówno z sił, jak i w zupełnie dosłownym sensie, gdyż teraz po prostu obaj Rusini leżeli jeden na drugim, półnaczy i wtuleni w siebie niczym jakaś para brodatych, umęczonych cielesną miłością kochanków. I wreszcie ten, który był na wierzchu, uniósł lekko głowę, zabulgotał coś, zachrypiał, po czym rżąc boleśnie, zwymiotował częściowo na posadzkę, a częściowo na włosy swego rywala. A potem obaj Rusini zaśmiali się, wstali, chwiejąc się i pomagając jeden drugiemu, objęli się serdecznie, zaczęli ścisnąć, całować i przemawiać jeden do drugiego wielce czułymi słowy, po czym odmaszerowali kołyszącym krokiem, przytuleni do siebie i śpiewając głośną, wesołą pieśń.

– Ot i obraz do naszej dyskusji o Rusinach – zauważyła Nontle.

– Zapewne podobne obrazy znaleźlibyśmy i na niektórych ucztach w Cesarstwie.

– O, na pewno – zgodziła się z nim. – Ale raczej nie na ucztach u książąt.

A potem położyła mu dłoń na ramieniu i uśmiechnęła się do niego.

– Dziękuję ci, Arnoldzie, że tak rycersko zasłoniłeś mnie przed tymi rozszalałymi pijakami. Aczkolwiek zapewniam cię, że nie z takimi

huncwotami miałam w życiu do czynienia.

– Tego jestem pewien. – Odpowiedział jej uśmiechem.

Później skrzywiła się lekko i rzekła chłodnym już tonem:

– Ciekawe, gdzie podziewa się mój Mordimer? W ogóle nie zaciekawilo go, gdzie zniknelam.

Löwefella rozbawiła ta pretensja w jej głosie, gdyż był pewien, że gdyby młody inkwizytor zaczął szukać księżniczki (z którą w czasie podróży łączyło go wspólne spędzanie nocy), to Nontle potraktowałyby kochanka z góry i lekceważąco. Ale skoro jej nie szukał, to wyraźnie go jej brakowało. No cóż, takie były skutki tego, że Madderdin nie tylko miał na tyle dużo oleju w głowie, by nie zmienić się w pieska pięknej księżniczki, ale przede wszystkim był odporny na magiczny urok jej głosu, dzięki któremu była w stanie omotać sobie wokół palca każdego człowieka. Rzecz jasna, z wyjątkiem odpornych na jej czary członków Wewnętrzznego Kręgu.

Już po powrocie z Rusi Löwefell postanowił zagadnąć Katrinę, nie o kwestię obserwacji z nie-świata, gdyż ona go przed tym eksperymentem ostrzegala, ale o klasztor jako budowle.

– Dostrzegłem u nas pewne zmiany po moim powrocie – zauważył. – Dobudowano mur na zachodzie, a we wschodnim skrzydle postawiono nową wieżę. Zapewne gdybym wcześniej uważniej obserwował szczegóły, to doszukałbym się i dostrzegł tych zmian więcej.

– Och – strzepnęła dłońmi Katrina. – Takie to już jest to nasze Amszilas. Są przecież takie części klasztoru, w których korytarze prowadzą w jedną stronę, lecz kiedy przyjdiesz następnego dnia, to te same korytarze prowadzą już zupełnie gdzie indziej.

– To zaklęcia ochronne. Magiczne bariery – rzekł Löwefell. – Nigdy nie starałem się ich przełamać, kiedy widziałem podobne zjawisko. Po prostu szukałem właściwej drogi...

– Albo prowadził cię jeden z mnichów.

Inkwizytor skinął głową.

– Powiedz mi jeszcze, Arnoldzie, jak to się dzieje, że oboje co prawda widzimy, że nasz klasztor się rozbudowuje. Nie jest to może

wielka rozbudowa, tu kawałek muru, tu jakaś baszta, tu nowa piwnica, ale powiedz mi: czy widziałeś kiedykolwiek robotników i rzemieślników? Czy widziałeś kiedykolwiek wozy z kamieniami lub cegłami albo zaprzęgi wywożące ziemię czy gruz? Czy słyszałeś kiedykolwiek huk młotów lub oskardów? Czy widziałeś kopce ziemi, cegieł lub kamieni?

Löwefell przyglądał się jej przez chwilę zamyślony.

– Klasztor jest tak wielki, że bez trudu mogłem przeoczyć pewne niewielkie remonty i zmiany konstrukcyjne, jeśli miały miejsce w innych jego częściach. Poza tym sama wiesz, ile miałem pracy. Najpierw z Matyldą, potem z Roksaną... – Wzruszył nieznacznie ramionami. – Nie przyglądałem się uważnie toczącemu się obok nas codziennemu życiu. Nie wiem więc, czy w Amszilas pracowali robotnicy i kamieniarze. – Uśmiechnął się. – Tak jak chociażby nigdy nie widziałem naszej pralni, a przecież świetnie wiem, że ona istnieje... – Zmarszczył brwi. – Nie byłem również w klasztornej kuchni, a także nie byłem w klasztornej kotłowni, pomimo że wiem, iż zimą rozprowadzana jest gorąca woda rurami zatopionymi w murach, gdyż Marius kiedyś z dumą pokazywał mi ten niezwykły wynalazek.

– Tak – powiedziała Katrina. – To najpewniej najłatwiejsze wytłumaczenie: własny brak zainteresowania oraz spostrzegawczości.

– Czy wolałabyś jakieś inne wyjaśnienie?

– Nie wiem, czybym takie wyjaśnienie wolała, jak to ująłeś, ale nie ukrywam, że przyszło mi kiedyś do głowy. Może Amszilas rośnie? Co o tym sądzisz?

– Rośnie? – Uśmiechnął się zaskoczony. – Jak zwierzę?

– Och nie, nie jak zwierzę. – Tym razem ona była zaskoczona. – Nie myślałam o organizmie posiadającym własne myśli. Raczej jak drzewo. Albo jak mech na tym drzewie.

– To bardzo oryginalna koncepcja – przyznał.

– Jest jeszcze inna teoria, mówiąca, że to ta część jaźni Chrystusa, która nie jest pogrążona w letargu, bo niektórzy zakładają, że tak

właśnie jest, zmienia i formuje nasz klasztor, aby dać nam znak. Dać sygnał. Wskazówkę, co mamy robić, by go ocalić.

Löwefell tylko westchnął. Takie mieli szczęście i takie mieli przeznaczenie, że żyli w miejscu, w którym nawet remont murów czy dobudowanie nowej wieży nieodwołalnie kończyło się dyskusją o mistycznych korzeniach sięgających samego jądra chrześcijaństwa.



Czarny Wiatr



Löwefell siedział w skromnej, niedużej komnacie, bardziej przypominającej wydrążoną w skale jaskinię niż klasztorną kaplicę. Nawet meble: ławy i klęczniki, były topornie wykute z kamiennych brył. Zupełnie inne jednak wrażenie sprawiały ściany pomieszczenia, które pokryto fantastycznie dokładnymi płaskorzeźbami, cyzelowanymi co do najmniejszego drobiazgu. Löwefell lubił tu zachodzić i przyglądać się owym reliefom, które od lewej strony do prawej przedstawiały całe życie Jezusa Chrystusa: od narodzin aż po zdobycie Rzymu. Potem, za obrazem Wiecznego Miasta otwierającego bramy przed triumfującą Armią Jezusa, nie było już nic. Czysta ściana. Ta pustka lepiej od jakiegokolwiek artystycznego dzieła wyobrażała smutek i niezrozumienie, które pozostały po odejściu Chrystusa. Te pytania, na które nigdy nie uzyskano odpowiedzi: czemu nas zostawił? Dokąd i po co się udał? Dlaczego pogrążył się w letargu? I kiedy ze stanu tego letargu znów się obudzi, by objąć władzę nad ludźmi i ich losem? Czy celowo odszedł ze świata, czy też został przymuszony do tego czyjąś wolą? A może jego pozorna słabość miała być tylko testem nawet nie dla Inkwizytorium, lecz dla całego rodzaju

ludzkiego? Löwefell, pogrążony w rozmyślaniach, wpatrywał się w kamienny Krzyż Nieskończoności wypełniający główną ścianę kaplicy. W ten wielki krzyż wrysowano krzyż ciut mniejszy, w tamten jeszcze mniejszy, w tym mniejszym tkwił jeszcze mniejszy i tak dalej, i tak dalej, aż krzyże, coraz mniejsze i mniejsze, stawały się niewidoczne dla oka. Co symbolizowały? Nieskończoność cierpienia? Nieskończoność poświęcenia? Niemożność poznania?

Już dużo wcześniej z oddali usłyszał szuranie butów i poirytowany głos van Bohenwalda, który obsztorcowywał towarzyszącego mu, jak można się było domyślać ze słów, mnicha. Zaraz potem Löwefella objęło pierwsze tchnienie woni paczuli, a z chwili na chwilę zapach ten stawał się coraz bardziej intensywny i coraz bardziej drażniący nozdrza tą intensywnością. I Löwefell po raz kolejny poczuł ową charakterystyczną dysharmonię, która wdzierала się w jego świat spokojnej kontemplacji tak często, kiedy zbliżał się van Bohenwald. Było to uczucie nieprzyjemne, może nie tak jak kolec wbity pod paznokiec czy nie tak jak ostry kamień tkwiący w bucie i kaleczący stopę z każdym krokiem, ale nieprzyjemne jak niemiły zapach w pokoju, którego nie można się w żaden sposób pozbyć, a który tak nie pasuje do czystych zasłon, dywanów i kobierców, do eleganckich mebli. Inna rzecz, że Löwefell był pewien, iż Marius czyni to, co czyni, z pełną świadomością i w pełni intencjonalnie. Dlaczego zależało mu na tym, by wzbudzać niechęć Löwefella, tego sam Löwefell nie wiedział. Być może był w tym mniej lub bardziej istotny zamysł, a być może jedynie kaprys, który stopniowo przeszedł w przyzwyczajenie. Tak czy inaczej, Löwefell nie reagował ani na złośliwości, ani na kpiny i reagować nie zamierzał. Nie podobało mu się to, co Marius robił i mówił, lecz nie odczuwał potrzeby ujawniania swoich uczuć, zwłaszcza że tak naprawdę z biegiem lat wydawały mu się te usiłowania Mariusa coraz bardziej żalosne, a coraz mniej denerwujące. I do zachowania oraz słów van Bohenwalda przyzwyczał się, tak jak żeglarz, który nawyka do tego, że wiatr niesie krople zimnej wody, które uderzają go w twarz.

– A więc tu się ukryłeś! – zawołał pełnym głosem otyły inkwizytor, tak jakby wcale nie byli umówieni w tym właśnie miejscu.

Rozejrzał się po komnatce, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu, po czym zawołał poirytowanym głosem:

– No chodźcież wreszcie, ile można czekać na takich leniwych bęcwałów?

Za chwilę do pomieszczenia weszło dwóch młodych, zasapanych mnichów niosących wielki, obijany pluszem fotel w kolorze złota, brązu i czerwieni. Marius stanął przed Krzyżem Nieskończoności i zatupał obcasem.

– Tutaj – rozkazał, najwyraźniej wskazując miejsce, w którym mnisi mają ustawić siedzisko.

Ten kolorowy, bogato zdobiony mebel nie tylko wyglądał w skromnej kamiennej komnacie niewłaściwie, ale zdawał się ją wręcz profanować właśnie tą wyjątkową niewłaściwością i brakiem dopasowania. Zresztą Marius sprawiał równie niewłaściwe wrażenie w swoich kolorowych jedwabnych szatach, mieniących się i połyskujących w rozchybotanym świetle świec. Całym ciężarem zwałił się na fotel, który aż jęknął i zachybotał się od tego ruchu.

– No – powiedział z zadowoleniem, rozparł się wygodnie i skupił wzrok na Löwefellu. – Nigdy cię o to wcześniej nie pytałem, ale czy dowodziłeś kiedyś armiami na polu bitwy, Arnoldzie?

Löwefell był pewien, że jeśli nawet jako Narses kiedykolwiek dowodził armią, to van Bohenwald wiedział o tym zdarzeniu teraz więcej niż on sam.

– Niczego podobnego sobie nie przypominam – odparł. – Ale nie wykluczam, że kiedyś, w perskich czasach mogło tak się zdarzyć. Chociaż... – Pokręcił głową. – Wątpię, by Narses zechciał się zniżyć do podobnie prostackiego działania.

– Też tak sędzę – zgodził się z nim nieoczekiwanie Marius. – Choć zapewne mógł planować operacje na mapach sztabowych i w otoczeniu oficerów.

Cóż, Persowie toczyli liczne wojny, nie tylko przecież z Bizancjum, ale również z koczownikami z północy, z Beduinami z południa,

z ludami Kaukazu, z indyjskimi maharadzami, władcami państw i państewek, czasami Persji wrogich, a czasami z nią sprzymierzonych. A że Narses był nie tylko potężnym magiem, lecz również arystokratą, księciem, właścicielem ogromnych dóbr i zaufanym doradcą perskich szachów, to na pewno kwestie wojenne nie umykały jego uwagi.

– Tak mogło być.

– Cesarz przegrał właśnie wojnę z Palatynatem[19] – zaśmiał się Marius pogardliwie i wyduł usta. – Stracił prawie całą armię. No a w każdym razie prawie całe rycerstwo, które z nim na tę wyprawę ruszyło. A tak byli złaknieni bogactw, jakie można byłoby zrabować w miastach Palatynatu... – Skrzywił się. – Nawet nie podeszli pod mury żadnego z miast, bo wcześniej spotkała ich zagłada.

Löwefell wiedział oczywiście o wyprawie na heretycki Palatynat, gdyż przecież takiego przedsięwzięcia nie organizuje się z dnia na dzień i wszyscy w Europie rozumieli od dłuższego czasu, że młody cesarz szykuje się do wojny. Wszyscy łącznie oczywiście z obywatelami Palatynatu, którzy bardzo solidnie przygotowywali się do obrony. Löwefell wiedział również, że w tym konflikcie Inkwizytorium nie zajęło żadnego stanowiska.

– Jeśli cesarz wygra, to bardzo dobrze, bo zniknie wrzód na dupie naszego Cesarstwa – dosadnie tłumaczył na początku wojny Marius. – A jeśli przegra, to też dobrze, bo i on, i arystokracja nabiorą pokory.

Starcie z bogatym, heretyckim Palatynatem było nie tylko starciem prawowiernych chrześcijan z odstępcami, nieuznającymi ani władzy Kościoła, ani władzy papieża, ani, o zgrozo! władzy Świętego Oficjum. Było również konfrontacją rządzonego przez arystokratów i szlachtę Cesarstwa z państwem, w którym największe znaczenie polityczne i ekonomiczne miało bogate mieszczaństwo. To ludne, zamienione w niedostępne warownie miasta Palatynatu dostarczały armii świetnie wyszkoloną, zdyscyplinowaną i fanatyczną piechotę, która w poprzednich wojnach dała się mocno we znaki cesarskim wojskom.

– Cesarz się wycofał? – spytał Löwefell. – Po pierwszej porażce?

– Mieliliśmy wrażenie, że od początku tego właśnie chciał – odparł van Bohenwald. – Klęski, która jednak nie dotknęłaby jego prywatnych wojsk oraz oddziałów zaciężnych, ale przetrzebiła szlachtę. Nie mamy jeszcze dokładnych raportów, lecz niektóre oddziały straciły ponoć niemal wszystkich rycerzy. I wszystko to – Marius uniósł palec – z ich własnej winy. Nie posłuchali wyraźnych rozkazów cesarza, by wstrzymać się z atakiem. A więc zapłacili za tę nieostrożność. Wpadli w zasadzkę, a piechota Palatynatu wyrznęła ich w pień, zmasakrowała włóczniami i łukami. – Marius wzruszył ramionami. – Szarża ciężkiej jazdy na niesprawdzonym terenie przeciwko przygotowanym i zdyscyplinowanym pikinierom jest niemal zawsze bardzo złym pomysłem.

A potem Marius spojrział na Löwefella ze zdwojoną uwagą i marszcząc brwi.

– Jak wyglądają raporty od cesarskiej dziwki?

Cesarską dziwką van Bohenwald nazywał Enyę, podopieczną Löwefella, której ten niegdyś nie tylko uratował życie, ale którą potem, korzystając ze swego wyjątkowego talentu uzdrowiacza, wybawił od kalectwa oraz przywrócił wielką urodę. Od tamtego czasu Enya była mu całkowicie oddana i zdecydowała się połączyć swój los z działaniem na rzecz Świętego Officjum. Inkwizytorium zdecydowało się podstawić ją młodemu cesarzowi jako kochankę, a operacja udała się znakomicie, gdyż cesarz nie tylko korzystał z wdzięków tej powabnej i inteligentnej kobiety, ale przywiązał się do niej na tyle, że ciągle żądał jej towarzystwa i traktował może nie jak żonę, ale na pewno jak oficjalną konkubinę.

– Znakomicie – odparł Löwefell. – Enya ma wielki wpływ na cesarza i na pewno nam się przyda w przyszłości. Jednak nie przekazywałem jej żadnych poleceń poza tym, że ma zyskać jak największe zaufanie miłościwie panującego. Bo przypominę tylko, że Wewnętrzny Krąg polecił mi ją co prawda umieścić w otoczeniu cesarza, ale wcale nie poinformowano mnie, jakie mają być konkretne cele tej bliskości.

– Tak, tak, rzeczywiście nie poinformowano – mruknął van Bohenwald. – Gdyż sami rozmyślaliśmy, zastanawialiśmy się i dyskutowali, na czym zależałoby nam najbardziej. I doszliśmy do wniosku, że życzymy sobie, aby cesarza... – Marius pstryknął i uśmiechnął się szeroko – usunięto spośród żywych. Niech tam już sobie zazna wiecznej szczęśliwości w Królestwie Niebieskim!

Löwefell milczał dłuższą chwilę.

– Mam wydać Enyi rozkaz zamordowania cesarza, którego zaufanie zyskała i na którego ma wielki wpływ? – spytał wreszcie. – Może trzeba było wysłać zwykłego skrytobójcę z nożem albo trucizną, a nie używać Enyi?

– Żal ci jej?

– Oczywiście, że mi jej nie żal – zachnął się Löwefell. – Dziewczyna jest tak wyszkolona, że zabije cesarza, a sama bezpiecznie zniknie. Jednak używanie jej w tak prymitywnym i prostackim celu jak morderstwo jest niczym wbijanie gwoździ kryształowym kielichem.

Van Bohenwald rozpromienił się.

– Ta mała byłaby bardzo szczęśliwa, gdyby się dowiedziała, że porównujesz ją do kryształu – powiedział takim tonem, jakby to jego samego spotkał ten komplement.

Ale Löwefell wcale nie przesadzał. Enya była ładna, zgrabna i bystra, umiała zdobywać sobie sympatię ludzi, z którymi się stykała, a przy tym była znakomicie wyszkoloną kurtyzaną i zabójczynią. Z tym że teraz, kiedy opanowała wolę cesarza za pomocą tej pierwszej zdolności, dlaczego miała go zniszczyć za pomocą zdolności drugiej? Löwefellowi wydawało się to całkowicie bezsensowne, chociaż był pewien, że ktoś, kto ten plan wymyślił, był przekonany nie tylko o jego sensowności, ale wręcz geniuszu i niezbędności.

– I w ogóle w jakim celu zabijamy cesarza? W czym nam przeszkadza człowiek, który na razie sam nie wie, co ma robić ze swoimi rządami, i którego możemy ukształtować tak, jak tylko będziemy sobie tego życzyli?

– Arnoldzie, zadajesz za dużo nudnych pytań – burknął Marius. – Ja natomiast wolałbym, abyś skupił się na działaniu, a nie gadaniu.

– Nie zrobię tego – oznajmił zimnym tonem Löwefell. – Nie wydam Enyi rozkazu, by zabiła cesarza, dopóki nie będę przekonany, że jest to wola Świętego Officjum, a nie jakiś twój kaprys lub intryga powzięta za plecami innych inkwizytorów.

Marius obrócił się w jego stronę ze skrzywioną twarzą.

– To tak mnie oceniasz, towarzyszu? – zapytał z ogromną urazą w głosie. – Jako człowieka mogącego knuć coś za plecami innych inkwizytorów? – powtórzył z przekąsem słowa Löwefella. – W dodatku jeśli chodzi o coś na tyle ważnego jak usunięcie władcy Cesarstwa, który jest przecież jedyną i ostatnią gałęzią wielowiekowego rodu?

Löwefell przez chwilę się nie odzywał, a potem wreszcie skinął głową.

– Czyli jak miemam, macie na widoku nowego, bardziej nam pasującego kandydata na cesarza – rzekł. – Który ma wygrać wyścig po koronę, jaki się zacznie po śmierci obecnego władcy...

– Trafnie odgadujesz nasze zamiary, ale nadal spoglądasz za ledwie przez lufcik, a nie przez szerokie okno – zatarł ręce Marius. – Postanowiliśmy bowiem, że przy okazji – splótł dłonie, aż mu chrupnęły kostki – nazwijmy to: zmienimy nieco obecnie istniejący świat.

Löwefell nie rozumiał, do czego zmierza van Bohlenwald, ale z całą pewnością w tak poważnej kwestii nie zamierzał ustępować i godzić się na wykonanie jego poleceń tylko dlatego, że je usłyszał. Morderstwo cesarza było zbyt poważną sprawą, by Löwefell podjął się go tylko na życzenie jednego z członków Wewnętrzznego Kręgu. W tym wypadku musiał usłyszeć, i to usłyszeć na własne uszy, ściśle wyrażoną wolę całego gremium, a przynajmniej tych jego członków, których znał.

– Jaką zmianę masz na myśli poza zmianą na tronie?

– Władcy, władcy, władcy – lekceważąco strzepnął dłońmi Marius.

– Zmieniają się tak szybko. Choroba, śmierć na polowaniu, rany

w bitwie, skrytobójstwo, a nawet opicie się winem i przeżarcie ciastkami. Są tacy nietrwali... Pstryk i już ich nie ma.

Löwefell dobrze wiedział, kogo dotyczą słowa o opiciu się winem i przeżarciu ciastkami, chociaż w przypadku cesarza Wilhelma śmierć nie była wynikiem jednorazowej uczty, spożycia jakiegoś ogromnego posiłku czy wielkiego pijaństwa, lecz po prostu systematycznego, codziennego obżerania się i opijania, trwającego całymi miesiącami. I w końcu monstrualnie otyły, pijany cesarz zasapał się w trakcie truchtania do zastawionego wiktuałami stołu i kiedy zaczął pochłaniać swoje ulubione bezy z kremem, to zakrztusił się, zatchnął, zadławił, a w wyniku tego wypadku upadł na ziemię i pękło mu serce. Na dworze go żałowano, bo przy całej swojej słabości do trunków i jadła (głównie jak najśłodszych smakołyków) był to władca raczej poczciwy i serdeczny, znany z hojności dla dworzan, zwłaszcza jak ktoś potrafił poruszającymi i wzruszającymi słowami przedstawić mu swój nieszczęsny los i błagać miłościwie panującego, by zechciał ten los odmienić. Cesarz ponoć płakał wtedy wraz z nim, a potem hojnie go nagradzał w zależności od tego, jak bardzo owemu człowiekowi udało się poruszyć czułe nuty w cesarskim sercu. Po dobrym Wilhelmie władcą został jego oschły bratanek Teodor, który w przeciwieństwie do stryja nie jadł nic poza gotowanymi warzywami i świeżymi owocami (co przecież było niczym innym niżli jawnym dowodem na beznadziejną słabość umysłu), a jego ulubioną rozrywką były lewatywy. Lewatywy te przede wszystkim stosował na sobie, ale bardzo lubił je też robić najbliższym dworzanom. Dodatkowo szlachtę potężnie rozwścieczył fakt, że cesarz w całym imperium zakazał polowań. Wszystkie te dziwactwa i szaleństwa skończyły się dość szybko. Teodorowi podano w lewatywie truciznę, a jego zgon niemal wszyscy powitali z ulgą, zwłaszcza dworzanie wymęczeni ciągłymi kuracjami serwowanymi im przez cesarza – entuzjastę lewatyw.

– Czego więc sobie życzymy poza zmianą cesarza? – spytał Löwefell.

Mariusz wyprostował się i uniósł ramiona najwyżej, jak dał radę, a potem zatoczył nimi krąg.

– Życzymy sobie zmiany powszechnej i całkowitej – oznajmił głośno i uroczyście. – Zmiany, która nie będzie niczym fałdka na wodzie jeziora, lecz powstanie niczym potężny cyklon, który owo jezioro wessie i przeniesie w całkiem inne miejsce. Takie miejsce, w jakim życzylibyśmy sobie je widzieć.

Löwefella zaniepokoiły te słowa. Oczywiście brał pod uwagę zwyczajowe Mariusowe zadęcie oraz mówienie zagadkami, metaforami i hiperbolami, ale i tak, nawet gdy się rozumiało, że van Bohenwald wyraża myśli z ogromną przesadą, nadal jego słowa brzmiały niepokojąco. Sam nie miał co prawda nic przeciwko zmianom, przeciwko ewolucji i kształtowaniu nowego, lepszego świata, gdyż w takim celu przecież istniało Święte Oficjum, lecz wypowiedź Mariusa brzmiała tak, jakby szykowano jakąś gwałtowną rewolucję, a akurat co do takich metod Löwefell nie był do końca, przynajmniej na razie, przekonany.

– Bardzo szlachetne zamiary – pochwalił na głos. – I będę ogromnie rad, mogąc pomóc w ich realizacji, jeżeli Wewnętrzny Krąg wyda mi takie polecenie.

– Czyli odmawiasz mi – stwierdził Mariusz, wznosząc oczy ku sufitowi, jakby wzywał wyobrażonego na freskach Jezusa na świadka swej krzywdy. – Skoro tak, spotkamy się z naszymi innymi towarzyszami jutro zaraz po nieszporach. Liczę na to, że może oni przekonają cię, byś nie dziurawił statku, którym wszyscy płyniemy.

Löwefell, słysząc te słowa, omal nie powstrzymał się od pokręcenia głową z politowaniem, ale w końcu tylko skinął Mariusowi na pożegnanie i odszedł. Na pozór mógł sprawiać wrażenie obojętnego, lecz świadomość, iż Inkwizytorium szykuje tak znaczące przetasowania polityczne, jednak go poruszyła. Bardzo był też ciekawy i jednocześnie zaniepokojony, co według słów Mariusa miało być tym cyklonem przenoszącym spokojne jezioro.



Po nieszpórach do celi Löwefella zastukał młody, uprzejmy mnich, który jedynie zameldował, że przyszedł poprowadzić go na spotkanie, „na które zaprasza mistrz van Bohenwald”, jak się wyraził, a potem już milczał do samej chwili, kiedy dotarli na miejsce. Otworzył przed Löwefellem drzwi, zaprosił go gestem do środka i mówiąc: „Szczęść Boże, miłego dnia, mistrzu Löwefell”, oddalił się do swoich spraw.

W pokoju siedział już Marius, rozparty na fotelu tak szerokim, że w zasadzie można już było go nazwać sofą, a obok na krzesłach siedzieli Katrina, Theodoros Angelidis oraz Barnaba Biber i, co za niespodzianka – Hildegarda Reizend. Löwefell już bardzo dawno nie widział mauretańskiej księżniczki, więc z ciekawością zerknął na jej twarz, by zobaczyć, czy kara zostawiła ślady na jej obliczu i nadszarpnęła młodość, ale niczego podobnego nie wypatrzył. Nontle musiała zauważyć jego oceniające spojrzenie, gdyż uśmiechnęła się lekko.

– Jak widzisz, nie jestem siwą, pomarszczoną staruszką, mimo twoich starań – powiedziała zjadliwym tonem.

Cóż, a więc nie zapomniała, jak mocno stanął przeciwko niej Löwefell w sprawie ruskich perypetii, ale inkwizytor przecież wcale się nie spodziewał, że ona o tym zapomni. Wręcz przeciwnie, sądził, że będzie pamiętała mu to do końca życia, choćby dlatego, że był ostatnim, który przemawiał w jej sprawie.

– Nigdy nie ośmieliłbym się życzyć ci niczego złego, księżniczko – oświadczył. – A wręcz przeciwnie, zawsze uważałem i uważam, że jesteś wyjątkowo pięknym kwiatem w naszym ogrodzie.

– Cóż za poetycka natura – zachwycił się van Bohenwald z teatralną sztucznością. – A przypomnij mi, Arnoldzie, czy wy, Persowie, gracie w ogóle na jakichś instrumentach? Na cymbałkach? Na bębenkach? Na triangolo? Mógłbyś skomponować dla naszej Hildegardy piękną perską symfonię. – Przymrużył oczy. – Na dwadzieścia cymbałków oraz bębenków.

– Wiem, Arnoldzie. – Nontle spojrzała na Löwefella, całkowicie ignorując Mariusa. – Wiem, że fakt, że mnie cenisz, wcale nie

przeszkadzał ci żądać dla mnie kary.

– Tak jest – odparł Löwefell. – Gdyż to były i są dwie różne sprawy. Ale cieszę się, księżniczko, że post minął bez śladu.

– Zmarszczka tu, zmarszczka tam – skrzywiła się Nontle. – Również pewne niewielkie skazy w miejscach, których nie pokazuję publicznie...

– Z przyjemnością skorzystam z mojej wiedzy medycznej, by ci pomóc – powiedział Löwefell. – Jak wiesz, nie potrafię odmładzać ludzi, ale na pewno potrafię tak formować ich ciała, by sprawiali wrażenie młodszych, niż są w rzeczywistości.

– Z radością skorzystam z tej propozycji – klasnęła Nontle. – Ze swoimi zdolnościami zrobiłbyś furorę na dworach książęcych i królewskich. Starzejące się księżniczki ustawiałyby się do ciebie w kolejkach i oferowały ci wszystkie skarby świata, nie mówiąc o samych sobie, tylko za złudzenie powrotu młodości – westchnęła.

– Mężczyźni również są próżni – zauważył Löwefell. – Więc może i oni dołączyliby do tych kolejek?

– Och, Arnoldzie, męska chęć bycia młodym nijak ma się do naszej kobiecej chęci! – zawołała. – Bowiem wielu mężczyzn obnosi swoje zmarszczki niczym trofea, twierdząc, że dodają im powagi i charakteru, a powiedz mi, czy spotkałeś kiedyś kobietę dumną z tego, ile nowych zmarszczek pojawiło się na jej twarzy?

– O, na niebiański miecz naszego Pana i na zagładę wszetecznej Jerozolimy! – zakrzyknął zgorzony van Bohenwald. – To po to pojawiliśmy się tutaj, rezygnując ze spraw tak pilnych, że całe chrześcijaństwo może z tego powodu ucierpieć, by wysłuchiwać waszego kłaskania o zmarszczkach oraz o kobiecej i męskiej urodzie? Jesteście na zgromadzeniu członków Wewnętrznego Kręgu Świętego Officjum, a nie plotkujecie w kolejce do studni.

Nontle odwróciła się błyskawicznie.

– Stoimy w kolejce do studni, którą ty jesteś, Mariusie, nikt inny – powiedziała z ciepłym oddaniem. – Ty oraz głębia twojej elokwencji i niezwykłej mądrości. Twoje słowa są niczym źródłana woda zraszająca nasze wysuszone na wiór umysły. Powiedz, proszę, coś

jeszcze – złożyła błagalnie dłonie – byśmy mogli zasłuchać się w muzyce twojego głosu.

Van Bohenwald westchnął i wzruszył ramionami.

– Dobrze, już dobrze, usiądźcie, proszę, bo kwestia, którą będziemy omawiać, jest tak poważnej natury, że należy jej się również powaga naszego zachowania – rzekł tym razem już głosem całkowicie spokojnym i rzeczywiście, nomen omen, poważnym. – Wiecie wszyscy, że zamierzamy zabić cesarza i wywołać niepokój polityczny oraz sprowokować korzystne dla nas zmiany, o których zaraz porozmawiamy – zaczął. – Jednak sprawy zaszły tak daleko, a zostanie to również wyjaśnione, że zażądano, abyśmy uwolnili, czy raczej uzgodnili z mnichami uwolnienie Wysłanników Czarnego Wiatru.

Van Bohenwald zamilkł, rozejrzał się po zebranych i wzruszył ramionami, kiedy zobaczył, że nikt się nie odzywa. Bo rzeczywiście niełatwo zaskoczyć członków Wewnętrznego Kręgu Inkwizytorium, lecz Mariusowi udało się to bez pudła.

– Chcesz doświadczyć świat zarazą? – spytała z niedowierzaniem Nontle. – Teraz?

– Co chcesz powiedzieć przez słowo „teraz”? – mruknął Marius. – Uważasz, że dzisiaj to jest niedobry pomysł, lecz już jutro nabierze blasku, który ci się spodoba?

– Nie mam nic przeciwko wygubieniu części, a nawet całej ludzkości – rzekł głośno Löwefell. – Jednak pod warunkiem, że na miejsce dotychczasowego ładu utworzyłby się nowy porządek świata, prawdziwie chrześcijański. Lub na miejsce ludzi powstał nowy gatunek rozumny, nie tylko doskonalszy od nich, lecz przede wszystkim kroczący niezachwianie ścieżką Bożej światłości. – Powiódł wzrokiem po zebranych. – W tym jednak wypadku odczuwam to, co pragniecie uczynić, jako zaledwie intrygę polityczną, jako manewr nawet nie natury strategicznej, lecz zaledwie taktycznej.

Van Bohenwald chciał coś odpowiedzieć, ale Löwefell podniósł szybko dłoń, dając znać, by mu nie przerywano.

– Dodam jeszcze, że wiemy doskonale z przykładów przeszłości, że nawet najbardziej zjadliwa zaraza nie jest w stanie uśmiercić całej cywilizacji – stwierdził. – Epidemie są ograniczone zarówno co do terytorium, jak i przede wszystkim słabną w miarę upływu czasu. Owszem, wiemy, że najstraszniejsze epidemie potrafiły zabić średnio połowę lub nawet więcej mieszkańców objętego nimi obszaru. Ale to nadal jest tylko połowa...

– Krwiożerczy Arnoldzie, uspokój się, na Boga! – zawołał van Bohenwald z teatralną zgrozą. – My wcale a wcale nie chcemy likwidować całej ludzkości.

Katrina skinęła głową na znak, że zgadza się z Mariusem, i odwróciła się w stronę Löwefella.

– Nie pragnę bronić ludzi, gdyż ich doczesne życie nie wydaje mi się ani potrzebne, ani wartościowe, a wszystko, co prawe, szlachetne i wzniosłe, może ich spotkać dopiero po śmierci. Ale wierz mi, Arnoldzie, że nie chcemy unicestwić ludzkości – powiedziała łagodnie. – Bo jeszcze nie nadszedł czas na działania tak gwałtowne i tak radykalne...

– I tak nieodwracalne – wtrąciła Nontle.

– Oczywiście. – Katrina spojrzała na nią i skinęła głową. – Chwila, w której zdecydujemy się na wygubienie wszystkich ludzi, na pewno nie nadejdzie ani szybko, ani bez powodu. Przede wszystkim musimy być całkowicie pewni, że stworzymy na ich miejsce nowy, szlachetniejszy gatunek istoty rozumnej. Być może nawet wyglądający tak samo, być może połączony z poprzednim więzami krwi, jednak mający innego ducha i inny umysł.

– Oby tak się kiedyś stało – modlitewnym gestem złożył dłonie Biber. – Bo im dłużej żyję, tym mniej wierzę w naprawę obecnego świata i odczuwam przemożną potrzebę ujrzenia świata stworzonego według nowych wzorców i reguł, gdyż...

– Bóg jest pełen miłosierdzia – przerwała mu Katrina. – I jestem pewna, że choć ludzie Go zawiedli, a wolna wola, którą im zaoferował, poprowadziła ich nie w stronę szlachetnej poprawy, lecz najgorszego wynaturzenia, to jednak nasz Pan w swojej litości wciąż

waha się przed starciem na proch ludzkiej cywilizacji. – Westchnęła. – Dlatego właśnie plan, by cywilizację tę zreformować za pomocą wielkiej zmiany wydaje się całkiem trafny. – Zawahała się na moment. – Całkiem trafny, jeżeli oczywiście chcemy, by ludzkość przetrwała. Może damy tym biedakom ostatnią szansę.

– No właśnie! – klasnął van Bohenwald. – Tak należy to rozumieć.

– Dlaczego osłabiamy nasze Cesarstwo? A najprawdopodobniej również Bizancjum i Polskę, pewnie też Ruś oraz Persję, bo i do nich dotrze epidemia? – spytał Angelidis.

– Liczymy się z tym, że w Europie oraz części Azji i Afryki wyginie ponad połowa mieszkańców – rzekł van Bohenwald.

– W czasach wielkiego smutku oraz wielkiej trwogi ludzie rozpaczliwie szukają szlachetnego i mądrego przywódcy, który wyprowadzi ich z ciemności w stronę światła – rzekł Biber. – Szukają kogoś, kto ciesząc się szczególnymi łaskami u Boga, wyprosi łaskę również dla nich.

– I to będziemy my – zrozumiał Löwefell.

– Tak, Arnoldzie. Pozwolimy, by zaraza przetoczyła się przez świat, a kiedy przyjdzie stosowna chwila, okiełznamy ją i skupimy ludzi pod naszym sztandarem. Nie będzie już ani Cesarstwa, ani papieża, a tylko wszędzie Święte Officjum. Otoczone chwałą, miłością, wdzięcznością i rządzące całkiem jawnie.

Löwefell wstrząsnął głową, nie dowierzając temu, co właśnie słyszy.

– Zawsze staliśmy w cieniu – rzekł. – Zawsze obserwowaliśmy świat, a zwłaszcza tych, którzy lubili przechwalać się w jasnym świetle swoimi wpływami, władzą i pieniędzmi. Teraz mamy zrezygnować z tej skromności?

– Nie, nie. – Marius zatrzepotał gwałtownie rękami. – Broń nas, Boże, przed podobnym postępowaniem! My, Wewnętrzny Krąg, nadal będziemy stać w cieniu i nadal będziemy z tego cienia obserwować wszystkich ludzi, łącznie z rządzącymi inkwizytorami. Zrozum, Arnoldzie, w działaniu Świętego Officjum nastąpi taka zmiana, że inkwizytorzy w lokalnych oddziałach Inkwizytorium

zajmować się będą nie tylko odstępstwami od naszej świętej wiary, ale wszystkim. Będą kimś w rodzaju... – zawiesił głos i wzruszył ramionami – gubernatorów, rządzących daną prowincją w imieniu Wielkiego Inkwizytora, któremu będą podlegali.

– A gdzież będzie się znajdował dwór owego Wielkiego Inkwizytora? – zapytał ironicznie Löwefell. – W Watykanie?

Marius pomachał palcem wskazującym.

– Żartownisiu, żartownisiu – skarcił Löwefella. – Oczywiście, że siedziba Wielkiego Inkwizytora nie będzie się znajdować w Watykanie, Arnoldzie. Ta plugawa, zatęchła nora papistów, ta jaskinia wszelkiej nieprawości zostanie przez nas zaorana i zasypana solą, tak jak uczyniono to przed wiekami z Kartaginą na skutek woli Senatu rzymskiej Republiki. Wielki Inkwizytor rządzić będzie z Engelstadt lub z Hez-hezronu, bo co do tego nie mamy jeszcze ani zgody, ani pewności.

– A cóż planujecie uczynić z papieżem w tym śmiałym zamysle? – dopytał jeszcze Löwefell.

Marius skrzywił się.

– Papież, a musimy to przyznać z pewną niechęcią, stanowi autorytet dla wielu chrześcijan. I choć wiemy, że na tronie papieskim zasiadało bez liku plugawych kanalii, a nawet zbrodniarzy, to czy nam się to podoba, czy też nie, masy wiernych są tak otepiały, iż darzą to stanowisko szacunkiem. Nie zlikwidujemy więc samego stanowiska, chociaż oczywiście obecny papież całego tego zamieszania nie przeżyje.

– A Italia oraz państwo papieskie zostaną włączone do Cesarstwa i poddane władzy Wielkiego Inkwizytora – dokończył Biber.

– No proszę, a więc narysowaliście już nawet mapki nowego, wspaniałego świata – stwierdził zgryźliwie Löwefell.

– Wyczuwam w twoim głosie nutę niechętną naszym ideom kontestacji, mój najdroższy perski przyjacielu – powiedział Marius z wyraźną naganą w głosie oraz z równie wyraźnym rozżaleniem. – Czyż krótkie, bo krótkie i w twoim wypadku niewiele, niestety, dające obcowanie z najtęższymi umysłami Wewnętrzznego Kręgu,

czyż pobyt w tym świętym miejscu, jakim jest nasz klasztor, czyż wszystko to nie nauczyło cię, że Święte Officjum niczego nie czyni pochopnie, a nasze uczynki wypływają z głębokiego przeświadczenia, ba, powiem w imieniu wszystkich: najgłębszego przeświadczenia, że działamy w imię woli Bożej? Ale nic to, bowiem rozprawiać o przyszłości świata nie tylko musimy, ale również uczynimy to w dużo większym gronie. Was jednak, moi mili – objął towarzyszy wzrokiem – życzyłem sobie poinformować jako pierwszych, byście mieli czas do przemyśleń i wspomżenia rozumu modlitwą.



Do pokoju Löwefella zapukał nie mnich, by przypomnieć o naradzie i zaprowadzić na nią inkwizytora, lecz nieoczekiwanie z tą misją pofatygował się osobiście sam van Bohenwald. On oczywiście nie pukał do drzwi, lecz wkroczył do kwatery z prawdziwie wielkim impetem, momentalnie wypełniając niewielkie przecież pomieszczenie nie tylko swoją ogromną postacią, ale również niezwykle intensywnym zapachem paczuli.

– To my wszyscy czekamy na ciebie, a ty sobie spokojnie śpisz, Arnoldzie? – zawołał z wyrzutem. – Wstawaj, mój perski chłopcze, i przyszykuj stopy do tak rączego biegu, jakbyś był perskim gepardem[20] na polowaniu, gdyż inaczej ominą cię najważniejsze ze spraw, jakie zostaną poruszone na naradzie.

Löwefell nie spał, leżał tylko na łóżku, pogrążony w lekturze. Wyjątkowo nie czytał żadnego poważnego traktatu mistycznego, filozoficznego czy historycznego, lecz lekkie dzieło komediowe Filemona z Syrakuz[21], którego cenił za lekkość języka oraz sztukę konstruowania fabuł. Van Bohenwald z niechętnym prychnięciem uniósł tę książkę w dwóch palcach, tak jakby mogła go ubrudzić.

– Och, Arnoldzie, Arnoldzie, jakież to plebejskie upodobania i gusta każą ci czytać sztuki tego zapomnianego komediopisarza,

o którym w samej Grecji nie pamięta już pies z kulawą nogą?

Löwefell wstał i przechodząc, uchylił się lekko, by nie dotknąć Mariusa.

– Jestem gotów. Możemy iść – oznajmił.

– Ech, mój pochopny i gwałtowny Persie – zawołał van Bohenwald. – Zerwałeś się niczym burzowy wiatr, nie zważając wcale, że jestem stary, słaby i bardzo się zasapałem, biegnąc z wiadomościami do ciebie niczym lada jaki posłaniec!

Z głośnym i pełnym ulgi westchnieniem opadł na krzesło, a Löwefell pomyślał, że ten drewniany skromny mebel musi być dla Mariusa bardzo niewygodny, gdyż ogromne pośladki grubasa nawet nie mieściły się na siedziszczu. Tłusty inkwizytor zresztą próbował usadowić się wygodniej, ale z uwagi na rozmiar krzesła i rozmiar siadającego było to niemożliwe. Więc van Bohenwald podniósł się niemal tak szybko, jak wcześniej usiadł, i prychnął z irytacją.

– Nie ma sensu kłuć ludzi w oczy pozornym umartwianiem – stwierdził ponuro. – Mógłbyś rozkazać, by ci przyniesiono jakiś wygodny, szeroki i miękko obijany fotel. Bo świętość nie ma niczego wspólnego z wyrzeczeniem się wygody. – Pogroził Löwefellowi palcem. – Pamiętaj o tym, przyjacielu, kiedy zechcesz znowu niepotrzebnie umartwiać ciało.

Potem milczał chwilę, aż wreszcie machnął dłonią.

– No otwórz wreszcie te drzwi, Arnoldzie, ileż można czekać? – zawołał poirytowany. – Przecież nie będę się tutaj przepychał obok ciebie jak jakiś kupczyk gnający, by zająć jak najlepsze miejsce przy straganie.

Wyszli na korytarz, a tam van Bohenwald jednak przepchnął się przed Löwefella i ruszył bardzo szybkim, jak na jego tuszę, krokiem. Zresztą Löwefell od dawna wiedział, że postura Mariusa nie ma nic wspólnego z jego rzeczywistą sprawnością. Mógł sobie tłusty inkwizytor wyglądać niczym tucznik z hodowli pragnącej mieć w swojej kolekcji jak największe okazy, ale tak naprawdę był sprawny, silny i potrafił reagować z nieludzką wręcz szybkością. Löwefell zastanawiał się (i zapewne nie był jedynym, który to robił),

dlaczego van Bohenwald zdecydował się przybrać tak groteskową postać. Przecież przy magicznych zdolnościach inkwizytorów nie byłoby nic trudnego w ukształtowaniu jego ciała w taki sposób, by wpisywało się raczej w zwyczajność niż karykaturalną nadzwyczajność. Sam Löwefell bez trudu mógłby przeprowadzić zabieg, który Mariusowi ująłby wiele kilogramów i kilka łokci z obwodu pasa. A jednak van Bohenwald wyraźnie życzył sobie pozostawać w takiej formie, w jakiej widziano go w tej chwili. Czy była to kwestia tworzenia pewnego złudnego, fałszywego wizerunku, tak różnego od rzeczywistości? Czy van Bohenwald, jeden z najpotężniejszych i najgroźniejszych ludzi na świecie, cieszył się z tego, iż niewtajemniczonym oczom może się wydawać tylko zabawnym grubasem, kolebiącym się z nogi na nogę niczym tłusta, okulawiona kaczką? A może taka postura była świadectwem sentymentu? Może van Bohenwald właśnie tak wyglądał, zanim stał się członkiem Wewnętrznego Kręgu, i pragnął zachować pamięć owych dawnych czasów? Löwefell nie wiedział, co robił Marius, zanim został inkwizytorem, z pewnych uwag i wtrętów zdołał tylko wywnioskować, iż tak jak wielu tutaj, należał niegdyś do wrogów chrześcijan i chrześcijaństwa oraz był naprawdę stary. Ale jak bardzo stary i skąd pochodził oraz czym się wsławił, o tym już Löwefell nic nie słyszał. Być może mógłby się tego dowiedzieć, wypytując innych inkwizytorów, ale ani nie wydawało mu się to nadzwyczajnie istotne, ani nie życzył sobie, by wieść o podobnych indagacjach dotarła do samego Mariusa.



– A więc spójrz, Arnoldzie, do czego doprowadziły twój upór oraz odmowa wykonania rozkazów wydanych przez Wewnętrzny Krąg – wyszeptał przygnębiony van Bohenwald. – Oto tylu ludzi musiało się zebrać, aby przekonać cię, że mamy rację, i abys zechciał tę rację nam przyznać. Tylu dobrych inkwizytorów musiało zrezygnować ze

swych nad wyraz pilnych obowiązków, by przybyć tu z powodu wywołanego jedynie twoim kaprysem!

Löwefell oczywiście pominął uwagi Mariusa obojętnością i milczeniem. Po pierwsze, należały one do zwykłego repertuaru narzekań, konfabulacji i teatralnego zadęcia van Bohenwalda, ale po drugie, sprawa była niewątpliwie znacznie bardziej poważna, niż mogłoby się wydawać. Bo Löwefell nigdy wcześniej nie widział tylu inkwizytorów Wewnętrznego Kręgu i tylu mnichów zebranych naraz w jednej sali. Nie oznaczało to oczywiście, że podobne narady wcześniej się nie odbywały (a Löwefell po prostu wtedy nie był na nie zapraszany), niemniej ten tłum robił wielkie wrażenie. Jakoś też się tak składało, że Löwefell nie był przyzwyczajony w Amszilas do obecności wielu osób w jednym miejscu. Tereny klasztoru były na tyle rozległe, że nawet jeśli przebywało w nim wielu mnichów oraz inkwizytorów, to po prostu nie było ich widać. Owszem, w ogrodach można było czasem spotkać grupkę czterech, pięciu osób, owszem – w refektarzu zbierało się ich czasem kilkanaście (ale Löwefell i tak zazwyczaj prosił o przynoszenie mu posiłków do pokoju), owszem – przy bramie lub stajniach można było czasami zobaczyć większą liczbę mieszkańców klasztoru, ale zawsze wtedy wszyscy oni zajęci byli swoimi sprawami, każdy inną, a nie gromadzili się, by dyskutować o jednej i tej samej kwestii. Löwefell czasami zastanawiał się, ilu członków liczy Wewnętrzny Krąg, jakie panują zasady zaproszenia do niego i jakie też panują zasady usunięcia z niego (jeśli w ogóle taka procedura się zdarzała). Wiedział, że tylko część towarzyszy przebywa w samym klasztorze, a wielu zostało rozesłanych po całym świecie, by wykonywać przeróżne zadania na zlecenie Świętego Officjum. Przecież inkwizytorzy przebywali nie tylko na terenie Cesarstwa, ale również w Italii czy Bizancjum, a Löwefell nie miał wątpliwości, że incognito penetrowali zarówno Palatynat, jak i Królestwo Polskie. A niedawno sam Marius wyrażał niezadowolenie, iż udali się na wyprawę do Nowego Świata. Czy członkowie Wewnętrznego Kręgu działali także na terenie Persji? Löwefell nie miał co tego wątpliwości. Persja była zbyt potężna, ale

przede wszystkim zbyt interesująca od strony zarówno politycznej, jak i mistycznej, by zaniedbać jej obserwację, a może lepiej powiedzieć: wytrwale i wytężone szpiegowanie za pomocą wszelkich dostępnych metod. Zresztą wielu inkwizytorów z sentymentem i nadzieją myślało, iż uda się wskrzesić ideę wypraw krzyżowych, by odbić Ziemię Świętą z rąk perskich czcicieli ognia i demonów. Inna sprawa, że w samym Inkwizytorium nie było zgody co do podjęcia wysiłku krucjatowego (a byłby to przecież wysiłek imponująco olbrzymi). Wielu członków Wewnętrznego Kręgu sądziło, że najpierw wypadałoby się nie tylko rozprawić z heretyckim Palatynatem, ale przede wszystkim umocnić władzę inkwizytorów w całym Cesarstwie, by wtedy dopiero zdecydować się na zaatakowanie zewnętrznego przeciwnika. Zresztą w przypadku krucjaty oprócz problemów wewnątrz samego Cesarstwa niewątpliwie wchodziły w grę również skomplikowane kwestie natury politycznej, bo Bizancjum było wprawdzie od wieków w stanie chwiejnej, raz większej, raz mniejszej, wrogości z perskim imperium, ale od dawien dawna nie toczyło już prawdziwie wielkiej wojny i bizantyjscy cesarze oraz arystokraci wydawali się wcale nie mieć na to ochoty. No i, rzecz jasna, poza wszystkim innym wchodziła w grę jeszcze jedna sprawa (przecież absolutnie witalna dla powodzenia podobnej krucjaty), a mianowicie kwestie militarne. Persja miała wiele swoich kłopotów, ale była imperium bogatym i ludnym, dysponującym silną armią i gotowym do zmobilizowania tysięcy i tysięcy żołnierzy w obronie terytorium. A sile inkwizytorów Wewnętrznego Kręgu Persowie przeciwstawiliby potęgę własnych magów ognia, może nie tak wprawnych jak najmocniejsi wśród inkwizytorów, niemniej bardzo, bardzo groźnych. Dlatego decyzja o powszechnej wojnie z Persją wcale nie była ani łatwa do podjęcia, ani łatwa do zrealizowania, zważywszy, że cesarska szlachta nie pałała szczególną chęcią, by toczyć boje i umierać na rubieżach znanego nam świata. A kogoś takiego jak Aleksander Macedoński, kto potrafiłby nie tylko doskonale dowodzić, lecz również natchnąć wojennym zapalem

wszystkich obywateli, próżno było szukać w całym Cesarstwie. Zresztą i sam wielki Macedończyk musiał zmierzyć się z buntem we własnych szeregach, kiedy chciał z armią wędrować na koniec świata. I kto wie czy nie otruli go jego własni oficerowie[22], którzy po latach wojny zapragnęli wreszcie pokoju, a nie ciągłych bitew, zaspokajających królewski głód władzy i podbojów.

– Drodzy towarzysze, o wy, najwaleczniejsi z walecznych żołnierze na wojnie Chrystusa – zaczął gromkim głosem van Bohenwald. – Jakże się cieszę, że właśnie teraz mogę widzieć was wszystkich tutaj, w kręgu tak pełnym zaufania i miłości, w jakim zebrać się mogą tylko ludzie wypełnieni pasją Jezusa i jego nauki, bo przecież wy jesteście niczym puchary napełnione po brzegi najkosztowniejszymi olejami i balsamami, tyle że balsamów tych nie przeznaczono dla ciał, lecz dla ludzkich dusz.

Katrina spojrzała na Löwefella, przymknęła oczy i pokręciła głową.

– Nigdy go nie zrozumiem – szepnęła.

Tak, to była prawda. Gdyby van Bohenwald przemawiał do zwykłych ludzi, mógłby sobie grać na ich uczuciach czy trącać w sentymentalne, patetyczne nuty. Jednak inkwizytorzy zebrani tutaj, ci najbardziej zaufani z zaufanych, doskonale wiedzieli, kim są i do jakiego celu zmierzają, i nie było sensu im tego przypominać. Nikogo ani nie obchodziły wypowiedane przez Mariusa gładkie frazesy i komplementy, ani nikogo nie wzruszały. Takie w każdym razie wrażenie odnosił Löwefell, i był pewien, iż jest to wrażenie całkowicie lub przynajmniej niemal całkowicie prawdziwe.

– Jestem przeciwnikiem wojny – oznajmił twardo nieznany Löwefellowi inkwizytor, który jako żywo na przeciwnika wojny nie wyglądał, a raczej na żołnierza, tak muskularnie był zbudowany. Wygolona głowa i szeroka blizna, przechodząca mu od kącika oczu po usta, dopełniały tego wizerunku.

– Wszyscy jesteśmy przeciwnikami wojny, gdyż wszyscy chcemy żyć w pokoju Chrystusa! – wykrzyknął Marius gromko i uniósł ramiona. – Ale aby ustanowić wieczny pokój, musimy wpierw

zniszczyć tych, którzy dostępu do pokoju tak zawzięcie nam bronią. Mówiąc krótko: cieszyć się szczęściem będziemy mogli dopiero wtedy, kiedy pozabijamy tych wszystkich, którzy na drodze do szczęścia nam stoją!

– Daj spokój swoim komediom, Mariusie – nakazał ostrym tonem wyglądający niczym wojownik inkwizytor.

Katrina spojrzała w stronę Löwefella.

– To wojewoda Świętomir Odrowąż – wyjaśniła.

– Polak? – zdziwił się Löwefell, który nigdy nie widział żadnego Polaka, nie tylko służącego w Wewnętrznym Kręgu, ale nawet jako zwykłego inkwizytora.

– Skoro w Inkwizytorium służą Bizantyjczycy, Normanowie czy Brytowie, a nawet mauretańska księżniczka, to dlaczego miałoby nie być również Polaka? – zapytała żartobliwym tonem. – Ma wielkie wpływy na polskim dworze, jest przyjacielem i doradcą króla Władysława.

Löwefell nie musiał o to pytać, bo był pewien, że Polacy nie mają pojęcia, że ich wojewoda służy nie tylko swojemu królowi, ale również Świętemu Officjum. A sam król Władysław? Czy chociaż on zdawał sobie sprawę z podwójnej roli doradcy? Kto wie, może wiedział i może nawet widział w tym korzyści dla własnego państwa? Święte Officjum szczerze ubolewało, że Polacy nie pozwalają na działanie inkwizytorów w swoim kraju, ale jednocześnie z uznaniem przyglądało się, że bardzo sprawnie ścigają czarowników, demonologów, wiemy czy nekromantów. Chociaż z drugiej strony mieli bardzo wyrozumiały stosunek do wszelkiego rodzaju herezji i stąd na polski dwór zjeżdżali nie tylko filozofowie i myśliciele, nie tylko ludzie nauki, ale również artyści, których w Cesarstwie uznawano za zbyt śmiało poczynających sobie na polu swobody myśli...

Kiedy zamieniali tych kilka zdań, Marius rozpoczął długą tyradę na temat niewdzięczności, jaka go spotyka, i złego odczytywania jego intencji oraz nie omieszkał wspomnieć, że nic dziwnego, iż polskie królestwo do tej pory nie doceniło łaski prawdziwej wiary,

skoro nawet pochodzący z Polski członkowie Wewnętrznego Kręgu nie potrafili uszanować powagi oraz świętości zebrania zwołanego w Amszilas. Wojewoda Odrowąż słuchał tego wszystkiego z kamienną twarzą, a kiedy Marius skończył, rzekł donośnym głosem:

– Nie przyjechałem tu, by wysłuchiwać pozbawionych znaczenia frazesów, które tak łatwo wychodzą z twoich ust – rzekł twardo. – Przyjechałem, by podjąć decyzję o przyszłości naszego świata. Więc rozmawiajmy o tejże właśnie przyszłości świata, a nie o twoich urojonych krzywdach.

Löwefell aż się uśmiechnął z satysfakcją, że oto na oczach całego Wewnętrznego Kręgu, czy przynajmniej tych jego członków, którzy mogli się pojawić, Marius przeżywa takie kłopoty i zostaje publicznie tak mocno napiętnowany, a może lepiej powiedzieć: zganiony. Oczywiście van Bohenwald zupełnie się nie przejął ani naganą z ust wojewody, ani wyraźnym zadowoleniem, z jakim tej nagany słuchało wielu członków Wewnętrznego Kręgu.

– Oczywiście, moje miłe siostry i moi mili bracia – powiedział – że właściwym celem naszego spotkania jest to, że dzisiaj rozpatrzymy sprawę, która każdemu z nas leży na sercu. Każdemu z nas objaśniono też dokładnie, z jakiego powodu się spotykamy, i każdy z nas z całą pewnością miał dość czasu, by zważyć w swoim rozumie i sercu wszystkie argumenty za oraz argumenty przeciw, jeśli takie w ogóle znaleźliście...

Marius zaczerpnął tchu, odczekał chwilę, po czym rozejrzał się po sali.

– Zanim jednak, ukochani siostry i bracia w Chrystusie, podejmiecie dyskusję oraz decyzję, będę was prosił o jedno: abyście wysłuchali kogoś, kogo zasługi dla Świętego Officjum są niepodważalne i ogromne, kto uratował nas już raz przed wielką klęską i kto olśniewa nas swoimi niesłychanymi zdolnościami. I kto... – Marius wzmocnił głos – a dodaję te słowa z prawdziwą wiarą: jest całym sercem oddany sprawie Chrystusa oraz całym sercem pragnie służyć Świętemu Officjum.

– Wiesz, Arnoldzie, jaki diabełek wyskoczy teraz z Mariusowego pudełeczka? – zapytała żartobliwym tonem Katrina.

Löwefell skinął głową.

– Oczywiście – odparł. – Po tym przedstawieniu raczej nie może być wątpliwości, że będzie to Matyllda. Z prawdziwą radością ją zobaczę – dodał.

Matyllda była niegdyś częścią Trójniaka – zdumiewającej istoty złożonej z trojga osób zrosniętych za pomocą głów i współdzielących mózg. Trójniak służył Świętemu Officjum, gdyż dysponował niezwykle zdolnościami nadnaturalnymi, ale sama Matyllda zapragnęła kiedyś wolności. I zapragnęła jej tak silnie oraz tak poważnie grożąc Świętemu Officjum, że zdecydowano się posłuchać jej próśb czy mówiąc bardziej bezpośrednio: ugiąć się przed jej szantażem. Niezwykle wyczerpującą oraz skomplikowaną operację rozdzielenia rodzeństwa przeprowadził na życzenie Mariusa sam Löwefell i operacja ta w pełni się udała. Rozdzielona z braćmi Matyllda nie tylko nie straciła swych niezwykle umiejętności, ale wręcz przeciwnie – udoskonaliła je. Löwefell, po pierwsze, miał wrażenie, a nawet przekonanie, że wcześniej zrosnięci z nią bracia nie tylko nie dawali dziewczynie wsparcia, nie tylko nie tworzyli z nią magicznej synergii, lecz wręcz przeciwnie: ograniczali ją. Po drugie, nie potrafił jednak ocenić prawdziwego charakteru oraz zasięgu wzmocnionych po zabiegu mocy Matylldy.



Matyllda na pozór nie zmieniła się od czasu, kiedy Löwefell widział ją po raz ostatni, a może lepiej powiedzieć, że nie postarzała się ani o jeden dzień, co zresztą w Amszilas było raczej zwyczajne niż wyjątkowe. A jednak jej wygląd uległ subtelnemu przeobrażeniu. Zawsze jasna, wręcz blada twarz teraz zdawała się rozświetlona wewnętrznym blaskiem. Kiedy weszła do sali, nie przypominała w najmniejszym stopniu nieszczęśliwej i zagubionej, chociaż

odważnej młodej kobiety, jaką była przed operacją rozdzielania i niedługo po niej, kiedy szukała sobie miejsca w nowym dla niej świecie. Teraz wkraczała do komnaty pełnej członków Wewnętrznego Kręgu niczym królowa. Chociaż nie była to królewskość wynikająca z bogactwa ubioru czy klejnotów, co to, to nie. Matylda była bowiem ubrana jedynie w prostą białą suknię sięgającą kostek i wysoko zapiętą pod szyją. Bardziej w tym stroju przypominała młodą, uduchowioną mniszkę niż... no właśnie: niż kogo? Kim była teraz? Czy dalej jasnowidzącą doradczynią potrafiącą poruszać się po liniach i niciach zdarzeń przeszłych, teraźniejszych i przyszłych, czy też stała się już kimś więcej niż tylko doradcą Wewnętrznego Kręgu? Królewskość, ten majestat powagi, jaki bił od niej, wynikał z aury, która ją otaczała. A po małej chwili Löwefell dostrzegł, że nad Matyldą, pod samym sufitem, z rozłożonymi śnieżnobiałymi skrzydłami, płynie ogromny Anioł w srebrzystej zbroi. Anioł był uzbrojony w dwa świetliste miecze, zakrzywione niczym perskie jatagany, a oba te obnażone miecze lśniły w jego dłoniach. Nieruchomy, choć wypełniony bólem i szaleństwem wzrok Anioła prześlizgiwał się po zebranych inkwizytorach, a Löwefell miał wrażenie, że to nieludzkie, oszalamiające spojrzenie jest jednocześnie skierowane na każdego z nich. Był to prawdziwie imponujący popis siły, lecz Löwefell zastanawiał się, czy Matyldzie rzeczywiście coś groziło, skoro czuwał nad nią Anioł? Przecież Pięknej Katarzyny, matki Mordimera Madderdina, również strzeżono w podobny sposób. Inna sprawa, że ochraniający tę byłą wiedźmę i kurtyzanę Anioł, choć potężny, nie roztaczał jednak pełnego grozy majestatu jak ten, który płynął nad Matyldą.

– Imponujące przedstawienie – parsknął Odrowąż. – Może wyjawisz nam, Mariusie, cóż tak strasznego może stać się Matyldzie, że na zebraniu Wewnętrznego Kręgu musi chronić ją Anioł?

– W przypadku Narsesa mówiono podobnie – odezwał się ktoś, ale Löwefell nie dostrzegł autora wypowiedzi. – Mówiono: jest już w Amszilas, jest całkiem bezpieczny. – W głosie mówiącego

zabrzmiała ironia. – A potem mieliśmy maga z ugotowanym mózgiem zamiast cennego informatora i bezcennego sojusznika.

– Czujesz się, jakbyś miał ugotowany mózg? – zaszepiała Katrina i położyła dłoń na dłoni Löwefella.

Matylda stanęła obok Mariusa, blada, z nieruchomą twarzą, jakby nie do końca istniejąca tutaj i teraz, ale zdająca się błąkać wzrokiem i myślami po rubieżach, które tylko ona sama widziała.

– Anioł nie chroni Matyldy przed tobą, zacny wojewodo – wyjaśnił Marius kąśliwym tonem. – Jest wręcz odwrotnie: Anioł chroni nas wszystkich przed Matyldą i jej mocą, która to moc, choć potężna i niezwykła, nie została ani przez nas, ani przez samą Matyldę do końca opanowana oraz okiełznana. Powiem krótko, dostojne siostry i bracia: Matylda, nie pragnąc wcale niczyjej krzywdy, mogłaby jednak wywołać kataklizm, który spowodowałby wielkie szkody, być może nawet skrzywdził kogoś z nas. Jest pewne, że wtedy, kiedy doszłoby już do tak niebezpiecznych wydarzeń, w obronie własnej musielibyśmy naszą podopieczną unieszkodliwić, być może nawet uczynić jej krzywdę, co mogłoby przecież skończyć się nawet jej okaleczeniem lub śmiercią. Dlatego Anioł czuwa nad nią i jej stanem, gotów w każdej chwili przyjąć na siebie miażdżące uderzenie jej umysłu.

– Mój Boże, co oni jej zrobili? – zaszeptał Löwefell, który był pewien, iż Marius przy całym swoim zamiłowaniu do celowej teatralnej przesady nie odważyłby się kłamać przed gremium Wewnętrznego Kręgu, przed inkwizytorami najwyraźniej niezdającymi sobie sprawy z tego, jak niebezpieczna stała się wyleczona przez Löwefella kobieta.

Matylda stała nadal nieruchomo, jakby nie słyszała słów van Bohenwalda. Miała przymknięte oczy.

– Tak właśnie jest, jak mówi Marius – odezwała się nagle głosem czystym, silnym i melodyjnym. – Musicie wybaczyć mi tę niedogodność, która was spotyka, lecz zapewniam, że to jedyny sposób, abym mogła się z wami zobaczyć, nie stwarzając niebezpieczeństwa dla nikogo.

Przemawiała cały czas z zamkniętymi oczami, a dłonie spłotła na podołku.

– Nie mogę długo z wami zostać, ale poproszono mnie, abym w tym czasie, który został nam podarowany, opowiedziała wam wszystko, co wiem o zagrożeniach, jakie na nas czekają. A są to zagrożenia nie tylko dla ludzkich królestw, nie tylko dla życia ludzi oraz nie tylko dla Świętego Officjum, lecz dla chrześcijaństwa, a być może, kto wie, nawet dla istnienia całego świata.

– Ja chętnie wysłucham, co zagraża naszemu światu, oraz równie chętnie zapoznam się z radami, jak temu zagrożeniu możemy zaradzić – rzekł Odrowąż.

– Proszę, Matyldo, mów – powiedział van Bohenwald z nieoczekiwaną uprzejmością i łagodnością w głosie.

Kobieta otworzyła oczy, a Löwefellowi wydawało się, że jaśnieją one nadnaturalnym blaskiem i że w ich źrenicach kryje się jakaś przepastna głębia, nie złowieszcza czy ponura, lecz prowadząca w podobne otchłanie szaleństwa, co wzrok Aniołów. Matylda zaczęła mówić głosem spokojnym i dźwięcznym, ale bez uniesień, bez emocji, bez nawet śladu egzaltacji. Chociaż opowiadała o sprawach przerażających: o chaosie, o wojnach, wreszcie o wywołanej przez czarnoksiężników inwazji demonów. O hordach potworów pustoszących ziemię i przywracających na świat to, o czym wspominali kronikarze z czasów Mrocznych Wieków, o bestiach bezkarnie kroczących pomiędzy ludźmi. Inkwizytorzy słuchali jej proroczego wyводу, ani nie przerywając, ani nie okazując zniecierpliwienia czy niedowierzania. Chociaż mówiła całkiem długo, kreśląc koszmarnie wizje i jednocześnie wyjaśniając, dlaczego zarówno ona, jak i przeor klasztoru Amszilas i Marius van Bohenwald zdecydowali, że wizjom tym nie tylko warto zaufać, lecz że wręcz zaufanie im jest egzystencjalną koniecznością.

– Nie zostałam pokarana klątwą nigdy niewysłuchiwanych przepowiedni, niczym Kasandra[23] – uśmiechnęła się słabo na koniec – więc wiem, że przynajmniej część z was mi wierzy, a część uważa, że bezpieczniej będzie mi uwierzyć, niż nie uwierzyć. Ale

zwracam się do tych z was, którzy się wahają lub uważają, że popełniam błąd. – Objęła wzrokiem zasłuchanych inkwizytorów i złożyła dłonie jak do modlitwy. – Błagam was, bracia i siostry w Chrystusie, zaufajcie mi! Bo los świata spoczywa w waszych rękach. Jeżeli niepokoiacie się o życie zwykłych ludzi i jeżeli nie trafiają do was argumenty, że śmierć będzie dla nich łaską, a nie karą, to zważcie, że jeśli nie zgodzicie się na uwolnienie Czarnego Wiatru, to tych ludzi zginie wiele, wiele więcej. Zważcie też, że w wojnie z demonami, która się rozpęta, ginąć będą również inkwizytorzy. I pomyślcie teraz, czy łatwo odbudujemy potęgę Świętego Officjum, jeśli nastanie chaos, którego nie tylko nie będziemy kontrolować, ale który może zadać nam szereg dojmujących klęsk?

Cisza po jej słowach przedłużała się, wreszcie van Bohenwald odchrząknął i powiedział:

– Wysłuchaliście naszej umiłowanej Matyldy i teraz rozważcie w sercach i umysłach, jaką chcecie podjąć decyzję. Wiem, wiem... – Uniósł szybko dłoń, chociaż nikt nie zamierzał mu przerywać. – Wiem, że potrzebujecie czasu, a przynajmniej część z was go potrzebuje – poprawił się – by namyślić się, naradzić, pomodlić... Niech więc tak właśnie się stanie, aby nikt nigdy nie powiedział, że podjął złą decyzję, gdyż zmuszono go do pośpiechu. Spotkamy się jutro w samo południe i wtedy zdecydujecie, czy z tego bliskiego wybuchu kotła, jakim stał się nasz świat, należy spuścić parę – przerwał i potoczył wzrokiem po wszystkich zgromadzonych – czy też lękając się wzięcia na siebie odpowiedzialności, będziecie strachliwie czekać, aż wszyscy zginiemy w pożodze.

Löwefell pomyślał, że niewiele zostawiono im czasu, by zadecydować o losach całego świata i setek tysięcy, jeśli nie milionów istnień ludzkich. Zresztą z całą pewnością część inkwizytorów była jednoznacznie przekonana, jaką podjąć decyzję, i im czas do namysłu nie był potrzebny. Ale zgromadziło się tutaj też wielu takich, którzy się wahali. I Löwefell widział to doskonale po ich twarzach. Marius jednoznacznie optował za radykalnym

rozwiązaniem, lecz inkwizytorów tak zdecydowanych jak on nie było wielu. A sam Löwefell nie był jeszcze pewien, jaką decyzję podejmie. Wiedział jedno: przedtem musi porozmawiać sam na sam z Matyldą.

Nie zważając więc na to, że wzbudza zainteresowanie i ściąga spojrzenia inkwizytorów, wstał z krzesła i szybkim krokiem ruszył w stronę drzwi, za którymi zniknęła Matylda i pilnujący jej Anioł. Dwaj mnisi stojący przy tych drzwiach zdawali się przez chwilę mieć ochotę, by zastąpić mu drogę, jednak cofnęli się. Löwefell wyszedł na korytarz, który był całkowicie pogrążony we wręcz namacalnym, gęstym mroku. Z odległości kilkunastu kroków widać było tylko poblask otaczający świetliste miecze trzymane w dłoniach przez Anioła.

– Matyldo! – zawołał Löwefell. – Matyldo, porozmawiaj ze mną, proszę.

Anioł okręcił się wokół własnej osi i nawet trudno powiedzieć, że podleciał, bo prześlizgnął się w stronę inkwizytora w powietrzu niczym dziecięca łódka puszczona na wodę. Teraz ostrza jego mieczy godziły wprost w Löwefella, a płonące mrocznym szaleństwem oczy wpatrywały się w niego.

– Schowaj te miecze albo ci je zabiorę – rozkazał Löwefell obojętnym tonem, odpowiadając Aniołowi spojrzeniem, którego nie zamierzał cofać.

– Arnoldzie – usłyszał w głowie spokojny głos Matyldy – on mnie tylko chroni. Proszę, nie gniewaj się.

Czując obecność Matyldy i słysząc jej prośbę we własnym umyśle, znów zaznał tego wrażenia więzi, bliskości, jednocześnie niepokojącego, ale również otwierającego nowe bramy doznań i nadziei. Tak, tego mu również brakowało: duchowego porozumienia z istotą, która dzięki jego ingerencji stała się tym, kim się stała. Oczywiście ani myślał się gniewać. To uczucie było mu może nie tyle obce, ile na pewno bardzo odległe od codziennej praktyki. Anioł przymknął oczy, a w tym samym momencie jego

światliste miecze zmatowiały. Nadal jednak słabo błyszcząły, jakby były lustrami wymagającymi wypolerowania.

– Brakowało mi ciebie, Matyldo – wyznał Löwefell i usłyszał żal we własnym głosie. – Nigdy nie pozwolono mi się z tobą zobaczyć.

Podeszła do niego teraz tak blisko, że stali już na odległość wyciągniętej dłoni. Miała poważną, smutną twarz.

– Wiem, że próbowałeś, mówiono mi o tym – przyznała już na głos. – Ale przekonano mnie również, że najlepiej zarówno dla ciebie, jak i dla mnie będzie, jeśli się nie spotkamy.

Zbliżyła się jeszcze o krok, po czym ujęła jego dłonie. Miecze Anioła na chwilę rozjarzyły się, ale zaraz potem znowu przygasły.

– Pamiętaj jednak, Arnoldzie, że nigdy, przenigdy, pod żadnym pozorem nie zapomnę tego, co dla mnie uczyniłeś. Nie zapomnę, że dałeś mi nowe życie, że gdyby nie ty, to leżałabym przykuta do łóżka i na wieczność związana z moimi braćmi. Nie byłabym ani ludzką istotą, ani kobietą, ani samodzielnym bytem, mogącym decydować choćby o tym, dokąd może w danej chwili pójść.

Ścisnęła bardzo, bardzo mocno jego palce.

– Jesteś moim wybawicielem, Arnoldzie Löwefell, i zawsze, do końca naszego życia i do końca naszego świata, będę z tobą związana na dobre i na złe. – Wpatrywała się w niego intensywnie. – Wszystko, co zawdzięczam, zawdzięczam tylko tobie, temu, że odważyłeś się mi pomóc, i temu, że twój kunszt uczynił ze mnie kogoś, kim jestem. – Dopowiadając te słowa, nagle uśmiechnęła się figlarnym uśmiechem, który odmłodził jej poważną twarz. – A przecież mogłeś zamienić mnie w marchewkę...

Löwefell skinął głową.

– Istniało takie niebezpieczeństwo i byłem więcej niż szczęśliwy, że udało mi się go uniknąć.

Zbliżyła się do niego jeszcze bardziej, tak że stali teraz niczym para kochanków złąkniona bliskości, lecz nie chcąc jej jeszcze objawiać zbyt czułym uściskiem.

– Jak zagłosujesz, Arnoldzie? – zapytała, unosząc głowę, aby móc spojrzeć mu w oczy.

Wstrząsnął ramionami.

– Po to wyszedłem za tobą, by zrozumieć, co mam uczynić – odparł.

– Wiem, że to niełatwa decyzja – przyznała. – Tysiące, tysiące tysięcy istnień wydamy na śmierć...

– Nie, to nie to – przerwał jej. – Nie interesuje mnie doczesne życie ludzi i nie przejmuję się ich losem. Potępiam zabijanie ich dla zabawy czy znęcanie się nad nimi, gdyż świadczy to o moralnej zapaści osoby, która tak czyni. Ale nie mam nic przeciwko, jeśli ludzie zostają poświęceni w szlachetnym celu. Przecież i tak dopiero w niebie czeka na nich prawdziwe życie i prawdziwa radość istnienia, więc poświęcając ich w imię Chrystusa, nie tylko wyrządzamy przysługę całemu chrześcijańskiemu światu, ale przede wszystkim im samym, pozwalając, by obcowali z Bożym światłem w niebie, zamiast cierpieć na tym padole łez.

Matylda skinęła głową.

– Przemawiasz z prawdziwym zapałem i przekonaniem – pochwaliła.

– Tak właśnie jest, że moje słowa wynikają ze szczerej wiary. – Skinął głową.

– Jednak niektórzy z inkwizytorów wahają się przed intencjonalnym zadaniem tak wielkiego bólu – ciągnęła kobieta. – A co sądzisz o polskim wojewodzie? Czy jest bardziej jednym z nas, czy bardziej poddanym polskiego króla, dbającym, by temu nie zabrakło poddanych?

– Pierwszy raz zobaczyłem go dzisiaj – rzekł Löwefell. – Nie wiem, co myśli, i nie wiem, czego się po nim spodziewać.

– Wszyscy macie czas do jutra, by wybrać złą lub dobrą ścieżkę – przypomniała poważnie Matylda. – Zdecyduj mądrze, Arnoldzie. Widziałeś mnie, byłeś ze mną, rozumiałeś mnie, wiesz, kim jestem, i wiesz, że nie kłamię. Prawda? Ufasz mi, że nie kłamię?

– Ufam ci, że nie kłamiesz – zgodził się z nią i powtórzył jej słowa. – Ale nie jestem w stanie stwierdzić, czy się nie mylisz.

– A jeśli nawet się mylę? – zakrzyknęła. – Cóż z tego? Zapewniam cię, że nie, nie mylę się, że tak jak mówiłam, moje tezy są owocem lat pracy, ciężkiej pracy, wyniszczającej, niezmiernie bolesnej. – Teraz już tak mocno ścisnęła jego palce, że Löwefell był pewien, iż będzie miał na skórze nabiegłe krwią ślady.

Zaczerpnęła tchu i oderwała rękę od jego dłoni.

– Przepraszam, przepraszam, że cię tak ścisnęłam... – wyszeptała już cichutko i skruszonym głosem.

– Mów dalej, proszę.

– Nawet jeśli się mylę – kontynuowała spokojnie – to dzięki epidemii osiągniemy polityczne i religijne cele, te, o których dzisiaj mówi Święte Oficjum. Tylko tyle i aż tyle. Moim zdaniem to wystarczająco wielki cel, by poświęcić bezwartościowe życie części mieszkańców Europy.

– Nie tylko Europy – mruknął. – Prędzej czy później zaraza dotrze do Azji i do Afryki.

– Tym lepiej – stwierdziła Matyllda. – Z punktu widzenia strategicznego niedobrze by było, aby tylko Bizancjum i Cesarstwo zostały objęte zarazą i poniosły straty. Niech wszystkie sąsiednie państwa borykają się z epidemią, tak aby nikt nie mógł nas zaatakować.

Löwefell wiedział, że w przypadku wybuchu epidemii Persja, Palatynat czy Polska prędzej będą się starały zamknąć granice, niż przechodzić je z armią, która natychmiast by się zaraziła. Od strony militarnej chorującemu Cesarstwu i Bizancjum nic nie będzie groziło, bo tylko szaleniec atakowałby przeciwnika, na którego terenie szaleje epidemia. Przecież zaraz rozszalałaby się również w jego kraju.

– Musisz mi wierzyć, że mam rację – powiedziała. – W końcu jestem dziełem twoich rąk i twojego umysłu. – Uśmiechnęła się lekko.

W oczywisty sposób nie była to prawda. Matyllda i jej bracia, nazywani Trójniakiem może niezbyt elegancko, ale w sposób trafnie oddający rzeczywistość, wspólnie dysponowali wielkimi

zdolnościami magicznymi i dostępem do potrzebnych Świętemu Officjum mistycznych mocy. Sama Matylda również miała niezwykły potencjał. W żadnym razie nie można było powiedzieć, iż Löwefell stworzył ten potencjał, chociaż rzeczywiście można było pomyśleć, że go uwolnił. Że rozebrał tamę blokującą potężny nurt, który teraz płynął już szeroką i niepowstrzymaną strugą. Gorzej jednak, iż ta struga była jednocześnie tak głęboka, że Löwefell nie miał pojęcia, co lub kto znajduje się w tej głębinie. A czy w ogóle ktokolwiek w Świętym Officjum to jeszcze lub już wiedział?

– Arnoldzie, to, co powiedziałaś na naradzie Wewnętrznego Kręgu, nie jest wszystkim, co ty powinieneś wiedzieć – rzekła poważnie. – Proszę cię, pozwól ze mną, a wyjaśnię ci inne sprawy, o których chciałabym, abyś się dowiedział.

– Zataiłaś coś przed Wewnętrznym Kręgiem? – Löwefell machinalnie obniżył głos do szeptu.

– Nie użyłabym słowa „zataiłam” – odparła spokojnie. – Po prostu nie podzieliłam się wszystkimi wątpliwościami, zwłaszcza tymi, o których wcale nie jestem pewna, czy stanowią zagrożenie. Ale ty musisz poznać wszystko, co wiem, a raczej wszystko, czego się dowiedziałam.

– Oczywiście – zgodził się po chwili. – Wysłucham cię, kiedy tylko będziesz sobie tego życzyła. Ale wiesz oczywiście, że nie mogę ci obiecać dyskrecji.

Skinęła głową.

– Nigdy bym tego od ciebie nie wymagała – odparła poważnie. – Sam zdecydujesz, co uczynić z otrzymaną ode mnie wiedzą.

Potem zbliżyła się jeszcze bardziej i mocno go objęła, a Löwefell widział, jak Anioł nadpływa pod sklepieniem, tak aby zatrzymać się tuż nad nimi.

– Obejmij mnie, Arnoldzie, i zamknij oczy. Nie otwieraj ich, proszę, dla własnego bezpieczeństwa, dopóki nie powiem ci, że możesz je otworzyć.

Löwefell usłuchał jej, a zaraz po opuszczeniu powiek objął go żar ogarniający całe ciało, ale żar bynajmniej nie bolesny, lecz

inkwizytor poczuł się tak, jakby do tej pory stał w cieniu i oto wyszedł nagle na rozświetloną plażę, na której upał bije zarówno od ziemi, jak i od nieba. Zrozumiał, że Anioł otulił ich swoimi skrzydłami. Zaraz potem natomiast doświadczył zawrotu głowy, silnego, aż do mdłości, i musiał szybko uspokoić ciało i umysł, aby to nieprzyjemne uczucie przewyciężyć. Przez dłuższy czas czuł już tylko ciepło oraz obejmujące go ramiona Matyldy, aż wreszcie wszystko powoli ustąpiło, a Matylda odezwała się:

– Otwórz oczy, Arnoldzie.

Posłusznie odemknął powieki i zobaczył, że wraz z Matyldą stoją na łące porośniętej długą do łydek trawą i upstrzonej słoneczkami rozkwitłych mleczy. Przez łąkę przepływał szeroki, leniwy strumień o płytkiej, przejrzystej wodzie, na jego dnie leżały głązy, wygładzone nurtem i białe od słońca. Anioła nie było nigdzie widać, ale Löwefell tak wyraźnie czuł jego obecność, że był pewien, iż strażnik Matyldy ani nie zniknął, ani nie odleciał. I w końcu ujrzał go leżącego na dnie strumienia i przypominającego kształt utworzony z wody. Nigdy nie widział, by Anioł mógł przybrać taką właśnie formę, i zauważył też, że dostrzeżenie Anioła zajęło mu kilka chwil.

– Tu możemy porozmawiać bezpiecznie – stwierdziła Matylda. – Tu nikt nie może bez mojej wiedzy ani nas zobaczyć, ani usłyszeć.

Nie ma takich miejsc, pomyślał Löwefell, a jeżeli wierzysz, że twój azyl do takich należy, to popełniasz grzech naiwności i zbytnej pewności siebie. Niemniej inkwizytor był pewien, że Matylda zabezpieczyła to miejsce tak dobrze, jak tylko mogła, czyli najprawdopodobniej było ono rzeczywiście w miarę bezpieczne. Bezpieczniejsze nawet niż ich porozumiewanie się bez słów, za pomocą jedynie samych myśli, bo przecież w klasztorze Amszilas nigdy nie można było być pewnym, że rzeczy ukryte pozostaną w ukryciu. A tu? Ale właśnie, gdzie było owo „tu”?

– Gdzie jesteśmy? – zapytał.

– W moim azylu – odparła. – Kiedy całymi latami leżałam nieruchomo na łóżku, zrosnięta głową z moimi braćmi, kiedy

musiałam korzystać z pomocy innych ludzi, by jeść, myć się i wydalać, tak potwornie, tak rozpaczliwie tęskniłam za wolnością...

Powoli powiodła dłońmi wokół, zataczając nimi szeroki krąg nad swoją głową.

– To jest moja wolność, Arnoldzie. To jest moje marzenie.

Ciekawe, czy znajdujemy się w prawdziwym, materialnym miejscu, czy też Matylda zabrała mnie w podróż do świata swojej wyobraźni i swoich marzeń, a tak naprawdę ja i ona ciągle stoimy na korytarzu klasztoru Amszilas, otuleni skrzydłami Anioła? – zapytał Löwefell samego siebie. Być może mógłby to stwierdzić, korzystając ze swoich mocy, by przełamać urok (jeśli taki urok w ogóle istniał), ale przecież nie miał potrzeby, by to zrobić. Było mu wszystko jedno, czy Matylda zaprowadziła go do prawdziwej krainy leżącej gdzieś na Ziemi lub poza Ziemią, czy też przeniosła go w głąb własnego umysłu. Nie miejsce ich rozmowy się liczyło, lecz jej treść.

Löwefell nagle i w sumie niespodziewanie poczuł prawdziwe zadowolenie, że znajduje się właśnie w takiej przestrzeni i właśnie z tą kobietą. Zdjął buty, podwinął nogawki spodni i wszedł do chłodnej wody, czując pod stopami kamyczki. Usiadł na jednym z głazów.

– Podoba mi się twój azyl, Matyldo – pochwalił szczerze.

Ona zawinęła suknię do łydek i również przeszła do głazu, położonego naprzeciwko tego, na którym siedział już Löwefell. Kiedy usiadła, poruszyła stopami w wodzie i przymykając oczy, wystawiła twarz do słońca.

– Nasz klasztor... – westchnęła. – Ja wiem, że jest i święty, i ważny dla chrześcijaństwa, i dostojny, a jego historia to historia naszej wiary i naszej walki. Ale... – Otworzyła oczy i spojrzała na Löwefella. – Ale jest tak przerażająco smutny. Taki pusty.

Inkwizytor przypomniał sobie komnaty Katriny i pomyślał, że nie każde miejsce w Amszilas jest tak ponure, jak mówiła Matylda. Niemniej generalnie jego towarzyszka miała oczywiście rację. Klasztoru nie wybudowano, by cieszyć oko sztuką czy naturą. Chociaż akurat klasztorne ogrody były piękne. Mnisi zasadzili

w nich wiele wspaniale rosnących i obficie kwitnących roślin, a one pod ich ręką udawały się zadziwiająco dobrze. Cóż, w końcu nie na darmo van Bohenwald twierdził, iż to Amszilas miało najbieglejszych ogrodników na świecie.

– U ciebie też jest pusto – zauważył.

Pokiwała głową.

– Ale to pustka samej natury, a nie pustka labiryntu kamiennych ścian zbudowanych rękami ludzi. Zresztą mój azyl wcale nie jest pusty. – Roześmiała się. – W strumieniu pływają ryby, do kwiatów przylatują pszczoły, a wczoraj nawet coś ugryzło mnie w kostkę. – Podniosła nogę i pokazała mu czerwony ślad. – Widzisz?

– Widzę. – Skinął głową.

– Nawet tym się cieszę – przyznała. – Tym, że kiedy chodzę bosymi stopami po trawie, to coś mnie ugryzło.

– Mimo że już tyle czasu jesteś wolna – powiedział.

– Arnoldzie, słowo „wolna” nie do końca pasuje do mojego statusu. – Pokręciła głową.

Oczywiście, była to prawda. Matylda była służebnicą Świętego Officjum, tak jak Löwefell i inni inkwizytorzy byli sługami tej instytucji. Ich wolność, wolność wszystkich inkwizytorów była ograniczona przez obowiązki i powinności. Byli potężni, wielokrotnie potężniejsi od każdego zwyczajnego człowieka, żyli długo, dłużej niż biblijni patriarchowie, najczęściej ciesząc się zdrowiem. Ale jednocześnie byli zniewoleni ogromem odpowiedzialności, jaka na nich spoczywała. Za świat, za chrześcijaństwo, za pogrążonego w letargu Jezusa Chrystusa, za wynik wielkiej batalii pomiędzy Światłem a Ciemnością. Wiedzieli tak dużo i zdawali sobie sprawę z tak wielu zagrożeń, iż czasami czuli się tak, jakby zamknięto ich w nieskończonym labiryncie bez początku, bez końca, bez wyjścia i bez wejścia.

– W tym sensie nikt z nas nie cieszy się pełną wolnością – odparł na głos. – Żyjemy w świecie obowiązków. Obowiązków, które albo narzucają nam inni, albo dyktuje nam je nasze własne sumienie czy nasz własny umysł.

– Ja jestem może nawet mniej wolna od was wszystkich. – Ruchem głowy wskazała leżącego na dnie strumienia Anioła. – Nie dlatego, że on towarzyszy mi na każdym kroku, ale dlatego, że niosę ze sobą tak wielkie niebezpieczeństwo, że zagrażam nam wszystkim... – westchnęła. – Jestem zarazem przeklęta i pobłogosławiona, Arnoldzie. Dlatego niemal nigdy nie przebywam wśród ludzi.

Zwiesiła głowę, ale niedługo potem wyprostowała się i żartobliwie prysnęła kilkoma kroplami wody w stronę Löwefella.

– Ale i tak o niebo mi lepiej, niż kiedy byłam częścią Trójniaka i całymi latami leżałam jak kłoda w jednym i tym samym łóżku, wpatrując się w jeden i ten sam sufit. To dopiero było więzienie, Arnoldzie!

Matylda rzeczywiście przeżyła wiele lat jako część Trójniaka, ale inkwizytorom i mnichom trzeba oddać, że nie tylko dbali o higienę i zdrowie cennych podopiecznych, lecz również starali się jak najbardziej umilić im czas. Opowiadano im historie, czytano książki, zarówno lekkie komedie, romanse rycerskie, jak i później poważną literaturę. Ba, Löwefell wiedział, że odgrywano nawet niewielkie przedstawienia, by Matyldę i jej braci rozweselić. Oczywiście mieli nauczycieli, i to nie tylko tych, którzy pomagali im zrozumieć tkwiące w nich mistyczne moce, ale zwyczajnych nauczycieli: retoryki, matematyki, geografii, historii, botaniki i zoologii. Wiedziano, że nie zobaczą świata na własne oczy, ale życzono sobie, by o tym świecie wiedzieli jak najwięcej.

– Jednak nie po to zaprosiłam cię, mój przyjacielu, nie po to. – Posmutniała i westchnęła. – Mam ci co innego do powiedzenia, o czym wiedzieć powinienesz właśnie i przede wszystkim ty. – Spojrzała poważnie. – Otóż inkwizytor noszący w sobie Szachor Sefer zginie, to rzecz pewna.

Löwefell zachnął się.

– Kto tak postanowił? – spytał oschle.

– Nikt. Tak splatają się nici losu – wyjaśniła. – Od dawna spoglądam w ten labirynt, by zbadać, czy istnieje z niego wyjście. – Potrząsnęła głową. – Nie, nie istnieje...

– To niemożliwe – rzekł.

– Od kiedy wyruszył z cesarzem na wojnę, nici losu zbiegają się nieodwołalnie w punkcie jego śmierci.

– Mordimer Madderdin nie może zginąć – zaprotestował poważnie Löwefell. – Nie może zginąć, dopóki nie podejmiemy decyzji, że jesteśmy gotowi na takie ryzyko. A jak rozumiem, nikt podobnej decyzji nie podjął, czyż nie?

– Nie, Arnoldzie, nikt takiej decyzji nie podjął i z tego, co wiem, ktoś, kto by to zrobił, naraziłby się na wielki gniew wielu inkwizytorów. Nie mówiąc już – uśmiechnęła się samymi kącikami ust – o Katrinie. Ona by tego nikomu nie darowała, a wątpię, by ktoś ośmielił się wchodzić jej w drogę w sposób tak arogancki. A matka naszego inkwizytora? – Parsknęła rozbawiona. – Możecie sobie o niej myśleć, co chcecie, ale jest jednak przywiązana do tego chłopaka.

– Czy wiesz, po co ją trzymają w klasztorze? – zapytał nagle, a potem zastanowił się przez chwilę. – Wiesz, prawda? – dodał, już bardziej pytając, niż stwierdzając.

– Wiem – odparła po momencie zawahania.

– Powiesz mi?

Pokręciła głową.

– Nie – odparła po prostu.

Przez chwilę milczeli, aż w końcu Löwefell odezwał się:

– Van Bohenwald powiedział, że Katrina nie jest groźna jak tygrys, ale jak bóg, do którego modliłby się łowca tygrysów.

Matylda zamachała stopami w wodzie.

– Całkiem interesujące porównanie – zgodziła się. – I być może jest w nim coś z prawdy. Ale wiemy jedno: nikt nie zamierza celowo zabić inkwizytora, ale... – Pstryknęła. – Są tacy, którzy wcale by się nie pogniewali, gdyby Madderdin przypadkowo zachorował i umarł albo zginął w wypadku czy na wojnie.

– Tym ludziom twoje proroctwo najpewniej bardzo się podoba – zauważył Löwefell.

– O tak, z całą pewnością. Niektórzy nie mówią tego na głos, ale zamiast stagnacji interesowałby ich ruch. Jakikolwiek ruch. Niech wreszcie coś się stanie! – Poruszyła tak silnie nogą w strumieniu, aż woda rozbryznęła wokół.

Löwefell pokiwał głową.

– Rozumiem tę niecierpliwość, skoro tak naprawdę przez wszystkie lata nie doszliśmy donikąd. Myślą, że wyłamując drzwi, wejdziemy do kolejnego pomieszczenia.

– A ty? Jak uważasz?

– Święte Officjum jest wieczne. Mijające lata nie mają dla nas znaczenia. A wręcz przeciwnie: dzięki upływowi tych lat poznajemy coraz więcej sekretów świata. Może właśnie cierpliwość jest cnotą, za którą zostaniemy nagrodzeni odzyskaniem i wyjaśnieniem zagadki Szachor Sefer.

– Kto wie, może tak właśnie jest... A może inaczej? – Spojrzała bystro na Löwefella. – Może księga spętana w ciele człowieka zaklęciami krwi i ognia niszczy i obumiera? Może im dłużej znajduje się zaklęta w tym inkwizytorze, tym bardziej ją to degeneruje?

Oczywiście, że rozważając przeróżne skutki działań czy zaniechań związanych z Czarną Księgą, Inkwizytorium brało pod uwagę również podobne ewentualności. Ale teraz, kiedy tę wątpliwość wypowiedziała Matylda, zabrzmiało to złowieszczo.

– Mam wrażenie, Arnoldzie, że nawet Marius ma już serdecznie dosyć tego wszystkiego. Szachor Sefer, Narsesa i twojego inkwizytora – kontynuowała Matylda. – Wydaje mi się, że uznał, że sprawy ciągną się tak długo i tak bez pożytku, że najwyższy czas przerwać je raz a dobrze. Wóz albo przewóz. Zwłaszcza że podjął tyle trudów, które nic nie dały. A przecież to nie jest tak, że jesteśmy zgodni, że śmierć nosiciela Szachor Sefer będzie katastrofą, gdyż wielu twierdzi, że będzie uwolnieniem, nowym początkiem. Inni sądzą, że po prostu nic się nie stanie, ani złego, ani dobrego. Więc może warto zaryzykować?

– Sam się nad tym wielokrotnie zastanawiałem. To była w końcu moja księga, której sekrety ja sam rozszyfrowałem i którą moja uczennica zaklęła w tym inkwizytorze za pomocą magii ognia i śmierci. A on był niemal przypadkowym celem. – Löwefell pokręcił głową. – Po prostu Roksana uznała, że ze wszystkich ludzi, którzy ją otaczają, w nim magia zadziała najlepiej.

– W tym wypadku się nie pomyliła. Inkwizytor żyje i chyba nawet całkiem nieźle się miewa, czyż nie?

– Dostaję raporty dotyczące jego życia – odparł Löwefell. – I cóż mogę powiedzieć? Ruś odcisnęła na nim swoje piętno, może nie samo to, co na Rusi się wydarzyło, ale to, w jaki sposób wymazano z jego pamięci świadomość tych wydarzeń. Potem bywało różnie. Wiesz przecież, że nie możemy pokazać, że szczególnie go chronimy, by nie zainteresować nim tych, którzy chcieliby mu wyrządzić krzywdę.

– On nie ułatwia wam zadania, co?

Löwefell westchnął.

– Nie, nie ułatwia – odparł. – Ma zarówno talent, jak i chęć do wikłania się w kłopoty. Wiele razy balansował już na skraju życia i śmierci. Chronimy go, na ile chronić możemy, a sam na szczęście jest na tyle utalentowany, by wymykać się zagładzie. – Löwefell pokręcił głową. – Ale jak długo potrwa szczęście, które nam w tym wszystkim towarzyszy? Bóg raczy wiedzieć...

– To nie tylko charakter, to przeznaczenie – rzekła. – To naznaczenie przez Szachor Sefer. – Spojrzała na niego uważnie. – Nie sądzisz, że być może ona też pragnie uwolnienia?

– Mówisz o tej księdze, jakby miała własne pragnienia i mogła sama podejmować decyzje...

– A nie ma i nie może?

Pokręcił tylko głową.

– Nie wiem. Nawet tego nie wiem. Odkryłem sekrety Szachor Sefer. Podobno odkryłem sekrety Szachor Sefer – poprawił się od razu. – Ale nie pamiętam tego odkrycia. To też niewola, Matyldo. Niewola własnej bezsilności.

– Wróćmy do sprawy inkwizytora – powiedziała. – Nie godzisz się więc i nie życzysz sobie, by zginął, czy tak?

Löwefell skinął głową.

– Dokładnie tak. I dlatego niepokoi mnie, co powiedziałaś wcześniej. Rozumiem jednak, że skoro zaprosiłaś mnie do swojego domu – uśmiechnął się lekko – to oznacza, że znasz sposób, abyśmy rozwiązali kłopot, i życzysz sobie, abym w jakiś sposób uczestniczył w tym planie.

– Och, Arnoldzie. – Złożyła dłonie. – Ja nie tyle pragnę włączyć cię do mojego planu, ile błagam cię o pomoc.

– Zrobię, co w mojej mocy, jeśli tylko zgodzi się to z moimi wiedzą oraz sumieniem – obiecał.

Pokiwała głową.

– Usiądź obok mnie, Arnoldzie – poprosiła.

Posłusznie wstał i usiadł na gładzie obok niej. Leżący na dnie strumienia Anioł wydawał się tym nie przejmować i Löwefell nie widział, by w ogóle się poruszył.

Ujęła jego twarz w swoje dłonie i przyciągnęła ją do siebie, tak jakby chciała go pocałować. I rzeczywiście zetknęli się nosami, skórą i ustami, ale nie było w tym nic z pieśczoćy, jaką mężczyzna może obdzielić kobietę lub kobieta mężczyznę.

– Patrz w moje oczy – zaszepiała, muskając delikatnie jego wargi.

Stał w maleńkiej komnacie obok Mordimera Madderdina, ale wiedział, że jest tylko obserwatorem, że inkwizytor z całą pewnością nie widzi go ani widzieć go nie może, gdyż Löwefell nie jest w tej wizji obecny, lecz może ją tylko oglądać niczym widowisko rozgrywające się na deskach teatru.

Rozległo się pukanie, a Mordimer burknął: „Wejść”.

– Mistrzu inkwizytorze – rzekł człowiek, który skorzystał z zaproszenia – przywożę wam pismo od samego biskupa Hezhezronu i mam osobisty rozkaz Jego Ekscelencji, by towarzyszyć wam i nie odstępować was ani na krok.

Löwefell dostrzegł zdziwienie na twarzy inkwizytora, który po chwili przyjął pismo z rąk posłańca, przyjrzał mu się uważnie

najpierw z daleka, po czym zbliżył je do oczu. Löwefell wiedział, że tak naprawdę Mordimer nie zajmuje się teraz tylko oglądaniem pieczęci i sprawdzaniem, czy są autentyczne oraz czy nie zostały uszkodzone. On również obwąchiwał ten list, by przekonać się, czy laku lub papieru nie nasączono trucizną. Jednak oględziny musiały wyjść pozytywnie, bo inkwizytor przełamał pieczęcie i zagłębił się w lekturze. Najpierw tylko przesunął wzrokiem po karcie i Löwefell był pewien, iż sprawdza, czy w dokumencie zamieszczono kluczowe frazy świadczące o jego autentyczności. Na przykład jeśli pismo było datowane na dwunasty dzień miesiąca, to musiało znajdować się w nim sformułowanie „wśród biesiadników”, a jeśli był to lipiec, to dodatkowo musiało zawierać zwrot „Duch Pański wypełnia ziemię”.

– Rozkazy są jasne i nie pozostawiają wątpliwości – stwierdził Mordimer. – Chociaż przyznam, że zadziwia mnie niezwykle pośpiech, z jakim Jego Ekscelencja chce mnie widzieć na swoim dworze.

– Nikt was tak wysoko nie ceni, mistrzu inkwizytorze, jak Jego Ekscelencja – skłonił głowę przybysz.

Löwefell dopiero teraz domyślił się, że to nie jest zwyczajny zaufany kurier biskupa Hez-hezronu, lecz członek Wewnętrznego Kręgu. Oczywiście gdyby Löwefell był na miejscu ciałem i umysłem, wiedziałby to natychmiast, dawno przed przybyciem posłańca wyczułby jego obecność. Ale ponieważ był zaledwie zjawą obserwującą inne zjawy, dopiero teraz zorientował się, kim jest człowiek, który ma towarzyszyć Madderdinowi i go chronić. A potem, cóż, nastąpiła próba wyjścia z pałacu, powstrzymanie przez strażę, walka, w której zginął zarówno przedstawiciel Wewnętrznego Kręgu, jak i Madderdin. I chociaż obaj nie sprzedali tanio skóry, to marne było w tym pocieszenie. A później Löwefell zobaczył kolejną wizję: Mordimera, który dostał pismo z rozkazem, aby wykraść się niepostrzeżenie z pałacu, i zobaczył, że zakończyło się to znowu śmiercią inkwizytora. A jeszcze później nastąpiła scena, kiedy aż trzech przedstawicieli Wewnętrznego Kręgu wyprowadza Madderdina i zaraz potem giną wszyscy, fakt, że po rzezi na wręcz

niezwykłą skalę. Jednak giną. Jeszcze później Löwefell widział inne, podobne, mniej lub bardziej złożone obrazy prawdopodobnej przyszłości. Ale każdy z nich kończył się śmiercią inkwizytora. Matylda pokazała mu również przewidywanie przyszłości, w której ani Madderdin, ani Inkwizytorium nie podejmują żadnych działań, by się wydostać. Wtedy Mordimer ginął zasztyletowany, otruty lub, w jednej z możliwych wizji przyszłości, wypchnięty z okna i rozsiekany na dziedzińcu.



Matylda wreszcie oderwała się od Löwefella, odsunęła się od niego na kilka cali i odetchnęła z wysiłkiem.

– Tak to właśnie wygląda – powiedziała zmęczonym, zgaszonym głosem.

– Co to było? – spytał, chociaż przecież dobrze wiedział, jaka jest odpowiedź.

– Możliwe przyszłości – odparła. – Jedne bardziej prawdopodobne, inne mniej, ale co by nie zrobić, to on w każdej z nich ginie... Możliwości jest wiele, ale nie mam siły, by ci je wszystkie pokazać.

– Twoje wizje nie obejmują tego, co stanie się po jego śmierci – raczej stwierdził, niż zapytał.

– Nasze decyzje byłyby wtedy bardzo łatwe do podjęcia, prawda? Nie, oczywiście, że tego nie widzę. Nici możliwej przyszłości są czasami, najczęściej – poprawiła się – tak splątane, że rozplątanie ich jest żmudną pracą, w każdej chwili mogącą zaowocować błędem. To, co widziałeś w mojej wizji, zostało już oczyszczone i przefiltrowane. Ale ja... – Wzruszyła ramionami. – Ja na początku widzę to niczym rozbitą mozaikę, którą trzeba składać i nie pomylić szkiełek.

– Dlatego Marius woli nie wierzyć w trafność twojej przepowiedni. Uważa, że źle ułożyłaś szkiełka.

Skinęła głową.

– Co możemy zrobić? Czego ode mnie oczekujesz? Czy mam przekonać Mariusa? – Löwefell skrzywił się. – Nie wiem, czy właśnie ja jestem najodpowiedniejszą osobą, by z nim negocjować. Mogę wyjaśnić sprawę Katrinie, mogę również...

Przerwała mu uniesieniem dłoni.

– Wybacz, Arnoldzie, ale tylko my dwoje możemy naprawić zło, które już się zdarzyło.

Löwefell wątpił w tego typu zapewnienia, jednak rozumiał też, że Matylda może mieć zupełnie inny niż on obraz rzeczywistości.

– Mów w takim razie – poprosił. – Jaki jest twój plan, aby uratować Szachor Sefer?

– Masz szpiega na cesarskim dworze, dziewczynę, która została kochanką cesarza i której wyznaczono rolę zabójczyni.

– Owszem. – Skinął głową.

– Ona ma zabić cesarza, więc bardzo dobrze, niech go zabije. Ale poza tym rozkaż jej, by zostawiła dowody, że to Madderdin jest winien zabójstwa.

Löwefella rzadko kiedy coś prawdziwie poruszało, ale tym razem nie mógł ukryć uczucia zdziwienia. O tak, był bez wątpienia zdumiony tą niezwykłą propozycją.

– W jaki sposób oskarżenie o zamordowanie cesarza na cesarskim dworze i w środku cesarskiej armii ma Madderdinowi uratować życie? – Zmrużył oczy.

– Zgadzasz się, że kiedy zostanie oskarżony o zabójstwo władcy, jego śmierć będzie więcej niż pewna, prawda?

Wtedy dopiero Löwefell zrozumiał jej plan i pokręcił głową.

– Stąpasz po cienkim lodzie – stwierdził.

Rozłożyła ręce.

– Coś muszę uczynić. Nie mogę spokojnie czekać, aż rzeczy będą się działy w tak zły sposób, jak to przewiduję.

– W obliczu tej pewnej śmierci Madderdina spodziewasz się, że Inkwizytorium zdecyduje się...

– Nie, nie, zostawmy Inkwizytorium w spokoju. – Machnęła ręką. – Nawet przy jak najlepszych intencjach to mogłoby za długo trwać. Wyślę po niego mojego Anioła, aby go uratował.

– Dlaczego nie możesz wysłać Anioła teraz?

Wzruszyła ramionami ze zniecierpliwieniem i spojrzała na leżącego na dnie strumienia Anioła.

– Nie opuści mnie, cokolwiek bym powiedziała, gdyż strzeżenie mnie jest jego najważniejszą rolą. Ale jeśli Szachor Sefer będzie namacalnie zagrożona, to spróbuje ją ratować i zostawi mnie na potrzebny mu czas. Należy on bowiem do tych Aniołów, które są wierne Księdze i przyrzekły jej strzec. A obawiają się, że śmierć nosiciela mogłaby zniszczyć Szachor Sefer raz na zawsze lub przynajmniej oddalić ją z naszego świata... – Wzruszyła ramionami. – Ja nie wiem, czy tak jest naprawdę.

– A więc on – Löwefell ruchem podbródka wskazał Anioła – w tej chwili nie podziela twojej pewności co do śmierci Madderdina?

Matylda bezradnym gestem rozłożyła ramiona.

– Imperatyw obrony mnie może przełamać wyłącznie rzeczywiste zdarzenie, a nie zdarzenie przewidywane. – Westchnęła i milczała przez chwilę. – Czy zrobisz to dla mnie, Arnoldzie? Sam wiesz, że nie mamy ani dużo czasu, ani wiele możliwości.

Löwefell skinął głową, bynajmniej nie zgadzając się jeszcze na jej propozycję, lecz pokazując, że rozumie, co zostało powiedziane.

– Dobrze by było, Arnoldzie, abys wtedy był ze mną – kontynuowała. – Aniołowi będzie łatwiej zostawić mnie, kiedy będziesz obok, kiedy właśnie ty będziesz nade mną czuwał. Ja wiem, że mnie nie skrzywdzisz, i on również to świetnie wie. – Uśmiechnęła się ciepło.

To akurat była święta prawda. Löwefell nie zamierzał pozwolić na to, by skrzywdzono Matyldę, z dwóch powodów: po pierwsze, była cennym, nadzwyczajnie cennym instrumentem służącym Świętemu Oficjum, a po drugie, Löwefell czuł się za nią odpowiedzialny. Nie zamierzał rościć sobie praw do chwały za jej zasługi, ale wiedział, iż mógłby sobie wyrzucać jej błędy.

– Namawiasz mnie do spisku przeciwko Świętemu Oficjum – powiedział.

– Nigdy! – zawołała. – Namawiam cię do działań na rzecz Świętego Oficjum! W obronie nas samych!

– Wszystko jest kwestią semantyki – odparł. – Jeśli popełnimy błąd, to zapewne nasi sędziowie z uwagą wysłuchają opinii na temat różnicy pomiędzy spiskiem a podjętym w sekrecie działaniem na korzyść Inkwizytorem.

– Nie mów mi, że lękasz się sądu. – Uśmiechnęła się blado.

– Lękam się błędu – odparł poważnie. – I lękam się sądu w oczach Boga, a nie w oczach ludzi.

– Każdy z nas się tego lęka – powiedziała smutno. – Krążymy w tym labiryncie rzeczywistości, złudzeń i mistyfikacji, często nie umiając odróżnić jednego od drugiego. Błąkamy się, odbijamy od

ścian, mocujemy z zamkami, wpadamy w ślepe korytarze... Arnoldzie, wierz mi, że wiem o tym najlepiej z nas wszystkich. I wydaje mi się... wydaje mi się... czasami wydaje mi się... – Jej głos przeszedł w jęk. Objęła głowę ramionami i zaczęła się kołysać, cicho zawodząc. Löwefell poderwał się z kamienia, chcąc jej pomóc, ale nim zdążył cokolwiek uczynić, Anioł wyprysnął z dna strumienia, już w swojej prawdziwej postaci, śnieżnobiałej i skrzydlatej, i otulił Matyldę skrzydłami tak szczelnie, że nie widać było spoza jego piór ani jednego kosmyka jej włosów, ani kawałeczka bosych stóp. Na marmurowej, nieludzko pięknej twarzy Anioła pojawił się nagle grymas bólu czy czegoś, co Löwefell zinterpretował jako ogromne cierpienie, a oczy potężnego strażnika zapłonęły niczym wybuchające czarne gwiazdy. A potem Anioł ześlizgnął się, zmałał, skurczył i zniknął niczym błysk słońca odbijany przez lustro, a na kamieniu pozostała tylko szlochająca Matylda. Löwefell teraz dopiero mógł usiąść obok niej i ją objąć.

– Co to było? – zapytał. – Gdzie on zniknął?

– Nie zniknął – wychlipała Matylda. – Niedługo wróci. A co to było? To byłem właśnie ja. Nie żyłbyś już, gdyby nie Anioł. Jestem jak beczka z prochem, pod którą zbyt łatwo podłożyć lont. To nie musi być prawdziwe wydarzenie, żaden wielki magiczny wysiłek. – Podniosła na niego pełne łez oczy. – Czasami wystarczy, że zrobi mi się bardzo smutno albo że poczuję się bezsilna i zrezygnowana...

Löwefell milczał wstrząśnięty, gdyż takie właściwości ludzkiego ciała były mu obce i nigdy nie spotkał się z podobnym wypadkiem, nawet w teoretycznych rozważaniach o naturze i jej degeneracjach oraz deformacjach.

– Mogę ci pomóc, Matyldo – powiedział wreszcie ciepłym tonem. – Zrobiłem to już raz, a więc mogę to zrobić po raz drugi. Czy chcesz, abym ci pomógł?

Potrząsnęła głową.

– To cena, jaką płacę za moją moc – odparła. – Jeśli ocalisz mnie przed atakami, którymi mogę poranić innych ludzi, najpewniej zniszczysz też moją moc.

Löwefell gniewnie potrząsnął głową.

– Kto ci to wmówił? Van Bohenwald? – zapytał ostro. – Skąd mógłby wiedzieć podobne rzeczy?

– Arnoldzie, nie jesteś jedynym, który ma moc manipulacji ludzkimi ciałem i umysłem – powiedziała. – I ci, którzy pracowali ze mną przez ostatnie lata, ostrzegli mnie, iż ataki są skutkiem mojej wielkiej mocy. Jeśli stłumimy ataki, to i moc zostanie stłumiona.

– Tak może być, ale tak wcale być nie musi – rzekł Löwefell ciągle złym głosem, oczywiście nie gniewając się na Matyldę, ale na tych, którzy tak beztrosko ją zdeformowali, a teraz odbierają jej nawet nadzieję na wyjście z tej deformacji. – Pozwól, bym spróbował ci pomóc.

Potrząsnęła głową i wyzwoliła się z jego uścisku, jakby się bała, że zaraz, teraz i tutaj zacznie operację.

– Może kiedyś – westchnęła i ścisnęła jego dłoń. – Ale dziękuję, że mi to zaproponowałeś. Jesteś prawdziwym przyjacielem.

Löwefell nie był niczym przyjacielem, gdyż służba najświętszej sprawie Boga wykluczała możliwość jakiegokolwiek ludzkiej przyjaźni, a służba w Inkwizytorium uczyła, że nie należy przywiązywać się do bliźnich, a na miłość zasługuje jedynie idea. Jednak co Löwefell mógł stwierdzić z całą pewnością, to właśnie to, że rzeczywiście czuł i czuje się za Matyldę odpowiedzialny. I pragnął jej dobra nie tylko w imię sprawy chrześcijaństwa, dla której zdolności kobiety były tak istotne, lecz również w imię odpowiedzialności lekarza i twórcy, który tak, a nie inaczej uformował to prawdziwie zdumiewające dzieło, jakim był umysł Matyldy.

– Jestem, byłam i będę dziwadłem – poskarżyła się zgaszonym głosem. – Nic mnie od tego losu nie uchroni.

Löwefell parsknął.

– Matyldo, a czym ja niby jestem według ciebie?

Rozluźniła się i przez jej twarz przebiegł nawet nieśmiały uśmiech.

– Zgoda, że i ty jesteś dziwadłem, lecz przyznaj jednak, że nie tak wielkim jak ja! – zawołała znacznie bardziej pogodnym tonem. – O, już jest z powrotem! – Uniosła nagle głowę, a Löwefell dopiero w tym momencie dostrzegł, iż Anioł wisi kilka metrów nad nimi, z rozłożonymi skrzydłami i obnażonymi mieczami w dłoniach. Löwefella zaniepokoiło, że tak późno zorientował się co do powrotu i obecności Anioła. Musiał być on bardzo silną istotą, skoro nawet doświadczony inkwizytor miał kłopoty, by go na czas wypatrzeć. Ale trudno było się spodziewać, że dano by Matyldzie słabego strażnika, skoro Święte Officjum tak wielką wagę przykładalo do jej talentów i przede wszystkim do efektów jej działań. Potężny opiekun Matyldy znów skrył się na dnie strumienia.

– Możesz mi w pełni zaufać – powiedziała, patrząc mu prosto w oczy, i zrozumiał, że postanowiła wrócić do sedna ich rozmowy. – W końcu komu miałbyś ufać, jak nie mnie, która jestem dziełem twoich rąk?

Droga Matyldo, tak naprawdę ani nie wiem, kim teraz jesteś i kim lub czym się stałaś, ani nie ufam ci więcej niż komukolwiek tutaj w Amszilas, czyli wcale, pomyślał Löwefell. I przyszło mu też do głowy, że kilka lat temu, kiedy mieszkali razem, to Matylda umiała nie tylko czytać jego myśli, lecz wręcz naginać je do swoich wyobrażeń. Teraz jednak wiedział, że chociaż moc Matyldy zmieniła się i spotężniała, to z kolei jego własna moc też wzrosła i nie pozwala, by ktokolwiek przedarł się aż tak głęboko. Przecież Löwefell czuł i wiedział, że on sam również podlegał przez te wszystkie lata (i nadal podlega) przemianom. Że dzisiaj z łatwością umie ominąć zasadzki i pułapki, których niegdyś by nie zauważył lub dostrzegł je zbyt późno. Zresztą Matylda była na tyle mądra, by doskonale zdawać sobie sprawę, że człowiek, którego w Amszilas zdradzono i niemal zabito, nie może już tutaj w pełni zaufać nigdy i nikomu.

– Ufam ci, że wyobrażasz sobie, że działasz na rzecz dobra Świętego Officjum. – Skinął głową. – Pytanie jednak brzmi, czy nie popełniłaś pomyłki i czy za tę pomyłkę nie zapłacimy wszyscy.

- To musisz sam osądzić – odparła.
- Dlaczego van Bohenwald tak bardzo zaufał ci, jeśli mowa o kataklizmie, a nie chce ci wierzyć w sprawie Madderdina?
- Albo wygodnie jest mu nie wierzyć – skwitowała.
- Jak wiele mam czasu na podjęcie decyzji? Kiedy może go spotkać śmierć?
- A kiedy wydadzą ci polecenie, by twoja agentka zamordowała cesarza? Jutro? Pojutrze?
- Zapewne tak – zgodził się z nią.
- Oboje milczeli przez dłuższą chwilę.
- Zastanawiasz się nad celowością tego, co się dzieje, czyż nie?
- Zastanawiam się nad nieuchronnością zmian – odparł. – Nad tym, że kiedy zdecydujemy się na to wszystko, co zostało postanowione na naradzie i o czym my dyskutujemy, a przyznasz sama, że nie pamiętamy chwili na przestrzeni dziejów, kiedy Inkwizytorium decydowało się na tak gwałtowne kroki, to cały świat ulegnie zmianie na niespotykaną skalę.
- Musimy wejść na nową drogę – stwierdziła zdecydowanie. – Dość już dreptania po traktach, który donikąd nie prowadzi.
- Może i tak – westchnął.
- Niektórzy inkwizytorzy wyrażają żal, że ich decyzja spowoduje śmierć setek tysięcy, może nawet milionów ludzi – powiedziała Matylda. – Cierpienie i rozpacz matek i ich umierających dzieci.
- Löwefell wzruszył ramionami.
- Widok umierającego dziecka napawa smutkiem tylko tych, którzy nie potrafią lub nie chcą pojmować świata w jego transcendentnej złożoności – rzekł. – Tak naprawdę powinni się oni przecież radować, iż dziecko czyste i niesplamione grzechem umiera, by zaraz po śmierci zasiąść u stóp Tronu Pana i pławić się w wiecznym boskim świetle. A ileż zła mogłoby je spotkać lub ileż zła mogłoby samo wyrządzić, gdyby dożyło dorosłego wieku...
- Matylda skinęła głową.
- Nie każdy inkwizytor potrafi i potrafił tak jak ty oderwać się od balastu człowieczeństwa – stwierdziła.

No i tak to jest, pomyślał Löwefell, że nawet Matylda, istota, której nie można mierzyć ludzką miarą, wcale nie uważa mnie już za człowieka. Ale wierzę i mam nadzieję, że właśnie dzięki temu odrzuceniu cywilizacyjnego i gatunkowego balastu lepiej służę naszemu Panu oraz naszej wierze.

Potem milczeli dłuższą chwilę, aż wreszcie Löwefell westchnął niechętnie, wstał i wyszedł na brzeg. Ten spokojny azyl Matyldy działał na niego kojąco, ale rzeczywisty świat czekał i z tym właśnie rzeczywistym światem trzeba było sobie radzić, a nie słuchać szumu strumienia, pluskając stopami w zimnej wodzie.

– Podejmę decyzję do jutra – rzekł. – Tak jak my wszyscy musimy ją podjąć.

Matylda skinęła głową.

– Oczywiście – odparła. – Nie zamierzam zmuszać cię, byś zadeklarował się tu i teraz. Powiedziałam ci wszystko, więc dobrze wiesz, przed jakim stoimy niebezpieczeństwem. – Odetchnęła głęboko. – Jak wydajesz polecenia kochance cesarza? – spytała. – Przez nie-świat?

– Nie – zdziwił się Löwefell. – Ona jest tylko zwykłym człowiekiem. Wysyłam jej gołębie pocztowe z zaszyfrowanymi wiadomościami, a ona odpowiada tak samo.

Skinęła głową.

– Kiedy Inkwizytorium podejmie decyzję o wysłaniu Czarnego Wiatru, ty, Arnoldzie, musisz zawiadomić swoją zabójczynię. Inaczej Madderdin zginie. Nieodwołalnie zginie i nie uratujemy go.

Löwefell zastanowił się, co by było, gdyby sam ruszył po Mordimera. Co by było, gdyby wziął ze sobą Katrinę i Dietricha Knabego, a może jeszcze któregoś ze znanych sobie inkwizytorów? Czy zwykli ludzie byliby w stanie powstrzymać tak wielką siłę? Czy potrafiliby zabić lub uwięzić Madderdina otoczonego podobną eskortą? Nie zapytał o to Matyldy, bo miał pewność, jaka byłaby jej odpowiedź. Sam wiedział dobrze, że nie zawsze da się walczyć z czymś, co zwykli ludzie nazywają wyrokami losu. Już antyczni Grecy twierdzili przecież, że kiedy zapisano ścieżki człowieka, to

żadne działania podjęte, by je zmienić, tak naprawdę nie zmienią nic. Chrześcijaństwo dalekie było od traktowania kwestii przeznaczenia aż tak kategorycznie, gdyż wierzano w wolną wolę zarówno człowieka, jak i ludzkiego gatunku. Ale kto wie czy w tym wypadku owa wolna wola nie zostałaby rzeczywiście zredukowana do minimum.

– Wracajmy więc – powiedziała.

Zbliżyła się do Löwefella, a on dostrzegł, jak Anioł podnosi się spod nurtu strumienia, tym razem nawet nie śnieżnobiały, lecz opalizujący błękitem, jakby był istotą utworzoną z płynącej wody. I zaraz potem przytulili się do siebie, a Anioł objął ich skrzydłami.



Löwefell dostrzegł Mariusa idącego wolnym krokiem korytarzem prowadzącym do refektarza i szybko skierował się w jego stronę. Stał twarzą w twarz z otyłym inkwizytorem, czy raczej z uwagi na wielkość brzucha van Bohenwalda stanął tuż naprzeciwko jego opiętego jedwabiem ogromnego kałduna.

– Jak śmiałeś odebrać mi Matyldę i nie powiedzieć, co się z nią dzieje? – zapytał i tym razem sam czuł gniew wibrujący we własnym głosie. – Jak ośmieliłeś się nie poinformować mnie o tym, co spotkało kobietę, której operację to właśnie ja przeprowadziłem i to właśnie ja byłem za nią w pełni odpowiedzialny? – Akcentował mocno za każdym razem, kiedy mówił „ja”.

Van Bohenwald prychnął pogardliwie.

– Taką podjąłem decyzję dla dobra Officjum – odparł wyniosłym tonem. – A teraz zejź mi z drogi, Arnoldzie, uprzejmie proszę, bo nie mam tyle czasu, by marnotrawić go na jałowe spory z tobą...

Löwefell w jednej chwili zobaczył całe ciało Mariusa jako pracującą machinerię, jako pompy, tłoki, tryby i zębate koła, dźwignie oraz przekładnie. I również w jednej chwili, samym tylko wzrokiem, czy lepiej powiedzieć: siłą woli, zatrzymał pracę tego

skomplikowanego układu. Van Bohenwald spurpurowiał, chciał coś powiedzieć, ale z jego rozpaczliwie walczących o oddech ust nie był w stanie wyjść żaden dźwięk, więc tylko zachwiał się (widząc to, Löwefell odstąpił szybko dwa kroki) i zwałił na posadzkę, uderzając w nią najpierw brzuchem, a potem głową. Löwefell przymknął oczy i maszyneria ciała zniknęła z jego wyobrażeń. Wtedy poczuł na karku chłodną dłoń i od razu wiedział, że to Katrina.

– Arnoldzie – powiedziała miękko – popełniasz błąd. Proszę...

Odwrócił się do niej, dojrzał jej zmartwioną twarz, po czym skinął głową. Czas, na który zatrzymał działanie maszynerii ciała van Bohenwalda, był na tyle krótki, iż bez trudu i bez szkody dla otyłego inkwizytora przywrócił działanie jego organizmu. Marius zasapał gwałtownie, spazmatycznie wciągnął powietrze głęboko w płuca, zerwał się na równe nogi w sposób wręcz niezwykły dla jego tuszy, zobaczył Katrinę, która postąpiła krok i stała teraz pomiędzy nim a Löwefellem. Purpurowa z wściekłości twarz van Bohenwalda powoli spokojniała. Zamrugał tylko oczami, wstrząsnął głową, po czym rzekł:

– Katrino, Arnoldzie, pozwólcie, że zostawię was samych. Czas wracać do pracy.

Löwefell odezwał się prędzej, niż zdążył pomyśleć, co zdarzało mu się tak rzadko, że... chociaż nie, lepiej powiedzieć: nie zdarzało mu się w zasadzie nigdy. Ale teraz rzeczywiście była to sytuacja wyjątkowa.

– Schudnij, Mariusie – poradził chłodnym tonem. – Bo w innym wypadku będziesz mdlał coraz częściej, aż w końcu tłuszcz cię zabije.

Van Bohenwald nie zaszczycił swego towarzysza nie tylko słowem, ale nawet spojrzeniem i odszedł w głąb korytarza.

– A więc wreszcie udało mu się wywołać twoją złość – zauważyła Katrina.

Löwefell wzruszył ramionami i pokręcił głową.

– Ale nie durnymi przytykami, aluzjami i złośliwościami, lecz realnym, szkodliwym działaniem i pogardliwym traktowaniem

w materii dotyczącej nie mnie osobiście, tylko całego Świętego Officjum – rzekł.

– Cóż, straciłeś Matyldę dawno temu, jednak jak widzę, do dzisiaj nie potrafisz się z tym pogodzić – zauważyła Katrina.

– Wiem – odrzekł po chwili. – Cały czas miałem pewność, że gdyby była ze mną, to potrafilibyśmy razem nie tylko odkryć i wzmocnić jej prawdziwe talenty, ale również obnażyć sekrety, których odkrycia pragniemy jako Święte Officjum.

– Matylda jest bardzo niebezpieczna i słusznie ci ją odebrano – stwierdziła Katrina stanowczo. – Jest również bardzo użyteczna, ale obawiano się i, jak uważam, były ku temu podstawy, że ty nie będziesz potrafił tej użyteczności w odpowiedni sposób wykorzystać. A być może sam zostaniesz wykorzystany w taki sposób, w jaki Święte Officjum by sobie tego zupełnie nie życzyło.

Löwefell zachnął się, ale w zasadzie wiedział, że zarówno Katrina teraz, jak i Wewnętrzny Krąg wcześniej, w trakcie wydawania decyzji, mogli mieć sporo racji, jeśli chodzi o niego i Matyldę. Może Matyldzie potrzebny był ktoś, kto nie był z nią aż tak związany, kto nie czuł się niemal jak jej stwórca, a na pewno jak jej wybawiciel. A Matylda już wtedy była pełna tajemnic i zgorzknienia. Przypomniawszy sobie, kiedy rozmawiali o Jezusie Chrystusie, a ona w pewnym momencie rzuciła z gniewem: „Nigdy Go nie obudzą, Arnoldzie, jestem tego pewna! Będzie zawsze siedział na swoim tronie, tak samo żywy i tak samo przydatny światu jak mumie dawnych faraonów pochowane w egipskich piramidach”. Nigdy też nie zapomniawszy zdumiewającej wyprawy, którą dzięki niej odbył, a która cofnęła jego umysł aż do czasów Valerii Flavii i Siedmiu Wspaniałych Rzymian. I chociaż nie była to podróż w świecie rzeczywistym (jak mogłoby się zdawać przez cały czas jej trwania), lecz jedynie w uniwersum umysłu i wyobraźni, to do złudzenia przypominała wędrówkę w wymiarze fizycznym. Löwefell nigdy też nie zapomniawszy, bo przecież takich słów zapomnieć by się nawet nie dało, kiedy siedział z Matyldą zaraz po podróży do lasów antycznej Germanii, a wtedy ona powiedziała:

– Odnajdziesz Jezusa Chrystusa, Arnoldzie. Odnajdziesz go tak, jak Valeria Flavia i Decymus Kasjusz odnaleźli go w lasach Germanii.

Jej oczy zdawały się wielkie niczym wirujące szare kręgi. Niczym otchłań, w którą Löwefell zapadał się, czując taki sam przestach, jaki mógłby czuć człowiek, który właśnie runął w przepaść.

– Odnajdę Jezusa – powiedział cicho. – I co uczynię potem?

– Potem? – Zaśmiała się i poczuł jej oddech na swojej twarzy. – Potem oczywiście Go zabijesz, Arnoldzie. Zabijesz Go i uwolnisz nas wszystkich...

Nigdy później nie chciała już wrócić do tych słów, nie chciała mu wyjaśnić ich właściwego znaczenia. Bo czym mogły być te zdania? Jakąs straszliwą przepowiednią? Opisem jednej z tysięcy dróg, które mogły uformować się w przyszłości? A może było to tylko drgnienie niestabilnego i rozedrganego umysłu? A może jakaś dziwna metafora czy hiperbola, mająca tak naprawdę oznaczać coś zupełnie innego? Löwefell nigdy i z nikim nie podzielił się tą chwilą. Postanowił wziąć na swoje barki ciężar owego sekretu. Potem wiele razy myślał, iż może właśnie między innymi dlatego rozdzielono go z Matyldą. Że Święte Officjum świetnie znało treść tej rozmowy, a fakt, że Löwefell nikogo o niej nie powiadomił, uznano za argument za tym, by zabrać mu Matyldę. I jak się wydawało, zabrali mu ją na zawsze...

– Dziwne, że poradziłeś sobie z Mariusem tak szybko... – zauważyła Katrina, wyrrywając inkwizytora z myśli o Matyldzie oraz o ich tak dziwnej wspólnej przeszłości.

– To była pułapka – odparł obojętnym, lecz pewnym tonem Löwefell. – Marius widział, że nadchodzisz z głębi korytarza, więc pozwolił, abym zatrzymał pracę jego ciała, gdyż wiedział, że i tak go uratujesz, i wiedział również, że nie zabraknie ci na to czasu.

Katrina po chwili skinęła głową.

– Słuszne rozumowanie – zgodziła się. – Po cóż jednak zastawił taką pułapkę?

– Marius wie lub przeczuwa, że kiedyś możemy stanąć naprzeciwko siebie w nieprzyjaznych zamiarach, i chce, bym

wówczas, pamiętając o tym łatwym dzisiejszym zwycięstwie, poczuł się zbyt pewny siebie i swoich sił.

Katrina znowu skinęła głową i przez chwilę milczała.

– Obawiam się, że masz rację – westchnęła wreszcie. – I bardzo mi się nie podoba, że ktoś taki jak Marius, zamiast myśleć o naszych wrogach, myśli, co zrobić, kiedy skłóci się z naszymi towarzyszami.

– Nie ufa mi. Nigdy mi nie ufał – rzekł Löwefell bez wyrzutu w głosie, ale po prostu stwierdzając fakt.

Katrina wzięła go za rękę i ruszyła w głąb korytarza, tą samą drogą, którą wcześniej poszedł Marius.

– Nie wiemy, czemu zdecydowałeś się zdradzić Persów i narazić się na utratę wszystkiego, na co pracowałeś całe życie: majątkości, wpływów na dworze szacha, rzeszy uczniów... – powiedziała. – Nie wiemy, jakie sekrety zdecydowałeś się nam ujawnić, nie wiemy, dlaczego chciałeś to uczynić, i wreszcie nie wiemy, kto i z jakiego powodu zniszczył cię, pozbawił umiejętności i pamięci. I nie wiemy tego już od tylu lat! I zapewniam cię, Arnoldzie... – Zatrzymała się i spojrzała mu prosto w oczy. – Wszyscy zastanawiamy się, co się stanie, kiedy twoja pamięć i twoje zdolności jako czarnoksiężnika Narsesa, perskiego maga, księcia i dostojnika dworu, wrócą. Czy będziesz naszym przyjacielem, czy naszym wrogiem? Czy będziesz pragnął służyć sprawie Jezusa, czy jednak wystąpisz przeciwko niej? – Ujęła jego twarz w swoje dłonie. – Przecież sam wiesz, Arnoldzie, że i ty nie potrafisz teraz udzielić na te pytania jednoznacznie brzmiącej odpowiedzi...

Milczała dłuższą chwilę i wreszcie pogłaskała Löwefella po policzku, a potem zdjęła dłonie z jego twarzy. Owca

– Sądziłeś, że chociaż na część z tych pytań odpowie Roksana – mówiła dalej Katrina. – Bo czy sądzisz, że dla niej samej, tylko dla jej przyzwania, podejmowalibyśmy tak wielki trud i godzili się na tak wielkie niebezpieczeństwa? Wszystkie wysiłki zostały podjęte z myślą o tobie, Arnoldzie. Dla ciebie i dla Szachor Sefer.

– Prawdopodobnie w odwrotnej kolejności – zauważył Löwefell lekkim tonem.

Skinęła głową, ale potem nie do końca zgodnie z tym gestem odparła:

– Jesteś dla nas ważny, Arnoldzie, nie tylko jako powiernik tajemnic Szachor Sefer. – Spojrzała na niego. – Przecież wiesz dobrze, że liczymy na to, tutaj otworzysz przed nami drzwi nie tylko do tej jednej tajemnicy.

A potem wstrząsnęła głową.

– Dość o tym – zdecydowała. – Opowiedz mi, proszę, jakiego sposobu użyłeś, by tak łatwo pozbawić Mariusa przytomności? – zmieniła temat.

Löwefell opowiedział jej o tym, że potrafi widzieć ludzkie ciało jako niezwykle skomplikowaną maszynę i jest zdolny, by myślą oraz siłą woli tą właśnie maszyną sterować oraz zmieniać jej ustawienia.

– Kiedyś postrzegałem ciało ludzkie nieco inaczej – wyjaśnił. – Kiedy uzdrowiłem Enyę, wtedy jej straszną, śmiertelną chorobę widziałem jako szczura, którego potrafiłem z niej wydostać. Ten szczur – Löwefell wyciągnął dłoń i zacisnął ją w pięść – istniał później w moim ręku całkiem realnie. Żył.

– A w jakiej formie, w jakiej postaci zobaczyłbyś podobną chorobę w tej chwili? – zainteresowała się.

– Jako rdzę, jako kamienie lub piach brudzący tryby, może jako smołę oblepiającą witalne części maszyny...

– Interesujące. – Pokręciła głową. – Naprawdę jestem ciekawa, skąd powstało takie właśnie wyobrażenie? – Uśmiechnęła się. – Może powinieneś zostać nie tylko uzdrowicielem, ale konstruktorem, Arnoldzie? Wielkim wynalazcą...

– Skonstruowałbym wielkie maszyny, które kroczyłyby po polach bitew, siejąc śmierć i zniszczenie wśród wrogów naszej wiary – odparł żartobliwym tonem Löwefell.

– Albo latające karoce, które unosiłyby się pod niebem – dopowiedziała Katrina.

– Słusznie! – zawołał Löwefell. – Po cóż skromnie pozostawać przy idei Dedala i tworzyć jedynie skrzydła, skoro można zbudować

latające karoce albo latające galeony...

Wypowiedział te słowa i przez twarz przebiegł mu cień. Katrina również spoważniała, bo przecież oboje pomyśleli o Kościanym Galeonie, tej plugawej mistycznej konstrukcji (a może żywej istocie, bo tego, czym jest Galeon, nikt przecież nie był do końca i jednoznacznie pewien) szybującej pośród spaczonych otchłani nieświata, a czasami pojawiającej się również na ludzkim niebie, na zgubę wszystkim żywym istotom.

– W środku byłyby kajuty i sale balowe, i tarasy widokowe, z których moglibyśmy oglądać ziemię z tak wysoka, jak gdybyśmy byli Aniołami – powiedziała Katrina z entuzjazmem, a potem, ku zdumieniu Löwefella, usta jej zadrżały.

Pierwszy raz widział, aby Katrina zareagowała na coś w sposób tak uczuciowy, jakby była rzeczywiście człowiekiem i rzeczywiście delikatną, wrażliwą kobietą. Zresztą któż teraz, po latach, mógł wiedzieć, ile w Katrinie było z Anioła, którego poddano upokarzającej karze, ile z przedstawiciela ludzkiego gatunku, a ile z kobiety. Ciekawe, czy sama Katrina potrafiła rozpoznać samą siebie. Jeśli słowa „samą siebie” w ogóle cokolwiek znaczyły.



Löwefell nie liczył dokładnie, ilu inkwizytorów uczestniczyło we wczorajszej naradzie, wiedział tylko, że było ich więcej, niż kiedykolwiek widział zebranych w jednym miejscu. Był pewien, iż od poprzedniego dnia przybyło co najmniej kilku nowych. A zgromadzenie tworzyło prawdziwie różnorodny kalejdoskop postaci. Bo nie mają dla nas znaczenia twoje pochodzenie, kolor skóry, wykształcenie ani przeszłość, pomyślał Löwefell, wystarczy, iż masz moc i z całego serca pragniesz oddać tę moc na usługi chrześcijaństwa. To właśnie sprawi, abys stał się jednym z nas. Równym wśród równych w służbie Panu.

Narada i dyskusja, czasami spokojna, czasami wręcz zapalczywa, trwała bez przerwy i tym razem nawet van Bohenwald powstrzymywał się od złośliwych komentarzy oraz wtrętów. Sam Löwefell nie odzywał się, gdyż od dawna już zrozumiał, że podjęcie decyzji nie będzie tu zależało od logicznych uwarunkowań czy dogłębnych przemyśleń. Ono miało się dokonać jako akt wiary. Albo wierzyłeś we wstrząsające wizje przedstawione przez Matyldę, albo uznawałeś je za nieprawdziwe czy przesadzone. Inkwizytorzy mogli analizować w nieskończoność wszystkie argumenty za i przeciw zesłaniu na świat zarazy, ale i tak w efekcie sprowadzało się to do zaufania Matyldzie.

– Antyczni Grecy głosowali, podnosząc dłonie lub kładąc biały albo czarny kamień – rzekł wreszcie van Bohenwald. – My uczynimy podobnie...

– A może wydrapiemy czyjeś imię na skorupkach?[24] – zapytał złośliwie Angelidis.

Mariusz udał, że nie usłyszał jego pytania.

– ...a każdy z was – kontynuował – kiedy odda już głos, będzie mógł również wypowiedzieć się, jeśli tylko zapragnie to uczynić, dlaczego postąpił tak, a nie inaczej. A jeśli mówić nie zechce, może zachować milczenie. – Rozejrzał się po zgromadzonych. – Poprosiłem również naszych przyjaciół – szerokim gestem wskazał trzech mnichów siedzących przy osobnym, niewielkim stole – by liczyli skrupulatnie wszystkie głosy za i przeciw, aby na podstawie ich obliczeń i opisów sporządzono później protokół, który na zawsze trafi do archiwów Świętego Officjum i dzięki któremu każdy z nas oraz nasi następcy będziemy mogli przypomnieć sobie, kto i jak głosował w tej sprawie.

Głosowanie się zaczęło, a inkwizytorzy dzielili się niemal w połowie na tych, którzy opowiadali się za śmiertelnością zmianą, i na tych, którzy byli jej przeciwni. Raz zdobywali przewagę zwolennicy Mariusa i Matyldy, by zaraz potem kilka głosów padło na sprzeciw wobec nich, co z kolei zadowolonym skinieniem głowy

witali wojewoda Odrowąż oraz jego zwolennicy. Wreszcie van Bohenwald poprosił, by zdanie zabrała Nontle.

– Sprzeciwiam się – stwierdziła stanowczo afrykańska księżniczka, a to jednoznaczne zdecydowanie i stanowczość zdziwiły Löwefella, gdyż spodziewał się, że Mauretanka raczej poprze koncepcję wypuszczenia na świat Czarnego Wiatru.

– Sprzeciwiasz się? – Marius również sprawiał wrażenie prawdziwie zaskoczonego. – A czemuż to, jeśli wolno spytać?

Nontle poruszyła gniewnie głową.

– Czy innych pytałeś o motywę ich decyzji? – zapytała wrogo. – Czemu więc tak bardzo interesujesz się moimi powodami? Nie zgadzam się i koniec.

Van Bohenwald przyglądał jej się wyraźnie nieprzyjaznym spojrzeniem.

– Czy mamy wierzyć, że twoja decyzja została podjęta po głębokim namyśle i że na szali rozumu zważyłaś wszystkie za i przeciw, czy też po prostu w przyszłym miesiącu miałaś udać się na jedną ze swoich wielkich wypraw i Czarny Wiatr mógłby pokrzyżować ci szyki i zatrzymać cię na dłużej w klasztorze albo, co gorsza, obawiasz się, że nałożymy na ciebie obowiązki, którymi wcale nie byłabyś zainteresowana i przed którymi chętnie uciekłabyś do Indii, na Ogon Smoka czy gdzie tam się wybierałaś...

– To nieistotne, Mariusie, a Hildegarda nie musi się przed tobą tłumaczyć – przerwał mu zdecydowanym tonem Odrowąż. – Każdy z nas ma prawo głosu i ona swój głos oddała. A że jest niezgodny z twoimi oczekiwaniami czy nadziejami, to już twoja sprawa.

Marius zachnął się, ale zaraz potem wzruszył ramionami i skłonił się wyraźnie szyderczym gestem.

– A więc nasza urocza księżniczka nie pragnie uwolnić świata od nieznośnego ciężaru i wybawić od grożącego mu kataklizmu. Cóż... nie zmusimy jej przecież... – Obrócił wzrok na kolejną osobę.

– A ty co powiesz, Remigiuszu von Holstein?

Inkwizytor, którego Löwefell przedtem widział tylko kilka razy, i to zaledwie przelotnie, ale nigdy nie zamienił z nim nawet słowa,

pokręcił głową, a twarz miał nachmurzoną i posępną.

– Jestem przeciw – odparł. – Zdecydowanie przeciw – dodał.

– Piękna i mądra Katrino, której rozumieniu świata wszyscy nadzwyczaj ufamy, jakież jest twoje zdanie? – Van Bohenwald obrócił wzrok w stronę towarzyszki Löwefella.

– Wierzę Matyldzie – odparła krótko Katrina. – Wypuście Czarny Wiatr.

Marius uniósł wzrok ku sufitowi i przybrał natchniony wyraz twarzy.

– Wygląda na to, że trzydziestu inkwizytorów jest za tym, by zaryzykować zagładę świata, a dwudziestu dziewięciu jest gotowych tego świata oraz całego chrześcijaństwa bronić ile sił – oznajmił napuszczonym tonem. – Ja oddaję trzydziesty głos za Czarnym Wiatrem.

Rozłożył ramiona tak szeroko, jakby zaraz ów czarny wiatr miał z wielkim gwizdem wylecieć spod rękawów jego płaszcza. A potem westchnął głęboko.

– A więc stało się tak, że to do ciebie – Marius obrócił wzrok na Löwefella – nasz perski przyjacielu, należą ostatnie słowa. To ty, Arnoldzie, zadecydujesz nie tylko o losie ludzi, ale również o losie świata, o losie Świętego Officjum, ba, może nawet o losie całego chrześcijaństwa! – zawołał gromkim głosem van Bohenwald i złożył dłonie w modlitewnym geście. – Błagam cię, wybierz słusznie, przyjacielu, skoro jesteś niczym kamień, który na wadze sprawiedliwości może przeważać szalę boską lub szalę demoniczną.

– Wypraszam sobie nazywanie mojego wyboru demonicznym. – Odrowąż gwałtownie wstał z hurgotem odsuwanego krzesła i z twarzą spurpurowiałą ze złości. – Jestem dobrym chrześcijaninem i wybrałem tak, jak wybrałem, gdyż wysłanie na świat zarazy uważam za cios w chrześcijaństwo, a nie za jego ratunek.

Zaraz mocno poparły go głosy innych inkwizytorów, a Marius szybko zamachał rękami.

– Wybaczcie, wybaczcie ten mój niegodny retoryczny zapach, drodzy przyjaciele! – zawołał z wyraźnym nawet słyszalną skruchą. – Oczywiście nie powinienem użyć tych słów, których użyłem, chociaż na swoje usprawiedliwienie dodam tylko, że wypsnęły mi się tak niefortunnie, gdyż jestem poruszony i zrozpaczony faktem, że tak głęboko mylicie się w ocenie.

Odrowąż pokręcił tylko głową z wyraźnym niezadowoleniem, jednak najwidoczniej przyjął te niezbyt szczere przeprosiny van Bohenwalda, gdyż usiadł z powrotem.

– Wybacz, Arnoldzie – zwrócił się Marius pokornym tonem do Löwefella – że zamiast słuchać twojego głosu, wdaliśmy się w spory i połajanki. Wyjaw nam, proszę, swoją decyzję.

Löwefell nie zamierzał uzasadniać swojego wyboru, nie zamierzał również pozostawiać oczekujących inkwizytorów w niepewności ani stopniować napięcia.

– Zgadza się, żeby wypuścić Czarny Wiatr – oznajmił głośno.

Van Bohenwald zaczął ostentacyjnie i z szerokim uśmiechem bić mu brawo, a polski wojewoda znowu wstał. A za nim wstali jego zwolennicy.

– Popełniacie wielki błąd – ostrzegł surowym tonem.

Potem Odrowąż wraz z kilkunastoma najbardziej zagorzałymi stronnikami opuścili salę zgromadzenia, nie oglądając się za siebie.

– Kiedy zobaczy, jak wszystko nam dobrze idzie, to się na pewno zaraz rozczmucha – zapewnił wszystkich van Bohenwald żartobliwym tonem.



Löwefell był pewien, iż Enya będzie zdumiona, odbierając jego rozkaz, by zabiła cesarza, ale był również pewien, że wykona polecenie bez najmniejszego wahania oraz bez żadnych wyrzutów sumienia, wiedząc i wierząc, że w ten sposób przysługuje się większemu dobru. Zresztą może nawet nie o większe dobro tu

chodziło, lecz o fakt, że była oddana Löwefellowi niczym wierny żołnierz ukochanemu oficerowi. Löwefell dał jej nowe życie, i to nawet nie w sensie metaforycznym, lecz w znaczeniu całkiem dosłownym. Stworzył tę kobietę, by była silna, piękna i bystra, a gdyby nie on, to prawdopodobnie zakończyłaby życie jako cierpiąca ciągle bóle żebraczka. Enya była niegdyś ulubioną służką Pięknej Katarzyny, chociaż nigdy nie brała udziału w praktykach tej czarownicy ani nawet o nich nie wiedziała. Pamiętała natomiast dobrze chłopca, jakim wówczas był inkwizytor znany pod mianem Mordimera Madderdina. Wtedy, oczywiście, nazywał się inaczej. Ale fakt, że Enya nie wiedziała nic o wszetecznych, wiedźmich działaniach swojej pani, nie przeszkodził inkwizytorom, by służącą przesłuchiwać z użyciem narzędzi. A kiedy ją wypuścili, była co prawda żywa, ale jej zdrowie i tak zostało raz na zawsze zniszczone. Po kilku latach Löwefell natknął się na tę kobietę, prowadząc śledztwo w Koblencji, i zdecydował się ją uzdrowić, a dzięki ogromnemu kunsztowi medycznemu (czy może lepiej powiedzieć: magicznemu) udało mu się to więcej niż zadowalająco. Potem Enya błagała Löwefella, by móc mu służyć, a inkwizytor uznał, że może być ona w przyszłości pożytecznym narzędziem. Przeszła więc długie i wyczerpujące szkolenie, w którym nauczono ją korzystać nie tylko z broni i trucizn, ale również błyskotliwie konwersować, pięknie wyglądać i spełniać łóżkowe zachcianki mężczyzn z takim mistrzostwem, by tracili dla niej głowę. Enya była pojętną uczennicą i właśnie dzięki dobrym nauczycielom oraz własnej inteligencji wspięła się na szczyt, wydawałoby się, nieosiągalny dla dziewczyny o jej pochodzeniu – stała się kochanką samego cesarza, w dodatku hołubioną przez władcę. Löwefell cały czas ubolewał, że ta zdolna młoda kobieta, wręcz stworzona, by opłacać cesarza pajęczyną przywiązania czy uczucia, będzie wykorzystana do czynu tak prostackiego jak morderstwo. No ale cóż, tak właśnie czasami toczyły się ludzkie losy, a Löwefell był przekonany, że Enya jeszcze nie raz i nie dwa przyda się Świętemu Officjum. Gdyż tego, że jej

misja się powiedzie, natomiast ona sama nie zostanie oskarżona o zabójstwo, był pewien, tak jak był pewien solidności jej szkolenia.

Czy Löwefell spodziewał się, że jego samowolna decyzja wywoła konsekwencje? Cóż, można powiedzieć, że liczył się z tym i liczył się również z niezadowoleniem tych inkwizytorów, którzy uznają, że naraził życie nosiciela Szachor Sefer oraz ich oponentów, mniej lub bardziej skrycie popierających myśl o tym, że śmierć Mordimera Madderdina byłaby całkiem niezłym rozwiązaniem problemów i pozwoliłaby odpowiedzieć na wiele pytań. Tak więc Löwefell przypuszczał, że swoim postępowaniem narazi się obu tkwiącym w sporze grupom, które jednak tym razem wyjątkowo połączy krytyka jego postępowania.

I w związku z tym wszystkim wcale się nie zdziwił, kiedy usłyszał na korytarzu ciężkie stąpania van Bohenwalda. A ponieważ ani Marius wcześniej się nie zapowiadał, ani nie byli umówieni, domyślił się, że van Bohenwald wie już o intrydze, która znalazła swój zabójczy finał na dworze cesarza.

Van Bohenwald wtargnął do środka, oczywiście bez pukania, ale za to łomotnąwszy drzwiami tak silnie, że łóżko Löwefella aż zadrżało.

– Ach, więc tu się chowasz, mój kochany Persie! – wykrzyknął Marius i roześmiał się tubalnie. – Czy skryłeś się, drżąc przed moim gniewem? – zapytał, wpatrując się w swego gospodarza rozbawionym wzrokiem.

Tym razem van Bohenwald nie był odziany w swój ulubiony, mieniący się wieloma kolorami płaszcz, lecz ubrał się od stóp do głów w czerń, zupełnie jakby był pogrążony w żałobie. Löwefell potraktował jego pytanie retorycznie i tylko usiadł, opuszczając nogi na podłogę.

– Usiądź, proszę – odezwał się grzecznym tonem. – Masz ochotę czegoś się napić?

– Nie mam czasu siadać, Arnoldzie, nie mam wcale czasu – zamachał dłońmi Marius. – Tyle rzeczy się dzieje wokół, że jakakolwiek moja stagnacja mogłaby im tylko zaszkodzić.

– Czym ci mogę w takim razie służyć w tym pośpiechu?

– Służyć? – teatralnie zdumiał się van Bohenwald. – O nie, najdroższy Arnoldzie! Ty już mi się przysłużyłeś więcej, niż trzeba. Plan zrealizowałeś zgodnie z moim poleceniem, a nasz dzielny, uratowany z cesarskiego dworu inkwizytor właśnie gawędzi sobie z mnichami i poznaje tajemnicę naszego klasztoru.

Löwefell wstał. Słowa Mariusa o tym, iż tak naprawdę zrealizował właśnie jego, Mariusa, plan, nieszczerze go zdziwiły ani nieszczerze się nimi przejął. Mogły być prawdziwe, a mogły być tylko robieniem dobrej miny do złej gry. Jednak wieść, że Mordimer Madderdin został dopuszczony do tego, by obejrzeć pogrążonego w letargu Jezusa Chrystusa, by poznać największą tajemnicę nie tylko klasztoru, lecz i całego chrześcijaństwa, wydała się Löwefellowi nie tylko zdumiewająca, lecz i w sposób oczywisty pobawiona sensu.

– A więc zdziwiłeś się! – klasnął Marius. – Widzę to po twojej twarzy i widzę to w twoich oczach. I w tym niechętnym skrzywieniu prawego kącika ust, co przytrafia ci się zawsze, kiedy jesteś skonfundowany.

– Dajmy pokój mojemu kącikowi ust – odparł Löwefell. – Ale że jestem zdziwiony, tego bynajmniej nie ukrywam.

– Pomysł Matyldy – rozłożył ramiona van Bohenwald. – A ja nie kłóczę się z tym upartym dziewczęciem, któremu wydaje się, że wie wszystko lepiej od innych. Wyraźnie sobie życzyła, by twojemu inkwizytorowi pokazano naszego Pana i komnatę, w której nasz Pan zasiada. – Wzruszył ramionami. – Nie powiem, żeby nie zrobiło to na nim wielkiego wrażenia.

– Wyobrażam sobie – mruknął Löwefell, zastanawiając się jednak, jaki zamysł tak naprawdę przyświecał tym, którzy chcieli pokazać Madderdinowi tajemnicę klasztoru. Kimkolwiek byli ci „oni”...

– No cóż – zatarł ręce Marius. – Umykam, mój Persie, do obowiązków, chociaż zważ, że porzuciłem je, by zapewnić cię o moim pełnym poparciu. Spisałeś się więcej niż dobrze i zostanie ci to zapamiętane.

Na odchodnym van Bohenwald obrzucił Löwefella spojrzeniem dziedzica, zadowolonego ze sposobu, w jaki ekonom zarządzał folwarkiem pod jego nieobecność, oraz łaskawie pokiwał mu dłonią.

Löwefell nie zamierzał zastanawiać się nad tym, czy słowa tłustego inkwizytora o tym, iż wykonywał jego zamysł, były prawdziwe, gdyż owszem, wyobrażał sobie, że prawdziwe mogły być, niezależnie od tego, czy nastąpiło to w porozumieniu z Matyldą, czy też bez jej udziału.

Nie spodziewał się jednak, że jeszcze tego samego dnia, chociaż już w porze późnopołudniowej, a może nawet lepiej powiedziec wieczornej, do jego pokoju zastuka sama Matylda. Kiedy Löwefell zobaczył w progu zarówno ją, jak i płynącego nad nią Anioła z obnażonymi mieczami, był zaniepokojony przede wszystkim faktem, iż żadnego z nich nie wyczuł wcześniej. Nawet kiedy wołał „wejść” w odpowiedzi na pukanie, wcale nie czuł, że pod jego drzwiami stoją dwie tak potężne istoty. A to świadczyło o tym, iż są one jeszcze potężniejsze, niż sądził.

– Czy mogę wejść, Arnoldzie? – zapytała.

– Zawsze jesteś najmilej widzianym gościem – odparł. – Skoro nie możesz być już domownikiem.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością i przysiadła na brzegu krzesła. Anioł znieruchomiał nad jej głową, rozpostartymi skrzydłami zasłaniając niemal cały sufit. Ostrza jego mieczy żarzyły się błękitem.

– Chciałam ci osobiście podziękować i upewnić cię, że podjąłeś słuszną decyzję, a właściwie, dokładniej rzecz ujmując: dwie słuszne decyzje – powiedziała.

– I ja mam taką nadzieję – odparł. – Był u mnie dziś Marius – dodał.

Roześmiała się dźwięcznie i naturalnie, a ten śmiech znowu ujął jej zarówno lat, jak i powagi.

– Czy zdążył już sobie przypisać wszystkie zasługi? – zapytała rozbawiona.

– Oczywiście.

– Tak myślałam.

– Z jakich powodów chciałaś, by Madderdin ujrzał naszego Pana? Spoważniała.

– Wiesz dobrze, że nie możemy go zatrzymać w klasztorze – rzekła. – Bo przecież nawet ty nie byłeś tutaj bezpieczny, Arnoldzie, pomimo że pilnowano cię dzień i noc, a i sam dysponowałeś wielkimi zdolnościami i wielką mocą.

– To smutny wniosek, ale wydaje się prawdziwy – przyznał jej rację. – Niestety, kto miał się zorientować, że wyjątkowo zależy nam na tym inkwizytorze, a dotychczas tego nie wiedział, ten już wie.

– I ja tak sądzę.

– Cóż więc się z nim stanie? Co dla niego zaplanowałaś?

Matylda niespodziewanie znowu się uśmiechnęła. Znowu radośnie i figlarnie, jakby była tylko frywolną dziewczyną, która spłatała komuś uroczego psikusa.

– Podpowiedziałam mu, by zażądał towarzystwa i ochrony jednego z Upadłych.

– Podpowiedziałaś mu?

– Och. – Strzepnęła dłońmi. – Weszłam do jego głowy i ubrałam własne zamiary w jego słowa. – Zaśmiała się znowu. – Sądzi, że sam to wymyślił, chociaż pewnie długo będzie się zastanawiał, skąd przyszedł mu do głowy tak niezwykły i zdumiewający wszystkich pomysł.

– A więc Madderdin będzie podróżował przez świat z jednym z Upadłych? – Löwefell wstrząsnął głową. – Przyznam, że to naprawdę zadziwiający concept. Może lepiej było mu dać krokodyla jako stróża? Pewnie byłby wtedy bezpieczniejszy..

– Arnoldzie. – Uśmiechnięta Matylda ujęła jego dłonie w swoje. – Upadły zostanie unicestwiony, jeśli dopuści do krzywdy tego inkwizytora. Czy sądzisz, że nie zabezpieczyliśmy się na każdy możliwy sposób, by nie dopuścić do katastrofy?

Nie „każdy możliwy”, ale każdy, który przyszedł wam do głowy, sprostował w myślach Löwefell, lecz nic nie powiedział na głos.

– Wierz mi – dodała – że siła tego Upadłego pozwoli nam utrzymać inkwizytora przy życiu, a rola, jaką oboje odegrają, może okazać się całkiem interesująca.

– Oboje?

– Upadły przemienił się w kobietę. – Matylda wzruszyła ramionami. – Czy raczej, lepiej powiedzieć: wygląda w tej chwili jak kobieta. Piękna kobieta – dodała.

Löwefell skrzywił się.

– W świecie, który będą przemierzać, bycie piękną kobietą może wcale nie ułatwiać podróży.

– Zapewniam cię, że Upadły będzie umiał zadbać zarówno o siebie samego, jak i o powierzonego mu inkwizytora – stwierdziła Matylda.

– Cóż, tak czy inaczej, twój plan się powiódł – powiedział Löwefell.

– Oby jego konsekwencje były korzystne dla nas wszystkich i dla całego chrześcijaństwa.

– Będą – zapewniła go Matylda z ogromnym przekonaniem w głosie. – Wymknęliśmy się z pułapki, jaką na nas zastawiono, i teraz musimy to wykorzystać.

– Najbliższe lata nie tylko wydają mi się ciekawe, ale przeczuwam, że będą również pracowite.

– Będą pełne smutku, Arnoldzie – powiedziała poważnie. – Pełne smutku dla zwykłych ludzi, którym nasza okrutna decyzja odbierze dzieci, rodziców, małżonków i przyjaciół. Pełne smutku dla wszystkich, którzy będą patrzeć, jak ich bliscy umierają, tylko po to, by chwilę później umrzeć samym. – Wstrząsnęła głową. – Ja to czuję i ja tego żałuję, gdyż w przeciwieństwie do większości z was nie utraciłam tego, co potocznie nazywamy człowieczeństwem.

Löwefell skinął głową, bo cóż mógł powiedzieć? Matylda miała rację, że świat pogrąży się nie tylko w otchłani śmierci, ale również w głębi żałoby oraz cierpienia. To będzie nadzwyczajnie bolesne dla niemal wszystkich ludzi, gdyż ich wyobrażenia o świecie zbyt koncentrowały się na doczesności. A poza tym nie rozumieją, że ból i śmierć jednostek pozwolą w konsekwencji przetrwać całemu ludzkiemu gatunkowi.



Inkwizytorzy Wewnętrznego Kręgu stali na klasztornych murach. W tym miejscu, na szerokim tarasie przy baszcie, zebrali się ci, których Löwefell znał bardzo dobrze, jak i ci, których znał gorzej lub wcale. Stało ich piętnaścioro, by obserwować, jak mnisi budzą Wysłanników Czarnego Wiatru, by owi złowieszczy posłańcy opuścili klasztor i roznieśli po świecie zarazę oraz śmierć.

– Oto uwolniliśmy jednego z Jeźdźców Apokalipsy – stwierdził ponuro Löwefell.

Van Bohewald roześmiał się.

– Jego trzech braci szybko do niego dołączy – zawyrokował.

– Jeden z mnichów odmówił obudzenia Wysłanników – powiadomiła ich Nontle. – Duża odwaga, czyż nie?

– Przede wszystkim głupota, nie odwaga – sprzeciwił się niechętnym tonem van Bohewald. – Co z nim zrobiono?

Nontle wzruszyła tylko ramionami, ale ktoś z tyłu, inkwizytor, którego Löwefell znał tylko z widzenia, powiedział:

– Opat kazał zedrzeć z niego habit i przegnać go z Amszilas na cztery wiatry.

– Bardzo słusznie – zawyrokował Marius i uniósł palec. – Patrzcie, jak nawet tutaj, w świętym przybytku, wśród ludzi wytrenowanych do podejmowania najcięższych powinności, a jednocześnie pobłogosławionych wiedzą, jakiej nie mają zwykli śmiertelnicy, a więc jak mówię, nawet wśród nas zdarzają się słabe ogniwa, które pękają pod naporem gwałtownych zdarzeń.

– Na szczęście to akurat ogniwo było więcej niż łatwe do zastąpienia – odparła Nontle.

– Dlatego też nazwałem postępowanie tego mnicha głupotą – przypomniał van Bohewald. – Gdyż jego opór nie zmienił zupełnie niczego, a tylko jego samego naraził na przykrości.

Löwefell pomyślał, iż wyrzucenie z klasztoru mnicha, który przesłużył w nim całe życie, wyrzucenie go wprost w wir szalejącej zarazy można było jednak nazwać czymś więcej niż zaledwie

„przykrością”. No ale inna sprawa, że owemu mnichowi taka kara należała się jak amen w pacierzu i powinien raczej cieszyć się, iż nie poniósł za swą niesubordynację jeszcze surowszych konsekwencji. Bo przecież jego szanse przeżycia były co prawda mniej niż marne, jednak istniały. Jeśli jakimś cudem i zrządzeniem Opatrzności przeżyje, oznaczać to będzie ni mniej, ni więcej, iż Bóg postanowił dać mu jeszcze jedną szansę.

– Mówił, że nie potrafi wziąć tej decyzji na swoje sumienie – wyjaśniła Nontle.

Mariusz prychnął z rozdrażnieniem.

– To myśmy wzięli tę decyzję na nasze sumienie – rzekł, mocno akcentując słowa „myśmy” i „nasze”. – I jej skutki będą naszą, tylko naszą odpowiedzialnością. Ten mnich miał tylko wykonywać rozkazy i nawet tego, nawet tego nie potrafił uczynić!

Umilkli na chwilę, gdyż potężne cienie uniosły się nad puszcza i zakolem Renu, poszarpane niczym utkane z dymu olbrzymy odziane w smolistoczarne, rozwiane na wietrze płaszcze, postrzępione po brzegach i tymi strzępami zasłaniające słońce i niebo.



– Witajcie w nowym świecie, moi drodzy towarzysze! – zawołał van Bohenwald wesoło. – W świecie nowych wyzwań i nowych działań, w świecie nowej wojny Światła z Ciemnością, prowadzonej w imię chwały i dla zwycięstwa Jezusa Chrystusa. – A potem klasnął głośno. – Cóż, dość się naoglądaliśmy, prawda? Rzecz się stała i się nie odstanie. A my przecież nie będziemy tu tak sterczeć niczym kołki wbite w mury... Może coś przekąsimy?

– Ja bym zjadł kaczkę z jabłkami – zgodził się Biber.

– Nie ma nic lepszego nad prawdziwą krwawą kışkę według norweskiego przepisu – uniósł palec Thorwaldson.

– Plebejskie upodobania – mruknęła z przekąsem Hildegarda Reizend.

Po chwili inkwizytorzy, rozmawiając o czekającej ich kolacji oraz dobrodusznie spierając się o jakość oraz smak różnych potraw, najczęściej pochodzących z krain ich urodzenia, oddalili się od Löwefella i Katriny. Tylko Nontle zatrzymała się jeszcze na chwilę, by spojrzeć na nich i powiedzieć:

– To prawda, że zaraza może pokrzyżować plany mojej wyprawy. Ale byłam przeciwna uwolnieniu Czarnego Wiatru wcale nie z tego powodu.

Löwefell skinął głową.

– Wiem o tym – rzekł.

Nontle westchnęła.

– Wątpię, by z chaosu, który zapanuje, narodziło się coś dobrego – powiedziała. – Chociaż przynajmniej inkwizytorzy wreszcie będą mieli co robić. – Uśmiechnęła się zgryźliwie.

A potem odeszła wraz ze wszystkimi, pozostawiając Katrinę i Löwefella samych i wciąż wpatrzonych w Wysłanników Czarnego Wiatru i zastanawiających się nad dziełem, jakie owi Wysłannicy zaczynali szerzyć.

– Hildegarda nie rozumie, że to, co uwolniliśmy, nie jest bynajmniej chaosem. To tylko przetasowanie kart i nowe ich rozdanie, gdzie tym razem to my zdecydujemy, jak rozłożyć blotki, figury i atuty – stwierdził Löwefell, chociaż wiedział, rzecz jasna, że

nigdy nawet oni, inkwizytorzy dysponujący wsparciem magicznych mocy, nie będą w stanie przewidzieć przyszłości nieomylnie. I nigdy nie będą umieli uniknąć każdej pułapki i każdego zagrożenia. Czyż on sam, Arnold Löwefell, a raczej czarnoksiężnik Narses, nie był najlepszym przykładem tego, że nie zawsze Święte Officjum jest w stanie nagiąć materię świata do swych celów?

– Śmierć jest wybawieniem – stwierdziła Katrina mocnym głosem.

– Śmierć jest wybawieniem i zbawieniem – powtórzył po niej Löwefell.

A później już milczeli i spoglądali, jak cienie kładą się na niebo i ziemię, jak przesuwiają się coraz dalej i dalej w stronę Koblencji, Akwzigranu i Hez-hezronu, w stronę Rzymu, Londinium i Krakowa, w stronę Bizancjum i Suzy. A może dalej: do Moskwy i za Kamienie, do Ogonu Smoka, do Indii i do Chin... I wiedzieli, że już niedługo te cienie pogrążą cały świat w czymś, co ludzie nazwą Mrokiem oraz Zagładą, a co tak naprawdę będzie (a oni święcie w to wierzyli!) Drogą ku Światłu oraz Zmartwychwstaniem.

Koniec tomu czwartego



Przypisy

[1] *...wtargnął brutalnie w jego świat niczym ryk asinusa* – w klasztorach bywało tak, że przełożeni wyznaczali jednego z mnichów, by w pewnym momencie przerywał śpiewne modlitwy kolegów głośnym i celowym fałszem. Chodziło o to, by mnisi nie podziwiali własnej perfekcji i by „sprowadzić ich na ziemię”, jeśli popadliby w zachwyty nad własnym kunsztem. Bo modlitwą mieli wychwalać Boga, a nie czerpać przyjemność z tego, jacy są doskonali.

[2] *Tak przemija zło świata* – stwierdził sentencjonalnie Löwefell, parafrazując słowa łacińskiego powiedzenia – tak przemija chwała świata (czyli: *sic transit gloria mundi*) to jedno z popularnych do dzisiaj powiedzeń łacińskich, często używane w znaczeniu, że nic nie trwa wiecznie, a zarówno ludzkie życie, jak i wielkie projekty po prostu się kończą. Formuła ta była od późnego średniowiecza używana w czasie koronacji papieskich, a później setki razy nie tylko wykorzystywano ją w poważnych dziełach artystycznych, lecz również parafrazowano w popkulturze.

[3] *...wzięli udział w wyprawie aż za Kamienie – Kamieniami nazywano góry Ural, potężny masyw górski ciągnący się ponad 2 tysiące kilometrów z południa na północ i oddzielający Europę od Azji. O wyprawie inkwizytorów na te tereny opowiada powieść „Płomień i krzyż 3”, a o przygodach Mordimera Madderdina w Księstwie Peczerskim (położonym niedaleko tych gór) opowiadają powieści „Przekłète krainy”, „Przekłète kobiety” i „Przekłète przeznaczenie”.*

[4] *W tej chwili oddelegowano go do Weilburga, gdzie ma pracować jako szeregowy inkwizytor – o perypetiach Mordimera Madderdina w „spokojnym” Weilburgu dowiedzie się z książki „Dziennik czasu zarazy”.*

[5] *To Ugryjka – Ugrą albo Jugrą nazywano tereny położone za Kamieniami, czyli górami Ural, już po stronie azjatyckiej. Jugrami nazywano zaś Chantów i Mansów – ugrofińskie ludy zasiedlające zachodnią Syberię.*

[6],[7] *...opisywała świat od Sahary poprzez Persję i Dach Świata aż po Ogon Smoka – Dachem Świata nazywano potężne masywy górskie w Tybecie, głównie Himalaje z najwyższymi szczytami na Ziemi. Z kolei pod nazwą „Ogon Smoka” kryje się Półwysep Indochiński. Wiemy więc, że Nontle zwiedziła nie tylko Indie, ale również dzisiejsze Wietnam, Kambodżę, Tajlandię, Malezję i Laos.*

[8] *...dlaczego mieszkańcy Księżyca wyrzeźbili w kamieniu ludzką twarz – zarys ludzkiej twarzy na Księżycu jest w rzeczywistości nie dziełem rąk istot rozumnych, lecz skutkiem wybuchu wulkanu, który miał miejsce przed 4 miliardami lat.*

[9] *...paniki w greckim rozumieniu tego słowa, jako bezrozumnego, wszechogarniającego i niemożliwego do pozbycia się strachu – nasze*

współczesne słowo „panika” pochodzi od Pana – leśnego bóstwa z mitologii greckiej, łączącego cechy zwierzęce i ludzkie (w Rzymie nazywano go Faunem). To krzyk Pana wywoływał u ludzi i u zwierząt nagły atak bezpodstawnego przerażenia.

[10] *Zważywszy, jak [Sokrates] skończył, nie brałbym go za przykład* – Sokrates naraził się wielu mieszkańcom Aten i został skazany na śmierć wyrokiem sądu ludowego za bezbożność, brak czci dla religii państwowej i za psucie ateńskiej młodzieży (sądziło go pięciuset Ateńczyków). Pomimo że zapewniono mu bezpieczną ucieczkę z miasta, to jednak poddał się karze (otrucie cykuta), gdyż uważał, że musi szanować wyrok współobywateli, nawet jeśli uważa go za niesprawiedliwy.

[11] *Jak myszy ze zgniłej słomy?* – w dawnych wiekach funkcjonowały liczne przesady co do pochodzenia niektórych zwierząt (czy też szczególnych ich właściwości lub zdolności). O myszach mówiono, że legną się ze zgniłej słomy czy sera. O larwach much, że powstają ze zgniłego mięsa. Wykorzystał te przesady Andrzej Sapkowski, tak pisząc w opowiadaniu „Okruh lodu” ze zbioru „Miecz przeznaczenia”: „Każdy głupek przecież wie, że nie ma myszów i myszowych, że wszystkie one jednakie i legną się same z siebie i ze słomy zgniłej. A ślimaki z liściów mokrych się legną”.

[12] *W przeklętej krainie przekłete kobiety napiętnowały tego inkwizytora przeklętym przeznaczeniem* – wykorzystując wypowiedź van Bohenwalda, przypominam w ten sposób tytuły książek opowiadających o perypetiach Mordimera Madderdina na Rusi. Są to w kolejności chronologicznej „Przekłete krainy”, „Przekłete kobiety” oraz „Przekłete przeznaczenie”.

[13] *...nikt nie atakuje wroga dwudziestostopowymi sarissami* – sarissa była włócznią stosowaną w formacji falangi przez macedońską piechotę. W zależności od rodzaju mogła mieć od 4,5 metra do nawet 6 metrów długości, co umożliwiało walkę jeszcze żołnierzom stojącym w piątym szeregu. Oparty na posługiwaniu się długimi włóczniami styl walki macedońskiej falangi został po długiej epoce triumfów boleśnie zweryfikowany przez bazującą na dynamice i mobilności taktykę rzymskich legionów.

[14] *Gorgiasz* – grecki filozof, autor trzech znanych paradoksów, mówiących, że:

- nic nie istnieje,
- gdyby nawet coś było, to byłoby niepoznawalne,
- gdyby nawet było poznawalne, to i tak wiedzy o tym nie udałoby się przekazać.

[15] *Tywyll* – w języku walijskim oznacza „ciemny”.

[16] *Seren* – to znowu język walijski, a słowo to, zgodnie z tłumaczeniem Mariusa, oznacza „gwiazdę”.

[17] *Każdy z nas pisze swoją historię, a te opowieści czasami łączą się w piękny epos lub hymn, a czasami nawet w epitalamium* – epos lub hymn to utwory na cześć bogów, bohaterów lub wielkich wydarzeń czy idei, natomiast epitalamium to pieśń na cześć nowożeńców. Dlatego też Marius żartuje, że uwiecznienie w epitalamium raczej im się nie przydarzy. Z kolei elegia i tren, o których mowa w dalszej części tekstu, to utwory żałobne.

[18] *Tak właśnie narodzili się pierwsi Rusini: lud o duszy i obyczajach godnych zwierząt czy demonów, a nie cywilizowanego świata* – przytoczona opowieść została napisana przez rzymskiego historyka Jordanesa (pochodzi z książki „Gotica”), lecz w rzeczywistości traktuje

o plemieniu Hunów, z którym świat rzymski toczył wyczerpujące wojny. A więdźmy, z których narodzili się Hunowie, wygnał ze swego państwa król Gotów.

[19] *Cesarz przegrał właśnie wojnę z Palatynatem* – wojna z Palatynatem została opisana z punktu widzenia Mordimera Madderdina w tomie opowiadań „Łowcy dusz”. Warto więc zauważyć, że w rozdziale 4 powieści, którą czytacie, przeskoczyliśmy o ładnych kilka lat do przodu w porównaniu z rozdziałem 3, gdyż „Łowcy dusz” na linii czasowej są ostatnią książką o Mordimerze Madderdinie.

[20] *...jakbyś był perskim gepardem na polowaniu* – gepardy są jedynymi dzikimi kotami, które nie tylko nie przejawiają agresji wobec człowieka, ale które dość łatwo można oswoić i wytresować. W antycznej i starożytnej Persji pełniły rolę psów myśliwskich. W tym wypadku jednak chodzi nie o znanego nam geparda afrykańskiego, lecz o wymierający, niestety, gatunek geparda azjatyckiego, którego niewielka populacja mieszka dzisiaj na terenie Iranu.

[21] *Filemon z Syrakuz* – sławny autor niemal stu komedii, żyjący na przełomie IV i III wieku przed naszą erą.

[22] *...kto wie czy nie otruli go jego własni oficerowie* – nie wiemy, dlaczego Aleksander Macedoński umarł tak młodo, zaledwie w wieku 33 lat. Być może naprawdę został otruty, może cierpiał na nieuleczalną chorobę, a rabunkowy tryb życia pogłębił jej skutki, a być może po prostu miał organizm nadszarpnięty ranami, kontuzjami, ciężkimi warunkami kampanii wojennych i przede wszystkim niepohamowanym pijaństwem, któremu oddawał się przez całe lata. A może była to zakaźna choroba: tyfus, malaria lub

gorączka much piaskowych. A może nastąpiła kumulacja jednej lub kilku przyczyn?

[23] *Nie zostałam pokarana klątwą nigdy niewysłuchiwanych przepowiedni, niczym Kasandra* – Kasandra, córka Priama, nieszczęsnego króla Troi, była prorokinią. Jako jedyna wieszczyla zagładę swego rodzinnego miasta. Jej dar widzenia przyszłości został jednak przez boga Apolla skażony klątwą: w jej przepowiednie miał nikt nie wierzyć.

[24] *A może wydrapiemy czyjeś imię na skorupkach?* – obyczaj pochodzący z antycznych Aten, gdzie na zgromadzeniu ludowym obywatele mogli napisać na glinianej skorupce imię człowieka, który ich zdaniem zagraża państwu i demokracji. Jeżeli zebrała się większość takich głosów, to takiego człowieka karano wygnaniem z miasta na dziesięć lat. Wygnana osoba nie traciła praw obywatelskich ani majątku. Procedurę taką nazywano sądem skorupkowym. Jako ciekawostkę dodam tutaj, że taki właśnie los spotkał Temistoklesa, genialnego, charyzmatycznego greckiego wodza i zwycięzcę spod Salaminy. Po triumfie stworzonej przez niego floty nad Persami Ateńczycy uznali, że jest zbyt popularny, i wygnali go. Co ciekawe, dalsze życie Temistoklesa potoczyło się tak dziwnie, że ten wielki pogromca Persów i ateński archont zmarł w Persji jako perski feudal i poddany perskiego króla.



COPYRIGHT © BY Jacek Piekara
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2023

WYDANIE I
ISBN 978-83-7964-952-5

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA

Eryk Górski
Robert Łakuta

PROJEKT OKŁADKI
Konrad Kućmiński | Grafficon

ILUSTRACJA NA OKŁADCE
Sergiej Shikin

ILUSTRACJE
Paweł Zaręba

REDAKCJA
Małgorzata Hawrylewicz-Pieńkowska

KOREKTA
Agnieszka Pawlikowska, Magdalena Byrska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ
pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



Zamówienia hurtowe
Dressler Dublin sp. z o.o.
ul. Poznańska 91
05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32
www.dressler.com.pl
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl



fabryka słów
WYDAWNICTWO

WYDAWNICTWO
Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl
www.facebook.com/fabryka
[instagram.com/fabrykaslow](https://www.instagram.com/fabrykaslow)





JACEK PIEKARA

Świat
inkwizytorów

Płomień i krzyż

TOM IV

**ZAPUŚĆ TWÓJ SIERP I ŻNIWA DOKONAJ,
BO PRZYSZŁA JUŻ PORA, BY NADSZEDŁ
WIELKI DZIEŃ GNIEWU.
A KTÓŻ TEDY ZDOŁA SIĘ OSTAĆ?**

Czas końca jest blisko, a Święte Oficjum szykuje się do decydującej bitwy. Tym razem batalia toczyć się będzie nie tylko o mistyczne tajemnice i nie ukryje się przed wzrokiem zwykłych ludzi. Teraz w płomieniach wojny i dymach śmiercionośnej zarazy ma się wykuć całkiem nowy chrześcijański porządek. A za decyzje podjęte przez inkwizytorów zapłacą wszyscy mieszkańcy Cesarstwa.

Stare sekrety i nowe tajemnice, starzy przyjaciele i nowi wrogowie. Wybory, które przeorają świat. Złowrogie cienie powstające z otchłani przeszłości. W świecie, w którym nic nie jest jednoznaczne, inkwizytor Arnold Löwefell staje przed decyzjami, w których podjęciu pomaga mu niezłomna wiara w Boga i w wieczne życie w Jego światłości.



fabryka słów
WRODZIWICTWO



/fabryka



/fabrykaslow

fabrykaslow.com.pl